BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LIII.

PAMIĄTKI

PANA SEWERYNA SOPLICY

CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO.

Polonus sum,
Poloni nihil a me alienum puto.

WYDANIE NOWE, POMNOŻONE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1900.

OD WYDAWCY.

Rzadko może książka podobnej treści jak «Pamiątki Pana Seweryna Soplicy» z podobnąż radością przyjętą i tak chętnie czytaną była. Wprawdzie wyszła ona 1838 roku i w Paryżu, w owych czasach, kiedy spragniony i zgłodniały naród chwytał nowości literackie narodowej treści z łakomstwem pochwały godnem — ale sława «Pamiątek Soplicy» utrzymała się do dzisiejszych czasów.

Oprócz wydań dwóch paryzkich, przedrukowano je i w Petersburgu z rygorem cenzury tamtejszej — a w końcu przedrukowano w pomnożonem wydaniu i w Galicji w 1855 roku. Ostatnie to wydanie znikło bez śladu, chociaż nie sposób, aby tak znaczna ilość egzemplarzy rozprzedaną być mogła. Ale że pomimo ciągłego dopytywania się o to dziełko, znikąd go dziś wydobyć nie można, wydawca «Bibljoteki pisarzy polskich» mając zawsze narodową oświatę jedynie na celu, a pragnąc zadowolnić żądania publiczności, nie mogącej nigdzie «Pamiątek Soplicy» nabyć nawet za wysoką cenę, puszcza to wydanie po cenie bardzo niskiej. Przedruk uczyniony został z najnowszej, pomnożonej edycji, a więc podaje cztery nowe powieści po raz pierwszy do wiadomości ogółu — i tem samem zyskuje pierwszeństwo nad znanemi i rozprzedanemi wydaniami.

«Pamiątki Soplicy» nadzwyczaj chętnie po całej Polsce studjowano. Przypominały one czasy polskie, chociaż niestety i chwile upadku, a można powiedzieć, chwile narodowej rozwiązłości szlachty naszej, która nam podobno najwięcej do utraty bytu narodowego dopomogła. Dzisiaj te same «Pamiątki szlachcica polskiego» powinny i będą zajmować czytelników, ale już nie lubować i nie głaskać ich własnej miłości. Dziś będą nam one, przypominając czasy polskiej naiwności uczuć narodowych, bodźcem do energicznego postępowania naprzód, abyśmy już podobnych przykładów dla potomności nie zostawili.

Z drugiej strony «Pamiątki Soplicy» są jedyną pracą ś. p. autora, jaką, z jego wielu utworów napisanych z niezaprzeczonym talentem, poważa się wydawca w poczet tomów «Bibljoteki pisarzy polskich» zaliczyć. Bo z wielką chęcią pragnąć by potrzeba, aby zasady i myśl, wydawaniem tejże Bibljoteki przewodzące, rządziły każdem piórem polskiej narodowości. Wszelako nieszczęściem, bardzo wiele od tej chęci zboczeń przekazuje literatura polska tego wieku. Pomimo wszystkich idei skrzywionych i zwichnionych dróg żywota ś. p. autora «Pamiątek Soplicy», są one dlań ofiarą na ołtarzu ojczyzny. Przyjmijmyż tę równiankę sercem wdzięcznem, błagając narodu o odpuszczenie win dla zabłądzonego jej dawcy. Bo autor «Pamiątek Soplicy», pomimo tylu skrzywionych pojęć i czynów, jakie imię jego osławiły, nigdy nie przestał być szczerym Polakiem! A i to już zasługa, patrząc na inne przykłady.

Przyjmijmy «Pamiątki Soplicy» jako podarek od szczerego, kochającego ojczyznę swą szlachcica polskiego, jako utwór napisany przedziwnym stylem i niezrównany do dziś dnia swoim kunsztownie wykonanym pomysłem. Przyjmijmy «Pamiątki Soplicy» jako wzór błędów i cnót końca istnienia Polski, podany nam przez Polaka, pragnącego naszej poprawy, naszego szczęścia i naszej przyszłości w odrodzeniu. Niech czytanie tych «Pamiątek Soplicy» na tej drodze najobfitsze przyniesie owoce. Niech nam obrzydza minione czasy upadku, zakorzenione wonczas złe, co nam upadek ten przyspieszyło — otwierając oczy ślepym, a widzącym wkładając

obowiązki nowego posłannictwa i apostolstwa tam, gdzie go jeszcze najwięcej potrzeba.

Z tem gorącem życzeniem odważa się wydawca «Bibljoteki pisarzy polskich» puścić w świat «Pamiątki Soplicy», odsyłając w dodatku do «przedmowy drugiego wydania paryskiego», którą dla jej oryginalności i przy tem wydaniu umieścił.

PRZEDMOWA

DO DRUGIEGO PARYZKIEGO WYDANIA.

Jest to zadaniem stanowczem w teorji sztuki, co właściwie rozumieć przez twórczość. Filozofja języków różnie rozwiązywała tę zagadkę, w rozmaitych epokach i stanowiskach ludzkości, jak tego ślady w nazwiskach nadawanych poecie, któremu człowiek przypisuje głównie moc twórczą. Że Grecy mniemali dużo o potędze osobowej człowieka, przeto ich wyraz p o e t a mieści wyobrażenie zupełnej samodzielności. Do Rzymian przyszedł on ze zwietrzałem znaczeniem, jako i sama poezja, która tam była już drugim odblaskiem, robotą rozsądku i stylu. Ze wschodem sztuki chrześciańskiej pojawiają się nowe nazwy. Poeci są to w roskosznych narzeczach romańskich, prowansalskiem i starofrancuzkiem, n a l e z c y *(Troubadours, Trouveres)*, jakoby z przypadku znachodzili poezję, którą Bóg podesłał kwieciem całemu światu pod nogi, której zapachy cały świat czuje. Później w Niemczech mistrze-pieśniarze zawiązują się w towarzystwa; bo w świeżo i mocno wierzącem społeczeństwie natchnienie przez wszystkie dusze rozlewa; z każdych ust płynie akord, te akordy wiązać w symfonje staje się szczytnem rzemiosłem. Za ślepym zwrotem do starożytności, z tak zwanem o d r o d z e n i e m, co pogrzebało sztukę chrześciańską, ludy europejskie pożyczając rzecz samą, wzięły

i nazwy grecko-rzymskie; a kiedy je chciały zastąpić swojskim wyrazem, to przez uczucie słuszności dla siebie samych, oznaczały li mechaniczną pracę: ztąd we wszystkich europejskich językach owe puste nazwisko rymotwórcy. W Polsce, gdzie język był zawsze daleko większym od ludzi filozofem, znalazł się wyraz głęboki na oznaczenie poety: mówimy wieszcz, to jest człowiek mający wieści z wyższego świata.

Nam się zdaje, że twórczość jest bierną pośredniczką dwóch światów: duchownego i realnego; jest to niby dwulicowe zwierciadło wskróś ich granicy, niby toń rozpogodzona, która odbija na sobie i błękit z rąbkiem obłoku i wodne ziela wyciągające się na dnie.

Tworzyć w sztuce, znaczy widniejszym zrobić co już ma istność swoją być w świecie fizycznem, bądź w powszechnem sumieniu ludzi. Utwór poezji jest to wcielony ideał, którego poślednie lecz wierne podobieństwa napotykamy co krok w rzeczywistości. Poeta widzieć powinien lepiej, ale nie inne rzeczy jak drudzy. I podziw, jaki dzieło kunsztowne wznieca, polega na trafnem ugodzeniu w tajemne spodziewanie słuchacza lub widza, nie zaś na oszukaniu jego przewidzeń. Owa zgoda z uczuciem ogólnem stanowi i wskazuje prawdę utworu.

Próżną byłoby zabawką powtarzać te prawidła odwieczne, gdyby dzisiejsi artyści pracowali przy instynktowem uczuciu, jako ich starzy poprzednicy, pierwsi mistrze zachodniej sztuki. Wiadomo, że w Grecji teorja przyszła nierychło po arcydziełach. Długo nie było krytyki literackiej pisanej, a jako całą estetyką dla mistrzów było naśladować naturę, tak sąd narodu padał jedynie na sposób wykonania; na gorącym razie ferowany śmiech lub oklaski: oto była krytyka w swej pierwotnej prostocie. Ale dziś, w postarzałym świecie, wszystko się dzieje przez szkołę; każdy poczyna od przyjęcia lub wymyślenia teorji. A że kilkowiekowe doświadczenie naucza, jak wielkie genjusze dały obłąkać się szkole, całe narody pociągnęły za sobą i potworzyły literatury sztuczne, fałszywe — dobrze jest, aby rzeczpospolita czytających broniła głośno prawdy i w obec

niebezpiecznych wznowień każdy jej obywatel mógł podnieść swoje: nie pozwalam. Oto od piętnastego wieku ludzie wyżsi inteligencją, w to obrócili swe siły, aby pożyczoną cywilizacją nakryć i przydusić miejscowe szczepy genjuszu. We Francji dopiero od wczoraj, w Niemczech od połowy zeszłego stulecia, zaczęto cenić te narodowo-chrześciańskie płody, co oznaczone napisem: barbarzyństwo, czekały na powrót ludów. Nas łacińska cywilizacja ujęła dziećmi, kiedyśmy jeszcze nic nie stworzyli; jednak nasz uron większy, bo niepowrotny; bo nam wybiła z pamięci podania sławiańsko-polskie, na które przy braku pomników już dziś natrafić nie możem. Przecie ten błąd tak zgubny wyszedł z prawdziwego uczucia, z żywego uwielbienia dla dzieł, co stoją rzeczywiście jako najpiękniejsze pamiątki myśli ludzkiej. Zdawało się, że starożytni dopatrzyli naturę, i wzbroniono już sobie widzieć, aby przypadkiem nie widzieć inaczej jak oni. Człowiek zamknął się w izbie malarskiej, ubranej w krajobrazy, sceny domowe, wizerunki, obrazy historyczne, i wziąwszy jej ściany za widnokrąg, zaniechał oglądać już słońca, które pod jego niebem nową grę farb roztaczało; nie chciał uważać tłumu, co mu przed okiem wieczysty dramat odrabiał; ale cały zajęty ponawianiem arcydzieł przechowujących przeszłość, ich się radził jak widzieć kształty, farby, grę blasków i fizjonomji. Zaparł, zrzekł się twórczości.

Taki błąd już się zapewnie nie powtórzy. Sztuka otrząsnęła się greckich, a właściwie łacińskich więzów; chciwie łowi miejscowe, obecne wrażenia, miejscowych się podań dobiera. Ale wpada w nowe niebezpieczeństwo, albo raczej w toż samo niebezpieczeństwo wybieżenia od prawdy, tylko na inny manowiec. Nasi ojcowie spuścili z oka naturę, aby naśladować jej kopje; my przez dzisiejsze usposobienie do wyobrażeń o absolutnej twórczości, odchodzimy od natury, to jest od jej pojęcia w sumieniu powszechnem. Prawdziwi wyzwoleńcy, wczoraśmy nic nie mogli, dziś myślim, że mamy różczkę czarnoksięską, którą nam dość uderzyć, aby stanęły wnet światy po naszym kaprysie budowane. Ztąd w liryzmie ta dążność ekscentryczna, duchowidna,

zrywająca rozumny stosunek poety ze światem. Ztąd fantastyczność brana jako element poezji, tak dziś podobna do szczerej niedorzeczności: bo dziw nawet ma pewne prawa w przeświadczeniu ogólnem, do którego wielu artystów powoływać się nie chce. Ztąd zamiast malować rzeczy obecne, lub zeszłe z rzeczywistości, ale żywe dotąd w historji, w podaniu, w pamięci ludu; radzi bierzemy się do przedmiotów, uchodzących zupełnie z pod sądu dla braku danych. Ktoś pisze tragedje, to odsyła ich scenę w czasy, które nie zostawiły po sobie żadnego wzoru dla artysty, żadnego znaku dla potomnych, poczem by się rozeznać na tym dalekim obszarze: niżeli rysować obrazy i sceny, o których podobieństwie świat mógłby sądzić umiejętnie, niżeli podejmować Szyllerowe prace w dziejach i psychologji; woli mocą fantazji zaludniać historyczne pustkowie i jakby z nudy kreślić figury dowolne. Ów chciał napisać poema z tematu: Poezja i nieszczęście; nie wybrał za bohatera Kniaźnina lub Karpińskiego, sobie i nam znajomych; nie pożądał opisać nadwiślańską przyrodę, albo Pińsk i Białowież, w czem każdy wieśniak miejscowy mógłby dlań zostać krytykiem — ale poszukał aż Kamoensa i wziął się malować nam widok Makao ze strony morza. Lada dzień napisze kto historję przedpotopową, nie radząc się ani Księgi rodzaju, ani Cuviera. Wszystkie takie utwory nie mają ciała, nie mają ujęcia.

To i niedziw, że w obec tych fałszów estetycznych — z których gdy jeden uchodzi, a drugi następuje, w literaturze polskiej bój z sobą toczą — skoro się zjawi dzieło zdjęte z natury w całej świeżości nowego odbicia pokazujące ludziom co czuli, co myśleli, czem są, okrzyk powszechny zdumienia i radości je przyjmie, okrzyk dzikiego, któregoś raz pierwszy przed zwierciadłem postawił. Takeśmy witali Pana Tadeusza. Niżej odeń, a przecież nie zbyt daleko stoją Pamiątki pana Seweryna Soplicy.

Genjusz jest to cierpliwość, powiedział wielki uczony i arcy-wystawny pisarz, wypróbowawszy swojej. Że się definicja ostała wbrew interesowi próżności, to dowodzi że jest w niej coś prawdy. Jakoż, jeśli byłoby płonnem chcieć

przez cierpliwość dojść genjuszu, marnem sądzić, że ona stanowi genjusz lub część jego istotną, przynajmniej trzeba przyznać, że jest jego warunkiem nieodzownym, okolicznością tyle niezbędną, co czas wielkiemu czynowi: to jest że przezeń się on tylko objawia. Polskiemu genjuszowi braknie cierpliwości, dla tegoż tak rzadkie i nie pełne jego pojawy. Dla tego Mickiewicz sposzył na prędce powiastkę o Wallenrodzie i Aldonie, z najpiękniejszego przedmiotu do wielkiej romantycznej epopei. A pan Soplica, mąż zasobny w rozumienie przeszłości, który pamięta, i to gorąco, sercem pamięta ośmnasty wiek naszej Polski, zamiast ułożyć te bogactwa porządnie w dzieła większego zakroju, pojedynczemi wspomnieniami wytrząsa je od niechcenia. Dzięki mu przecie i za to.

Co bądź albowiem, pan Soplica jest wielkim twórcą w rzetelnem znaczeniu wyrazu: wypadki i osoby snione w naszem marzeniu, ale już coraz mgłą nawodzone, płowiejące; ułamki wspomnień, z których dzień każdy coś uroni. On dopełnił, wybitnie odrysował i rozświecił. Przez niego dzisiejsze pokolenie wyrzekło swój ideał onegdajszych swych ojców; z jego ręki już każdy może familijnemi portretami ubrać ściany swojego domu. Wprawdzie wszystko to robione z pośpiechem, jakby z oszczędnością czasu, farb i płótna; wszystko niewykończone, niepoprawne, nieraz tylko wpółszkicowane; ale zawsze jest kilka zarysów głęboko prawdziwych, ożywczych.

Szczęśliwie bo sztukmistrz obrał sobie świat przedmiotowy. Żyje on jeszcze w podaniu, każda rodzina ma o nim swoją legendę, a jednak trochę w tył usunięty, że zbytek świateł i głosów nie ślepi i nie ogłusza artysty. Zupełna obecność pokazuje przedmioty w doskonalszej szczerości; artysta ociera się o prawdę: ale mało kto zachowuje śród walki spokojne oko dostrzegacza. Najlepiej maluje namiętności nie człowiek miotany od nich, ale ten, co pamięta jak mu przeszły nawałnicą przez życie. Potem trudno rozeznać w obecności, co tu jest wszystkich wieków spuścizną, co prześlizga bez śladu, a co zostawia osad jako znamię epoki. Ta wczorajszość przedmiotu, która mu ustroń za-

pewnia, blaski jego łagodzi, dozwala artyście bezpiecznej pracy, a jednak daje do kogo się powołać o świadectwo prawdzie, jest najwłaściwszem względnie do stanowiska artysty położeniem. Szyllerowskie:

> Was unsterblich im Gesang soll leben,
> Muss im Leben untergehen.

tak byśmy odmienili, że co zchodzi z rzeczywistości, rade się chroni w świat sztuki.

Spojrzenie pana Soplicy na wiek ośmnasty jest trójwzględne, zkąd i pamiątki jego rozkładają się naturalnie w trzy działy: w pierwszym się mieści życie szlachcica obywatelskie na zewnątrz, wyrażone przez Konfederację barską; w drugim jego życie powiatowe, sejmikowo-trybunalskie, domowe i dworskie; w trzecim, co jest niby ustępem tej wielkiej powieści, wchodzi element kozacki. Troiste to widzenie mieni się i cieniuje w niejednym obrazie, a wszędzie, bądź osobiście w humorystycznym swym majestacie, bądź w oddali sposobem wzmianki, ukazana postać Karola Radziwiłła, którą Soplica położył na oś swych wspomnień.

Jakże pięknie w Kazaniu konfederackiem otwiera szereg tych ledwie zeszłych, już staroświeckich typów. Ksiądz Marek, karmelita, rubaszny prorok i cudotwórca! Nieporównany kaznodzieja! co aby zatrząsnąć słuchaczami, stawia ich lice w lice z niebem i piekłem. Z ambony improwizuje dramat, gdzie kojarzy w poufałym djalogu przenajświętszą rodzinę, świętych pańskich i publiczność kościelną. Musi to jednak narodowość z boskiego być ustanowienia, musi to ciężkim być grzechem, czy ją wydzierać drugim, czy zbyć się własnej rozmyślnie, skoro sam Pan Bóg na swych wybranych zostawia zupełne jej piętno. Figura ś. Marka po raz pierwszy występuje przed nami w swem świetle. Nie mógł jej pojąć, chociaż wielki artysta, przecie że filozof ośmnastego wieku, Rulhiere: ale ksiądz Marek pana Soplicy oddany z tak miłosną szczerotą, jak gdyby obyczajem chrześciańskich malarzy, kreślił go autor, klęcząc i modląc, i na ideał przez pryzmę łez pozierając.

Skorośmy rzecz zaczęli o Konfederacji barskiej, a imię Rulhiera pod pióro nam nadbiegło, nie będzie nieweczesnem przymierzyć do jego historji wspomnienia pana Soplicy, ma się rozumieć pod artystowskim względem, o ile mówią o jednychże wypadkach i osobach. To zbliżenie rozwidni ich zobopólny widnokrąg, a zarazem nastręczy nam porę oddania hołdu najgorliwszemu z obcych, najbieglejszemu ze wszystkich pisarzy polskiej historji; mężowi nie dosyć u nas cenionemu, nie wiem, przez nieznajomość, czy niewdzięczność; nie dosyć w ojczyźnie własnej, może z błahego powodu, że pisząc o nas jedno z najpiękniejszych dzieł piśmiennictwa francuzkiego, musiał je upstrzyć trudnemi do wymówienia nazwiskami. Pocznijmy od wyświecenia stanowiska Rulhiera w literaturze historycznej.

Wiadomo że dotąd objawiło się dwojakie pojmowanie przeszłości, z czego się wyrodziły dwie główne metody historyczne: pierwsza bada człowieka, typ absolutny, którego szuka w wielkich indywidualnościach okresu, postępując w tem dziele bądź przez obrazowanie wypadków, wysadzające naprzód znakomitsze pojedyncze postacie. Jest to metoda starożytna, której dwa dopiero co rozróżnione sposoby widać najlepiej na dziełach Tacyta i Liwjusza. Druga rozpatruje się w społeczeństwach, poszukując ich myśli religijnej, ruchu umysłowego, jak się wyraził przez filozofję, przez prawodawstwo, przez sztukę; a wypadki brane massami odnosi do praw stałych, czy to je widokami Opatrzności. czy logicznym pochodem rozumu przezwie. Przed okiem tej metody pojedynczości maleją, człowiek i przypadek skończyli razem swe królowanie: człowiek bywa już tylko potrzebą chwili, wyrazem ogólnego rozumu w danym czasie i miejscu, szczęśliwą okolicznością, jak nazwał siebie cesarz rosyjski Aleksander. Ta metoda mogła się narodzić aż w dojrzałości świata. Jakoż starożytni pisarze ani domysłem jej nie zaznali: Bossuet miał jej widzenie, Gibbon i Robertson dali jej próby pod wpływem innych wyobrażeń; a dopiero w wieku dziewiętnastym Hegel ustawodawcą, Guizot jej Tacytem. I w świecie wyobraźni odbywa się podobnaż przemiana: myt zbiorowy następuje po osobowym,

legendy o rasach wchodzą na miejsce dawnych o Aleksandrze, Karolu, Artiurze. Walter Scott jest opowiadaczem nowej legendy: w jego romansach bohaterem jest cała epoka, osoby znamionami jej niezmiernego oblicza. W historji, rozumiemy, że obie metody przetrwają, bo jedna drugą dopełnia, i ostatecznie są to dwa względy tejże samej nauki — pojęcia człowieka. Ale pierwsza może być użyta na razie do przebiegających wypadków; druga musi patrzeć z wysoka, a zatem w pewnej od nich oddali. Liczba takich historji pojedynczych, analitycznych, osobowych, posłuży później za materjał do historycznej syntezy.

Rulhiere jest to historyk starożytnej szkoły, blizki pokrewny Liwjusza. W tym rzędzie historycznych pisarzy stoi na czele w literaturze francuzkiej nie samym talentem, ale i losem do starożytnych podobny, bo także tylko wspaniały fragment zostawił; a na domiar zbliżenia, krytyka pracowała nad jego tekstem i zaprzeczała mu pewnych części dzieła. Nikt uczeniej stylem nie władał, nikt zręczniej nie chwytał, nie oddawał wybitniej rysów nawet tak mieniącej się twarzy jak była Stanisława Poniatowskiego. Rzecz dziwna! sam tytuł: «Historja bezrządu w Polsce» niby ostrzega, że autor mierzył swój przedmiot nie jak poeta i entuzjasta, ale ze stanowiska dostrzegacza z wyższej cywilizacji: a przecież umiał mu nadać tak epopejne rozmiary. Dziwna, że pod piórem człowieka obdarzonego tak wielkim zmysłem krytycznym, ludzie co mieliby maleć, to owszem rośli w olbrzymie kształty. Cóż to za posągowe postacie dwóch braci Czartoryskich, możnowładców i statystów! Jakże nie nowoczesna figura ów Branicki, pan i dygnitarz wsparty na miłości powszechnej, starzec na roskosze wylany, a przecież większej czerstwości woli, niźli ją znajdziesz w pustelnikach dzisiejszych. A Małachowski, uosobienie cnoty i powagi, a Mokronowski w Krasickim za poczciwego «pana Andrzeja» znany, tu świetny wyobraziciel rycerstwa, dyplomacji i zalotności! Rulhiere pisał panegiryk; nowy Isokrates pisał go lat dziesiątek i zmarły jego Ateny, nim on dokończył obrazu. Myśl chwalebną ukrył głęboko: człowiek zachodni, ilekroć sam przemawia, pamięta na swe obo-

wiązki względem rozumu; republikanów kocha przez jakiś pociąg tajemny, czy przez wspomnienia klasyczne, czy przez odrazę, jaką w nim budzi zblizka widziana dworszczyzna; nie śmie ich nie naganić, ale ich pokazuje wielkiemi. A któż był znowu straszniejszym dla nieprzyjaciół naszych? Wszakże to Rulhiere podał Europie ich rysopis, którego się ona wyuczyła na pamięć, a na którego wzmiankę rumieniec im występuje na czoło. Jeśli jest wada w tem dziele, to że mimo kunsztowne cieniowanie pochwały, tak ją nam hojnie odmierzył autor, że ledwie czytelnik wyjdzie z pod czaru jego opisów, musi zapytać, jakim sposobem przy takim doborze ludzi Polska zejść mogła do najopłakańszych rezultatów? Jakoż w istocie, to chyba się daje tłumaczyć owem prawem statyki o siłach równych pomiędzy sobą, a działających na przeciwne kierunki.

Obaj pisarze, Rulhiere i pan Soplica, zostawili nam Radziwiłła panie kochanku swojego pędzla. Rysunek jednakowo trafny; ale koloryt, co nie zna pewnych prawideł, tylko wprost od indywidualności malarza zawisł, jest naturalnie tak różny, jak różni są cześnik parnawski, a poufały dworu wersalskiego i dyplomacji europejskiej. Dla Rulhiera Radziwiłł musi być barbarzyńcą; dworak filozof ukochał naszą społeczność szlachecką, ale nie mógł ni przedzierżgnąć tak siebie, ni tyle się wtajemniczyć do naszej cywilizacji, aby miał bandę albańską za kwiat narodu uważać, a spalenie lub wypędzenie szlachcica za niewinną igraszkę. Dopiero kiedy przychodzi do badania uczuć patrjotyzmu i poświęcenia na tej fizjonomji, której zkądinąd nie rozumiał, Rulhiere przesadza pana Soplicę śmiałością zarysów i podniosłością tonu. Nie popełnim śmieszności, abyśmy mieli politykę pana Soplicy roztrząsać i zawodzić z nim o to spory; bo wiemy, że zdania jego w tej rzeczy są obmyślanym owocem artystowstwa. Zamiast brać Radziwiłła ze swego podmiotowego stanowiska i własny sąd o nim na jego twarzy wyrazić, wolał pan Soplica stanąć sam wskroś stulecia, zachwycić powietrza, barwy, woni przedwiekowej, i siebie ukrywając, wystawić nam żywcem magnata, z jego orsza-

kiem albańczyków, z jego myślą i gestem, z sądem, jaki o nim spółcześni mieli, z epoką jego.

To jest prawdziwe czarodziejstwo; ale jeśli było szczęśliwie użyte do oddania humorystycznej Radziwiłła figury, do skreślenia obrazów potocznych sejmikowego i domowego życia, mamyż powiedzieć, że się lękamy, aby to zrzeczenie się podmiotowego sądu, to zaparcie dzisiejszego stanowiska, to przeobrażenie dostojnej myśli dziewiętnastego wieku w pana Soplicę, nie było jej na wstręcie do malowania osób i rzeczy wielkich, co już z praw perspektywy nie mogą być dobrze widziane od zbyt zbliżonej źrenicy. Tak jest, jeśli się autor uprze, widzieć i sądzić w osobie pana Soplicy, a z niej nie zrobi allegorji, ale zachowa jej rzeczywistość szlachcica ośmnastego wieku, będzie przywiedziony koniecznie do ubogiego, jednostronnego widzenia, przed którem ujdą co znaczniejsze postacie, bo te górują daleko nad ocznym promieniem palestranta: autor usprawiedliwi przenikliwe ostrzeżenie Stefana Witwickiego, który mu radzi, «aby nie szukał ducha i tronu polskiego w tem jedynie, co junackie i rubaszne». Przywiedzenie prawd historycznych o położeniu ludzi zacniejszych w staropolszczyźnie, o jedynem świetle, w jakiem umiało ich oddać piśmiennictwo krajowe, upoważni nasze obawy.

Rzecz niewątpliwa, że każdy naród, przeżywszy jakiś lat przeciąg, wyrabia w swym duchu, w widzeniu rzeczy, w zewnętrznym okazie, pewne prawidła zwyczajowe, pod które z czasem najniepodleglejsze umysły nagina. Tak w Hiszpanji długie, prawie pojedynkowe, a zatem wznoszące indywidualność z Maurami wojny, dalej cudowne odkrycia i podboje, skarby, nie jako późne owoce trudu, ale jako trofea śmiałości, wszystko to ukształtowało w pojęciu, w uczuciu, w ułożeniu, tę przysadną wystawność wiernie odbitą w rodzinnej literaturze i naśladowaną blisko dwa wieki po dworach europejskich. Z niej to pochodził jeszcze Ludwik XIV., któremu za wszystkie talenta stanęła majestatyczność, co go nie opuszczała nawet, gdy się do snu przywdziewał, co mu nieukowi dała natrafiać piękno w sztukach, administracji, polityce; w uroczystej chwili natchnęła to szczytne słowo:

«Nie ma już Pyreneów.» Od jego osoby rozpromieniła na cały naród uczucie i ambit wielkości, zapaliła plejady wojowników, sztukmistrzów, pisarzy, a przetrawiona w charakterze francuzkim, rozlała znów na Europę wpływem gustu i grzeczności. Postawmyż obok z Ludwikiem jednę z najwspanialszych historycznych postaci, człowieka nieskończenie wyższego osobistemi zdolnościami. Ostatni król chrześciański zamknął i uwieńczył wojny krzyżowe zwycięztwami pod Wiedniem i Strygoniem. Jakiż on to wpływ wywarł na umysłową i artystowską Polskę? Największy czyn z dziejów nowożytnych, jakichże to miał historyków i pieśniarzy? Cóż Polska umiała o nim powiedzieć, prócz że gadała pół wieku potem: Król Jan nieboszczyk fulmen orientis? On sam, czyliż mówi jak wielki człowiek, czy ma język swojego stanu, opowiadając swe czyny w listach do Marysienki, gdzie rączki papy d'Arquien całuje?

Nie pomału by taki się mylił, ktoby przeciwność dwóch tych fenomenów do różnicy warunków władzy odnosił. Mówiąc o Ludwiku XIV., o Janie III., nie chcieliśmy porównywać królów: idzie o wpływ człowieka panującego nad społeczeństwem, czy godnie utrzymywaną pierwszą pozycją, czy, co jest więcej, potęgą swojej osoby odźwierciedloną w sławie. Więc w tem trafunkowem zbliżeniu, Sobieskiego stanowisko jest korzystniejsze. Czemuż przypisać jego tak marny wpływ na społeczność polską, oglądając się zwłaszcza na europejską wszechdzielność Ludwika? Oto wyznać potrzeba, w Polsce wielki czyn głuchnął w czczości. Pochodzi to z natury umysłowości polskiej, której główne znamiona schwyciwszy, nie trudnoby już było wyjaśnić wiele tajemnic historji i literatury ojczystej, a następnie przyjść do pewnych prawideł przewodnich w zdejmowaniu wzorów polskiego przedmiotowego świata.

Rzuciliśmy przodem wspominkę o piętnie narodowem hiszpańskiem, i z pomiędzy licznych charakterów ogólnych, bądź brzegami pewnego kraju objętych, bądź wylewających na postronia, wybraliśmy raczej ten, a nie inny, jako najzupełniej przeciwległy polskiemu. Tam wszystko podniosłe, wystawne, nieco teatralne, ale dziwnie do epopei lub dra-

matu przydatne. Jest to kraj romanseru, kraj obwity najbujniej w dramatyczne postacie: tu wszystko rozsądkowe, rubaszno-jowialne, nie butne w chęciach; całe słowo tego społeczeństwa zmieści się w przysłowiach i przypowieściach. Jakoż zbiór ten przysłów odświeżany z każdym stuleciem języka, i autor, co z nich budował swe dzieła, Rej z Nagłowic, pisarz nieuczony, pisarz gadek i przypowieści, stanowią istotę literatury narodowej. Prócz tego kwiatu skromnej woni i farby, nic tu szczero-krajowe nie zejdzie. Oto Bolesław Chrobry nie mógł wuczyć tego plemienia do podboju; plemię to już mieć nie będzie epopei. Jego historja nie przedstawia gry namiętności tęgich, co mu zapewne wiele zbrodni oszczędzi, z czego się będzie chlubiło, jako i z nietykania sąsiedniej własności; ale z blaskownych dziejów nie wybije dramat narodowy. Napotykane tu i owdzie wyrazistsze postacie, nie posłużą za wzory; bo te się wyradzają nie z przypadkowych typów, ale z ogólnych, po wszystkich warstwach społeczeństwa odbitych.

Pospolitym to bardzo błędem, nie rozumieć stosunku społeczności a bohatera, polityka lub artysty; nie wiedzieć, że tylko wzajemne przez się pojęcie osoby i społeczeństwa, może wydać tę górującą jednostkę, którą zowiemy wielkim człowiekiem. Powstanie ktoś możny czynem, zjawi się sztukmistrz zawołany, tak z razu jesteśmy olśnieni blaskiem owej postaci, że przesadzając bezmiernie jej pojedynczą siłę, nie pytamy jak tam za bohaterem jest w narodzie ogólna żądza i rozumienie wielkiego czynu, za artystą jasne widzenie wypadków i osób, lub zarywanie powszechne jakiejś lirycznej noty, którą sztukmistrz dopiero w pełności obejmie i wyda. Przecież bez tego nie byłoby ani wielkiego człowieka, ani wielkiego sztukmistrza: będzie co najwięcej człowiek znaczny i słynny, artysta biegły rzemieślnik, ale obcego pochodzenia. W Polsce owa mierność znamienna, ów wstręt od hazardowych kolei, po których właśnie do wyższych rzeczy się goni, sprawiły że nigdy naród nie rozumiał swych ludzi, nigdy przez swoje poparcie nie zrobił ich rzeczywiście wielkimi. Tu jeśli nasz charakter tłumaczy naszą historję, nawzajem ona świadczy o charakterze; jest między nimi

logiczny stosunek skutku do przyczyny. Myśl narodowa nie tylko że nie przewidziała, nie kształciła wyższości, ale nawet kiedy z rzymskich wspomnień wykwitły, opierała się iść za niemi. Stoją one samotnie w naszej historji. Dla tegoż nie było ani prawdziwie polskich statystów, ani poetów, ani historyków, choć byli mężowie poradni i pisarze zdolni do pieśni i powieści. Słynni Polacy są to w księdze dziejowej piękne anachronizmy, próbki charakterów starożytnych: myśl Liwjusza stworzyła Jana Zamojskiego, jak brzęk jego perjodów Długosza i Kromera. Tak dalece naród nie dotrzymywał kroku tym Anacharsysom z pielgrzymki w starożytność wróconym, że chociaż szabla była mu zabawką i chlubą, przecież swym wodzom ledwie dozwalał zaszczytu bezowocnych wygranych, nie doczekawszy nigdy celu założonego wyprawie.

Do historji należy wykazać następstwa dla Polski z tego rozwodu pomiędzy ludźmi wyższemi a masami; brak wpływu na Europie, niezlanie części różnoplemiennych w jedność, niewyrobienie instytucji, coby wytrzymywały podwójną próbę czasu i obcego napadu; do teorji sztuki, niemoc w narodzie pojętnego widzenia jedynych typów malownych, a więc niepodobieństwo sztuki w naczelnych jej objawieniach, epopei, dramacie, historji.

Autor Pamiątek przywdziewając osobę Soplicy, jakież stanowisko wybiera do uważania przedmiotowości polskiej? Oto schodzi na takie nieprzychylne szerokiemu widzeniu, że zeń ówczesne talenta nie mogły ni oka rozeprzeć, ni rozeznać snujących się ludzkich i rzeczowych postaci. Potrafił zdjąć wierzytelnie Radziwiłła, który jedynie tylko w Polsce mógł się urodzić, bo ta piękna figura dziś tak odrębnie cechowa, miała za czasów pana Soplicy swoje pokrewne po wszystkich sferach społeczeństwa, była znajoma wszystkim. Należy ona prawem humorystyce, dla której przeszłość ojczysta nie dosyć, że przedmiotów najbogaciej dostarcza, ale jeszcze na każdym punkcie daje dogodne widownie. Pan Soplica rozumiał, powinien był rozumieć Radziwiłła; o tem nikt wątpić nie będzie, tak to jest zupełnie prawdziwe we względach czasu i charakterystyki ogólnej. Tu więc autor mógł nam zrobić słodkie złudzenie,

w tył pomykając rok malowidła. Ale ten kaprys, jeśli uchodzi bezkarnie w jednostronnem widzeniu rzeczywistości polskiej, łamałby skrzydła artyście, przymuszał do sądu, co nie zaspokoi dzisiejszego pojęcia, lub do sfałszowania swej głównej, opowiadającej osoby, gdyby go autor nie porzucił, biorąc się do różnolicowych obrazów, do czego, jesteśmy pewni, niesie go powołanie, a tchu i umiejętności starczy. Już w podzisiejszych pamiątkach, ilekroć autor potrącił o ważniejsze przedmioty, bije w oczy, jak go uciska i krępuje ta pożyczana maska i suknia. Puławski tylko gdzieś w głębi pokazany, i nie dziw nam, że go autor naprzód obrazu nie wysadził; uczuł zapewne, że to nie przez adwokacką cześnika mózgownicę tak poetyczna figura może na świat sztuki odbłysnąć. Kazimierz Puławski, jest to piękność ogólnego wielkiego typu, na którą patrząc, niepodobna uważać, w jaki tam strój przybrana. Duchem i ciałem zarówno silny, podług wzoru homerycznych czasów, gdyby był mężem w czasie wyprawy pod Troję, byłby drugim w obozie greckim, coby dzidą achillesową potrząsnął. Przyjrzyjcie mu się, jak w Karpaty wzleciały, zawisnął jak nawałnica ponad całem Podgórzem i dopatruje, gdzie uderzyć zniszczeniem? A w Częstochowie, kiedy Moskale radzi go zgubić i właśnie na jego męztwie zasadzając rachubę, wybrali z pomiędzy siebie najstraszniejszego żołnierza, aby go wyzwał na rękę — patrzcie! Dowódca twierdzy przyjmuje walkę sam na sam z nastawionym siepaczem, i gdy w tem strasznem spotkaniu obu oręże pękły, on przez kirys przeciwnika rękojeścią dosięgnął i zdusił mu w piersiach życie. Po kilkoletniej kolei cudownych przypadków, co w sympatycznem i wpółwidzącem towarzystwie byłyby, jeśli nie odrodzenie kraju, to przynajmniej romans rycerski wywołały, nasz Artiur, nasz Roland, szuka bojów za swoją damę, wolność, którą ukochał w idealnym posągu, jaki w płomieniu swej duszy wyrobił. I szlachcic polski, więc graf dla reszty Europy, dziwnem a jednych Polaków dotykającem zrządzeniem, ginie za towarzystwo bez tradycji, nie mające przeszłości na urodzenie jednego herbu, za selfgovernement, gdzie wszyscy ludzie biorą się za jedności, bo

nie było historji, coby zrobiła z którego liczbę. Któż nam odda pana Puławskiego w zupełnym blasku? Rulhiere zaczął tę figurę uczenie, w wielkim stylu, ale śmierć przerwała mu robotę; pan Soplica dotknął się jej nieśmiało. Gdyby Juljusz Słowacki wyzwolił swojego Beniowskiego ze wspomnień Don Żuanowych i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie osnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał zasnąć z jej Juvenalisem i Byronem, może by jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich. W pierwszych pieśniach poematu «Beniowski», śród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epicznem. To powołanie widne już w pierwszych powieściach, gdzie młodość autora wystąpiła przebrana w dojrzałe i urobione formy, w Beniowskim się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezji. Zresztą przez robotę epicznego talentu rozumiemy tu powieść, romans poetycki, nie zaś to wielkie słowo ludzkości «epos», co jest wyrażeniem wraz poetyckiem i ścisłem całej sumy wyobrażeń i podań rozlanych w społeczeństwie, i niby formułą algebraiczną społecznego rozumu. Takiego albowiem dzieła połowę tylko wieszcz robi, a drugą społeczność sama; albo raczej on tylko ją podsłuchuje, ażeby następnym wiekom jej tajemnice wydał. Symbolizują tę prawdę kłótnie uczonych o Homerydy, czyli one zbiorowem, czy jednego człowieka dziełem. A nasze społeczeństwo nazbyt jest rozstrojone, różnomyślne, wielojęzyczne, aby się mogło wyrazić jedną formułą. Jednem słowem: wiek dziewiętnasty nie będzie miał epopei.

Wracając do rzeczy, nie mniejszym dla nas dowodem, jak ta rola Soplicy więzi autora pamiątek, jest jego Rejten. Tu wszystko, co miejscowe, z pospolitem znamieniem zgodne, jest nader trafnie i wyrazisto oddane; co odstaje na tle powszechnem, uchodzi przed wzrokiem Soplicy; Rejten w szkole, w Radziwiłła towarzystwie, jest oświetlony, i może być łatwo za prawdziwego uznany; ale na sejmie nadzwyczajnym poseł, nie dosięga ideału, nie wyobraża jeszcze męża, na którego

wspomnienie całej Polsce pierś się podnosi. Parafjańskie szkiełko, co takim czarem nawodzi sceny domowej, pokątnej, familijnej przeszłości, tu jedno zawadza spojrzeniu autora.

Przecież pierwszem prawidłem w zdejmowaniu przedmiotów na widnokręgu ojczystym, powinno być nieschodzenie samemu z górującego stanowiska cywilizacji. Jak z podziemiów egipskich wydobyte napisy zgaduje umiejętność nowa, tak z pyłem wieków wyniesione z przeszłości osoby i fakta przy pochodni dziśczesnej oświaty odczytywać należy. Cywilizacja tak u nas ogadana właśnie przez ludzi, co jej swą wyższość winni, szkieł, których użycza, nie nawodzi wyłączną farbą, tylko podaje sposoby widzenia jaśniej i dalej, a wszystko we właściwem miejscu i barwie. Jest bezstronna, bo jest wszechstronna: na co się gniewają ludzie nieraz pięknych i silnych, ale jednokolejnych, więc ciasnych usposobień. Zresztą całe to nowe piśmiennictwo polskie, zostające w sympatyczniejszym stosunku z narodem, niżeli była stanisławowska i zygmuntowska literatura, przyszło w następstwie ogólnego europejskiego, nie krajowego ruchu. Gdzież Lelewel pokaże w Polsce swych poprzedników w krytyce historycznej? Mickiewicz, Zaleski, Trentowski, jakże wywiodą swój rodowód ojczysty? Język nawet, który już zaczął skamieniałości ulegać, przybierając ugodnych znaczeń w ślad francuzczyzny i bez względu na swój genjusz składalny, jeżeliśmy rozgrzali, zrobili posłusznym na wszystkie ruchy umu, i obieg soków od liścia reologji aż do pnia sławiańskiego w nim przywrócili, nie byłże temu powodem zwrot ku poezji i spekulacji niemieckiej, ciągnący za sobą potrzebę giętszej, swobodniejszej mowy? Kultura narodowa może być własnoziemna, albo szczepiona i zharmonizowana z narodową przyrodą: w tym ostatnim razie jest kultura polska. Po dziś dzień u nas powołaniem pisarzy jest wtajemniczać do rzeczy, których naród sam przez się nie dochodził; tak przyswoiwszy sobie rezultaty rozumowych działań zachodu, może on je pomknąć, rozwieść szeroko. Ale w obecnym stanie zamykać Polskę moralnie w jej granicach, byłoby zdusić ją w chwili; chcieć zaś czy w historji, czy w sztuce widzieć i tłumaczyć Polskę przy własnem jej

świetle, byłoby to zawierać okiennice przed słońcem, mając co szukać w pokojach.

Dział drugi Pamiątek Soplicy, albo raczej drugi pierwiastek przedmiotowości polskiej obrabiany przez artystę, świeci największą prawdą i bogactwem scen i postaci. Tu przedmiot i patrzący byli w przyzwoitym stosunku. Póki szło o rzeczy i osoby znaczne na historycznem przestworzu, pan Soplica nie był dość biegłym znawcą, aby wszystkiemu stosowne miejsce i cześć należną wydzielić. Ale gdy z nową naturą przedmiotów dość mu było widzieć i zapamiętać, pan cześnik jest niezrównany, bo ma oko i pamięć miłości. Powieść jego swobodna, skoro nie potrzebując wojować sądem i łamać się z trudnościami historycznych zagadek, promieni poezją wspomnień. Od złotoustego płynie czarowna gawęda o starych czasach tak pięknych! bo powiązanych z młodością, z siłą czucia i użycia. Potrzeba było genjuszu, aby tak dobrze dochować stosunek powieściopisarza do czasów wspomnianych. Jeżeli strona epiczna tych rapsodów o wieku ośmnastym jest chybiona, właśnie dla prawdy charakteru osoby opowiadającej, a nieudolności tej osoby do pojęć epicznych; za to strona obyczajowa, domowa, jest wyśmienita, dzięki wybornej właściwości Soplicy do przedmiotu. Co było przeszkodą autorowi Pamiątek w schwytaniu wielkich zarysów Konfederacji i sejmów, to samo jest dlań przyjaznym środkiem do kreślenia zaścianka, trybunału, pańskiego dworu. Domowych ówczesnych dziejów nikt nie opisze jak swojak owej epoki, bo nikt ich tak kochać nie będzie; a ktoby tam wychodził z pochodnią krytyki, ten zamiast rozświecić, olśni wszystko i zaćmi.

Jakże autor dowidział, zasłyszał tę przeszłość? Musiał długo nadstawiać ucha przykominkowym rozmowom ludzi podeszłych, musiał z miłością wczytywać się w papierzyska, ochrzcone uroczystem imieniem archiwów familijnych, wydzierać molom szczątki pozwów, nawet nie gardzić notatami spisanemi płowem czernidłem na przekładkach kalendarza gospodarskiego; resztę dopełnił wielkim rozumem, od którego wszelka całość pochodzi. Przynajmniej pewna jest, że w piśmiennictwie ośmnastego wieku nie było dlań wzoru,

ani materjału wiele; gdyż w ówczesnej społeczności polskiej pisali wszystko ludzie, co nie kochali swojego świata. Zbierali zeń wzorki, lub mu prawili morały, żaden go nie malował miłośnie i poważnie. Z pamiętników od niedawna na jaw wyniesionych, jeden Kitowicza od przeszłości przemawia; ale niepełny w szczegóły, a zresztą Kitowicz pełen żółci do tego, co nienawidzi, nie umiał patrzeć poetycznie na to, czego żałował. Inne, jako to Wybickiego i Kołłątaja, pisane od ludzi zbyt uderzonych zachodnią ogładą, ledwie przypadkiem dochowują barwę okresu. Nieraz Wybickiemu serce się krwi i żal zacina usta, że nie chce wspominać rzeczy, coby dla autora pamiątek były drogim nabytkiem. W ogóle w tych pamiętnikach ani dosyć rozumu, aby stały za prawdziwą historją, ani szczeroty w opowiadaniu, by mogły bardzo posłużyć malarzowi przeszłości. Z literatury ośmnastego wieku, sprowadzającej natchnienie z zagranicy, niepodobna wydobyć żadnego świadectwa o czasie, prócz że z wierszy pochwalnych wnioskować można o przedpokojowych usposobieniach autorów. Jeden Krasicki rzuca światło na towarzystwo współczesne, ale to światło połyskiem drwiącego uśmiechu.

W Krasickim trzeba umieć odróżnić płody podwójnego natchnienia: co pisał jako biskup senator, a co jako satyryk i dowcipniś europejski ośmnastego wieku. Z pierwszej żyły płyną: Wojna chocimska, Pan Podstoli — poziewne i chłodne utwory; druga rozlała satyrami, wojną mniszą i Doświadczyńskim: bo z dwóch charakterów Krasickiego pierwszy był przybranym, z urzędu noszonym, a ostatni serdecznym, osobistym.

Gdyby patrzeć nie na dno dzieła, ale na tytuł i zamiar pisarza, wziąśćby należało Pana Podstolego za wzór polskiego szlachcica i doń odnosić wszystkie umniczne próby tej roli. Wszakże już dzisiaj nie wolno zrobić tak niezgrabnej pomyłki, kiedy ta książka umarła, przeżywszy zaręczoną sobie od Dmochowskiego przed laty czterdziestu nieśmiertelność. Pan Podstoli nie ma nic życia, nic prawdy; jest to figura zupełnie konwencyjna, pokrewna wszystkich plebanów, dobrych ojców, dobrych matek, i t. p. Obraz

szlachcica, jakim go widzieć pragnęli panowie ośmnastego wieku, gdy sami zcudzoziemczeli, radzi go byli hodować w swojskich wyobrażeniach, dla tego właśnie, że je uważali za ciasne, a przez to wyrobić pomiędzy nim a sobą różnice cywilizacji, gdy innej prawo krajowe nie przypuszczało. Do licznych kłamstw naszego społeczeństwa przyrodziło się wówczas nowe: uwielbienie możnych dla narodowości, czego fałszywość zdradzało ich kształcenie się na tryb obcy. Ponieważ o wpływ i godność trzeba było negocjować z wolnemi głosami, schlebiano słusznym uczuciom szlachty, a z chwilowego przymusu pocieszano się żartem w francuzkim języku. Ta obłuda tak była w krew przeszła, że w czasie, gdy już niczego od szlachty nie mógł wyglądać, prócz szacunku, jaki mu słusznie należał, jenerał ziem podolskich ubolewał, że wzrost możnowładztwa, a upadek równości braterskiej wprowadzał formuły uniżone do mowy polskiej. Krasicki zrodzony w tem społeczeństwie, a z pozycji podniesionej talentem, należący do jego szczytu, co mu zbywało czasu od czytania Boala, Gresseta i Woltera, lub pisania wedle tych wzorów, obracał na układanie Sielanki, gdzie wystawił raj domatorstwa, bez więcej zachodu i ostrożności artystowskiej, niż ich mają piszący powiastki dla dzieci o występku ukaranym i cnocie tryumfującej. Dodał morału przeciwko pijaństwu, kosterstwu — morału wyrażonego ze świetnym przekąsem w satyrach, tu pospolicie i nudnie: i oto cała ta książka bezfarbna, nie warta jednego obrazku domowej sceny, jak n. p. jest pan Rewieński. Dziwić się nawet trzeba, zkąd Krasicki jako pisarz prozą, mógł więcej być poważany od spółczesnych: Naruszewicza, Bohomolca; co się chyba tym tłómaczy, że był w swoim czasie upowszechniaczem nowszych pomysłów, pisarzem języka potocznego. Ale ten język był przechodny, te pomysły jedne fałszem, drugie pospolitością zostały, i dzieci nasze nie będą czytać tej prozy o składni francuzkiej, a łacińskich wyrazach, najbardziej odbiegłej od Sławiańszczyzny i zygmuntowskich podań. Z Pana Podstolego nie mógł autor Pamiątek wycisnąć ni kropli farby.

W satyrach i w Doświadczyńskim Krasicki wyświecił

niejedną ciekawą stronę polskiego towarzystwa, ale to światło przedrzeźniające, zamiast być pomocą dzisiejszemu malarzowi przeszłości, razi mu owszem źrenicę i przeszkadza temu lubemu spojrzeniu na wsteczne czasy, z którego się rodzą obrazy historyczne. Autor Pamiątek musiał walczyć ze wspomnieniami z Krasickiego i mrużyć oczy na tę szyderczą pochodnię żartu. Daleko wreszcie od tego, aby Krasicki był sprawiedliwym sędzią; często miał słuszność po sobie przeciwko społeczeństwu, a częściej go nie rozumiał, stawiąc pod linją i karcąc zarówno to wiekowe przywary, to różnicę nawyknień swojskich od poloru nałowionego z Europy. Taka jest treść pism satyrycznych, najlepszych pism Krasickiego; chociaż tam co krok spotykać można oświadczenia za obyczajem narodowym i chryje na cudzoziemczyznę, jedno i drugie w opatrzeniu się na szlachtę. Inaczej być nie mogło. Krasicki był dzieckiem cywilizacji ośmnastego wieku, która nie była jeszcze prawdziwą oświatą, ale ogładą, co jest z natury swojej wyłączna, despotyczna jak moda, jak zakon salonowy. Ile więc razy wychodził z roli narodowego pisarza, a objawiał wnętrzne uczucia swojej osoby, musiał być nie sędzią, lecz przeciwnikiem. Chociażby wreszcie stał Krasicki w swoim czasie przy prawdzie, to inna jest prawda obecna, spółczesna, a inna historyczna i poetycka. Tamto były czasy polemiki, dzisiaj są czasy obrazowania. To ostatnie przedsięwziął autor Pamiątek, i trzeba mu przyznać ten zaszczyt, że w zdejmowaniu ośmnastego wieku jest pierwszy, bez przodka w literaturze; że się kierował wielkim instynktem, po tradycyji, po tych pismach, które przeszłość na ląd nasz wynosi, jak rzeka przy ujściu obrzuca brzegi piaskiem i liściem z krajów, które przebiegła.

Orędownictwo pańskie, palestra, bratnia pohulanka, kolejno się nasuwają pod pędzel mistrza. Pan jest ojcem i bratem szlachcica, palestra szkołą narodowego rozumu i arcy-szanownem ciałem, a przyjacielskość znarowiona, którą tak złośliwemi farbami Krasicki w satyrze «Pijaństwo» namalował, tu zachowuje zupełnie swoje czyste pochodzenie: upijają się ludzie, ale sumiennie i święcie; nadużycie jest tylko bardzo odśrodkowem następstwem cnoty. Autor przy-

wilejem biegłych artystów pochlebia, a przecież chwyta podobieństwo. Radziwiłła głowę rozświecił wszystkiemi powabami owych czasów: jest to najlepszy pan, i pierwszy rębacz, czy to na szable, czy to na żart rubaszny, i pierwszy pijak. Żałujemy jednak że autor nie dość na to nastawał, jaki tam w duszy jego bohatera był kwiat świeży i biały, którego chwasty dziwactwa zgłuszyć nie mogły; i z tej okoliczności przytoczymy tutaj podanie, co wypadło z pamięci autorowi Pamiątek.

Kiedy Radziwiłł razu jednego, pod natchnieniem humoru, klecił genjalne swe kłamstwa w obec króla Stanisława, przyszedł z kolei do widzenia się z Jezusem Chrystusem.

— A jakże Chrystus Pan był ubrany? — zagabnął z przekąsem król filozof.

— Miał na sobie mundur województwa czerniechowskiego — odparł niezmięszany artysta.

Wiadomo że u nas byli tytularni urzędnicy ziem odpadłych; odpowiedź więc Radziwiłła była wymownem przypomnieniem obowiązków króla polskiego.

Gdybyśmy tu mogli rozwieść się nieco dłużej nad robotą każdego obrazku, łatwo by nam wykazać, jak głębokiemi a prostemi sposoby doszedł autor najżywszych efektów. Pogoda i lubość malowidła są tu jedynem znamieniem jego trybu. Przez nie grają sceny uroczyste, patetyczne, lub wybija komiczność wysoka, nienacechowana satyrycznym zamysłem. Weźmy n. p. ów obraz Trybunału lubelskiego, tak jasny, czysty! Jest ustęp w Doświadczyńskim, najwyrazistszy kawałek z prozy Krasickiego, gdzie tenże sam przedmiot oddany jest żywo i z przyciskiem. Ale porównać dwa te przedstawienia, to jest karykatura, tamto obraz — to pamflet Paul-Louis Couriera, tamto poemat. Któż nie pamięta jak ucinkowy biskup wiedzie swojego bohatera do Lublina z p a s z p o r t e m d o s p r a w i e d l i w o ś c i n a r o d o w e j? Autor Pamiątek poetycznie przyznał nadużycia sądowe legendą o Chrystusie, co się odwrócił tyłem do trybunału, a mieszcząc wiarę w ów cud na twarzach osób swego obrazu, pięknie wyraził, że występek był jeszcze grzechem, nie obyczajem. Na przykład niewinnej komiczno-

ści można przytoczyć wspomnienie o teatrze lubelskim, gdzie dramat ustawicznie był przerywany wiwatami na cześć wchodzących dygnitarzy, i zazdrość, zemsta, żart, musiały czekać na scenie, dopóki w sali kielich rąk widzów nie obejdzie.

Drugie spostrzeżenie ogólne, jakie uczynimy nad Pamiątkami, dotyczy języka i stylu rozmów. Język ten i styl są wyborne, szczeropolskie, z najczystszej żyły wydobyty; w nich autor dochował tok istnie narodowy, którego już nie ma, gdy sam opowiada. Zresztą owa czystość języka godzi się dobrze z okresem, jeżeli pamiętać będziem, że bohaterowie autora Pamiątek nie są to wychowańcy Damonów, ale szlachta, co z francuzczyzny ledwie karty przyjmuje, i to z oporem; szlachta, co wartowała Herburta, czytywała kroniki, uczyła się Haura i śpiewała psalmy Kochanowskiego.

Nad wszystkiemi powiastkami tego działu, nie wybiegającemi z domowej sfery, chętnie zatrzymuje się oko i wszędzie trąca o prawdę bujnie rozkwitłą. Gdyby nas jednak zmuszono wybór uczynić, serce nasze odbiegłoby całej palestry, odbiegło panów Rewieńskich i Borowskich, nawet Radziwiłła panie kochanku, skłoniło się do pana Rysia. Pan Ryś, ideał dandysa kontuszowego, zabójca serc niewieścich, choroba płci dzisiaj piękną, a wówczas białą przezwanej, piękny, odważny, zalotny, l'incroyable swego czasu, jest dla nas o ile nowem, o tyle drogiem zjawiskiem, a jego dzieje najdroższym djamentem, jaki kiedykolwiek w pamięci polskiego powieściopisarza zaświecił.

Piękna jest także legenda o panu Leszczycu. Ta niemoc w obywatelu pozbycia się zgryzoty, dopóki w hołdzie prawu życia swojego nie poniesie; jest pomysłem tkliwym i oryginalnym, chociaż w skruszeniu ducha bierzemy go raczej za uczącą allegorję, niżeli za dostrzeżenie cechy dziejowej polskiej. Tak na wschodzie pod despotyzmem, który ma nieskończoność i niespodzianość kaprysu, krążą powieści o królach stale kochających i odmierzających wiernie sprawiedliwość.

Bardziej jeszcze poetycką w swej treści jest pamiątka pod napisem: Klasztor Surlański. Tylko owa tragiczna dana potrzebowała innego, szerszego rozsnucia; autor Pamiątek

opisał ją, aby nie zginęła z tradycji, ale nic z niej nie zrobił — i ona czeka poety. Nigdy Szekspir, ni Kalderon arcytragik, nie uprzędli straszniejszego powikłania przeciwności, zbrodni i żalu.

Powieści trzeciego działu, z elementu kozackiego czerpane, rozłamują się znowu stosownie do natury swych danych, albo raczej wchodzą do dwóch powyższych działów, podług tego jak obrazują przedmioty historyczne, lub sceny potocznego życia. To samo cośmy rzekli ogólnie o niewdzięcznym sposobie traktowania podniosłych rzeczy dziejowych za pomocą wspomnień Soplicy, przypada zarówno tutaj do kozackich powiastek. Dwie z nich wymagało wielkiej maniery: o panu Sawie, którego życie wskroś idzie Konfederacji barskiej, i druga o panu Czapskim, co zaczepia o bunt Puhaczewa. Bunt Puhaczewa! istny dramat Wiktora Hugo, mieniący okropnością i błazeństwem, rzucony na scenę wzdłuż Wołgi i gór uralskich. Cóż zeń zapamiętał pan Soplica? Co mógł spamiętać prawdziwy szlachcic polski, który gdyby był na Hamlecie, z całego poematu wyniósłby Hamletowe do Ofelji:

That's a fair thought to lie between maid's legs.

Pan Soplica oddychając tem życiem melodramnem, nie nabrał w pierś innych wrażeń, prócz kilku facecyjek. Zgoda! jest to prawdą względem osoby opowiadającej, względem cześnika parnawskiego. Zupełny brak w literaturze oryginalnej dramatycznej osnowy, sposób suchy, często rubaszny, jakim opowiadają kronikarze najokropniejsze zdarzenia, służą za dowód tej prawdzie. Ale poddajem autorowi Pamiątek nasze wątpienie, wolno li życiodawczemu talentowi potrącać tak o przedmioty bogate i naruszać jeno ich dziewiczość, kiedy miłosnym a silnym uściskiem mógłby je z chwałą dla siebie i literatury rozpłodzić? Jeszcze raz powtarzamy: czemuż autor nie wzbroni swemu gadule wspominać tego, co on źle widzieć musiał, a poprzestając teraz na kreśleniu scen domowych, nie odroczy wielkich przedmiotów do dzieł innych, gdzie jego osobistość wystąpi nieskrępowana przejęciem ugodnej roli?

Za to do najpiękniejszych ze zbioru należą powieści kozackie sfery domowej, gdzie autor odrysował kozaka w trzech postaciach: zaporożca, hajdamaki, kozaka dworskiego. Zaporożec autora Pamiątek nie jest to Zaporożec Michała Czajkowskiego, dyplomata w stosunkach z sułtanem konstantynopolitańskim i urodzony konkurent do kasztelanek krakowskich: broń Boże! Jest to sobie po prostu chłop zbiegły z Rusi lub z Moskwy, albo też jaki urwisz od szlachty, skłócony śmiertelnie ze sprawiedliwością krajową, czasem skradzione dziecko wychowane śród Siczy — zawsze człowiek wolący życie tkane pohulanką i mordem, nad wieczny batożny proces z rządcą polskiego magnata, albo stanowczą rozprawę z trybunałem. Autor Pamiątek nie dosyć że osnuł nader interesującą powieść o Siczy, więcej zrobił — szczerością tego obrazu oddał posługę krytyka literaturze, bo obalił dziwolągi kozackie, które wchodziły już w modę, i wstrzymał ten fałsz zaraźliwy, powstały z pomięszania wyobrażeń Rusi a kozactwa, tego, co tam było porządkiem normalnym, a co buntem uorganizowanym, dzięki słabości rzeczypospolitej; wszakże trzymanym na wodzy i tylko od czasu do czasu tryumfującym chwilowo. Omal że Potoccy i Wiśniowiecki nie są kozakami; przecież nie godzi się tak dowolnie zamieniać bijących na bitych; jeżeli pierwszych gromi sąd historyczny za ich zbrodnie, zostawmyż ich przynajmniej przy dumie, co wywołała piorun. Dante spotykał w piekle duchy butniejsze, gniecione ogromnym ciężarem; nie mówi, aby je mięszano z małemi, które one deptały tu w życiu. Jakto musi żałować wielki poeta, naczelnik ukraińskiej szkoły, że dał niechcący powód do tej mistyfikacji kozaczej? Choć czyż to wina słowika, że osieł chce po swojemu śpiew jego naśladować? Jakże zabronisz biedakom za cudzą myślą tropiącym, podbijać twój pomysł w przysadę, w mniemaniu: że biorąc za punkt wyjścia, co dla ciebie było już odśrodkowym na kraniec prawdy zagonem, śmielszego są od ciebie genjuszu? Ale kiedy wspomniemy, że przez lat kilka Polska wierzyła w kozaków Czajkowskiego, i wdzięczna za podarek z tak historycznych figur, przebaczała mu najsroższą obrazę wszelkich pojęć pisania — że usta i uszy od

lat dziesiątka pieszczone harmonją wieszczów, nawykały do hajdamackiego języka; a filozof Trentowski jawnego illetrystę nazwał pierwszym belletrystą polskim, winszując mu zbogacenie języka kupą solecyzmów, fałszywych form i wyrazów pustych, jak orzechy bez jądra — kiedy przytem spojrzym, jak zwolna przenikają w rozumienie powszechne: Wacław, Nieboska komedja, Pan Tadeusz — zdejmuje nas bolesne zwątpienie o usposobieniach estetycznych narodu.

Ot! pocieszajmy się Pamiątkami Soplicy. Jego Zaporożec, to mi Zaporożec prawdziwy! Pije w karczmie, bawiąc się jasnemi barwami i złotym galonem, a gdy wraca do Siczy, zanurza w dziegciu i rzuca barwistą odzież, woląc koszulę oblaną łojem i niepodległość zaporozką. Wprawdzie tej atmosfery wódki, łoju i dziegciu żadna by kasztelanka nie zniosła, ale on taki piękniejszy, bo istotny — bo Sicz była upustem dla dzikiej swobody ducha, tłumionej ryzą ogólnych ustaw społecznych; bo żaden kozak nie byłby pewno został na Zaporożu, gdyby mógł mieć pannę Lanckorońską za kochankę i z Marją Ludwiką iść w pląsy.

Jak tu mądra jest pamięć Soplicy! Dopiero co wspomniał to symboliczne przewdzianie stroju, znów nas prowadzi do czterdziestu kwater pułkowych, stawia przy obiorze koszowego, którego nie robi podobnym do konsulów rzymskich, konetablów francuzkich, lub hetmanów koronnych; ale przywiedzeniem brudno poetyckiego obrzędu sypania śmieci na głowę; wzmianką o prawie, co w dzień obioru obowiązywało pisarza, aby na Zaporożu chociaż on jeden był trzeźwy, wtajemnicza nas do serdecznej prawdy tego towarzystwa. Ponckie pobrzeże, kraj dziwów, kraj oryginalności historycznych i społecznych! Tu grecka fantazja mieściła tyle cudów — tu galop nigdy nie przestał tętnić, tu siew oczeretów nie ponowiony od potopu wybuja — tu w konia wrosły przemykał niegdyś Scyta, a dopiero w ubiegłym wieku hałasił u wrót Europy i cywilizacji Tatar, w łacińskiej mowie Polaków także Scytą przezwany.

Na jednym krańcu tego pobrzeża siadło w starożytności zbrojne stowarzyszenie dziewic, a kiedy jego dzieje szczezły już w bajkę, oto na drugim punkcie tej okolicy wylęga się

towarzystwo wojennych mnichów — bez Boga. Autor Pamiątek artystowsko postawił szlachcica polskiego pośród kozaczej zgrai; w Dziumdzuryku skreślił zajmujący wzór awanturnika, kładąc zaś w usta Soplicy nadzieję beatyfikacji pisarza siczowego, schwycił znamię pobożności narodowej, co grzeszyła zawżdy zbytkiem zaufania w miłosierdziu bożem. Hajdamaka jest rycerz wiodący już wojnę na swoją rękę, zanim bunt chłopów lub napad kozacko-tatarski da mu postąpić na polityczną osobę, jakich okropne grupy cudownie ułożył Goszczyński. Hajdamaka zasiada przed autorem Pamiątek, który z niego bierze bohatera do jednego ze swych obrazów, gdzie dramatycznie z nim zplata figury łowczego i porucznika kawalerji narodowej. Wyborny djalog, trafne dopatrzenie charakterów we wzajemnej przebiegłości rozwiniętej przy spotkaniu, zwłaszcza to zbadanie porucznikowskiej duszy, jak za pośrednictwem kielicha rad wchodzi w polubowne ugody ze swoim sądem i przywyka do zbójeckiej kompanji — wszystko to rozlewa powab na powieść. Autor szczędził farb przeraźliwych, nie poprowadził swego bohatera na pal, ani na szubienicę, czegoby kto inny nie był zaniechał: owszem opromienił łagodnie koniec powieści. Jak morski rozbójnik Scotta, pan Pawlik chwyta za chorągiew narodową i jej szkarłatem osłania zbrodniczą swą przeszłość.

Nareszcie trzeci gatunek kozak dworski, co jest do Zaporożca, czem zwierz domowy do dzikiego, wybłysnął także podobny z pod pędzla autora. To on! Z wiernością i zmysłem pudla aportuje od pana Potockiego do pana Ogińskiego. Rozrzewniający dyplomata, jedyny rodzaj kozaka ambasadora, jaki ja pojąć mogę! Szerokiemi szarawary i gromkim głosem nie będzie on straszył salonów, nie domyśla się francuzczyzny, i wie że się jej nie domyśla, ale skromnie odnosi poselstwo serwaserem na łbie mu wypisane. Ma też swoją nagrodę, swoje radości. Sam pan Ogiński nalewa mu kielich wódki. Typ arcy-szacowny, pociągający serce: bogdaj się tylko przechował jak go tu autor Pamiątek nakreślił, i nie zapragnął, puszczając wodze ambicji, wchodzić w stosunki z sułtanem konstantynopolitańskim.

Otośmy powiedzieli pokrótce nasze mniemanie o naturze

przedmiotowości i artystycznem onej oddaniu w Pamiątkach, bez powziętego zamiaru nagany lub pochwały, ale jedną i drugą wyznając szczerze według wrażeń odbieranych od dzieła.

Pewien młody krytyk, przetrząsając z cierpkością utwory polskie wydawane w Paryżu, nazwał Pamiątki Soplicy chudemi wspomnieniami, przechowanemi lepiej w pamięci narodu. Zacny ich wydawca Stefan Witwicki wnioskuje, że posłużą poetom i pisarzom romansów. Pierwszy z tych sądów zdaje nam się całkiem niesłuszny, a drugi niedostateczny. Pamiątki Soplicy nie są ni robotą spółczesną malowanym wypadkom i w braku innej zasługi noszącą ślad okresu, ani gnojem Enniuszowym dla przyjść mających Wirgilich: są to już dzieła sztuki skończone w mierze talentu pisarza; i aby w jedno wyrażenie zsumować, cośmy tu lub owdzie o tym przedmiocie powiedzieli, autor — byle nie pętał swej siły — odda usługę całemu społeczeństwu polskiemu, pozwalając mu widzieć się w swojej przeszłości. —

SPIS RZECZY.

I.

KAZANIE KONFEDERACKIE.

Było to w roku 1769, czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola, a tak pamiętam, jakby to się działo onegdaj. Słuchaliśmy mszy świętej w kościele OO. Bernardynów w Kalwarji; kościół był jak nabity szlachtą, której mnóstwo panów przewodniczyło. Siedzieli w ławach: książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, solenizant, i Potocki, podczaszy litewski, i Potocki, wojewoda kijowski, i Pac, starosta ziołowski, marszałek jeneralny Konfederacji, i Rzewuski, chorąży litewski; a któż wymieni wszystkich tych panów? I na sejmach więcej ich nie widać; oni siedzieli w ławach, a my stali, ba! nie tylko my, ale i urzędnicy nawet stali, bo do ławek nie łatwo było się docisnąć. Po mszy świętej ksiądz Marek Karmelita, na którego cuda zacni ludzie patrzali, zaintonował: Te Deum laudamus, a my szlachta śpiewali wtór i niektórzy panowie nawet: jako JW. chorąży litewski, Panie daj mu wieczny odpoczynek, bo to zacny był pan, i dziwnie basem śpiewał, choć, jak starzy mówili, trybem światowym. Śpiewał i JO. wojewoda wileński, ale już nie tak dobrze; ale wszyscy śpiewaliśmy ochoczo, bo też było za co Panu Bogu dziękować. Przed czterema dniami, w sam dzień wszystkich świętych, jak na wiązanie JJ.OO. i JJ. WW. Panom, nie zapominając i o nas szlachcie, pan Kazimierz Puławski, starosta warecki, porządnie był wytłukł Moskwę pod Lanckoroną i aż do Myślenic gnał Suwarowa; a i ja tam swoim nie szkodził, co mnie trochę zaszczytu i nieco nieprzyjemności przyniosło, jak się o tem powie. Po hymnie wstąpił ojciec Marek na ambonę; my wszyscy natężyli uszów: raz, że i łaknąć trzeba za słowem Bożem, powtóre byliśmy ciekawi, co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. księcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej barskiej Konfederacji,

a którego w dniu tym przepomnieć, nie zdawało się nam, aby było do rzeczy. Przeżegnał się ojciec Marek; jeszcze dziś patrzę na niego, i tak powiedział: «Święty Jan Ewangielista mawiał: Dziateczki! kochajcie jedni drugich; i ja wam to mówię, a raczej wymówię, że tak nie robicie. Kochamy ojczyznę! mówicie, a między sobą żyjecie w ciągłych swarach! Piękna to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się wadzić. A wy panowie naczelnicy tej Konfederacji pod hasłem wiary i wolności zawiązanej! Zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drzewka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż ojczyznę zatracić? Wy się cieszycie wygraną pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ten dar Boży będzie wam powodem nowej Boga obrazy: powiększy waszą pychę, swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomyślnością? Lękamy się Boga, mówicie; za wiarę, za biskupów wziętych walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak. A to co się u Waszmości zrobiło na obiedzie, szósty dzień temu, JW. marszałku lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do ograżania się, do korda: to ty marszałku, cobyś miał mitygować, godzić, bronić, nareszcie już nie jako wierny katolik, ale przynajmniej jako poczciwy gospodarz, cóżeś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił! toś drugich panów zapraszał, żeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tęgo w kordy biją. A o cóż to się bili? O honor Najświętszej Panny, o wypędzenie intruza, którego schyzma na stolicy naszej przemocą usadowiła? Nie, o głupstwo, aby wam panowie czas przyjemnie schodził. Niech się świat poleruje. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie! Takto niegdyś w Rzymie, nim papieże nastali, bawili się pogańscy panowie, patrząc jak gladjatory się zabijali. A i ci przecie krew szlachecką szanowali: bo gladjatory byli brańce narodów Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachtą rzymską. Otożto wasza wolność! wasza równość! wasza wiara! Tacy to wy ojcowie ojczyzny! Nie masz ratunku dla was! Wkrótce ja pożegnam was; powrócę do klasztoru berdyczowskiego, z którego bogdajbym nigdy był nie wyszedł! a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą: tak za sobą, bo same patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moją. To wy Ją nazywacie Królową! . . . Pięknych Ona ma z was poddanych! Dziewica czysta i panieńskiego serca ma panować nad wszetecznikami i burdami? Złoży ona wkrótce niegodną koronę, a wy raczej Lutra królem, a schyzmę królową ogłoście. To będą godni was panowie: jacy poddani, tacy monarchowie! A więcej nie powiem wam, bo nareszcie i duch boży znużył się w piersiach moich.»

To wyrzekłszy, zszedł z ambony i przed wielkim ołtarzem uklęknąwszy, zaczął śpiewać: «Przed oczy twoje Panie.» Wszyscy stali jak wryci, nie mogłem widzieć co się natenczas działo z JW. Granowskim, marszałkiem w. lubelskim, ale jak mi później mawiał pan Mikołaj Morawski, natenczas porucznik pancerny księcia Karola Radziwiłła, który lubo dworzanin jego, miał do niego dziwną poufałość, i stał przy jego ławce, co ludzie pewnej okoliczności przypisywali, która, lubo o niej przemilczę, jemu samemu krzywdy nie przynosiła. Otóż ten pan Mikołaj więcej trzydziestu lat sąsiadując ze mną, nieraz powtarzał, że JW. Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty listopad i dobry przymrozek na dworze: taki mu był wstyd. A nie bez słuszności; bośmy wszyscy wiedzieli, o co idzie. W sam dzień Zaduszny zaprosił był na obiad obozowy panów i urzędników, i tych co się dnia poprzedniego popisali pod Lanckoroną, co i mnie dało wstęp do jego stołu, a swoich Lubelczyków wszystkich. Otóż między nimi był pan Snarski, tęgi jeździec, nie ma co mówić, i łebski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki kłótnik. Jużto on i do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale ja szanując gospodarza i dostojnych gości, wszystko mimo siebie puszczałem, raczej przysłuchując się dyskursom zacnych, niżbym się miał oglądać na jakąsiaką przymówkę. Tak tedy nie doczekawszy się ze mną zwady, i innych naprożno tentując: aż nakoniec dostał czego żądał od jednego ze swoich. Pan Bolesta, którego Mańkutem nazywali, lubo opodal od Snarskiego siedział, usłyszał iż ten się odezwał: Wiwat powiat urzędowski! czoło województwa lubelskiego! A że był ziemianinem łukowskim, markotno mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek. Jak zaczął ich podjudzać JW. marszałek i JO. książe wojewoda, przyszło do tak grubych wyrazów, że zgroza było słuchać: a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby, a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego, Łukowczanie swego, a JW. marszałek obudwóch zagrzewał. Ślicznie się obadwa składali; Panie Boże, przyjm to za żart! aż miło było patrzeć. Ale nakoniec silnie po łbie dostał Snarski; jak długi padł krwią oblany. Myśleliśmy, że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie; a potem cyrulik tameczny jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cierpiał ci on jak w czyszczu; alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział na kontraktach dubieńskich wojskim urzędowskim, z głęboką kresą, ale zdrowego i opamiętałego. Jak ludzie mówili, bardzo był szacowanym w swoim powiecie; a co się zrobiło z Bolestą, prawdziwie do dziś dnia nie wiem; ale dawno musiał umrzeć.

Wracam do swego. Ksiądz Marek śpiewał, ale sam jeden; bo my wszyscy tak się zadumali, że muchę by można usłyszeć,

lubo nas było ćma, bo żaden z kościoła nie wyszedł. Ksiądz Marek po odśpiewaniu pieśni znowu na ambonę powrócił: co nawet starych zadziwiło, bo nikt nie słyszał, aby kiedykolwiek ksiądz lub zakonnik jednego poranku dwa razy kazał; ale my wszyscy ciekawi byli słuchać, raz że to był święty człowiek, powtóre że do przekonania mówił, a nakoniec, prawdę powiedziawszy, choćmy szczerze do panów byli przywiązani, nie byliśmy od tego, żeby nie słuchać, jak też i im verba veritatis prawią. Dosyć, że ksiądz Marek powróciwszy na ambonę, tak mówił: «W piersi uderzyć się muszę, że w dniu urodzin i imienin twoich, JO. książe wojewodo wileński, dostojny wodzu naszego związku! zdawałem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zasługi, poświęcenie się twoje dla ojczyzny, miłość szlachty i ta żywa wiara, którą ci Bóg, pomimo twoich błędów zostawuje, warte ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu, tak dla ciebie, a więcej jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe: bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym! To jest prawda, że jako prawy Polak, gościnne i uczynne twoje serce żadnej korzyści mieć nie chce, którejbyś drugim udzielić nie mógł. Wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tem wiązaniu tobie ofiarowanem, inni dostojni koledzy twoi swój także udział otrzymają. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to co mówię, jest prawdą: każdemu z was wolno mię zawstydzić, mieniąc mnie kłamcą. Bóg często dla korzyści drugich, niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia. W tym względzie doświadczałem i ja jego łaski. Oto rok siódmy temu, gdy w celi mojej gorzko płacząc nad ojczyzną, modliłem się, ujrzałem Anioła Polski. Widziałem go tak jak na was przytomnych patrzę; a Bóg raczył udzielić siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mnie powiedział, których objawiać mi nie wolno; ale to co mi się godzi, to wam powiem bez ogródki: bo anioła rzecz ani szlachcica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może; wszak każdy jest kmieciem przed nim. — Marku, powiedział mi anioł, źle się dzieje z ojczyzną twoją. Nierząd ją zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z poczciwszych rządzić nie chce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną, i będzie to co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się: zawsze ta sama odpowiedź; przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo. Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego; mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj ojczyznę!... Aż płakał, tak się rozczulił: ja z torbą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała. — Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażania życia; siedź

w Warszawie i zajmuj się rządem. Oto wiesz, com wycisnął nakoniec? — Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie P. Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije? — Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił; ale uczciwszy uszy, jakże tu siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani wojewodzina, siedząc w Krystonopolu, myśli że mąż folwarki objeżdża? — Byłem u Sapiehy kanclerza. Nie może! Kocha ojczyznę, ale rządząc, nie można mieć procesorów, a jakże żyć bez konferencji codziennych prawie z jurystami? — A pan Muiszek, marszałek wielki koronny, kocha ojczyznę, ale bała, bała, jak zasiądę się w Warszawie, kto będzie w Dukli dyspozytorów uczył gospodarstwa i co sesji do roboty napędzał? — A pan krakowski? Tego to Panie Boże jedyny! niechno się obmuruję w Białymstoku, to i o ojczyźnie pomyślę. — A książe Sanguszko, wojewoda wołyński? — Mospanie, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje? — Otóż taka wasza miłość ojczyzny, i dla tego tułacie się, żeby odzyskać coście dobrowolnie utracili. Niechże to za naukę wam posłuży nadal i waszym potomkom; płyńcie na desce, kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu. A przynajmniej teraz, zaklinam was w imię Chrystusa, nie ustawajcie w przedsięwzięciach waszych; może wam Bóg pobłogosławi jednomyślnością; a w przeciwnym nawet razie, żadna wasza usilność dla ojczyzny straconą nie będzie. Myślcie w Bogu o ojczyznie, ale tak czyńcie, jakby ona jedynie od was zależała.»

Mówił ów ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Płakaliśmy, a razem pocieszaliśmy się. Myślałem że panowie, których wytknął, rozsierdzą się na niego; ale nie. Owszem każdy z nich wychodzącego uprzejmie powitał i w rękę pocałował, a solenizant na obiad zaprosił, gdzie, jakem się później od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy panowie zdrowie księdza Marka spełnili.

II.

PAN DZIERŻANOWSKI.

Bitym charakterem na wołowej skórze by nie spisał, jak i ile razy Konfederaci barscy popisali się. Gdzie tylko armat nie było, nigdy nam Moskwa placu nie dotrzymała. A ludzi tak zgrabnych jak naówczas, to i teraz nie widać. Między zgrabnymi jakże nie porachować pana Franciszka Dzierżanowskiego, herbu Grzymała, a pułkownika pułku gumbińskiego, u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność: ale tak i życie, bo nie był on z tych, co ich łatwo żywcem dostać. Będąc ja z nim zażyły, ile że on był wielmożnym, mógłbym jego kronikę napisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamojskich, i od nich miał w dożywociu Sułowiec pod Zamościem. Miał kilku synów, którzy dobre wychowanie wziąwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba, brat jego najstarszy był u nas marszałkiem i o nim mawiano, że nawet był podobno gdzieś królem. Ale pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał, i to jak Pan Bóg dał, a kiedy co napisał, bies by się nie doczytał czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu tuza czerwiennego nie chybił. JW. Mniszech, podczaszy W. K., a szef pułku Mirowskich, miał sobie za zabawkę szczególną widzieć go potykającego się w palcaty olejem i kredą namalowanemi; na niego bywało sześciu nasadzał, a on wszystkich sześciu kredą obznaczał, a jemu nigdy nic, co mu też na złe nie wyszło, bo JW. szef poruczeństwo mu w tym pułku kupił. Ale jak tylko Konfederacja barska nastała, on podmówiwszy cały swój szwadron, kasę pułkową zabrawszy, pułkownika swego Larzaka, do którego miał ansę, dom zrabowawszy, z Konfederatami się złączył. Nagradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylność, ge-

neralność zrobiła go pułkownikiem powiatu gumbińskiego, upoważniając do werbowania pułku i wszystkich oficerów fortragowania; a wkrótce pan Franciszek stanął na czele pułku wcale pięknego, który aż do rozwiązania Konfederacji ciągle się popisywał. Co to były za piękne mundury! Czamarki i szarawary błękitne, żółte wyłogi; a sam pułkownik prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pistoletów, szablę u boku, a na plecach sztuciec, z którego bywało jak wystrzeli, Dony jak chrząszcze padają. Nadokuczał on Moskwie! To też mówiono: że Drewicz w imieniu Carowej deklarował, że kto go żywcem przyprowadzi, zostanie gubernatorem petersburgskim, chociaż by był prostym kozakiem; ale on tego nic uważał, i tak się narażał, jakby za jego głowę halerza złamanego nikt nie dał. Demulier (Dumourier) wielce jego i jego pułk cenił, ale mu było przykro, że bez tłumacza nie mógł z nim rozmawiać. Demulier po łacinie gadał jak jezuita, i do nas tym językiem zawsze; ale pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdać. Nadrabiał ci fantanzją, bo mocno to go sromało, że on jeden z ludzi stopniowych między nami, co po łacinie ani słówka; ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod Tyńcem. Demulier miał nad nami komendę, nawet pan Kazimierz Puławski był jemu posłuszny. Owoż tedy wychodzi ordynans, aby nikt pod karą najsroższą nie ważył się po czapstrzyku samopas z obozu oddalać się, a to z powodu, że Moskwa okolice plądrowała, a Dony odosobnionych chwytały. Ale ten ordynans nie był panu Franciszkowi po myśli, bo o półtora mili od Tyńca, w Burzymowie mieszkała pani sędzina Sulejowska z domu Bonerówna, pierwszego ławnika krakowskiego córka; wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo jak wiadomo: civis cracoviensis nobili par, i bogata; pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie, miała sto tysięcy własnego wniosku i porządków mnóstwo. Otóż pan Franciszek poznawszy ją w Krakowie, do jej przyjaźni wzdychał. Stanąwszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się w karczmie u żyda, że wielmożna sędzina tak blizko, niepospolitą poczuł ochotę oferta u nóg jej złożyć, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jej strony; bo jej familja była mu ciągle przeciwna. Raz przy kielichu, gdy panu ławnikowi oświadczał się, prosząc o wsparcie, pan Boner spolitykował, mówiąc: moja córka od siebie zależy będąc wdową, a potem panowie wojskowi żartować lubią. I gdy na usilne naleganie konkurenta zawsze mu jedno, ni to ni owo powtarzał, tak pana Franciszka zniecierpliwił, że mu powiedział: A jużci szabli mojej na łokieć nie zamienię, bom szlachcic całki, a nie przez pół. Tem sobie więcej jeszcze sprawę popsuł; chociaż gdyby się był nie wiedzieć jak w baranią skórę podszył, niczem by nie wskórał, bo familja sędziny miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo

nigdyby nie zezwoliła, ile że pana Franciszka za nałogowego kartownika trzymano. W Krakowie po całych nocach grywał, i tak ślicznie się ograł, że gdyby mu pan Zaręba nie był pożyczył trzysta tynfów, nie miałby o czem na wiosnę wojny rozpoczynać. Otóż tedy pan Dzierżanowski tak pięknie wysunął się nam z obozu do Burzymowa, że oprócz jego Gumbińczyków nikt się ani spostrzegł. Aż tu przedednicm usłyszeli żołnierze strzały. Jego sztuciec ledwo nie jak harmata hałasował; a że ci żołnierze byli z jego komendy, wiedzieli o co rzecz i obudzili pana regimentarza Zarębę, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie: Otóż ten szaławiła i biedy narobił! Obaczysz co to będzie za kłopot. Weźże waszmość dwadzieścia koni z sobą i ratuj go jak możesz. — Ja w czwał z Gumbińczykami; było cicho, ale ledwo godzinęśmy ubiegli, aż tu słychać znowu gęste strzały; i tuż świtać zaczęło, aż tu widzim chmurę Donów. Jak huknę: Nacieraj! Bóg z nami; Kozactwo w nogi, tylko pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między niemi jak furman na wozie. — Panie pułkowniku, jak się masz? — A on na to: — Niech ci Bóg odpłaci, i wam koledzy, otoś mi brat; ale mię djable spisą pocałował, patrz! — W istocie ramię miał skłute i krew się sączyła. Na ziemi trzech kozaków leżało, jeden jeszcze się ruszał. — Dobijcie tego psa, niechaj więcej już nie kąsa! — Tego Gumbińcom dwa razy nie trzeba było powiadać. — Winszuję pułkowniku, trzech położyłeś. — Oho, pójdźno bratku o pół mili dalej, tam czterech leży, oto ich konie; przez tę chudobę omal mnie kaduk nie spiskał. Pokazało się, że gdy wracał późną nocą z Burzymowa do obozu, czterech Donów zrobiło zasadzkę, ale że Kozak większy niż tuz czerwienny, wszystkich czterech położył; mógłby tedy bez szwanku do obozu powrócić. Ale zrobił mu się żal opuścić kozackie konie; zatem dostawszy ich, powiązał ich cuglami do swojego; szczęściem tylko że broń na nowo nabił, ale już wolnym musiał stąpać krokiem ku Tyńcowi, a tak inne Dony mieli czas go doścignąć. Poplątany końmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelał ci wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Żebym nie był przybiegł na ratunek, nie wiem coby się z nim stało, i dla tego silnie mnie polubił. Kiedyśmy już bezpiecznie wracali — Sewerynie, bratku, mówił do mnie, a cóż to będzie ze mną w obozie, żem wylazł pomimo rozkazu? — Pan regimentarz markotny, ale pułkownika kocha. — A on mnie: Mniejsza o regimentarza, bo to szlachcic jak i ja i jak waszmość, porozumieć się łatwo, ale ten utrapiony Niemiec (u niego każdy zagraniczny człowiek był Niemcem), żeby mię nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. Powiedzże mu, że jak ja na nią siądę, niechże pilnuje żebym nie zlazł, bo mu w łeb strzelę jak psu. — A ja jemu: Panie pułkowniku, zaniechaj tego, bo i siebie zgubisz i sprawę oszpecisz. — Skończyło się na mniejszem: bo

jenerał Demulier konie zabrane odebrał, a jego na 10 dni do aresztu zaparł, co mu było i potrzebne, bo dało czas plejzer wygoić. Chciał mnie on zrobić rotmistrzem w swoim pułku, i to mi było do smaku, że i mundur ładny był, i gotowe miałem zasługi; ale ludzie mnie odwiedli, a szczególniej wielmożny Korsak, porucznik Piatyhorców, który opiekował się ze mną i mnie świadczył zawsze. On mi mawiał: Żyj z Dzierżanowskim jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz; on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi że aż zgroza. Już to różnie bywało, ale że wierzył po katolicku, tom świadek, bo i szkaplerz nosił i pacierz mówił: tylko że był stępy do książki, a k'temu na miejscu ustać nie mógł, nadto krótko się modlił, dla tego miano go za heretyka — ale to niesłusznie.

III.

PAN BIELECKI.

Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, co by je dzisiaj miano za żart, to ludzi gorszyły i widocznie kary od Boga ściągały; a teraz już namnożyło się tyle złego, takie paskudztwa, o których dawniej ani słuchu, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać; zdaje się mówić ludziom: «róbcie co chcecie.» A na co Pan Bóg ma widoczne kary zsyłać, kiedy w niego albo wcale nie wierzą, albo wcale nie tak jak potrzeba? Jak kto przeczyta kiedy to, co teraz napiszę, nie będzie temu wierzył, a ja i tysiące ludzi na to patrzali; wreszcie dla wnuków moich to piszę, którym takie starałem się dać wychowanie, że dziada poczciwego za bajarza mieć nie będą. — Oto był u nas już nie młody Konfederat, ale jeszcze czerstwy, nazywał się Bielecki; imienia nie pomnę. Że był dobrym szlachcicem, dowód, iż go tytułowano sędzią grodzkim; że był możnym, świadczą trzydziestu jeźdźców zbrojnych, których aż z Mścisławskiego z sobą przyprowadził; a że był światłym, to powiem, żem na własne uszy słyszał, jak z jenerałem Demulier (Dumourier) po francuzku rozmawiał. Do tego pobożny jak ksiądz i dziwnie łagodnego przystępu; a chociaż obywatel możny i k'temu urzędnik, pokorny jak kwestarz; my wszyscy za niego ubić by się dali; a patrzcie jakich ten obywatel szczególnych doświadczał kolei. Oto był dworzaninem u Augusta wtórego i jego posiadał względy. Pan ten acz wielkich cnót, widno że z pierwiastkowego luterskiego wychowania przyniósł (Boże mu przebacz!) w łono kościoła Bożego nieco skłonności do rozwiązłego życia. Pewnego wojewody żona wpadła mu była w oko, której nazwisko lubo mi wiadome, wymienione nie będzie, gdyż jej prawnuki teraz żyjące, ze wszech miar szanowne, nie radeby, aby o tem wiedziano, iż pochodzą od przodka, któren się nie dobrze pro-

wadził. Powiem tylko że ta pani była urodziwą, rozumną i długi czas nawet cnotliwą; a król coraz silniejsze do niej czując zapały, używał dworzanina swojego Bieleckiego, aby zabiegami swojemi torował mu drogę do cudzej własności; a pan Bielecki jakby nie wiedział, że co Bóg zabrania, z tego król rozgrzeszyć nie może, z wiernością sługi panu pomagał. To się wnęcał do domu wojewody, nigdy przed szlachtą nie zamkniętym; to listy nosił, to nakoniec rozmowami swemi, jakto zwykle wiele na wystawieniu rzeczy zależy, przyczynił się o ile mógł do osłabienia przekonania, i ztąd wielkie złe wynikło. Pan wojewoda, zelant o sławę swoją, jako chrześciańskiemu senatorowi przystoi, zaczął żonę podejrzywać i mieć się na ostrożności. Razu więc jednego, gdy obaczył pana Bieleckiego wychodzącego z pałacu, kazał go schwycić przez hajduków swoich i dopóty mu wytrzęsać odzienie, aż z niego wypadł list wojewodziny do króla. Przeczytawszy go i wiele złego wyśledziwszy, nie zważając iż pan Bielecki się składał, że jest szlachetnie urodzonym i komornikiem królewskim, kazał go zbić na kwaśne jabłko i wpół umarłego z bólu wyrzucić na ulicę, za dziedziniec swojego pałacu; a żonę natychmiast z Warszawy do dóbr swoich wywiózł i tam osadził ją w klasztorze panien zakonnic, fundacji jego domu, w którym to klasztorze i dni swoje w wielkiej pobożności i skrusze zakończyła. Pan Bielecki odszedłszy z bolu, nie mając nawet środka do poszukiwania swej krzywdy, napróżno od króla, pierwszej sprężyny swego nieszczęścia, był pocieszonym i obdarzonym. Tyle doświadczał wzgardy i poniżenia od wszystkich (bo komuż jego wypadek był tajny?), że nie tylko dwór, ale świat nawet był mu w obrzydzeniu, i gdyby nie był natenczas żonaty, do klasztoru byłby wstąpił. Dobry król, litując się nad jego dolą, dawszy mu znaczną królewszczyznę w Mścisławskiem, wyjednał mu, iż go JW. Pociej wojewoda instrumentował sędzią grodzkim tamecznym; a pan Bielecki z majątkiem i znaczeniem gotowem przeniósł się do tego województwa oddalonego, gdzie, albo nie wiedzieć kiedy, albo i wcale się nie dowiedzą, co też to tam komu zdarzyło się w Warszawie. I długo też mu Pan Bóg szczęścił; bo znacznie majątku przyrobił i do niemałej wziętości przyszedł u tamecznych obywateli, co mówi za jego światłem; bo wiadomo że w naszej Litwie, zwłaszcza zapadłej, nie łatwo szlachcie oswoić się z przybyszem. Ale po wielu leciech, jak to zawsze człeku złe na biedę dojrzewa, już nie wiem jaką drogą, aż i tam doszło o wszystkich okolicznościach, które to niegdyś przebył w Warszawie, i rychło się po wszystkich uszach rozeszło i rozgnieździło się po pamięciach, i od niechętnych, na jakich i najlepszemu nie zbywa, do oziębłych, a potem do przyjaciół choć najgorliwszych, tak się wszystko roztrąbiło, że i tu w końcu oczu nie można było pokazać. Ani go na kondesensje zapraszano, ani u niego bywano;

a kiedy na jaki sejmik jako sędzia grodzki przyjeżdżał, to choć nieborak ust nie otworzył, miał się czego nasłuchać od tych, co to sprawy w grodzie przegrywali. To go pytano: gdzie rzemień tańszy, czy w Warszawie, czy w Mścisławie? To mu gadano o rozdziale XIV. artykule 36. statutu litewskiego. Na pochyłe drzewo, jak mówią, i kozy skaczą; dosyć, że widząc pan Bielecki, że między ludźmi poszedł w poniewierkę, i że trudno mu będzie dziatki, których miał dosyć, w przyzwoitych małżeństwach postanowić, a jeszcze trudniej między szlachtą promować, wielce się zasmucił; a nareszcie sęstwo złożywszy, ślubował Panu Bogu, że jak niegdyś książe Radziwiłł Sierotka, grób Pański nawiedzi, tusząc, że za to Zbawiciel zdejmie z niego sromotę. I dobrze się na tę podróż gotował; siła nagromadził pieniędzy, że mógłby za nie ledwie nie drugie tyle dóbr nabyć, ile ich miał, choć miał ich nie mało; i już się zabierał do podróży: a właśnie Konfederacja Barska nastała. Otóż pewien tamecznych stron dominikan, co był i wielki teolog i świętobliwy zakonnik, a któremu mocno pan Bielecki wierzył, zamienił mu ślub w ten sposób: iż mu rozkazał wszelki grosz co nagromadził użyć na uzbrojenie ludzi do Konfederacji i samemu osobą swoją do niej akces uczynić. Zapewnił go, że działając w związku za wiarę i ojczyznę walczącym, takie same zyszcze odpusty, jakby na pielgrzymce. W czem, jak mi się widzi, domnikanin że był natchnionym pokazało się, raz że kilko-, a może kilkonastoletni zamiar w jednej chwili przemienił; powtóre, że go skutek usprawiedliwił. Tak więc pan Bielecki trzydziestu ludzi na dzielnych koniach uzbroiwszy, przyprowadził ich do generalności w Mohilowie nad Dniestrem znajdującej się. A chociaż od młodości będąc to dworakiem, to urzędnikiem, sędziwego doczekał się wieku bez żadnego doświadczenia rycerskich zabaw, ślubował jednak Panu Bogu, że przynajmniej trzy razy osobiście w boju znachodzić się będzie. Jakoż w ciągu naszej Konfederacji trzy razy znachodził się gdzie ciepło, a na każdy raz nosi na sobie niezaprzeczonego świadka. Naprzód był przy Jarosławic zdobyciu, z panem Rudnickim, co się później spaskudził, ale u nas był bardzo dobrym, i tam dostał strzał w nogę; a gdy przyszedł do zdrowia, był z nami pod Lanckoroną, gdzie nam była wielka pociecha, jemu z bolem przymięszana, bo kulą dostał w sustawę od ręki. Gdyby to komu z nas, pewnieby ręka uschła, jeno że on miał ku wszystkiemu sposób: załatawszy ranę na prędce, kolasą na Bielsk się wywiózł, to tam ledwo Niemcy mu doradzili, że odrobinę władzy w ręku zachował. A tak po długiej kuracji, gdy do zdrowia przyszedł, lubo jego ludzie ciągle z nami chodzili, gdzie potrzeba, on pamiętał na ślub swój, że mu jeszcze jednej bitwy do rachunku nie staje. Aż w Częstochowie pod okiem właśnie Najświętszej Panny, uzupełnił, co Panu Bogu przyobiecał; bo gdy nas pan Kazimierz Puławski na wy-

cieczkę wyprawiał, on z nami wyruszył z własnej ochoty, a wystąpił wedle zwyczaju jak do króla na biesiadę. Miał taratatkę ponsową, ze złotemi potrzebami, i pas bity. Pan Puławski, co zawsze skromnie się nosił i tych przepychów w wojnie nie lubił, a był żartobliwym, powiedział mu: Panie sędzio, opamiętaj się waszmość, cały jesteś w złocie jak szczupak w szafranie na wilję; chcesz, widzę, aby cię miano hetmanem całego chrześciaństwa. Idź przebierz się, panie bracie, a nie ucz cudzych kul, kogo najpierwej witać mają. — A on mu na to: Mości starosto dobrodzieju, wszak toć jam nie dzisiaj się urodził. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; jak zechce, znajdzie on mnie, choćbym pod ziemią się schował; a jeżeli nie, to wyjdę bez szwanku i od mędrszych strzelców niż Moskale. — A pan Puławski: Jak książka mówisz, mój sędzio; kiedy tak dobrą masz wiarę, niechże w las pójdzie moja przestroga. Kto robi co potrzeba, niech się nosi wedle woli swojej. — A pokazało się, że każdy z nich był praw: bo dragon mu gębę przestrzelił w oczach naszych, jako pan Puławski ostrzegał, że go łatwo na cel wziąść; ale jak mówił sędzia, bez woli Pana Boga toby się stać nie mogło, o czem ani ja, ani żaden Konfederat barski, ani żaden poczciwy a polski szlachcic wątpić nie może. Otóż pan Bielecki, gdy długo w Częstochowie wylizywał się, opowiadał nam wszystkie swoje zdarzenia, dodając: — Jużem teraz sobie rad, boć wszystko się dopełniło; zgrzeszyłem nogą, chodząc gdzie nie potrzeba; ręką, bom nosił listy ku złemu; a gębą, bo nie do dobregom namawiał: a gdziem zgrzeszył, tam mnie Bóg dotknął, w czem niech mu chwała będzie, a już ja do domu spokojnie wrócę. Jakoż zostawiwszy swoich ludzi i na nich grosz panu Puławskiemu, z jednym pachołkiem puścił się do Mścisławia, z nami czule pożegnawszy się.

Właśnie trafił na sejmik, gdzie podkomorzego wybierano. Kilka było partji i nie mogła szlachta się zgodzić; ale ledwo się zjawił pan Bielecki, Konfederat, jednomyślnie go obrano podkomorzym. A toż nie cud oczywisty! Tu dopiero był u nich w takiej poniewierce, że aż grób Pański chciał nawiedzić, a tu ci sami jego na pierwszy urząd województwa wynoszą; dopiero tułacz, a teraz princeps nobilitatis jaśnie wielmożny, jakim i umarł — a że w wielkiej pobożności, zdaje się, iż o tem nikt wątpić nie będzie.

IV.

KSIĄŻE RADZIWIŁŁ PANIE KOCHANKU.

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny: więcej czterech tysięcy szlachty nas zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danejki, książę wojewoda wileński prowadził pana Michała Rejtena, brata owego sławnego Tadeusza, tak z zacności rodu, jako i z osobistych zasług powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle wybory u nas były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi nowogrodzkiemu, że najmniejszych wpływów w sejmikach województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejś powagi, radzi nie radzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejteny z licznemi swojemi koligatami rej wodzili w partji Radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdwoić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtenów i potomka owego sławnego wojewody smoleńskiego, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie: co nie mało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrów zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby tej krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego pokilkakrotnie zdrowie pito jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym; że ta braci niezgoda wszystkich gorszy; że z tego ciężki grzech mu będzie, a nakoniec, że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszystkie te słowa tyle na nim zrobiły wrażenia, jak garść prochu rzucona o ścianę. Gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do kalsztoru bernardyńskiego na Porcjunkuły, a między nimi znaj-

dowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, to że go ukrzywdził w wypłacie posagu siostry, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć, a nie mozolić się nad dokumentami, to że choć pan Michał zausznikiem nieświezkim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciołach, pan Michał porwał się do szabli: i gdyby bernardyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdę, podczas gdy pana Michała reflektowała szlachta, refektarz zostałby skrawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda nowogrodzki wielką sobie robił nadzieję, i która nieomal przyczyniła się do uczynienia twardym pana Haraburdę. A to był postępek księcia wojewody wileńskiego z wielmożnym Józefatem Tryzną, strukczaszym nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół Radziwiłłowskich oburzył, z czego zręcznie umiała korzystać partja księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z Radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki Tryznianka kiedyś w dom Radziwiłłowski wniosła, a większa część funduszów klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka:

Któż nie przyzna,
Że pan Tryzna
Był mąż świątobliwy. i t. d.

Otóż pan strukczaszy, prócz sumy zastawnej na radziwiłłowskim Kołdyczowie, nic nie posiadał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niej na szerokie wyleźć dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał: Maciek zrobił, Maciek zjadł, a często więcej zjadł jak zrobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo jeślim nie zjadł z nim beczkę soli, to pewnie z pół antała z nim wypiłem jego własnego wina, nie rachując miodu. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się skończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda, nie potrzebowała posagu, aby się w dobrem małżeństwie usadowić, jakoż później za bardzo możnego witebszczanina Syrucia, starostę czuchłowskiego, wyszła: więc poniekąd był wymówionym nasz strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, książe wojewoda wileński, nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myśliwstwem, aby spolować lasy kołdyczowskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu, by

żniwiarzy naglił da roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymawiając, aby natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniecierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich i miał niby powiedzieć wedle ich relacji: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątej klepki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacja zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnąć (ile że pan Mikuć, sekretarz księcia, miał żal do pana Tryzny, z powodu iż konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem). Książe tak mocno to uczuł, że jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka Zdrowaś Marja mowa mu była odjęta, a potem jak zaczął ryczeć, to się lasy kołdyczowskie zatrzęsły; a w niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo gromady panu Tryznie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, nawet z nieludzkością, bo aż lękając się o skórę pan Tryzna, uciekł z tem tylko, co miał na sobie; to jeszcze szczęście, że wielmożna strukczaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska, uczcić błogosławionego Bobolę; zgoła, że piechotą gospodarz Tryzna umknął i aż w okolicy Raców się oparł, a ztamtąd dostawszy podwodę, udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew po księciu o irytacją kontraktu i ekspulsją.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem atentować od księcia, i przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo wiedziałem dobrze że nasza sprawa była brzydką. Ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić: bo przytomny będąc konferencji poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim, chorążym starodubskim, a jeneralnym księcia plenipotentem, że nie wiele mam ufności w prawności naszej; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: Waćpana rzecz atentować i bronić sprawy księcia, a nie jej przyganiać, i za to jesteś płatny. — A tem mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do ziemstwa, a nie do grodu, bo gród nowogródzki był jurysdykcją wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził; a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z grodu, gdyż do niego poszły powodowe; a nakoniec sprawa ekspulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do jurysdykcji grodzkiej należy; i lubom stawał na tem,

że już została z naszej strony podana illacja do trybunału pro determinatione fori, nie zważając na to sąd grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż? — Cieszył się kondemnatą nieborak na bruku osadzony, a książe jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnej kadencji, widząc że nie ma sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu forum, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uzłowski, sędzia grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczyka krajczyna Tryznina, macocha strukczaszego, primo voto była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ książę wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego on nie wypiera się zaszczytu koligacji sobie zarzuconej, więc sądzić nie będzie, i ustąpił z swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w non sunt i kadencja spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dla tego uchylił się, że sędzina chce być na ś. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią w imieniu księcia; ale Bóg świadek, że to była obmowa.

Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książe wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał, tem więcej, że chciał utrzymać p. Michała Rejtena, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem. Zjechał książe w trzydzieści pojazdów do klasztoru bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy. Sam książę stał w celi gwardjana, jako najobszerniejszej; ale w nocy kotowi w niej ledwo przecisnąć się można było; bo oprócz księcia, pokotem leżeli: pan Michał Rejten, Bukowski szatny, ojciec Idzy, co był wielkim egzorcystą (a że książę złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blizko niego spał), i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworytka księcia. Opowiadał nam pan Michał Rejten, że przez dziesięć dni, co trwał sejmik, oka nie zmrużył, takie okropne było chrapanie księcia, ojca Idzego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkanaście fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni co dzień dla księcia dwa woły rżnięto. Książe dwa razy na dzień obiadował: raz ze szlachtą na dziedzińcu z kotła zajadał krupnik i flaki; a potem w refektarzu z magnatami i obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta taki na to krzyczała), a sam nie śmiał otwarcie przed księciem z tem się odezwać, namówił ojca Idzego (z którym książę w łóżku leżąc, przed zaśnięciem co dzień wypytywał o czyszcu, jakie tam są męki i jak z nich najskuteczniej się wywinąć; co mu ojciec Idzy jak umiał, tłumaczył), aby mu przy pomyślnej okoliczności bąknął, by dał się przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego bernardyn, i to co napiszę, jest to co do słowa, co mnie p. Bukowski szatny opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książę odezwał się: Ojcze Idzy, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków; co książę rozkaże? — Czy nie słyszysz waszeć jak moja Nepta warczy? zapewne nieboszczyk Wołodkiewicz mnie nawiedza. — Na co pan Michał Rejtan, przeżegnawszy się: Co też się marzy Waszej książęcej mości? ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma być p. Wołodkowicz? — Milczałbyś, panie kochanku! że umiesz grać w francuzkie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do waści mówię, ale do ojca Idzego. Ojcze Idzy! wszak prawda, że dusze z czyszcca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić? Żeby temu przeczyć, trzeba być księdzem biskupem Massalskim, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest, JO. Książe! bywa to, bywa. — Słyszysz, panie Michale? — Aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. Ojcze Idzy, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! Żebym go mógł wskrzesić, oddałbym wszystko co mam, a sam do was na braciszka bym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia pana, najechałem był po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. P. Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensji, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk pan był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił. Co tu było robić? — A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza (tu słychać było jak książe szlochał). I czy to raz za mnie się poświęcił? — Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że nie długo będziem z sobą, powiedział: Księże Karolu! ty dłużej odemnie żyć będziesz; jak mnie przeżyjesz, pamiętaj o mojej duszy. Otóż tedy partja, którą ten łotr w infule, ten hipokryta Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a w trzy godziny potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno; przysiągłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwego biskupa i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu sakrę zdjąć na pierwszej sośnie za miastem; a potem poje-

chałbym do Rzymu, przeprosić Ojca świętego i ofiarować mu pielgrzymkę do ziemi świętej. Już szedłem ku Wilnowi, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem i wyraźnie mi powiedział: że jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzej na tamtym świecie. Ojcze Idzy, wszak prawda że on dotąd w czyszcu? — A któż to przeniknie sądy boże, książe panie? I sprawiedliwość i miłosierdzie wielkie u niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyszca, albo do piekła — uchowaj nas od tego, jego miłosierdzie. — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on katolikami. On jeszcze za życia nieboszczyka pana trzech popów w Słuszczyznie do unji nawrócił, a czwarty uparty pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacja słucko-toruńska, by ją bies pokąsał, przywileje wytargowała dla dyssydentów; za które ja, jako pierwszy senator prowincji litewskiej, Panu Bogu nie odpowiem, bo z bronią w ręku siedm lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało, nie dał nam szczęścia. To co ja, ojcze Idzy, za spoczynek Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło, aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyznie trupy z dżumy poległe własnemi rękami, na jego intencję, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem dominikanom wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwiów, jałmużn, lamp! to tego i pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak tylko się zbliży, odzywa się do niego jak na grubą zwierzynę, bo jej matkę od niego dostałem w dzień moich imienin. Ojcze Idzy, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odpłaci waszej książęcej mości jego wspaniałość dla nas; za przyczyną najświętszej Panny i ś. Franciszka każdy dar jest Panu Bogu miły; ale im większa ofiara tem skuteczniejsza. Niech książe pan zrobi na intencję nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu; na przykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela. — Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantenbrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica Wiatrówka zdechła z łaski Grzesia psiarza; kazałem go był zabić w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było go ze skóry obedrzeć. A ksiądz Kantenbryng jak mi zaczął prawić antyfony z ojców świętych, a straszyć, a prosić, a kruszyć; a djabli im nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog; to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze złajałem księdza Kantenbrynga; on by rad, żeby

mnie we własnym domu bezkarnie rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują jak jezuity? — Tylko tego przed księdzem Kantenbryngiem nie paplaj: ale szczęście, że u mnie furdyga pusta i na nikogo się nie gniewam. — Jabym się odezwał z czemś przed waszą książęcą mością, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało, ojcze Idzy; wszak to na swoim dziedzińcu i wiory biją, a ja u was w gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać: a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książę pan pozwala tyle śmiałości, to niech wasza książęca mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził? — Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził: mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ta małpa wielkopolska, ten Kaszuba Sułkowski, nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim; ale podrapię ja jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do waszeci, ojcze Idzy, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku, ksiądz Kantenbryng ciągle mi z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię; a pan Leon Borowski mało mi figlów napłatał? a pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? a pan filozof co tu śpi, Michał Rejten, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach? i bobrów wyłowił w Łachwie? a ja się nie odzywam, tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzy, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj bernachu! tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystji katedralnej nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (rozumie się w Litwie), to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencję Wołodkowicza. — Zgoda, książe panie! pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencję nieboszczyka: tylko boję się odezwać, bo nuż książe pan się obrazi? — Mów śmiało, będę milczał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książe pan ośmielasz, to powiem: że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało fury z jego spichrza idą do klasztoru, a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo z głodu by umarł, a to dla tego, że książę pan wypędzić go kazał z zastawy i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan strukczaszy Tryzna. — Tu mu przerwał książę: Co ty się wtrącasz klecho w nieswoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swojem postawię. On, okryty mojemi dobrodziejstwy; on, co prawie darmo Kołdyczów trzymał, odmówił mi ludzi na obławę; sług moich z błotem zmięszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, książe panie; ale niech wasza

książęcia mość przypomni sobie, że codzień mówisz pacierz, a tam stoi: «I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.» — Otóż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a taki nie odpuszczę. — Ależ książę... — Cicho mnie zaraz! poszedłbyś precz bernachu! nie wędź mi głowy! — (tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki). — Wszelki duch Pana Boga chwali! — nagle odezwał się książę. — I ja go chwalę! To ja, książę panie, wychodzę na rozkaz waszej książęcej mości; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszów, troszkę hałasu narobiły. — Proszę waszeci, panie kochanku, nie odchodź z celi, śpij ze mną: bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie, mój księże, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Michałem Rejtenem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy, a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się ojcze Idzy i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniej Tryzna upokorzył? Ale taki z tego nic nie będzie. — Potem wedle relacji pana Bukowskiego nastąpiła cichość, a zaraz potem zwykły koncert księcia, ojca Idzego i Nepty. Ale p. Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył p. strukczaszemu, i p. Michał Rejten, już mieli dla niego dobrą nadzieję, tylko szło o to, aby p. Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił, co nie łatwo było; bo choć podupadły, znał siebie być magnatów koligatem i do naginania się nie był skłonnym.

Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po tej rozmowie, o której pana Tryznę pan Michał Rejten i podobno sam ojciec Idzy uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdułtowski (bo JW. Niezabitowski, podkomorzy, będąc zapozwanym de malo gesto officio przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), po zagajeniu zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa Nowogrodzkiego do obierania marszałka sejmiku, po całym kościele huknęły głosy: JO. księcia wojewodę wileńskiego prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda! zaczęła krzyczeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda przybliżywszy się do koła: Nie ma zgody! Lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić się moim głosem do zaszczycenia województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem jakim jest JO. książę wojewoda: ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnatą będący żadnego urzędu sprawować nie może. — Na to my wszyscy za przykładem pana Rejtena dobyliśmy szabel i bylibyśmy w puch rozbili partję wojewody nowogrodzkiego, ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowny, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: Prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnatę, jaką uzyskał na księ-

ciu wojewodzie! — Na to on: Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił; ale w. Tryzna, nasz strukczaszy, co w tem kole zasiada, otrzymał ją w grodzie. — Pan Michał Rejten rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy: jeżeli kondemnata do w. pana należy, złóż na nią ustępstwo od w. Tryzny, a jeżeli tego nie masz, choć na starość milczeć się naucz! — Wać pan sam milcz, kiedy ci język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co i w. panu ze swego udzielićby mogli. Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby w. chorąży raczył od p. Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć: że wniesienie pana Haraburdy nieprawne, bo pan Tryzna sam wie, co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. — Książę pomiędzy nami stał mocno poruszony i wąsa do góry nakręcał; aż tu w. Tryzna, który jako strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: Mamci wprawdzie kondemnatę na JO. księciu wojewodzie wileńskim i tu onę składam; krwawo czuję się być uciśnionym: ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia poświęcić dobru publicznemu; a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszem dla naszego województwa, jak poruczyć przewództwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi; na boku zostawiając moją krzywdę i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych przewłok dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituję. — Książę wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko: Chociaż żal czuję do w. strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzięczyć. — Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna strukczaszy! — Książę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc solwował sesję do ósmej zrana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta się zebrała. Był i p. strukczaszy i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książę powiedział: Ja pana Józefata kocham; to krew, nie woda, panie kochanku; mego pradziada Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczów natychmiast, a pretensje, jakie mieć może za irytacją kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług ofukał i kazał mi powiedzieć: że mnie piątej klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Naprózno się tłumaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali: musiał pan Tryzna dobyć szabli i bić się zaczęli w naszej przytomności. Panu Tryznie pękła klinga, tak

silnie uderzył po niej książę wojewoda; a pan sędzia pana Tryznę rozbrojonego złożył swoją szablą. Książę odezwał się: Mam zupełną satysfakcję — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem, przyznaj, panie Józefie, że umiem się składać. Potem dawaj pić na zgodę. — Książę był w przecudnym humorze. — Panie Michale, bądź spokojny o pisarję ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partję wojewody nowogrodzkiego rozpędzę. — Książę i pan Tryzna zapisali się na kompromis u pana Białopiotrowicza, iż odtąd tylko sejmikiem byli zajęci.

Szlachta ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było jak między sobą rozprawiali: A co nasz książę, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina, ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił, i bywało zawsze potem powtarzał, prześladując: że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, de noviter reperta piliśmy. Już tam była mięszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książę napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę ją włożył, a podał mu swoją aksamitną. Na to hasło zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić, ale tak, że co moment każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem książę dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał złoty pas, mówiąc: daruję ci durniu: — drugiemu kontusz: masz świnio! — temu szpinkę brylantową: trzymaj ośle! — a innemu żupan: weź kpie! — tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książę czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtena na pisarji utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół:

«Panie kochanku — mówił — widzicie ten mój szkaplerz, ja go w sukcesji noszę po moich antenatach. Lizdejko, mój protoplasta, nosił go wprzódy jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleemu chodził. Szkaplerz jest wielki, bo w nim zaszyta jest unia Litwy z Koroną. Ja kocham naszych braci koroniarzów, panie kochanku, ale nie ma jak nasza Litwa. Ja i w koronie mam kawałek ziemi, ale djabeł

by w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza niż o dojeżdżacza. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U koroniarzów susły to gruba zwierzyna. To panie, jak zaczął mnie prześladować książę biskup wileński, szwagier wojewody nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejten, ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał; to już z rozpaczy chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano, za to że piękne wiersze piszę. Już byłem osiadł na Rusi; ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić panu Jezusowi w Boremlu, on się do mnie odezwał: Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic nie wskórasz, tu szlachectwo śmierdzące. Ostende patrem patris, to wielka filozofja u szlachty tutejszej, nie tak jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka), co od dziadów i pradziadów każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę i kłaniaj się szlachcie nowogrodzkiej odemnie. — A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: Panie! a jak ja powrócę na Litwę, kiedy mnie twój biskup prześladuje! — A on mnie: To nie mój biskup, to hultaj; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj Radziwille na Litwę, a niech mnie . . . . . jeźli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on jak był kpem, tak i będzie kpem. — Otóż panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana i Boga mojego, do was wróciłem, i Pan mój nagrodził moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem o jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi, bo on krew i czeladka Radziwiłłowska, i za moje wiersze dostał biskupstwo smoleńskie.»

A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić a nadstawiać uszy i rozdziawiać gębę, ba! nie tylko nasza, ale i z partji przeciwnej, nawet zaścianki, co samej Woronczy dotykają: można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensa senatorów nowogrodzkich.

Do dziesiątej w nocy tłumy asystowały księciu, pijąc, tańcując po ulicach i śpiewając, że przyjaciele wojewody nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko odbyło się porządnie i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy księcia zawsze na kufie, ale już próżnej, do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał: a stanąwszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, a kazał się zlać wodą. Czem wytrzeźwiwszy się, poszedł do celi, gdzie podkurka zjadłszy i z ojcem Idzym pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny, że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O samej ósmej nazajutrz zebraliśmy się do sejmikowania; a książę zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik temi słowy: «JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mości panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego

objąwszy przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić: dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejten, szambelan JK. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale litewskim i szambelan JK. Mości. Drugi pan Kazimierz Haraburda, starosta wiladymowski. Zatem panowie bracia raczcie oświadczyć, którego z nich życzycie sobie na pisarza ziemskiego. « — Pana Michała Rejtena prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicze, Siemiradzcy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! — odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — pana Rejtena prosimy! — Nie ma zgody! — krzyknęli Jeśmany, Słuszkowie, Kobylińscy — Pana Haraburdę prosimy! — Ale głosy były nierównie słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy książę, powiedział: Bywał zwyczaj w naszem województwie: unanimitate wszystko się robiło, ale nemini vox deneganda; zatem zapraszam panów braci do wotowania. Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partji, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła i wyjechał na wieś, nie bez żalu na JW. wojewodę nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wojewoda instrumentował go sędzią grodzkim. Lepszy rydz jak nic, i tem go ukoił — a pan Michał Rejten został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik; ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku: więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie księcia wojewody, poszło pod sądy kompromisarskie; a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator województwa.

V.

KSIĄDZ MAREK.

Co też to się dzieje na świecie! Już i cierpliwości nie staje, patrzeć na czyny ludzkie, a słyszeć ich gadania. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla jego praw! jakby jego nauka była tylko dowcipnym wymysłem, bynajmniej nie obowiązującym. Oj! rozumni ludzie, rozumni ludzie! ciężko Panu Bogu odpowiecie, że tak świetne dary, coście otrzymali z jego łaski, naprzeciw niemu obracacie, gorsząc tyle półgłówków, którzy przez was się bałamucą tylko; a najczęściej z obawy, by za głupców nie uchodzić, wolą potakiwać waszej lekkomyślności, niż się trzymać tego, czego ich wiara nauczyła i co ludzie istotnie wielcy i rozumni miłowali, że wszystko zań gotowi byli poświęcać.

Toć to szaleńców, co by istotności Bogu zaprzeczali, nie wiele; ale mnóstwo takich między tymi niby mędrcami, co lubo dowodzą jego bytu, tak mu działalność i potęgę okrawują, że na jedno wychodzi, jakby, mówili, iż jego nie ma.

Wedle nich cuda są urojenia ciemnoty. Bóg raz porządek ustawiwszy, tego nie odmieni; módl się sto razy na dzień, czego swoim rozumem i pracą nie dostaniesz, tego nie wymodlisz. Święci, to byli poczciwi ludzie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wyobrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznali, ale te ich dzieje przed rozsądkiem zniknąć muszą. Obrządki, sakramenta, są to mądre i zbawienne ustawy dla gminu, które człowiek światły szanować powinien, i nic więcej! Tak plotą o rządach Boga, jakby przy nim była rada nieustająca, w którejby oni zasiadali.

Słyszałem ja to nieraz, ale na mnie żadnego wrażenia nie robiło. Człowiek poczciwy, a do tego szlachcic, czyżbym już tyle dał się owładać, bym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle podań, tylu mądrych a cudnych mężów, tyle cnót nadzwyczajnych, tyle niewinnej krwi na świecie utwierdziło? Oto bym zasłużył, by mnie do czubków zaparto.

W czasie Konfederacji barskiej, pan August Sielnicki, wojewodzic podlaski, co był wiernym ojczyznie obywatelem, a naszym kolegą, ale któremu podróże po zagranicznych krajach oczmuciły były rozum, że bez potrzeby wszystko nim świdrzył: bywało po swojemu chce nam wszystko tłumaczyć; nieraz uszy sobie zatykamy, tak nam dokuczy. Czasem też i obrywał za swoje. Ofuknął go porządnie za takowe gadania JW. Krasiński, marszałek jeneralnej Konfederacji: «A co to w. p. za prorok — powiedział mu raz, abyś nowej wiary nauczał? My się naszej trzymamy i za nią bijemy, a jeśli w. pan jej nie rad, to wracaj do Poniatowskiego; tam znajdziesz dość farmazonów i przechrztów, co ci potakiwać będą.» A i ów pan Sielnicki też te swoje niedorzeczy plótł więcej, aby tem za rozumnego uchodził, niż z wewnętrznego przeświadczenia; o tem się przekonałem. On to zaczepiał księdza Marka, który go z wielką cierpliwością zbijał, ale nakoniec i cierpliwości mu nie stało, zawsze jedno i jedno odpierać; ile w każdej rzeczy świadomemu trudna sprawa wlać się w certament z takim, który tylko coś nachwytał. Razu jednego wzywał go na dysputę wedle swego zwyczaju i dowodził mu, że tylko w Boga wierzy, a więcej w nic. Ksiądz Marek tłómaczył mu z początku, że tego nie dość, ale widząc go upartym, zapytał raptem, czy dawno się spowiadał? Coś mu na to odpowiedział wojewodzic, ni siak ni tak, a ksiądz Marek jemu: «Jutro rano przyjdziesz do kościoła, a w. pana wyspowiadam, a teraz idź do siebie, aby się na jutro przygotować; to lepiej niż fatałaszkami trąbić w uszy tym, co te rzeczy lepiej od w. pana rozumieją.» Zmięszał się wojewodzic; my byliśmy ciekawi co z tego będzie. Poszliśmy z rana do kościoła i zastaliśmy go przy konfesjonale spowiadającym się ks. Markowi. Nie rozpierał się z nim, ale bił się w piersi, a jaki z niego zdawał się bezbożnik! Czy to wszystkiemu wierzyć, co kto sobie mówi? Dobrze że trafił na świętego męża, co go na drogę zwrócił, ale czy jest roztropnie, aby dla dogodzenia językowi żartować około zbawienia? Co do mnie, gdyby nie tyle innych gruntownych pobudek, samo patrzanie na to, co zrobił ksiądz Marek, byłoby mnie przekonało, że są ludzie, którym Bóg użycza siły nadzwyczajnej i cuda robią. To co opisywać będę, wszystkim Konfederatom Barskim było wiadomem, i teraz wiele jest jeszcze takich, co to słyszeli od ojców swoich, naocznych świadków. Już w tem był cudownym mężem, że najdumniejszych

panów i najburzliwszą szlachtę tak był radą swoją zhołdował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przerywała; a co dziwniejsza, że wszystkich w wytrwałości utrzymywał, bynajmniej płonnych nadziei nie robiąc. Owszem sam słyszałem jak mawiał: że Pan Bóg nie da nam szczęścia, że wielkie klęski spadną na ojczyznę, ale że trzeba swoją powinność zrobić. Nie wielka to rzecz, dodawał, iść za sprawą pomyślną; któż z wiatrem nie popłynie? Ale kto się poświęca za sprawę świętą, choć nieszczęśliwą, tego Pan Bóg kocha, a usiłowania nie przepadną, bo on je pobłogosławi. «Człowiecze! — kazał on po odebraniu wiadomości o klęsce stołowieckiej, kiedy wielu naszych już stygnąć zaczęło — człowiecze! bez ciebie Pan Bóg cię stworzył, a bez ciebie nie zbawi. Toż samo z ojczyzną. A wiele to świętych, co żywot swój na pokucie trawili, oprócz Boga nic znać nie chcieli, a spokoju znaleźć nie mogli i oschłości wewnętrznej Bóg niczem nie raczył odwilżać? A czyż oni wtedy mówili: Nie ma ratunku, wszelka nasza praca daremna; wolimy się z czartem pogodzić. Nie, nie, bracia moi! jeszcze więcej podejmowali tych na pozór bezowocnych trudów, i Pan Bóg w porze przez siebie zamierzonej sowicie wszystko nagrodził. Toż i z ojczyzną! Niech jej syny dla niej znoszą przeciwności, niech pracują a pracują, nie zrażając się, że pociechy Bóg nie daje, aby się z czartem nie godzili; Pan Bóg znajdzie czas na wszystko. A powiedzieć, że ofiara czysta za ojczyznę zrobiona, u niego nic nie waży, jest to równe bluźnierstwo, jakby twierdzić, że jego nie ma.» I takiemi słowami rozżarzył gasnący już związek.

Razu jednego miał kazanie, nie pamiętam w jakiej okoliczności, w którem mówił: «Ojcowie, ledwo kęsa sobie nie odejmujecie, aby dzieciom i wnukom dostatków rozszerzać; ani śmiem wam to uganiać, bo i bogactwo jest darem Bożym; byle uczciwie, zbierajcie dla potomków, a godziwe w tym celu prace Bóg pobłogosławi. Miejcie podobną cierpliwość i w ważniejszych rzeczach. Cieszycie się nadzieją, że dzieci i wnuki dopiero korzystać będą z usilności waszych; cieszcie się więc, że choć trudy i klęski znosicie teraz, wasi potomkowie będą wolnymi; bo bez ojczyzny, bez wolności, na co im by się przydały dostatki? Nie jest bogatym, kto posiada to, co może mu być wydartem lada chwila przemocą.»

Staliśmy obozem pod Jędrychowem, gdzie mieszkał JW. Ankwicz, kasztelan sandecki, pan godny i nam sprzyjający. Pan Bóg nie pobłogosławił go w synie: on w jego ślady nie wstępował; ale pokój umarłym. Otóż ten zasłużony senator starszyznę naszą zaprosił na wielki obiad do swojego zamku, a dla nas niższych na dziedzińcu były zastawione stoły, bo wszystkim nie

było sposobu pomieścić się razem. Cieszyliśmy się w Bogu; a w sali za stołem siedział między panami ks. Marek, o którym wiedział JW. kasztelan, co to był za człowiek. Spełniano rozmaite zdrowia wodzów dobrej sprawy; po każdem zdrowiu wiwatówki słyszeć się dawały, aż ksiądz Marek powstawszy a nalawszy kielich wina: «JJ. WW. panowie, odezwał się, pozwólcie mnie wnieść jedno zdrowie», i zaprosił ich z sobą na ganek; tam podniósłszy oczy do góry, chwil kilka zostawał jakby w jakiem zachwyceniu, a potem: «Chwała wieczna przenajświętszej Trójcy!», i spełniwszy kielich, przeżegnał nim chmurkę nad nami wiszącą. Natychmiast jak zaczęło błyskać a grzmieć, raz po raz siedem razy piorun uderzył, że aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go, aby dał pokój, a wyznając iż się mocno przelękli. Ksiądz Marek na to: «Nie bójcie się, moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze», i przeżegnawszy chmurę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda. To się działo w oczach naszych.

A pod Rzeszowem jeszcze lepiej mu się udało. Nasz obóz przytykał Rozwadowa. Moskwa pokusiła się nas z niego wyparować, i była o to przeprawa, ale my ją porządnie wytłukli, że aż ze wstydem musiała się cofać do swoich szańców pod Przeworskiem; więcej stu ludzi zabraliśmy w niewolę, nie licząc cośmy nabili. Ksiądz Marek na koniu, a zamiast szabli krzyż w ręku trzymając, pokąd potyczka trwała, wszędzie się znajdował i kilka razy był Dońcami obskoczony. On był dla nich łakomą zdobyczą, gdyż wiedzieli co to było z niego, że on dla nas lepszy niż sto armat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, ledwo nie sam p. Kazimierz Puławski, uciekali przed nimi, a każdy inną stroną, nie wiem jeszcze za którym prędzejby poszli w pogoń; jeno że jako lud niewierny, nie znali się na jego świątobliwości, ale myśleli, że on sobie czarta zhołdował, a ten za jego rozkazem sprawiał te wielkie dziwy, na które patrzali. Obskoczyli go, my też dzielnie jego bronili, a on nam: «Nie uważajcie na mnie, moje dzieci, a swoje róbcie; oni mnie rady dziś nie dadzą.» My go posłuchali, a jak takiego nie słuchać? — I to nam posłużyło, bo wielu z nich za nim się cietrzewiło, a my ich dusili jak swoich. Co natrą na księdza, by go na spisy porwać, to spisy powietrze kolą mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha, że dońce ze złości aż od rozumu odchodzą; a na końcu, widząc że lubo bezbronny, ani żelazo ani ołów jemu nie szkodzi, przecież nic złego imże samym się nie robi, dawaj próbować rękoma go porwać, ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam, jako zwyczajnie kapłan, po łacinie siedział i zresztą nie uciekał. Ale co

który się przybliży, to jak go swoim krzyżem przeżegna, kozak na ziemię bęc jak długi, a koń jego w cwał, nie nazad, ale do naszych — i tak kilkunastu położył, że każdy lubo bez szwanku wstał, ale utracił konia. Dopiero kozacy zaczęli co prędzej uciekać do swoich i krzyczeć, żegnając się po swojemu: Czort Lachów broni! — a my za nimi, że gdyby nie ich przeklęte armaty, obóz byłby się nam dostał.

Ale nie na tem koniec. My ze sławą i zdobyczą wrócili do naszych. Pan Kazimierz Puławski kazał otrąbić capstrzyk, po którym już nikomu nie było wolno wyjść z obozu, i sam poszedł do swojego namiotu z panem Goreckim, co jako oboźny był od niego nieodstępny. Zabierał się do wczasu, aż ks. Marek brewiarz swój przy ognisku obozowym odprawiwszy, poszedł do namiotu naszego wodza, a zastawszy go już leżącego; «Przepraszam pana starostę dobrodzieja, że tak późno przychodzę mu dokuczać, ale go mam o wielką łaskę prosić.» — Mów księże, co mamy i co mojem, jest na twoje rozkazy. — «Proszę mnie pozwolić wyjść z obozu.» — A dokąd myślisz się udać? — «Zaraz trzeba mnie być w obozie moskiewskim.» — W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, czy żartujesz księże! a jakiż tam mieć możesz interes? — «Wielki interes, panie starosto, bo Pan Bóg mnie tam iść kazał; ale ani z klasztoru bez woli przeora, ani z obozu bez woli naczelnika wychodzić nie pozwala. Pan Bóg dopiero mnie objawił, że we wczorajszej potyczce jeden ich pułkownik śmiertelną ranę odebrał i przededniem skończy. On z naszej wiary, a chociaż między nimi się rozpaskudził, Bóg łaskawy pozwolił mu pragnąć księdza. Trzeba mi go na śmierć dysponować.» — Mój księże, ty lepiej znasz swoją rzecz niż ja, ale pozwól sobie tylko powiedzieć, że blizko trzech mil do obozu; jeśli ma przededniem umrzeć, byś i jak leciał, w porę nie trafisz; trupowi nie pomożesz, a wpadniesz w ręce, co ciebie umęczą; a jak moi spostrzegą, że ciebie nie ma, to ja rady nie dam. Czart porwij Moskala, a wolisz się wyspać. — «A nie godzi się tak mówić, panie starosto. Pan Jezus dał się umęczyć za tych łotrów jak i za nas. A że czasu mało, to pokój dobry. Kiedy Bóg każe mnie tam iść ze sobą, poradzi bym w porę trafił; a ja dla tego jutro będę miał mszę świętą w naszym obozie.» — Ale czy tylko powrócisz! — «Na którą godzinę pan starosta każesz wrócić — wrócę. A kiedym to ja panu był nieposłuszny?» — Kiedy tak, każę ci księże przed ósmą z rana powrót twój mnie zameldować. Ruszaj więc z Bogiem, dokąd on ciebie poprowadzi: ale pamiętaj, że mnie w największej niespokojności zostawiasz. Weźże przynajmniej jakiego mojego konia, bo z twoim podjezdkiem nie daleko zajedziesz. — «Ja piechotą trafię, byle pan mnie kazał przeprowadzić za przednie czaty, aby mnie nikt nie zatrzymał; bo tu tylko pan masz prawo rozkazy

dawać.» — «Panie Januszu!» obrócił się pan Puławski do pana Goreckiego, przytomnego tej rozmowie, «każ księdza Marka przeprowadzić po za obóz.» — Ale pan Janusz, co na nikogo nie zdawał, sam go poprowadził, by przytem jeszcze się przekonać, czy straż swojej powinności dopełnia. A ksiądz Marek ostatniego szyldwacha przeszedłszy, pożegnał godnego przewodnika, i że było ciemno jak w worku, natychmiast zniknął z przed jego oczów.

Jak się on tam dostał, to tylko jemu i Panu Bogu wiadomo, dość, że chociaż w obozie nieprzyjacielskim były straże, przychodzący nawiedzać umierającego pułkownika, z wielkiem podziwieniem zastali księdza przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i skruchą; a pomimowolnem uszanowaniem przejęci, stali przy wnijściu namiotu, aby im nie przeszkadzać. Tak ksiądz Marek wedle woli Pana Boga, którego z sobą przyniósł, ocalił choremu duszę, opatrzył go sakramentami i nie opuścił pokąd ducha nie oddał, co rychło nastąpiło po przyjęciu najświętszej tajemnicy. Dopiero Moskale, co namiot otaczali, do niego — bo go poznano; ile że tam byli tacy, co go dnia wczorajszego widzieli na koniu; tacy nawet, których przeżegnaniem z koni pozsadzał; a oprócz tego imię księdza Marka było głośne między nimi. — «A to ty, co czartów na nas zwabiasz? Obaczym, czy oni ciebie z rąk naszych wyrwą!» I zbliżali się do niego, z wielką jednak obawą; ale że nie znikał im z oczu, a żadnemu nic złego się nie stawało, ośmielili się i wzięli go w swoje ręce. Oto była pociecha, że im się udało! «Przecież — mówili, nie zawsze czart tobie dopisuje. Wielki Bóg ruski starszy czynem. W Sybirze dowiesz się, jaka nagroda tym, co kule i spisy carowej zamawiają.» — A radość była w całym obozie, że takiego pojmali brańca. Wyprawiono go zaraz do Lwowa, gdzie był książę Repnin, związali mu nogi i ręce i posadzili na wozie, między dwoma sotnikami dońskiemi, jakich znaleźli najdoświadczeńszych, a pięćdziesiąt koni otaczało wóz, żeby go nikt widzieć nie mógł, i by go po drodze nie odbito, choć między Lwowem a Przeworskiem żadnego z naszych nie było — ale strach ma wielkie oczy. Jadą więc, ksiądz Marek nie był rad rozmawiać z oprawcami, a oni ciągle gabali go: że była gadka między Moskalami, że jak się zamyśli, z czartem rozmawia i w ptaszka umie się przerzucić: ile razy się zamyślał, szamotali go sotnicy, aby im nie uleciał i ciągle go ściskali rączyskami, że aż sińców podostawał.

Jadą tedy do Lwowa, jadą, aż ledwo siódma wybiła, i komenda i wóz wjeżdżają — gdzie? — może do Lwowa? — wcale nie — ale prosto do naszego obozu, gdzie dnia tego straż trzymali ludzie pana Franciszka Dzierżanowskiego. Ko-

zacy dopiero się opamiętali, kiedy sam pułkownik przybliżył się witać księdza i krzyknął głosem piorunującym, pokazując na sotników: Ściągnąć mi natychmiast tych łotrów z wozu! A kozacy, co na koniu siedzieli, nazad w nogi. Pułkownik, co nigdy ze swoim sztućcem się nie rozstawał, dał ognia, ale spudłował; kazał za nimi w pogoń, ale nim się nasi zebrali, dońce z przed oczu zniknęli, wicher chybaby ich dognał; a sotników kazał odprowadzić do pana Puławskiego, który sam przybiegł na hałas strzału, by się dowiedzieć, co to jest, i my za nim. Tam dowiedzieliśmy się o wszystkiem i obaczyliśmy sotników powiązanych a pomięszanych, i w lewo i w prawo obłąkanym wzrokiem obracających, że do zwierza byli podobniejsi niż do ludzi. Ksiądz Marek do Puławskiego:

«Proszę pana starosty kazać rozwiązać moich przewodników i swobodnie ich puścić: oni na moją wdzięczność zasługują; wszakże oni mnie tu przywieźli.» — A że nikt u nas księdzu Markowi się nie opierał, pan starosta kazał ich puścić, z wielkim żalem pułkownika Dzierżanowskiego, co koniecznie przekładał: że to byli brańcy jego ludzi, zatem że do niego należą. Ale z panem Kazimierzem Puławskim krótka sprawa; puszczono ich na wolność wedle woli księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając go, iż ważyli się porywać na cudotworcę. A potem ze łzami poczęli go błagać, aby im czapkę podarował, że oni ją między siebie podzielą, a tem się zasłonią od kary, która na nich czeka w ich obozie, za to że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się oprzeć ksiądz Marek i oddał im co żądali; ale jak tylko odszedł, by się do mszy gotować, pan Franciszek Dzierzanowski czapeczkę kazał im odebrać. — «A co to — mówił, my na siebie mamy broń oddawać tym hultajom?» Odebrał także raport przy nich będący do księcia Repnina, ale ich samych puścił, jako na to miał rozkaz. Jakeśmy się później dowiedzieli, i sotników i całą komendę cały dzień kijami bito w ich obozie, i na tem się skończyło. A jakie dziwolągi były w tym raporcie, który będący z nami bazyljan dla nas przetłomaczył! Nie do uwierzenia, z jaką ciemnotą i barbarzyństwem mieliśmy do roboty.

Taki to był człowiek ksiądz Marek, którego proroctwa dotąd między ludźmi krążą, a którego imię tak jest związane z naszą barską Konfederacją, że kto sumienny i świadomy, a będzie pisać o jednej, musi wspomnieć o drugim. — Znajdą się tacy, co to słysząc, ramionami ruszą, ubolewać będą, żeśmy śmieli takowe rzeczy powtarzać. Czego ludzie nie zaprzeczą? Ale mniejsza z tem: trudno nie wierzyć temu, na co się patrzało, nie samopas, nie w śnie, ani w go-

rączce, ale przy tylu świadkach na jawie, przy zdrowiu dobrem, a umyśle przytomnym. Mało dbam o zdania tych niby mędrków, a między nami mówiąc, lituję się nad nimi; a nie przestanę błogosławić Pana nad pany, co przez sługę swojego Marka tak wielkie działał rzeczy.

VI.

PAN OGIŃSKI.

Za dawnych czasów szlachcic z cierpliwością i statkiem mógł zawsze sobie kawałek chleba zapewnić. Służba po pańskich dworach krzywdy nie robiła: pan był razem opiekunem sługi; a jeżeli jak ojciec karał, to i jak ojciec kierował i o losie pamiętał. Ale nie każdemu dostać się można było do pańskiego dworu: trzeba było mieć zasługi ojca lub krewnych za sobą, albo jakichś dobrodziejów, coby się chcieli wstawić. Co do mnie, Opatrzność mną kierowała. Bo cóż mówiło za mną? Ojciec mnie odumarł w piątym roku, a gdyby i żył, coby mi pomógł szlachcic z zaścianku, spokojny, co kawałka roli pilnował: gdzie prostaczkowi docisnąć się do pana! Moja matka poszła powtórnie za mąż, ojczym nie bardzo był rad trzymać mię w domu, będąc ubogim, a własnych doczekawszy się dziatek. Ale Pan Bóg sieroty nie opuszcza. Miałem wuja woźnego, on miał dworek i ogród w Nowogródku; a chociaż miał dwoje dzieci, jednak zlitował się nademną i zabrał mnie z zaścianku do Nowogródka, kiedy siedm lat mi się skończyło. To ja potem wyszedłszy jakoś na człowieka, jego dzieciom choć w części przynajmniej wywiązałem się z tego, com był winien ich ojcu; a moją niewielką pomoc Pan Bóg tak pobłogosławił, że wnuki mojego wuja kłaniają się ludziom z grzeczności i z serca, a nie z potrzeby. Wuj żył z woźniowstwa i co dzień jaki tynf kapał, a czasem i czerwony złoty w domu się pokazał. Wujenka studentów trzymała. Ja, to buty dyrektorom czyszcząc, to w kościele z bractwem śpiewając, to w ogrodzie pieląc, z małego do pracy nawykłem, co mnie potem bardzo posłużyło. Dyrektor u nas z studentami mieszkał, a sam był studentem w czwartej klasie. Wyuczył on mnie czytać i pisać, tak że księża jezuici przyjęli mię byli wprost do infimy, nie przechodząc proformy.

Uczyłem się najprzód z książki pana dyrektora, ale potem wujenka kupiła mi Alwara i już swobodnie uczyłem się ze swego i gorliwie; bo codzień mnie wuj mówił: Sewerynku, ucz się, ty nie masz nad czem próżnować. Pókiś mały, ja ci daję banicz i opończę, ale jak wyrośniesz, czego nie wypracujesz, chyba wyżebrzesz. — To ja tak się boję, aby dziadem kościelnym nie zostać, że uczę się a uczę Alwara na pamięć, aż płaczę, tak, że przed wakacjami na gramatykę uzyskałem promocję. Później nasz dyrektor wstąpił do zakonu, a ja na jego miejscu dyrektorem zostałem i brałem po trzydzieści tynfów na kwartał. Wkrótce z własnej pracy przyszedłem do kontusika grodyturowego, dymowego żupanika i pasa półjedwabnego, a pałasz po ojcu oddał mi wuj, że jakoś w niedzielę można było uczciwie pokazać się między ludźmi. I wujaszkowi chleba już darmo nie jadłem, bo przepisywałem mu relacje pozwów, przez co zawczasu przywykłem do prawa; a że z retoryki do palestry nie poszedłem, to dla tego, że następne wydarzenie na inny świat mnie zaniosło.

Jezuici w Nowogródku oddawna byli zaprowadzili sodalisostwo Marji; byłem i ja sodalisem i do dziś dnia odprawiam pacierze z pallacium. Po śmierci księcia Radziwiłła, ordynata kleckiego a trockiego kasztelana, prefektem kongregacji został JW. Ogiński, wojewoda witebski, a ksiądz rektor w nagrodę, żem pracował i zasługiwał się profesorom, mianował mnie marszałkiem kongregacji; bo nas było dwóch marszałków: jeden z konwiktu, a drugi z stancyjnych. Nasz obowiązek był nosić laski przed prefektem i stać przy nim w czasie nabożeństwa. Kiedy JW. wojewoda przybył do Nowogródka w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, z wielką solennością oddali mu OO. jezuici prefekturę kongregacji. Ja jako marszałek, wystąpiłem do niego z mową łacińską, którą sam ułożyłem; bo trochę tylko ją poprawił ksiądz Narwojsz, profesor retoryki, a nauczywszy się jej na pamięć, wymówiłem ją śmiało i z dobrą (jak ludzie mówili) deklamacją, tak że zaraz wpadłem w oko JW. wojewodzie. Wypytał się o mnie księdza rektora, który, jak się pokazało, dobrze mnie przed nim wystawił. Potem po nabożeństwie kazał mi przyjść do siebie, wybadywał co umiem, i kazał mi pisać, aby się dowiedział, czy dobrą mam rękę. Napisałem mu kilka wierszy Kochanowskiego, a niżej po łacinie, że JW. wojewodzie było na imię Bogusław, dodałem z własnego konceptu: Ingentem Boguslao defero cultum, a me minimo excelsus tibi honor. To mu się tak podobało, że posłał po mojego wuja i powiedział mu, że chce mnie umieścić w swoim dworze. Na te słowa i mój wuj i ja padliśmy mu do nóg, i zaraz, już za pozwoleniem mojego pana, poszedłem z wujem zabierać moją mizerję i pożegnać się z wujenką. Nie obeszło się to bez łez, szczególnie z mojej strony, bo dwa razy roz-

płakałem się: raz z czułości, drugi raz z bólu. Wujaszek dając mi błogosławieństwo i cztery czerwone złote w podarunku, powiedział te słowa: Sewerynku, staraj się o trzy łaski: popierwsze o łaskę boską, powtóre o łaskę pańską, potrzecie o łaskę ludzką. Wszystkie moje opiekuńskie prawa zlewam na JW. wojewodę, pana twojego, i abyś służąc jemu nie zapominał, jaką jest władza opiekuńska, ostatni raz jej użyję. — Kazał mi się położyć i trzydzieści batogów mi odliczył, których nigdy nie zapomnę, tak szczerze były dane. Dobrze tedy zapłakany wróciłem do klasztoru, gdzie stał JW. wojewoda, który widząc łzy, miał je za dowód czułego serca, chociaż one nie były jedynie z czułości.

Rozkazał wojewoda podróżnemu koniuszemu, aby dał mnie konia, na którym kazał mi jechać przy swojej karecie. Lubo oprócz wujowskich dwóch podjezdków, co je czasem bywało pławić wodzę, nigdy nie zdarzało mi się siedzieć na koniu, zwłaszcza porządnym; jakoś ze krwi polskiej dobrze mi się udało. Bo kiedy wyjechawszy już, o ćwierć mili za miastem opatrzył się JW. wojewoda, że okulary zapomniał w klasztorze; zawróciłem konia, wypuściłem go ku miastu, piorunem stanąłem na dziedzińcu klasztornym, szkodę odszukałem, zatrzymałem się nawet przez pół Zdrowaś Marja pod ratuszem dla kupienia obwarzanków i wróciłem do pana, okulary w ręku trzymając; a pan za to darował mi tego samego konia, na którym miałem szczęście pierwszą posługę mu zrobić. Przybywszy do Słonima, gdzie często JW. wojewoda jako starosta słonimski przesiadywał, kazał zawołać p. Szukiewicza, marszałka dworu swego (co go naówczas tytułowano łowczym wendeńskim, a który umarł podstarostą słonimskim), oddał mnie pod jego dozór jako pokojowego, a razem oświadczył, że w jego prywatnej kancelarji pracować będę. Pan łowczy Szukiewicz był starożytny szlachcic i miał dwa folwarki swoje dziedziczne w Słonimskiem; był powiernikiem pana, który go często nawet do publicznych używał interesów, jako męża światłego i sumiennego, a liczny dwór on w wielkim rygorze umiał utrzymać. Naznaczono mi lafy po trzysta tynfów na rok, obrok na jednego konia, stancję z dwoma innymi pokojowcami, obywatelskiemi synami, i miejsce u stołu marszałkowskiego. Był zwyczaj u dworu, że przyjętego szlachcica na pokojowego, marszałek oporządzał w mundur przyjacielski domu Ogińskich: kontusz z sajety perłowej, żupan atłasowy zielony, pas takiż jedwabny z kwiateczkami i frenzlami złotemi, czapka zielona z kasztanowatym barankiem i czerwone buty. W tym stroju trzeba być zawsze na pokojach, a ten ubiór nadal utrzymać ze swojego. Ale na wstępie musiałem oblać ów mój mundur traktamentem dworzan i pokojowych, tak, że ze czterech czerwonych złotych, co mi wuj dał, zaraz trzy poszło.

Poznałem więc z bliska dwór magnacki i prędko się służby nauczyłem, a między dworzanami i pokojowymi będąc najuboższym, bo oni wszyscy byli obywatelskiemi dziećmi, niektórzy zaś i sami obywatelami, zasługiwałem się każdemu i uzyskałem łaskę ludzką, zaczynając od p. łowczego wendeńskiego, który często sypał plagi na kobiercu moim kolegom, a na mnie się nigdy ani skrzywił. Nawet lubo jako ojciec dzieciom był oszczędnym., darował mnie pas lity słucki, którego i senator nie powstydziłby się nosić. A to za to, że razu jednego będąc ż nim w Stołowicach na kiermaszu dla kupna sukien na liberją dworską, gdy jeden towarzysz pancerny chorągwi JW. księcia Sapiehy, wojewodzica trockiego, stojący tam na konsystencji, przyczepił się do niego i zaczął w mojej przytomności szukać z nim okazji, ująłem się za moim zwierzchnikiem. Zacząłem był od perswazji, ale on zapamiętały w zuchwalstwie, nie poprzestał swego i jeszcze natarczywiej lazł mu w oczy. Ja, lubo towarzysz pancernego znaku więcej niż pokojowy, żem znał siebie szlachcicem, choć chudym pachołkiem, a do tego czułem, że trzymając się wielkiej klamki, miałem plecy za sobą — dalej do szabli na gołe łby! Noszę od niego pamiątkę na twarzy, ale i on porządnie dostał po ramieniu. Pan łowczy zawsze miał na uwadze, żem jego sławę zasłonił, a tak i sam guza oberwałem: dobrze mię za to wystawił przed panem. Zjednało to mi wziętość i u moich kolegów; widząc bowiem mię potulnym a pracującego piórem, myśleli długo, że szablę miałem tylko dla ozdoby, ile że postanowiwszy sobie nigdy u dworu burdy nie robić, częstom przytyczki od nich cierpliwie znosił; ale kiedy gruchnęło, że pancernikowi dać radę, nie było to dla mnie porwać się z motyką na słońce, zacząłem być u nich w poważaniu, jako człowiek spokojny z przekonania, a nie z bojaźni.

Tak tedy pracując pod ręką JW. wojewody, a nie mając nieżyczliwych przeciw sobie, przyszedłem do tego, że chociaż młody, pozyskałem zaufanie u mego pana, i gdyby nie był umarł w początkach Konfederacji barskiej, byłbym może wyszedł na jaśnie wielmożnego. Co dzień modlę się za duszę mojego pierwszego pana, bo wiem co myślał dla mnie zrobić; a to nadewszystko jemu winienem, żem ojczyznie służył. Pamięć pierwszej dla niej usługi nigdy nie przestanie pieścić mej duszy, i niech ta moja relacja, zajmując kiedyś wnuków moich, rozżarzy w ich sercu tę miłość kraju, którą do dnia dzisiejszego pałać ani na chwilę nie przestałem.

Po śmierci Augusta III., mój pan, jak wszyscy prawie panowie i my szlachta, życzył sobie, aby królewicz został obrany królem. Piszą tam szeroko, że Augustowie byli gnuśni, że rozpoili Polskę, że naszego języka nie umieli, że taki nam lepiej mieć Piasta niż cudzego. Teraz i ja na to się zgodzę; ale dawniej jakoś to szlachta przywykła do rodu, który więcej lat

sześćdziesiąt nad nią panował. Za królów Sasów była swoboda: było i dobre, a co więcej, za nimi był naród; za Piastem zaś były obce forsy. Przyzwoiciej było szlachcie i panom ze swoimi błądzić, niż mieć słuszność przy pomocy obcego żołnierza. Otóż więc kiedy Moskwa Warszawę najechała, aby na tron wynieść stolnika litewskiego, prawie wszyscy panowie temu nie radzi, ukartowali po całym narodzie Konfederację rozszerzyć i przyjść do tego, żeby odtąd żaden obcy u nas nie burmistrzował. Zjeżdżali się, wysyłali jeden do drugiego gońców zaufanych, i wszystko się gotowało do wybuchnięcia. Ale nie łatwo było rozpoczynać, bo Moskwa napełniała kraj wojskiem, że nie można było z jednego województwa przecisnąć się do drugiego, bez spotkania moskiewskich komend; a te przejeżdżających zatrzymywały i trzęsły, czy jakich listów nie znajdą. Trzeba było robić ostrożnie, a tu książę wojewoda wileński Radziwiłł i JW. Pac, starosta ziołowski, naglili a naglili mego pana, żeby zaczynać co prędzej: bo go mieli za wielkiego ministra i dawali się jemu powodować. I słusznie, bo to była wielka głowa. Ale on wszystko kunktował, żeby jeszcze czekać, aż odbierze wiadomości od hana krymskiego Islam Gireja, których spodziewał się każdej chwili. A pan Bohusz, co potem był sekretarzem generalnym Konfederacji barskiej, ciągle przesiadywał u mego pana i z sobą się naradzali; a lubo byłem użyty do pióra, ledwo przez dziesiąte domyślałem się, o czem oni konferowali, tak byli ostrożni. Aż tu jednego poranku, o czwartej z rana, przychodzi do przedpokoju sypialni pana, gdziem był na służbie, kozak jakiś, który poprosił mnie, aby się mógł natychmiast widzieć z JW. wojewodą. — Jakiż masz interes do niego, powiedz bracie? — «Oto wezu jemu hostyńca od pana mojoho Potockoho, podczaszoho litowskoho: min jomu prysyłaje dwi fury sływok uhorskich. Na syłu tut prywiz, bo Moskali po dorozi, a wsiaki zaderżuje, a pytajetsia: majesz pyśmo? Otde jest' łyst od mojoho pana. — To widbyrajut łyst, do starszyzny nesut, a pisla widdajut. Toho buło zo dwadciat raz; a szczo mini sływok pokrały! to i połowyny nema.» — Poczekajże, mój kochanku, niech się no pan obudzi. — «Panyczu serce! pustite mene do jasne osweconoho pana, bo ja ne mohu czekaty.» — Ale mój kochanku, czy ty oszalał, żeby dla twoich śliwek budzić pana? Parę godzin poczekaj, a wolisz napić się wódki i śniadanie zjeść, niż nalegać, bym panu wczas przerywał. — «Spasybih za waszu myłost', ale ani pyty ani jisty nebudu, poki nepodywlusia na wojewodu. Bijtesia Boha, pustite; myni treba zaraz jechaty do Bociok. Zbudity pana, bo prysiajbohu, że win bude żuryty sia, koły sia doznaje, szczo mene za-

raz nepustyły; a koły ja breszu, to pisla byjty mene w smert, sam sia nawit położu.» — Odważyłem się wejść do sypialni pańskiej. — Co takiego? zawołał pan. — Jakiś kozak przybył z Ukrainy do JW. pana i ma list od JW. podczaszego litewskiego. — Na to pan: Zawołaj go tu natychmiast. — A sam zerwał się, chałat na plecy zarzucił, ale z takim pośpiechem, że zapomniał przeżegnać się, wychodząc z łóżka. Ja zawołałem kozaka, ten przyszedłszy, padł do nóg wojewodzie i podał mu list na czapce. — Soplico, weź list i czytaj głośno. — Czytałem nic w nim nie było, tylko prośba, aby JW. wojewoda wypuścił w pocesją starostwo bobrujskie, które do podczaszego należało, bo on gwałtem potrzebuje pieniędzy, a niżej w post scriptum znajdowały się te słowa: «Stósownie do twojego żądania dwie fury śliwek węgierskich posyłam ci z Murafy.» JW. wojewoda powiedział: Idź po Bohusza i przychódź z nim — a sam został z kozakiem. Zastałem pana Bohusza już ubranego i piszącego coś przy kantorku. Natychmiast poszliśmy razem i znaleźliśmy pana nalewającego kielich wódki. Jak tylko wszedł pan Bohusz, wziął go JW. wojewoda do okna i zaczęli z sobą coś szeptać, po kilkakrotnie na mnie pokazując. Potem odezwał się pan: Soplico, pójdź do tego gabinetu, znajdziesz wodę na fajerce, a przy niej mydlniczkę, mydło, pędzel i brzytwę. Przynieś to wszystko i zabieraj się do golenia. — Zdziwiony, ale posłuszny rozkazowi pańskiemu, wszystko co potrzeba przyniosłszy, zacząłem brzytwę wecować na pasku, czekając aż pan siędzie, ale w wielkim strachu, bom w życiu nie golił nikogo. A pan powiedział: — Połóż, co trzymasz w ręku, na stole; a teraz przysięgnij mi na tę świętą ewangielję, że nikomu nie powiesz, co będziesz widział i słyszał; to co się robi, jest dla dobra ojczyzny. — Ja natychmiast przysięgę wykonałem, pan dał znak, kozak kląkł na środku pokoju, który zewsząd wewnątrz pozamykał pan Bohusz, a JW. wojewoda powiedział: — Soplico, ogól głowę temu kozakowi. — Coraz w większem zadziwieniu zacząłem golić; aż gdy się skóra pokazała, spostrzegłem litery selweserem na głowie napisane. Przybliżył się pan z w. Bohuszem i wyczytali następne słowa: «Pierwszego września powstaniemy, i wy powstawajcie; jak Korona z Litwą powstaną, Porta da pomoc.» Pan natychmiast w. łowczego wendeńskiego posłał do Nieświeża z listem nic nieznaczącym, ale z obszerną instrukcją. Pan Bohusz raz za żyda, raz za cygana przebrany, to znowu w swej postaci, objeżdżał szlachtę; dość, że nie upłynęło trzech tygodni, a powstanie było prawie po całej Litwie. Ale cóż? Dywan został przekupiony przez Moskwę, Porta pomocy nie dała, a tak wszystko na nas się skrupiło. I cuda męztwa nie mogły przeważyć liczby i okoliczności. Jednak udawało się nam czasem. W Świsłoczy, gdzie pierwszy raz poznałem się z moskiewskiemi

kulami, napadliśmy na pułk piechoty. Jenerał Liders nim dowodził, kapitulował on i zaręczył podpisem i honorem, że ani sam, ani nikt z jego komendy do końca wojny w Polsce wojować nie będzie. My zawierzywszy, pozwoliliśmy mu wyjść, a on w kilka dni znowu się bił z nami. Całe jego tłumaczenie się było, że buntownikom nikt nie jest obowiązany słowa dotrzymać. Byłem pod Kleckiem, gdzieśmy z milicją radziwiłłowską i zbieraną drużyną szlachecką ośm godzin trzymali się przeciw całemu korpusowi Podgoryczynina: tam obydwie siostry księcia Radziwiłła, JO. Rzewuska, chorążyna litewska, i JW. Morawska, jenerałlejtnantowa, same z pałaszami w ręku atakowały na czele jazdy, ale tak silna była artylerja nieprzyjacielska, że nie było sposobu. W tej to bitwie Aleksander Odyniec, miecznikowicz wołkowyski, co później zginął pod Stołowiczami, miał konia pod sobą ubitego i trzy palce u prawej ręki kartacz mu urwał. Gdyby Odyniec młodo nie był skończył, na wielkiego wodza by wyszedł. Kilka tygodni wprzódy, pod Stołpcami na czele 200 szlachty i dworskich napadł był na brygadę moskiewską, w puch ją rozbił, obydwie armaty zabrał, a nie mogąc ich uwieść, zagwoździł. Pan Tadeusz Rejten, ów potem nieśmiertelny poseł, miał nad nim dowództwo pod Stołpcami, i tam nauczył się go cenić. Gdy pod Kleckiem obaczył go leżącego pod koniem zabitym, zaklinał wszystkich, żeby mu podali konia i uratowali go od dostania się w niewolę; a że nikt nie był rad poświęcić się, pan Rejten pośród ognia najokropniejszego podał mu swojego konia, i sam na los puszczając się, mówił: «On wam potrzebniejszy, niż ja, bo nikt was tak nie poprowadzi; a mnie czy ubiją, mniejsza o to ojczyźnie. Żeby po trzy palce utraciły wszystkie ręce, co ruble moskiewskie chwytały, zamiast poczciwego Odyńca, los byłby sprawiedliwszy.» — Wtem jak zaczęli na nas sypać a sypać kartaczami, straciwszy połowę naszych, wzięliśmy się cofać w nieporządku. To jeszcze szczęście, że Moskwa, bojąc się powstania mińskiego, przestała nas ścigać i dała nam parę dni odpoczynku: miał więc czas książę wojewoda wileński nas zebrać i pójść na Ukrainę dla połączenia się z podczaszym litewskim.

VII.

TADEUSZ REJTEN.

Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ależ kiedyż bo i czas i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz! Wielkie sądy boże! Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło; czyż już i tak małej liczby u nas nie stało, aby ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę: widać, że nasz upadek tylko chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, ale nie zagłada, omdlenie, ale nie śmierć; po czem życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako z ziarna, co w ziemię rzucone przegniwa i zamiera, aby ożywić potem dziesięcioronasób obfitszy plon. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dla tego ludzie mądrzy w naukach boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, są w obawie, gdy wszystko im się dobrze wiedzie: jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością i radzi, kiedy jaki frasunek niespodziany przerwie im cokolwiek pasmo, snute przeznaczeniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejten, podkomorzy nowogrodzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychował w Nieświeżu z księciem Karolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim litewskim. JW. podkomorzy był urzędnik, jakich i dawniej nawet nie wiele bywało; bo i rozum nadzwyczajny i sprawiedliwość jego, ledwie nie wyrównywały wzorowi zostawionemu nam w świętych sędziach ludu bożego. A pobożność i wiara! że gdyby nie pokora, umarłych by wskrzeszał. On to był szczególnym dobrodziejem OO. jezuitów

w Nowogródku, a ubogi tameczny klasztor dominikański przez jego szczodrotę został jednym z bogatych na Litwie. Bywało co miesiąc sprowadza zakonników do Gruszówki, by z nimi rekolekcje odprawiać, i wtedy dyscypliną chłoszcze się jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale cała czeladź. «Mój chleb jecie — prawi — pokutujcie więc ze mną.» Strach w całym dworze, kiedy się jaki dominikanin lub jezuita pokaże: a żaden sługa go nie opuścił, starzeli się i umierali u niego, a byli przywiązani, że w ogień by za niego skoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko słudzy, ale nawet żona i dzieci byli czuj-duch przed nim. Nadzwyczajne miał on szczęście: z rodziców już bogaty, majątek powiększał ciągle, lubo zdawało się, że o niego nie dbał. Ani się spyta, co się na poletkach dzieje, dyspozytory jak chcą rządzą, a on powiada: «U mnie Pan Jezus gospodarz, najświętsza Panna gospodyni.» Jakoż zdawał się na nich tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie połockiem, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko na parę tygodni zawitał; a przecie kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, a tyle ich pozakupił, że zostawił dzieciom piętnaście. Miał on jeszcze po ojcu Gruszówkę, w której mieszkał, trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia i dożywocie na Rubieżewiczach od księżnej kanclerzyny Radziwiłłowej, która za jego radami miljony ocaliła. Nie znał wszakże zabiegów, o nic nie prosił i o własne się interesa nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny. Dwa razy obrano go deputatem, raz posłem, potem sędzią ziemskim, nakoniec na najpierwszy urząd województwa wyniesiony został; a na żadnym z tych sejmików się nie znajdował. Każde laudum i każdy przywilej szukały go w Gruszówce, a nie on ich w Nowogródku albo w Warszawie. Frasował się nieraz, że ta ciągła pomyślność nigdy się nie przerywa. Razu jednego zgorzał mu magazyn wódczany, w którym kilkoletni zapas był złożony: nic z niego nie uratowano, na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody, cały dom był w smutku, on jeden wesół rzekł: «Przecież choć raz się nie powiodło. Sobiem rad, bo Pan Bóg o mnie pamięta.» A to był jak żarcik Opatrzności: bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo krzyczowskie w Mścisławskiem, które na rok przynosiło więcej niż co dopiero utracił. Wszyscy się w domu cieszyli, oprócz niego. To mu spadło jak kamień z nieba, bo ani się starał, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowem jaki szczęśliwy! Żona, to był anioł w ludzkiem ciele, tak cnotliwa i piękna; syny, kawalerowie wzięci, że każdy ojciec ich mu zazdrościł; a córek było trzy: piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry przy matce. Za życia powydawał je za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jednę wziął pan Paweł Jeśman, chorąży słonimski, którego przodek był wojewodą smoleńskim; drugą

wydał za pana Kazimierza Haraburdę, starostę wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nie ma nad sobą starożytniejszego; trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelanica nowogrodzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. — A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko ośmdziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata w łóżku trzymała i nakoniec życia pozbawiła, będąc okryty ranami i wielkie boleści cierpiąc (jak lekarze mówili, bo po nim tego nikt się nie mógł domyśleć, tak mężnie wszystko znosił), gdy wszyscy płakali, on weselszy niż kiedykolwiek, powtarzał: «Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mię dotknął: dopiero zaczynam dobrze tuszyć o moim przyszłym losie, kiedy mnie tu boli; dawniej sam siebie musiałem chłostać, a teraz mój pan łaskaw mię chłoszcze.» Tak też Pan Bóg, jako zapewne duszę jego zabrał do swojej chwały, tak i na ziemi pobłogosławił jego pamięci, między tylu godnemi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów naszej ojczyzny.

Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważyć wyroki Najwyższego, pan Tadeusz jeden by ojczyznę ocalił. A jakkolwiek pozornie biorąc rzeczy, nie powiodło się jemu — co jest niezawodnem, to że pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zaginie. On to nas postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. A my szczególnie Nowogrodzanie, cieszymy się naszym ziemianinem, którego imię naród konający kazał złotemi literami napisać w miejscu obrad swoich prawodawców. Starzec, puszczę wodze nadziei, wszak mówią, że przed śmiercią czasem duch wieszczy ogarnia. Nasi wnukowie doczekają się, że w Nowogródku Rejten ze spiżu posąg otrzyma. Rocznicę jego zgonu, urząd miejscowy, i rycerstwo i naród, święcić będą. Co wiara ma najświętszego w swoich obrządkach, co rozsądek narodu może wynaleźć najokazalszego dla doświadczenia ogólnych uczuć, złączą się, by uwieczniać pamięć naszego bohatera. Ubogich kilka panien wyposażonych szczodrotą publiczną, corocznie u nóg tego posągu zawierać będą śluby z żołnierzami, co już swe lata odbywszy, na wysłużonem kawałku ziemi osiędą. Matki synkom swoim pokazując jego rysy, będą im tłómaczyły, jakim sposobem w narodach wolnych zapory grobowe się zwyciężają. Nieraz pomimowolna pycha rozszerza piersi moje, że pierwiastki mojego żywota z nim przepędziłem, że od jednych mistrzów z nim nauki brałem, że obok niego na ławkach szkolnych siadywałem, żem podzielał jego zabawy. Jest jakaś dziwna potęga cnoty. W szkołach panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępym, a w zabawach najczęściej zamyślony.

nawet ponury; nie miał tej giętkości towarzyskiej, innym niezbędnej dla otrzymania popularności. Jeżeli jaki obywatel, nawiedzający OO. Jezuitów, o dawnych rzeczach polskich mówił, pan Tadeusz wszelkie nasze zabawy opuszczał, w głębokiem milczeniu przysłuchiwał tym opowiadaniom i już nic z zadumania rozerwać go nie mogło. Że klasztor był fundacji Jana Karola Chodkiewicza, jego obraz w kościele wisiał: to on bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się opamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrzeć potrzeba. A czy tylko obraz mu takie roztargnienie sprawiał? Na korytarzu klasztornym wisiała mapa Polski: to idąc na zabawę, jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nic koło siebie nie słyszy, choć studenci wrzeszczą, że ledwo by umarłego nie zbudzili; i nieraz rekreacja się kończy, a jego przy mapie jak zostawili tak zastają. OO. Jezuici długo usiłowali oduczyć go od tego ustawicznego zamyślania się, ale przekonawszy się, iż to było napróżno, dali mu pokój, ile że w postępkach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż Jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę, i silną, z następnego powodu: Między konwiktorami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelanic nowogrodzki, którego ojca ponieważ rodziła ostatnia z domu Gosiewskich, znaczną swoją ojcowiznę Oskierkom przyniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnie bystry w naukach. Otóż na majowej rekreacji zaczęto mówić o hetmanie Gosiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do Konfedaracji tyszowieckiej, od tej pory zmazał plamę swojego związku ze Szwedami. Kasztelanic w tym względzie bronił swego przodka, a pan Tadeusz, co temu dyskursowi przysłuchiwał się, przerwał swoje milczenie, mówiąc: «Panie Władysławie, wstydź się bronić złej sprawy, chociaż swego naddziada. Hetman późniejszemi zasługami zatarł swoją zdradę, to mu przyznaję; ale pokąd trzymał z najezdnikiem, któż śmie przeczyć, że był zdrajcą ojczyzny?» Pan Władysław dowodził, że uleganie okolicznościom nie jest zdradą, i że człowiek widząc, że siebie zgubi, a ojczyznę nie zbawi, bardzo roztropnie robi, kiedy wchodzi w układy z nieprzyjacielem, aby się zachował ojczyźnie na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył że porwawszy kamień, cisnął nim na głowę kasztelanica, aż ten się krwią oblał. Wielki z tego zrobił się rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tem gwałtowniejszym być widziano, że kasztelanic z łagodnością się tłómaczył. Sam rektor świadczył pana Tadeusza, a potem kazał mu klęcząc przepraszać ukrzywdzonego kolegę. Ale pan Tadeusz pod plagami ani jednej łzy

nie puściwszy, powiedział: «Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mnie zabić miano; a każdego uderzę, co mnie powie, że godzi się wchodzić w zmowy z najezdnikami ojczyzny.» Kilkakrotnie był bity, a nic go przemódz nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszonym. Przestał go bić ksiądz rektor, żeby mu zdrowia nie nadwątlił, ale go do kozy zaparł, zkąd tylko na naukę wychodził, chcąc go tym sposobem do upokorzenia się zmusić. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko statecznie, aż JW. Oskierko, kasztelan nowogrodzki, przyjechawszy do szkoły i dowiedziawszy się o wszystkiem, sam go wyprosił. Gdy mu go przedstawili, zaczął go całować, mówiąc: «Niech ci Bóg nie pamięta, żeś mi chłopca taką blizną obznaczył; ale szczęśliwa matka, co ciebie na świat wydała. Nie masz czego przepraszać mego syna, tylko proszę ciebie, bądź mu odtąd przyjacielem, jakim jestem twego ojca.» Dopiero się zmiękczył pan Tadeusz i rzucił się w objęcia kasztelanica, przyrzekając mu przyjaźń, której stale dochował.

W szkołach księża jezuici byli zaprowadzili różne zabawy, stosowne do obyczajów polskich, i one nam wielce smakowały; między innemi potykanie się na palcaty. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie przy końcu przestrzeni była mogiła usypana, którą nazywano taborem. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa wojska potykające się. Cała wygrana należała na opanowaniu taboru przeciwnego; i zażarcie biliśmy się, aby swój obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwyczajnie dzielono się na Polaków i Moskali, a losy ciągnione stanowiły, do których każdy z nas miał należeć. To pan Tadeusz, co był jednym z najlepszych w palcaty i niemiłosiernie w tych udawanych bojach częstował nacierających na niego; ile razy mu wypadało być Moskalem, najsłabszym nawet bić się dawał. Kiedyśmy podziwiali, że guzy bywało nosi od takich, co ledwo palcat w ręku trzymać umieją, on co słynie z siły: «Cóż chcecie, odpowiadał, kiedy ja i żartem znieść nie mogę, żeby Polaków Moskale bili. Ile razy choć zmyślony Moskal obuchańca oberwie, zdaje mi się, że ojczyzna coś wskórała, a ta myśl tak mnie jakoś opanuje, że bronić się nie umiem.»

Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i Żydami, i o to tak gęste skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuici wpadli na myśl szczęśliwą, której uskutecznienie wyrobili u JW. Jabłonowskiego, wojewody naówczas nowogrodzkiego, a to, aby był sąd szkolny przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrecji studentów: ale wkrótce błogosławiły tej usta-

wie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźć by nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żalącej się stronie sąd dodawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale jakeśmy raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Raz nawet przekreskował księcia Radziwiłła, marszałkowicza nadwornego, co potem był koniuszym litewskim, lubo za nim sami księża jezuici forsowali. To pan Tadeusz bywało, aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego, pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: «Tu nie idzie o ufność, ale żeby robić jak prawo każe, a prawo nie pozwala, żeby powinny powinnego sądził. Wolę prawa słuchać, niż się cieszyć chlubą, że w sądzeniu na rodzonego brata nie oglądałem się.» — A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc tak się i usunął.

Jak w szkołach był zapalonym Polakiem, tak z nich wyszedłszy, gorliwym był obywatelem; i można powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde tchnienie było dla ojczyzny. Mając ledwo lat dwadzieścia, kiedy był jeszcze towarzyszem w chorągwi księcia Radziwiłła, powziął był chętkę do stanu małżeńskiego, ale prędko tego zaniechał. Była mu wpadła w oko panna Jewłaczewska, wojszczanka wołkowyska, co potem wyszła za pana Prota Chmarę, marszałka oszmiańskiego. Panna urodziwa, z domu karmazynowego, bo przed stoma laty jej przodek był wojewodą brzeskim; a jako jedynaczka, krocie były w nadziei. Otóż poznawszy ją w domu jej ciotki, w. cześnikowej Bernowiczowej, z którą i dom Rejtenów był w swojactwie, zaczął się jej nieco zalecać (czemu jego matka była rada, bo już ojciec nie żył), i ze szwagrem swoim, panem chorążym Jeśmanem pojechał do domu w. wojskiego, niby dla oddania mu atencji, ale w istocie, aby lepiej poznać pannę, nim Pan Bóg ściślejsze związki przeznaczy. Ale tam przyjechawszy, obaczył w bawialnym pokoju wiszący konterfekt Piotra Wielkiego: to go tak zniechęciło, iż zaraz od swojego zamiaru odstąpił. Co się potem pan chorąży nie namęczył, aby go zwrócić do dawnego przedsięwzięcia! wszystko było napróżno. «Piotr, mówił, to był największy nasz wróg. On to nieboszczyka króla wciągnął w wojnę ze Szwedami, obiecał mu Inflanty, które są

nasze wedle praw boskich i ludzkich; a potem jak wylazł z kłopotu, nie tylko że nie dotrzymał słowa, ale jeszcze z jego łaski zwinięto nasze wojsko, to wojsko, postrach bisurmanów, które pod Wiedniem całe chrześciaństwo z ostatniej wyciągnęło toni. Wolę całe życie być kawalerem, niż brać żonę z takiego domu, gdzie pamięć nieprzyjaciela Polski jest w poważaniu, że aż obraz jego zdobi pokój, w którym rodaków przyjmują.»

Są rozmaite losy od Opatrzności rozdawane: jego losem było męczeństwo za ojczyznę; jakoż w istocie wtedy się tylko cieszył, kiedy za nią cierpiał, i tyle rozumiał swoje przeznaczenie, że zawsze był skwapliwym poświęcać siebie dla niej. Po śmierci Augusta III. Moskwa bez żadnego hamulca rozprzestrzeniała gwałty po całej Polsce, upoważniona poniekąd do tego przez kilku zwiedzionych obywateli, którym się zdało, że bezprawiem można ojczyznę pokrzepić, i że najezdnik przez nich sprowadzony, będzie w ich ręku ślepem narzędziem do ich zamiarów, może zbawiennych. Książę Karol Radziwiłł nie zapuszczając tak daleko swojej wyobrażalności, ale pamiętny senatorskiej przysięgi, jako wojewoda wileński porozsyłał wici powołujące do pospolitego ruszenia obywateli, aby łącząc się z nim na obronę praw zdeptanych, oswobodzili grunt ojczysty, kalany najezdniczą przemocą. Pan Tadeusz, wówczas towarzysz, pierwszy zrozumiał, jakie są obowiązki żołnierza i ziemianina, i zaczął naglić kolegów, aby się nie wahali w powinności swojej. Dowódca chorągwi, człowiek poczciwy, ale podeszły w wieku, ojciec dzieciom i lękliwy, przekładał mu, że w tych rzeczach pierwsi co zaczynają, ściągają na siebie odpowiedzialność; że bezpieczniej doczekać się jakiejś siły, do którejby się przyłączyć można, niż się na oślep wyrywać; że jakkolwiek zapał jest szlachetny, roztropność ma swoje prawidła, któremi nie godzi się gardzić. Ta przeklęta roztropność jeszcze i wtenczas odurzała tlakowate umysły. Ale pan Tadeusz odpowiedział mu: «Co mnie waszmość pan rozumowania naprzeciw powinności stawisz! Bądź co bądź, róbmy to, co nam prawo i sumienie każe, a spuśćmy się na tego, co nas nie będzie pytał, czy my majątki lub zdrowie ocalili, ale czyśmy naszej powinności dopełnili. Silni zwycięztwem, zbawim ojczyznę; stali w cierpieniu za nią, wysłużym ją u Boga.» I pomimo oporu porucznika, chorągiew całą przekonał i ze Słucka przyprowadził do Nieświeża.

Zostawszy regimentarzem nowogrodzkim, wszędzie w potyczkach i niezachwianą wytrwałość i nieustraszone męztwo okazywał. Pod Kleckiem, widząc leżącego pod koniem pana Aleksandra Odyńca rannego, którego mając w swojej komendzie, znał nadzwyczajną zdolność, zrobił dla niego z siebie ofiarę: bo podawszy mu swego konia, tem co ocalił, a sam do-

stał się w niewolę, w której istnym męczennikiem przebył dwa lata i nie wyszedł z niej, aż kiedy Moskwa wszelki opór przełamawszy, utwierdziła na tronie Stanisława. Po rozwiązaniu się Konfederacji nieświezkiej, wszystkim do czasu dano pokój, przywdziano barwę umiarkowania; skrupiło się tylko na księciu Karolu Radziwille, który odsądzony od urzędów i majątków, jeden tułać się musiał, nie mając innych przychodów prócz zasiłku, jaki z krwawej pracy przyjaciele z Litwy mu dosyłali. Jak to u nas zwykle, po wybuchnięciu wielkiego zapału następuje obojętność dla rzeczy publicznych, okraszona niby pobożną maksymą, że trzeba się zgodzić z wolą Pana Boga, a więc czuć przestać; zaczęto oswajać się z narzuconym rządem i sobą się tylko zajmować. Ale pan Tadeusz był z małej liczby tych, co ani na chwilę nie stracili z pamięci obelg Rzeczypospolitej wyrządzonych: od wszystkiego się uchylił, wymówił się od ofiarowanego mu imieniem króla stołka w radzie nieustającej, ani się nawet na sejmikach znajdować nie chciał. Siedział w Gruszówce, z początku obcował z odwiedzającymi, ale ta wesołość, którą oni chcieli rozpędzić jego ponure myśli, tak mu się stała przykrą, że potem rzadko kiedy przerywał swoją samotność, i o tyle tylko, aby się nie omijać z prawidłami gościnności. Powtarzał braciom zawsze: «Ja mam się weselić, kiedy nasz wódz na wygnaniu?» — I wkrótce nawet od nich zaczął stronić. Ale nie miał to być jeszcze kres jego zawodu. Moskwa, co więcej jeszcze pragnęła naszej czci niż naszych dzierżaw, nie długo zasypiała. Już była zhańbiła część narodu, trzeba jej było jeszcze ohydzić to, co u nas było najszlachetniejszego, trzeba było pasmem nieprawości uwikłać najcnotliwszych mężów. Złudziwszy więc zwodniczemi obietnicami, pobudziła ich, aby podnieśli Konfederację dla zrzucenia z tronu tego Stanisława, którego ze wzgardą całego narodu przemocą była usadowiła; a gdy tak zawiązała się Konfederacja radomska, chciała nawet żeby jej marszałkiem był ów tułający się książę Radziwiłł, który za nieugięte przywiązanie do swobód ojczystych i za nieubłaganą nienawiść ku Moskalom ciągle był prześladowany. Zdjęto z niego banicję, wrócono mu nieprawnie odebrane urzędy, zrobiono go, że tak powiem, naczelnikiem narodu, nawet nad wojskiem moskiewskiem poruczono mu dowództwo. Konfederacja zmieniła się w sejm, wszystko brało na się postać, jakby głos sumienia odezwał się w naszych wrogach, jakoby dla nas sprawiedliwymi być chcieli. Komu dziś tajno, na czem skończyły się te nadzieje? Porwanie na Sybir trzech senatorów i jednego posła dało poznać światu, jakie są zasady rzędu moskiewskiego, jak tam rozumieją prawa narodów, i czem jest w istocie pozorne ukształcenie tego państwa. Ale ta obelga obudziła naród jakby z jakiego letargu. W wielu województwach pochwycono oręż; Konfederacja barska się podniosła.

Pan Tadeusz natenczas znajdował się w Berezdowie, gdzie mógł się oddać samotności więcej niż w Gruszówce. Tam jedyną jego rozrywką było polowanie w niebotycznych puszczach. Ale ledwo wieść go doszła o usiłowaniach narodu, chciał być z liczby pierwszych powstańców. Zawiązawszy stosunki z sąsiadami, usiłował ożywić w nich tlejącą miłość ojczyzny i w lasach białoruskich zaprowadzić wojnę zażartą, ale nie mógł siły swego ducha wlać tamecznym mieszkańcom. Większa ich część życzyła wprawdzie dobrze sprawie narodowej, ale ci radziby widzieli rzeczy pewniejsze, a byli tacy co także Moskwie sprzyjali. Dość że używszy wszelkich środków, uzbroił kilkuset ludzi, chociaż najwięcej z dóbr swoich. Co się tyczy obywateli, było tego cokolwiek, co mu dało słowo i nawet przyłączyło się do niego na wstępie; ale jak jednemu z nich Moskale wieś z dworem spalili, wnet ostygła miłość ojczyzny we wszystkich, że ledwo kilkudziesiąt szlachty przy nim zostało. Trzymał się jednak w puszczy; ale gdy Moskwa puściła na niego obławę swoich jegrów, a znaleźli się tacy, co im drogę pokazali, żeby tą usługą zalecić się carowej i zatrzeć pamięć pierwszych dowodów niechęci, trudna była sprawa dla Tadeusza. Robił wszakże jeszcze co mógł: ze łzami błagał swoich, aby się bronili do upadłego, a nie hańbili imienia polskiego; mówił im: «W lesie jeden za dziesięciu stanie; albo oni wiedzą siła naszych?» — Ale? nie wiedzą! — odpowiadali obywatele z nim będący. — «My, to prawda, że nie wiemy wiele ich jest, ale oni co do jednego policzyć nas mogą, albo ten i ten ich już nie nauczył na pamięć?» — A pan Tadeusz zmęczony jakby się żywemi gadzinami nakarmił: — «Pozwólcie — rzecze — niech ja ich policzę; może ich tylko garść dla postrachu, a wy na oślep trwożycie się. Nie rozpierzchajcie się tylko póki się nie dowiem.» I na nikogo nie spuszczając się, że był zręczny do łażenia na drzewa, wlazł na ogromną sosnę, jakby pszczelnik jaki. W istocie, jak nam potem nieraz powtarzał, nie było tam tego tyle, żeby się im nie oprzeć; ale tameczna plugawa szlachta, skoro tylko przestał im bechtać w uszy o powinności, rozsypała się natychmiast. Jedni gajowi czekali przynajmniej, żeby na oczy zobaczyć Moskali, ale i ci przed nimi w nogi, widząc się opuszczonymi. Tak Moskale w lesie, a pan Tadeusz na sośnie. Szczęście że go nie postrzegli, bo jak głuszca byliby położyli. To on dopiero późną nocą z sosny zlazł, a do Berezdowa nie mając czego iść, bo tam już byli goście, co mu dom zrabowali do szczętu, a potem spalili, że magazyny, stodoły, wszystkie zabudowania jeszcze za nieboszczyka przez dwadzieścia lat może stawiane, jednej godziny w popiół się zamieniły; jak mógł do Gruszówki przedzierał się, na kształt zwierza błądząc po lasach. Pan Bóg, co go do większych rzeczy chował, nie dopuścił mu wpaść w ręce

Moskali, bo niezawodnie byliby go zamęczyli. — W Gruszówce rzecz inna: każdy nowogrodzki szlachcic dawał mu ile mógł swoich ludzi; zaraz tedy kilkuset kozaków, najwięcej z dworskich, własnym kosztem uzbroił i ze swoim dawnym Aleksandrem Odyńcem wystąpił w pole. Znajdował się on w nieszczęśliwej stołowickiej potyczce, gdzie hetmana Ogińskiego rozbito przez zdradę pana Giełguda. Tam kartacz zgruchotał głowę Odyńcowi, aż pan Tadeusz mózgiem jego obryzgany został. Ta śmierć była mu krzyżem do dźwigania, bo w niej upatrywał wielką klęskę dla kraju, i nie bez słuszności. Nie w jednej bitwie walczył jeszcze do końca, nareszcie rozwiązała się Konfederacja barska: zbrodnia i przemoc zgniotły nienawiść i prawość.

Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przezeń okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i nawet unikał dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szańcu prawa bronić sławy narodu. W poselstwie nowogrodzkiem Michał Korsak został kolegą polskiego Katona. Zgromadzają się zatwardziali lub przelękli prawodawcy w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy, a razem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogrodzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zalegli uzbrojeni Moskale; lonty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze ostatków sumienia w sobie nie przytłumił; zniewieściały monarcha idących do sali posłów ze łzami błaga, aby daremnym oporem nie gubili ojczyzny i siebie. Zasiadają posłowie: jedni jakimś dzikim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomięszanie, drudzy łzami zdradzają i poczciwość uczuć i słabość duszy; kilku tylko wypogodzonem obliczem okazują, że wszystko prócz Boga poświęcą, że za drzwiami izby zostawili co tylko do żywota przywiązywać ich mogło, że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Kanclerz ogłasza propozycję królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na marszałka. — Zgoda — odpowiedzieli (jednak drżącym głosem) zaprzedani posłowie — zgoda! — jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przelęknieni. — «Nie ma zgody — odezwał się Rejten — na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfederację; przystąpmy do wyboru marszałka walnego sejmu.» — Tadeusza Rejtena obierajmy marszałkiem! — zawołali Korsak, Bohuszewicz i trzech innych posłów kupiących się przy Rejtenie. Zdumieli się wszyscy. Rejten porywa laskę i sesję zagaja. Przez kilka chwil kanclerz Poniński i inni jurgeltnicy moskiewscy zamilkli, większa część izby poczuła chętkę do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziali zdrajcy, z drugiej lonty przybliżające się do panewek, przydusiły ten słaby płomyk cnoty. Okropny szmer powstaje jakby na zbiorowisku piekielnych du-

chów. — «Nie damy się owładać pięciu posłom, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej marszałka!» — Wyrodni wydzierają laskę Rejtenowi; pięciu opiera się wszystkim. — «Nie ma zgody na konfederację! — krzyczy Rejten. — Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie plamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawiązaniu konfederacji nastąpi!» — Świętokradzkie ręce biją Rejtena i jego kolegów. Poniński ośmielony, już z laską w ręku śmie sejm zagajać. Korsak i Bochuszewicz szamocząc się między oprawcami, krzyczą: — Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę ojczyzny nie pozwolim. — Ostatniego środka legalnego chwyta się Rejten: — Sciso activatem! — mówi — sejm zerwany, nie masz sejmu! — «Nie masz sejmu! — powtarzają wierni męczennicy.» — «Panowie bracia — odzywa się Poniński — widać że ci panowie zmysły mają pomięszane; nie oglądajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam panów do spisania aktu konfederacji.» — «Zdrajco! — krzyknął Rejten — jak ty śmiesz marszałkiem się ogłaszać, kiedy nie ma sejmu!» — Poniński solwował sesję na dzień pojutrzejszy, a posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy zostali dla zaniesienia manifestu. Trzy doby siedzieli oni tam zamknięci o głodzie, a potem nareszcie wypuszczono osłabionych. Nie było ofiar, któremi by ich nie kuszono, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacji. Rejtenowi dawano laskę mniejszą litewską i starostwo Borysowskie; Korsakowi i Bohuszewiczowi kasztelanje i intratne królewszczyzny; innym trzem inne obiecywano zyski. Niecnota Poniński śmiał sam z Rejtenem o tem mówić i znieść jego oblicze. — «Podły człowieku! — odpowiedział Rejten — mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i te ci oddam, a opamiętaj się.» Straszono ich odsądzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie milczeniem pełnem pogardy przyjęli ten postrach. Wywieziono ich nakoniec za miasto, a pan Gurowski, któremu zlecono było odprowadzić ich do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, powiedział im tam: «Bywajcie waćpanowie zdrowi i probujcie nową konfederację przeciw nam podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmazać nie potrafi, co carowa jejmość o nas napisała.»

Pan Tadeusz osiadł w Gruszówce, ale to pasowanie się ciągłe a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć, znacznie mu zdrowie osłabiło; tem więcej, że w czasie owej rozbójniczej sesji jeden z tych potworów wydzierając mu laskę, silnie pięścią w ciemię go ugodził. Przy innych boleściach, często cierpiał zawrót głowy, a w ciągłych zadumaniach noce

bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnem skonfederowanych stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł — i rozum jego rozbił się, przywalony sromotą publiczną. Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy ojczyzny ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo nowogrodzkie biegło do Gruszówki oglądać swojego posła na łożu boleści, z umysłem nadwerężonym w usługach ojczyzny, pogrążonego w ostatniej rozpaczy. Ale nie dawał się widzieć, mówiąc: — Ja ich nie znam. Obywatele nowogrodcy są w Warszawie, oni zdrajców ojczyzny myślą rozsiekać, a nie z chorym gawędzić. — Kiedy ośmieliłem się go nawiedzić, gdy mię jemu obznajmiono, przypomniał mnie sobie: — Seweryn Soplica, to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wnijdzie. — Uprzejmie mię powitał i z początku spokojnie rozmawiał, ale zamyśliwszy się, zaczął z ruska przebąkiwać: — A co, panie Sewerynie, nie winszujesz mi szczęścia, żem postąpił na Moskala? Berezdów już w gubernji białoruskiej, ja carowej poddany. Proszę mi mojego zaszczytu nie odejmować: mnie sejm je oddał. Jestem mu wdzięczny, bo tam Ponińskich nie masz. — I zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że gdyby go słudzy nie przytrzymali, na mnie by się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Matka jego, JW. podkomorzyna, z wielkiego żalu opuściła była Gruszówkę i aż w Mozyrskie się przeniosła, nie mogąc znieść cierpień syna. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Przez okno obaczył wysiadającego z powozu jenerała moskiewskiego, który stał w Nowogródku, a przyjechał oddać rewizytę panu Michałowi, natenczas gospodarzowi Gruszówki. Pan Tadeusz chciał koniecznie iść na pokoje i odgrażać się na jenerała, ale ludzie go nie puścili i zamknęli. Wtedy wpadł w jakieś zapamiętanie, i szybę u okna rozbiwszy, szkłem uraził sobie jelita. We dwa dni po tym przypadku ducha Panu Bogu oddał. Mówię Panu Bogu, bo na kilka godzin przed skonaniem zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na śmierć, której tyle razy nieustraszony szukał. Panu Michałowi różne jakoby przepowiednie o dalszych naszych losach robił, których ten szanowny jego brat nie chciał przed ludźmi odkrywać, mówiąc: — Nie chcę was zasmucać; bo co ma być dobrego, to tak daleko, że się żaden z nas nie doczeka, a bieda na karku. —

Potem tylko Zbawicielem naszym i jego najświętszą Matką był zajęty, ofiarując im te nowe cierpienia, które w nieprzytomności sobie zadał.

— Rozmyślnie nigdy mojego Stwórcy nie obraziłem i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Tuszę, że jego miłosierdzie i zasługi jego najdroższego syna mię nie ominą; a cierpienia mnie nędznego ofiaruję tobie, o Panie, za moją nieszczęśliwą ojczyznę. —

To były jego ostatnie słowa.

VIII.

PAN REWIEŃSKI.

Był u mnie dnia wczorajszego pan Wolski, wnuk naszego niegdyś, a teraz nieboszczyka sędziego ziemskiego, a osobliwego mego łaskawcy. Ten kawaler bardzo piękny i przyzwoity, wychowanie swoje zakończył w niemieckich szkołach; ale pięknie myśli i miewa bardzo dobre zdanie; kocha szczerze ojczyznę po swojemu, i choć go często nie rozumiem, bo jakoś się tłumaczy zbyt mądrze, ale go szczerze poważam, i wdzięczny mu jestem, że choć roku nie ma jak osiadł na wsi, przecie kilka razy już nawiedził dobrego przyjaciela jego ojca i dziada, a że to czy z ciekawości, czy może tylko z grzeczności lubi słuchać to, co ja tam rad o starych rzeczach opowiadam. Jakoż nigdy bez łez nie mogę wspomnieć sobie o ś. p. Ignacym Rewieńskim, który po dziadzie jego a swoim teściu otrzymał sęstwo ziemskie za jednomyślną wolą całej szlachty księstwa nowogrodzkiego i był wzorem dobrych urzędników. Przy pewnej oszczędności żył on ledwie nie po pańsku. Wystarczały mu dochody i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony jak się należy.

Otóż sędzia przy końcu kadencji trzechkrólskiej powiedział mi po sesji: — «Panie Sewerynie, proszę waści na zapusty do Omniewicz, ale przywieź nam i żonkę.» Skłoniłem się sędziemu, dziękując mu uniżenie, że raczy o nas pamiętać; albo to tacy byli sędziowie jak dziś! Tedy z moją Magdusią bryczką krytą (którą mi w. wojski Jabłoński dał pro honorario za odbytą kondyscensję na gruncie z ojcami Bazyljanami nowogrodzkimi) puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną, i palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami

ruszała; ale gdy mnie bryczkę dano, czemuż miałem jej sobie i żonie żałować?

Sędziego dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziś by tego nikt umieścić nie potrafił; a jaka uprzejmość, jaka szczerość, jaka wesołość! — Ja z żonką stałem na folwarku u dyspozytora, który, jakto wtenczas bywało, nie sługą, ale przyjacielem był pana, nawet miał z nim jakieś powinowactwo. Oprócz nas jeszcze troje małżeństw mieściło się w pokoju, a dwoje w alkierzu z ekonomstwem. A co też tego było we dworze: w sali jadalnej pięć stadeł. Młodzież roztasowała się po chłopach. To co dzień z rana w. sędzia wszystkich obiegł i każdemu dzień dobry powiedział, przepraszając za niewygody, chociaż nie było za co przepraszać. Pewnie nikt się nie obudził przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, żeby gość był wprzódy na nogach niż gospodarz. A wielmożna sędzina wszystkie obywatelki obchodziła z sędziankami i nie jedną czasem w łożku zastała, chociaż już i pacierze odbyła i kawę ze śmietanką wszystkim gościom sama porozsyłała. Około dziewiątej z rana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już i sędzina i sędzianki poubierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieli czuć powagę urzędu i wieku, znaliśmy jednak dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko susceptantem byłem, to kiedy mnie wielmożny sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nizko kłaniał się, i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go całował: a przecie gdyby mię inaczej przyjął, poczytałbym siebie być silnie ukrzywdzonym. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich pań, poczynając od gospodyni i jej córek. Sługa wszedł z gorzałką i zakąskami. W. sędzia odezwał się: — Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć — i odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem i w kątyśmy je poustawiali, ale tak, żeby każdy o swojej szabli wiedział; bo jak tylko jaki senator lub wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szablę przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa i wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się, gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających. W. sędzia, gdy widział wszystkich rozgoszczonych, nalał kieliszek gorzałki i spełniwszy go, oddał wraz z flaszką gościowi, którego uważał być najznaczniejszym, a ten toż samo zrobił; tak że każdy z nas z jednego kieliszka pił, i dopiero ostatni wypiwszy, służącemu nalał, który po spełnieniu odnosił gorzałkę do kredensu, a wszyscy do

wędlin się rzucali. Wiedzieć potrzeba, że jeżeli się znajdował ksiądz, co zawsze bywało, od niego zaczynano wódkę; chyba że był senator, a i ten zawsze jakieś ceremonje z księdzem robił. I to się chwali: bo ksiądz do świata nas wprowadzał, i daj Boże, aby ze świata wyprowadził; a potem nie wiecie, co to był ksiądz za naszych czasów. To bywało książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, na którego często patrzałem, a nigdy bez strachu, choć go z serca kochałem, jak i wszyscy, co go znali, miał dziesięć tysięcy ludzi w swojej milicji; a dwór jaki! Nie tak to łatwo było w oczy mu spojrzeć; a że nikt nie jest bez ale, był porywczym: to jak się rozdąsa na kogo, czy to z plotki, jak po wielkich dworach bywa, czy z jakiego widzimisię, wie Bóg, jaki rozkaz na niego wyda, i pod ziemią szlachcic od niego nie byłby bezpiecznym; a jak takiemu dać radę? Perswadować, to zamiast jednemu dwom byłaby bieda: oto udawano się do księdza Kantembrynga, proboszcza nieświezkiego. — Książę chce mnie ukrzywdzić, pobudzony przez złych ludzi, ratuj mię! — A on natychmiast do księcia: — Mości książę, czy to się tak godzi? Wszak Wasza Książęca Mość nie pierwszy ordynat nieświezki: gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książę pójdziesz; a jak się Panu Bogu pokazać, kiedy kto płacze na waszą książęcą mość? Zaniechaj książę tych impetów, a w imię Zbawiciela proszę cię, abyś rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew waszej książęcej mości tak przeraził, że nie wie gdzie się podział. — To książę rad nie rad a ustąpić musiał, i jeszcze chudego pachołka obdarzył, nagradzając mu strach, a tak najczęściej wszystko przyzwoicie kończyło się.

Po gorzałce zaczynały się zabawy przedobiednie. JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo nasze swoją bytnością, siadał do marjasza w pulę z gospodarzem i z JW. Rdułtowskim, chorążym nowogrodzkim, którego żona była rodzona siostrzenica księcia Karola Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać: nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nieosiadły, złoto na karty sypie. Prawda że i za naszych czasów niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki; ale to im się nie chwaliło. Książę biskup Masalski po całych nocach bywało grywał w swoje francuzkie karty, to też i pięknie skończył. A w Nieświeżu francuzkich kart dostać na lekarstwo nie można było, bo książę tego towaru srodze Żydom zakazywał i za to niemiłosiernie plagami ich karał. Więc panowie marjaszem, a my niżsi rozmową starszych zajmowali się. Mówiono o sejmach, o posłach, o się na nich wsławili, o prawach, o swobodach naszych; o Konfederacji barskiej świeżo rozwiązanej, o nieszczęśliwych braciach, co za grzechy nasze zakordonowani zostali; o haniebnym sejmie, który ich niewolę ratyfikował,

a w którym nasze nowogrodzkie poselstwo taką sławą się okryło, co nie dziw, bo w żadnym czasie nasze województwo się nie spaskudziło. Rejten i Korsak byli nasi ziemianie, i Bohusz, sekretarz i dusza Konfederacji barskiej; a później w tak rozrodzonem obywatelstwie ani jeden się nie znalazł, coby do obrzydłej Targowicy przystąpił. W tych nieszczęśliwych czasach bez wielkich ofiar nie można było być poczciwym; a że ci ludzie te ofiary robili w Bogu dla dobra kraju, nie byłbym Chrześcianinem, gdybym nie był pewny, że te zasługi i cierpienia trwają u Boga i przepaść nie mogą, i zbudują nam gmach — a kiedy? — wie ten, któremu na czasie nie zbywa i który powiedział, że niesprawiedliwością narody upadają. I ja, dzięki Bogu, w cierpieniach doczekałem się zgrzybiałości, i ran kilka odniosłem i dwa razy zrabowany zostałem do szczętu. Pomijam, że jak to było w obyczaju, zawszem ojczyźnie służył o swoim, bez zapłaty; nie tak jak dziś, co usługi na tandet wystawiają, jak stare pludry. I na Sybir porwany zostałem od żony i dzieci, gdzie dwa lata z górą biedowałem, i w wolnym narodzie wolny szlachcic urodzony, na mniemanych ich inkwizycjach w Smoleńsku kilkam razy batogami do omdlenia zbity został; a przecie żadna moja łza na ziemię nie upadła; każdą na łono Boga mego posłałem, błagając go, aby te krzywdy moje na korzyść ojczyzny poszły: a że w czasie gorących modłów moich odemnie twarzy nie odwracał, pewny jestem, i ta pewność osładza mi bojaźń śmierci, która do mnie starca już tuż nadchodzi.

Ale prócz tych naszych ważniejszych rozmów, przez politykę dla kobiet, mówiono o rzeczach, które ich bawić mogły. Pamiętam jak je szczególniej bawił pan stolnik Siemieradzki, który był bardzo krotofilny i którego gdy nie było, zawsze czegoś nie stawało kompanji; opowiadał on nam o Niemcu kuglarzu, którego kiedyś widział w Królewcu, któren dziwne omamienia umiał na ludzi rzucać; klął się, że tak wszystkich i jego samego omamił, że im się zdawało, iż pokój był wodą napełniony, i kiedy wszyscy przestraszeni zabierali się już do ucieczki, postrzegli że nic ma nic i że sucho w izbie. Prócz tego, że żaden jurysta gębą tak wyraźnie się nie wytłomaczy, jak on kuglarz brzuchem; inne podobne rzeczy opowiadał, czem nas wszystkich zadziwiał, a do tego miał swoje koncepta w opowiadaniu, że za boki od śmiechu trzeba było się trzymać. Potem jak zaczął udawać Żyda śpiewającego majufes, ale tak zabawnie, że chorąży Rdułtowski aż grę prześlepił i dublę dostał, a przecież się nie zasępił, taki mu był śmiech; on to i koty umiał udawać, i jak się dziady z babami kościelnemi poswarzą: a któżby te wszystkie jego krotofile zapamiętał. Jemu ten dowcip na dobre wyszedł, bo choć zacnie był urodzony, ale z rodziców podupadłych, zatem od młodości jako chudy pachołek po służbach chodził, aż przypadkiem dostał się do księcia Ka-

rola Radziwiłła, któren jego silnie polubił za te jego koncepta, dobrze go ożenił, obdarzył dożywociem porządnem i na człowieka go wykierował: czego mu nikt nie zazdrościł, bo był człowiek dobry, nie wstydził się ubogich swoich krewnych, owszem im świadczył i rad mawiał, będąc już stolnikiem, o młodości swojej w ubóstwie przepędzonej, co mu wiele przyjaciół na sejmikach przyczyniało.

Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mięszały. Pani sędzina powiedziała: — Muszę się mojem gospodarstwem pochwalić — i kazała przynieść rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscyśmy wychwalali jej pracę, a ojciec gwardjan Bernardynów z Iwieńca, co przez ten cały czas trzymając na kolanach małego sędzica, obrazkami go bawił, odezwał się: — Laus tibi Christe, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystja obdarła się, w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosim, a tu piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła i same proszą, ażeby ze mną pojechały do Iwieńca. — A sędzina mu na to: — Wybierz sobie jeden półsetek, ojcze gwardjanie, masz do tego prawo: wszak ja wasza dłużniczka za cebulki tulipanowe, coś mnie przyniósł w jesieni. — Pan sędzia odezwał się: — Ale wybierzże ze wszystkich półsetków najcięższy; bo oskarżę cię przed kapitułą, że nam takich gwardjanów przysyła, co się na gospodarstwie nie znają. — Wtem Wawrzyniec kredencerz wszedł z serwetą na plecach i coś sędziemu szepnął, a sędzia wstawszy, powiedział żonie: — Kochanko, proś JW. kasztelana do stołu. — Za przykładem pierwszej pary my wszyscy wziąwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz chodził od jednego do drugiego w koło stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmieniłem o Wawrzyńcu kredencerzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka wojskiego Rewieńskiego, wielkiego myśliwego, był dojeżdżaczem, potem lat kilka furmanem i woził go raz do Warszawy. Była to kronika żyjąca domu Rewieńskich. Pamiętał kiedy nieboszczyka wojska w ciąży chodziła z sędzią, jak cyganka jej wróżyła, że będzie miała syna, co w zaszczytach przejdzie ojca swego; i to często młodemu paniczowi przypominał. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz, co zrobił, to, że całą familję Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z furmana na kredencerza postąpił. Co kadencji Wawrzyniec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogródka: to my co dzień bywało na atencję do sędziego chodzim, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyniec nas wszystkich wódką traktował, a sam, nie wiem, czy jej smak znał, tak był trzeźwy. Lubił on tylko o sta-

rych rzeczach gadać, osobliwie o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obiadu stojąc, do dyskursu się mięszał, ile razy o nieboszczyku mówiono; bo sędzia jemu wielkiej do siebie konfidencji pozwalał, że był bardzo do państwa przywiązany i tęgo znał służbę. Czasem kilkadziesiąt gości u sędziego dobrze podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. Do tego koni na nosaciznę, a psy na robaki miał sekret leczyć, czego sam kilka razy byłem świadkiem.

Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich nie wielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pili. Gospodarz zaczął od JW. kasztelana Jeleńskiego, w ręce chorążego Rdułtowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił zdrowie chorążego; następnie kasztelan zdrowie gospodarskie, a chorąży gospodyni; gospodarz znowu rozmaitych zasłużonych a przytomnych obywateli: z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wychylał, bez wylewania na ziemię, bez domięszywania wody i innych podobnych obłud, jakich później namnożyło się, nim przyszło do tego, że gościa bogdaj i najzacniejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia: co ma być dowodem, że teraz więcej grzeczności, niż za naszych czasów! — Po obiedzie zaczynały się pląsy, tańce i mazur, na przemianę. A tak i młodzież i sędziwi bawili się, a kielichy ciągle chodziły aż miło. Zabawy były niewinne, szczere; każdy serce na ustach nosił, bo nie miał potrzeby go zakrywać. Kiedy podochoceni, zaczynaliśmy śpiewać kociubichę, a przyszło do ostatniej zwrotki:

Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami! . . . .

a hukiem razem: kochajmy się! — to nie był czczy wyraz, ale można było być pewnym, że każdy dla wszystkich, a wszyscy dla każdego choć w czyściec. Otóż tak było w Omniewiczach. Mocarze świata zazdrościliby szlachcicowi polskiemu, gdyby byli świadkami, jak umiał siebie i gości bawić na łonie równości.

W ostatni wtorek z rana, gdyśmy byli zebrani u sędziny, sędzia wpadł z obliczem uradowanem i powiedział: — Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszać naprzeciw dostojnego gościa, co swoją osobą chce zaszczycić ubogi nasz domek. JO. książę Radziwiłł, wojewoda wileński, w samo południe tu będzie; zatem na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć. — Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana nowogrodzkiego, co jako senator w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by w. sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło sęskich koni, reszta każdy zaprzężonego konia uchwyciwszy i okulbaczywszy pierwszem

siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztarni sędziego, ruszał na spotkanie księcia, a nie jeden i oklep; bo choć masztarnia była porządna, gdzieżby wszystkim nastarczyć: więcej niż w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, a my ciągnęli się sznurem: Konfederację barską mnie to przypomniało, ile że biegłem naprzeciw jednego z najdostojniejszych jej wodzów. Niedaleko Naci, przy karczmie Czarnoszczenie zwanej, z powodu iż prostota powtarza, jakoby kiedyś djablica miała się oszczenić obok tej karczmy, na tem samem miejscu, gdzie teraz stoi ś. Jan Nepomucen — spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich już okiem dojrzeć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, czekając aż sanie samego księcia nadejdą. Śniegu koniom było po brzuch, sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, huknęliśmy wszyscy razem: Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincji litewskiej! — i wszyscyśmy pozsiadali z koni, żeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając pokilkakrotnie: — Panie kochanku, czy ja wart żebyście mnie tak przyjmowali? — A pomimo nalegań sędziego wysiadł z sań, nie uważając że śnieg. Witał się z nami, a prawie każdego po chrzestnem imieniu nazwał, rozumie się z tych, co się ku niemu zbliżali; bo wielu z nas, i ja najpierwszy, nie chcąc sędziemu czasu zabierać, a tem więcej księciu, opodal staliśmy. Wszak pomimo naszej dyskrecji więcej godziny witania trwały, a wszystko w śniegu; aż nacałowawszy i naściskawszy się z bracią szlachtą książę, krzyknął na koniuszego swego, żeby mu konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał jak wprzódy, zniecierpliwił się i rzekł: — Taki w. pan przyjaciel, panie Ignacy! Kiedy szlachta na koniu, chcesz żeby Radziwiłł na wozie siedział jak Żyd! — i lubo dosyć był otyły, skoczył na konia jak za dobrych czasów i zażył go, jakby żadnemu z nas lepiej się nie udało. Potem stępo wedle powagi swojej ciągnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, żem był opodal, bo radbym wszystkiemu się przysłuchał, ile że co tylko nasz książę powiedział, warte było być rytem na kamieniu. Książę był wzrostu słusznego, otyły; głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; wąs duży i zawiesisty, który głaskał, gdy był wesoły, a zakręcał do góry, kiedy bywał markotny lub poruszony; płeć biała jak u kobiety, nos długi, oczy jasnobłękitne duże, najczęściej pełne wesołości. W ochędóstwie wykwintny, bo zawsze przynajmniej dwa razy na dzień bieliznę odmieniał; a był ubrany dnia tego w mundurze ulubionym województwa wileńskiego, to jest: kontusz granatowy kusy, podszewka, żupan i wyłogi amarantowe, pas srebrny w amarantowe kwiateczki, szabla w jaszczur oprawna, bóty żółte z srebrnemi podkówkami; na tem wszystkiem płaszcz

z grubego sukna szarego, kuczbają podszyty, a po wierzchu zarzucona burka, spięta pod szyją srebrnym radziwiłłowskim orłem. Nosił jeszcze wielkie szarawary płócienne, oskurem wyżej pasa związane, a to żeby kontusza w podróży nie brukać. Do tego czapeczka karmazynowa czarnym barankiem okolona, kitajką bez waty podszyta: kładł ją na bakier na samym wierzchu głowy, ucha nie dotykając, chociaż mróz był dobry. Na bucie berłacz sukienny; rękawiczek nie znał, lubo znaczną część zimy pod gołem niebem przepędzał, łowami zajęty. Miał dowcip bystry, łatwo obejmował rzeczy, z historją narodu był obeznany; a nie tylko że znał doskonale procedencję i powinowactwa swojego domu, ale nawet i domów szlacheckich. Szlachcica najuboższego, byle karmazynowego, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlachectwa, jako neofitów, Niemców i popowiczów, czuł wstręt i do siebie przystępu im nie dawał. Z prawem krajowem był dobrze obeznany, a przewodnicząc po dwakroć trybunałowi litewskiemu, w tem urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym i w zdaniu raz przyjętem niezachwianym. Na obradach publicznych mawiał często, często nieprzygotowany, zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów, a lubiąc z drugich żartować, nigdy się sam nie obrażał, kiedy się mu kto odcinał. Pan dobry i kochający sługi jak dzieci; to też i oni za niego ubić by się dali. A choć był porywczy, że dobre miał serce, byle czem dawał się ubłagać: nie tak jak jego stryj chorąży, co po lat kilkanaście trzymał w łańcuchach wykraczające sługi. Kiedy szlachcic u księcia wojewody służbę dostał, mógł być spokojnym o los swych dzieci. Dla kobiet był tak grzeczny, że każdą z uszanowaniem w rękę całował, choćby żonę dyspozytora, byle szlachciankę. Obserwował pilnie przepisy religijne: codzień z szatnym śpiewał godzinki niepokalanego poczęcia, sobotę suszył, a w wielki piątek nawet dyscypliną się chłostał; za co też wielkich od Boga doświadczał błogosławieństw. Pił dużo i nie łatwo było dotrzymać mu placu. Jednemu Leonowi Borowskiemu nie mógł dać rady: ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale z pomiędzy sług i przyjaciół on był jeden, co tego dokazał.

Kiedy się kalwakata już do omniewiczowskiego dworu zbliżała, sędzia puścił konia swego w cwał, żeby księcia przed domem przyjąć; jakoż jego i gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy wyszły także na spotkanie gościa. Książę zsiadłszy z konia i po kilkakrotnie ucałowawszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zaczynając od gospodyni, w rękę pocałował: dostało się i mojej Magdusi. Potem wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca: — Jak się waszeć masz, kumie? — powiedział mu. W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł księciu do

nóg i rozbeczał się; książę podniósłszy go, zaczął łaskawie wypytywać o żonie i o dzieciach, a kazawszy sekretarzowi swemu Mikuciowi napisać mu kwit na dwie fury zboża, do wyboru Wawrzyńca, i sam wręczając mu go, powiedział: — Zanieś to odemnie twojej żonie. — Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cały dzień chodził nabuńdziuczony jak indyk. Jeszcze nazajutrz, kiedy przyszedł na folwark, upominając się u dyspozytora o owies dla gościnnych koni, kiedy mu ten powiedział: — Ach, mój Wawrzyńcze, czy nie przesadzasz? — Wawrzyniec odpowiedział: — Przesadzasz, przesadzasz; to ja to niby doliczyć się nie potrafi, to ja niby głupi, a niechno jegomość pójdzie do księcia pana i zapyta go, czy Wawrzyniec głupi; Bóg i ludzie wiedzą, że książę pan mnie zna i wczoraj od razu mnie poznał, i tak mnie powitał, jak gdybym był wielmożnym; toć już zdaje się, że mnie nikt za głupca trzymać nie może. — A że ja to wszystko z alkierza słyszał, za boki trzymałem się ze śmiechu.

Trzy dni hulaliśmy.

Książę był ciągle w przedziwnym sosie, animował do kielicha, tak że sędzia aż płakał z rozrzewnienia. Między inne zdrowia, książę sam wniósł prześwietnej palestry i każdemu z nas jakąś grzeczność powiedział, a gdy ja z innymi przybliżyłem się do niego, rzekł: — Sewerynie kolego, wasze był kiedyś de hajda, a teraz de jure; kiedyś to my nieprzyjacielskie łby płatali, a teraz przyjacielskie lampy. — Ja mu padłem do nóg jak długi: Niech książę pan tylko piśnie, dobre czasy nam wrócą, a pan stolnik litewski pójdzie fora ze dwora. — Książę wąsa do góry pokręcił, bo już był przyrzekł królowi więcej nigdy na niego konfederacji nie podnosić i mawiał często: Robiło się co mozna, ale teraz kto kocha ojczyznę, niech wiary królowi dochowa; panie kochanku, namnożyło się kapeluszów, czapkami rady im nie damy.

Wśród zabawy było się trochę zachmurzyło z następnej przyczyny: JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, przed kilku niedzielami, jako członek zadwornych sądów, był zjechał do Nieświeża na komisję księcia z kahałem nieświezkim i zakończył interes, zapewnie sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania. Ale książę jego nie lubił, bo w czasie bezkrólewia był z małej liczby Litwinów adherentów domu Czartoryskich, i z ich łaski otrzymał wysokie w prowincji naszej krzesło. Książę więc przy kielichu wspominając o świeżo odbytej komisji, powiedział mu niby żartem: — Powiedz prawdę, panie kochanku, wiele rebochem wziąłeś od Żydów? — Myślałem że na te słowa pęknie ze złości kasztelan. — Straszne rzeczy! powiedział (bo to było jego przysłowie), straszne rzeczy! senatorowi, orderowemu kawalerowi orła białego, powiedzieć rebochem; protestuję się przed wami, iż książę wojewoda w mojej osobie całe księstwo nowogrodzkie skrzywdził. — Na to się obruszył książę.

Nasz Rdułtowski, najpierwszy ze stanu rycerskiego, lubo sensat i poważny, ale przez żonę siostrzeniec księcia: — Panie kasztelanie, a jużci to za nadto posunąłeś się; chyba stworzyć trzeba takiego obywatela, coby wymówkę do osoby jego zregulowaną uważał być krzywdą całego województwa. — Na to kasztelan: — Ponieważ wszyscy dopuszczają mnie krzywdzić, więc ja nie czując się bezpiecznym w domu pana sędziego, wyjeżdżam. — Sędzia prawdziwie był w rozpaczy: klęczał przed drzwiami, prosząc kasztelana, ażeby mu tej krzywdy nie robił, wynosić się z domu. Ale książę pan widząc frasunek sędziego, przybliżył się do kasztelana, mówiąc: — Panie kolego, odpuść mnie to, com ci żartem powiedział. — Poprzestał na tem kasztelan i miał słuszność, bo gdyby się był wahał, tobyśmy się wszyscy obruszyli; nie wiedzieć, co mu do głowy przyszło, jakby konfidencja księcia mogła kogo obrazić. Rozgniewał się wójt gdański na króla polskiego. To też my wszyscy zrozumieli, że jeśli książę niby się uniżył, więcej to uczynił dla sędziego, niż dla niego samego. Ale też niedługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, jego plenipotenta, który po swojemu o tem zdarzeniu rozpowiadał z krzywdą księcia, a jako o słyszanej rzeczy, bo z nami w Omniewiczach nie był. Skutkiem tego wypadku kilkunastu nas jurystów z taktowego regestru zapozwanemi zostali, a na mnie się zmełło. Bo gdy wizja odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały: nie śmiałem odprzysiądz się, lubom tego nie pamiętał, bo w zapale być to mogło. Skazany więc zostałem na sześć niedziel wieży i zapłacenie tysiąca grzywien. Grzywny chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, a wieżę musiałem odsiedzieć; alem tego nie żałował. Książę pan pamiętny, żem cierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebie by się zrobił. To też przy łasce księcia JMości (niech go Bóg błogosławi na wieki), a przy pomocy boskiej, z tego się zrobiło wszystko co jest. — Co się zaś tyczy JW. kasztelana, przeprosiny księcia dały mu się we znaki: bo książę na ich dopełnienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajszyc, rezydencji kasztelana, który będąc wielce oszczędnym, nie mało w duchu się nafrasował, że trzeba było przez dni kilka okazałego i licznego gościa swoim chlebem przyjmować; a przecie rad nie rad musiał się okazywać wesołym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pyszny i chciał nie po szlachecku, ale po pańsku wystąpić. Dobrze tedy opłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny, i oprócz porządnego spadku miał kilka intratnych królewszczyzn.

Tak więc chmura prędko rozpędzona została i już nic zabawom naszym nie przeszkadzało, i owszem z powodu zgody

jeszcze gęściej kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięto się do kijów szklannych. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij szklanny był dęty: gdy napełniwszy go winem, przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej pijący został obryzgany, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie; gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięztwa jeszcze kielich wypił do Wawrzyńca i jemu go oddał, napełniwszy swoją ręką, o własnej sile poszedł do sędziny, z nią zmówił litanję do Najświętszej Panny; to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył, zdrów, jak gdyby nic nie pił.

Nazajutrz w ostatni wtorek był z rana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza nowogrodzkiego, z panną Agnieszką Haciską, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego opiece będącą. Jej ojciec chorąży pancerny, zacny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale w czasie Konfederacji barskiej znacznie się odłużył, swoim kosztem sztywtując chorągiew, na czele której pod Sochaczewem poległ. Majątek jego okropnie spustoszony został przez Moskwę, zgołą że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dziatek: a i ta nie długo płacząc, złączyła się z godnym małżonkiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swojego, który lubo młody, już najsędziwszych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro sędzia więcejby się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki wydźwignął, gdyż cały majątek poszedł na satysfakcję wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów własnym kosztem zaspokoił, ażeby duszę szwagra oczyścić, a wieczny odpoczynek jej przybliżyć; a jego dzieciom dał wychowanie przystojne. Starszy syn wyćwiczywszy się w palestrze, został regentem grodzkim nowogrodzkim; młodszy był pokojowym u księcia wojewody. Starsza córka Katarzyna, lubo trochę ułomna, wielkie szczęście miała do ludzi. Niejeden majętny kawaler o jej przyjaźń się starał, ale ona najlepszemi postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Sam byłem na jej obłóczynach w klasztorze paniem Benedyktynek nieświezkich. Sędzia chciał być na nich jako wuj, ale nie mógł dotrwać do końca; bo lubo nie sprzeciwiał się powołaniu boskiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedmnaście lat mająca, której zaręczyny z w. cześnikowiczem się odbywały. Z rana, gdy się goście zebrali na pokojach, pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna do panny chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotny związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót

i skromnego wychowania chorążanki, jako też koligacji z jednym z najzacniejszych domów w województwie, więc dla syna o jej rękę prosi w. sędziego jako drugiego jej ojca, a razem księcia wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować księcia, bo co najlepiej lubił, to kojarzyć małżeństwa. To też natychmiast wstał i wpół ścisnąwszy sędziego, rzekł: — No, panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew: niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko; bo jak zaskoczy popielec, na czterdzieści dni klampka zapadnie. — Ojciec i syn ucałowali kolana JO. swata za wstawienie się łaskawe; a gdy pan sędzia oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel jak w. cześnik szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i w nadziei że Jagusia wstrętu ku temu nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan cześnikowicz jak długi padł mu do nóg, i toż samo sędzinie. Książę wziął za ręce chorążankę, która drżała jak liść osiny, i zapytał ją: czy zgadza się z wolą wujaszka iść za cześnikowicza. Chorążanka w płomieniach, ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. Książę: — Głośniej Jagusiu — a ta jeszcze więcej się zmięszała. Książę tedy: — No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho, ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą — i wziąwszy ją wpół, ucho do jej ust przyłożył. Po niejakim czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wykrzyknął: Zezwala. — Biedna chorążanka ledwo nie zemdlała, kiedy cześnikowicz padł jej do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorążanka wysunęła się z pokoju. Pan cześnik powiedział: — Ja dymituję synowi Kozarkę, folwark mający 10 dymów, a po mojej śmierci będzie się miał jeszcze czem dzielić z braćmi, a wypuszczając mu wieś, dam mu świeronek zapaśny, iż na niczem młodemu gospodarstwu zbywać nie będzie. — Co do mojej siostrzanki, rzekł sędzia, jej posag aktom wiadomy: ma ona swoich szesnaście tysięcy pięćset złotych, które po zapisaniu ewikcji panu cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję. — Wtenczas książę odezwał się: — Na co pan Karol ma ewikcją obciążać swój majątek. Ja sumę przyjmuję, a w procencie wieś przyszłej pani cześnikowiczowej wypuszczę. — Skłoniwszy się stolnik, powiedział: — Ponieważ wasza książęca mość łaskaw, nasze dzieci a przyszłe sługi swe swoim chlebem karmić, więc ja szacunek wyprawy trzy tysiące gotowych dołączę, a całkowity posag synowej mojej dziewiętnaście tysięcy pięćset ulokowany zostanie w kasie waszej książęcej mości. — Książę powiedział panu Mikuciowi, że jedną z wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, i dodał: — Niech inwentarz będzie przyjacielski. — Pan Mikuć

podał regestr folwarków do puszczenia będących (który to regestr zwykle przy sobie nosił), a gdy pan cześnik wybrał Borowicze, tęgi folwark w Słuszczyznie, przeszło trzydzieści chłopa mający, książę powiedział: — Jaki addytament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borowicz. — Po najpokorniejszych dziękach pan sędzia wyrzekł: — Wasza książęca mość i wy szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich obecności sam intercyzę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić. — A wziąwszy pióro i papier, od razu zaczął pisać tranzakcję, wedle zwyczaju poczynającą się od procedencji państwa młodych. Dziwną łatwość miał sędzia do pisania: nic go rozrywać nie mogło; nieraz pisząc, do dyskursu się mięszał, a omyłki nie zrobił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał, i dość obszerną intercyzę w pół godziny skończył. Po głośnem onej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nowy kłopot dla chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby; trzeba jej było z narzeczonym zamienić pierścionki, klęknąć z nim przed wujowstwem i ojcem, dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed księciem, z intercyzą w ręku, by podziękować mu za szczodrotę i prosić go o podpisanie się za świadka, co JO. książę uczynił, naprześladowawszy chorążankę żarcikami. Podpisał się także kasztelan Jeleński i chorąży Rdułtowski. Nie co dzień czyta się taka intercyza; bo mieścił się w niej porządny kawał chleba, a zdobiły ją mitry, krzesła i ordery. Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie pańskie, z woli sędziny, pomimo licznych próśb, aby go przyspieszyć. A to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła: — Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już się kończy lat trzynaście jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam. — Sędzia rzucił się w jej objęcia i rozpłakał się, my wszyscy się rozrzewnili, i księciu wojewodzie kilka łez na wąs upadło. Jeszcześmy nie odeszli z rozrzewnienia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama wesołość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia zaręczonych; piliśmy także: Niech żyją połączone domy. A gdy przyszło do pląsów, którym książę dał hasło, w pierwszą parę wziąwszy pannę chorążankę, i coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewika panny Agnieszki, piliśmy także z bóta księcia wojewody i na przemian szły tańce: mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami. Dopiero w samą północ, na zakończenie zapust, książę wziąwszy panią sędzinę, a każdy z nas damę swoją, poszliśmy drabanta, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem, ksiądz gwardjan bernardynów miał do nas egzortę. Ostrzegłszy on nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadszedł czas pokuty i postu, zaprosił wszyst-

kich do modlitwy. Słudzy zaczęli wypuszczać z klatek wróble, a my z księdzem zaczęliśmy śpiewać «Gorzkie żale», aż ściany się trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardjana nad naszemi wszystkiemi się unosiły. Kilka godzin klęczeliśmy, aż dopiero poszliśmy z gwardjanem do cerkwi unickiej, niedaleko dworu będącej. Tam ojciec gwardjan miał mszę o czwartej z rana; sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do tych słów: Cum jejunatis nolite fieri sicut Pharisaei, wszyscyśmy do pół szabli z pochew wydobyli, głowy czapkami nakrywszy, a to na znak, iż gotowi jesteśmy walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy książę wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan rycerski, urzędnicy wprzódy, dalej my szlachta, potem słudzy, ordynkiem po dwóch postępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstej z rana. Jak w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w sali obiednej. Siedliśmy do postnego obiadu: wszystko było na oleju; ale część gości i same gospodarstwo mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami tylko się posilali. Gdyśmy spostrzegli, że książę wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odważaliśmy się dogadzać żołądkowi; a choć tem małem umartwieniem, każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie była widać u stołu, tylko miód i piwo. Po obiedzie wszyscy rozjechali się. Ja z moją Magdusią puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w ubogim naszym dworku.

IX.

TRYBUNAŁ LUBELSKI.

I.

Ośmdziesiąt lat mija jak bieduję na tym padole płaczu, a i drugie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdy bym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem, ani młokosem, ale już miałem blisko lat czterdziestu. Lubom starzec, nie zazdroszczę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzeli. Doczeka się i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki to nie będzie co było. I nasze trybunały były pełne powagi, i było na co patrzyć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy był ledwo nie dwomaset laty i więcej narodom sprawiedliwości wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w Koronie ledwo nie trzydzieści. Otóż kiedy Konfederacja barska się rozwiązała, kraj pierwszy raz podzielono, a mój pan już nie żył, osiadłem jak to powiadają: jak na lodzie. Miałem ja chętkę i w wojsku rzeczypospolitej służyć, i o tom się starał; ale departament przyjmował konfederatów barskich z równą uprzejmością jak pies jeża. Cóż tu było robić? Przypomniałem sobie czasy dawne, jakto ja kiedyś u wuja relacje pozwów przepisywałem. Pomyślałem sobie: Pójdę do palestry obywatelom służyć. Coś się z prawa pamiętało, reszta się douczy: nie święci garnki lepią. Pomagali mnie też ludzie. W Polsce kto się bił za ojczyznę, a jeszcze coś dla niej oberwał po kościach, między swoimi z głodu nie zginie. Pan Fabjan Wojniłowicz, regent ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim łepaku, kto nie chciał, prawa by się nauczył, a cóż dopiero fałdów przysiedziawszy! Wkrótce człowiek

wprawił się stawać jak potrzeba, a że w kieszeń pacjentom nie bardzo zazierał, szlachta powierzała interesa. Właśnie wtenczas na rękę mi poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia wojewody, ożeniwszy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową, której wydźwigiwał majątek nieco zawikłany, musiał się przenieść na Białą Ruś, a zatem księciu podziękować. Wielu było ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić, i mocne były intrygi. Ale książę z własnego instynktu przypomniawszy sobie, że widywał mnie w bitwach i że parę razy byłem do niego posłany z sekretnemi instrukcjami przez JW. Ogińskiego, wojewodę witebskiego, wówczas pana mojego, przez wzgląd na te moje jakieś zasługi dla kraju, powierzył mi atentowanie wszystkich spraw, jakieby mógł mieć tak w ziemstwie jak i w grodzie nowogrodzkim.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Książę przybywszy do Białej, nie długo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która przez wielkie forsy przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki, a okoliczności, z których wynikła, głośnemi są dotąd na Litwie. Książę Sierotka żył w ścisłych stosunkach z JW. Iliniczem, wojewodą brzeskim litewskim, co miał wielkie dobra, a między innemi Białę, w której mieszkał. Kiedy więc powziął zamiar odbycia pielgrzymki do ziemi świętej, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż ta jest niebezpieczna, iż można było zakład trzymać, że się z niej nie powróci. Książę, będąc kawalerem i nie mając sukcesorów, prócz książąt Radziwiłłów, upartych kalwinów, którzy go z powodu, że rewokował, ile mogli prześladowali, a tem i on do nich nie wiele miał serca, i nie rad był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały wzbogacić nieżyczliwych krewnych, umyślił majątkiem swoim obdarzyć przyjaciół. Te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając, prosił go o radę. Na to pan Ilinicz: — Jak zrobisz testament, mój książę, a Pan Bóg ciebie do kraju nie wróci, ci, których obdarzysz, nie będą korzystali z twojej szczodroty. Ty wiesz, że w naszem prawodawstwie żaden testament nie jest tak mocnym, aby interpretationi nie podpadł. Krewni twoi Radziwiłłowie birżańscy są silni, oni rej wodzą dysydentami obudwóch narodów, a w Litwie i katolik nawet po twojej śmierci nie odstąpi; zwalą twój testament, owładną twoje dobra i napełnią je bombizami. Ja bym ci radził, nie testamentem, ale formalną tranzakcją rozporządzać majątek. — A to jakim sposobem? zapytał książe. — Ty nie żonaty, odpowiedział JW. Ilinicz, ja dzieci nie mam:

zróbmy więc między sobą tranzakcję na przeżycie. Ja pierwej umrę? wszystkie dobra twoje; Pan Bóg ciebie pierwej zawoła do chwały swojej? Słuczczyzna, Kojdanowszczyzna, Siebież i co tylko teraz posiadasz, będą moje: a zjedzą djabła kalwini, jeżeli mnie jedną włokę twojej ziemi wydrą. — Zgoda! — powiedział książę. Zaraz oba panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie tranzakcji. Książę Sierotka puścił się na pielgrzymkę. Minął rok jeden i drugi; już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia; bo chodziły wieści, raz że okręt, na którym płynął, rozbitym został, raz że z dżumy umarł, inny raz, że bisurmanie go zabili. A że wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszej wiadomości; pięć księstw i trzynaście hrabstw nie piechotą chodzą! Ale człowiek sporządza, Pan Bóg rozrządza. Książę Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy anioła swego przebył i zdrów wrócił: szukał śmierci po szerokim świecie i jej nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo kiedy książę Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo kilka dni zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białę, aby przyjaciela uściskać — aż wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo okazały, zapytuje, kogo to prowadzą, i dowiaduje się, że JW. wojewodę Ilinicza, którego przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książę i szczerze po nim płakał, bo był czułego serca, jak kroniki o nim piszą, i nie było cnoty, którejby nie posiadał. Ale że tranzakcja jak wół była wyraźna, dostało się mu czem łzy obetrzeć i ubogim za duszę nieboszczyka świadczyć. Biała, Sławatycze, Zabłudów, Mir i tyle innych dóbr iliniczowskich weszły w dom Radziwiłłów. Tak jemu pielgrzymka i na ten i na tamten świat pomogła, bo był wart tego. Żona wojewody Ilinicza, Tarłówna z domu, miała posag swój oparty na dobrach męża: książę Sierotka, chociaż ona nie miała dożywocia, pokąd żyła, nie tykał ich, zostawując jej wszystkie dochody; a ona wywdzięczając się za tę łaskę, listem własnoręcznym zapewniła księcia, że ani sama, ani jej sukcesorowie o jej posag nigdy upominać się nie będą, gdyż aż nadto została zaspokojona. Ale potem Tarłowie zaczęli pieniać księcia, jakoby takie ustępstwa kobiece nie listem, ale tranzakcją przyznaną w asystencji krewnych mają się robić. Przez lat półtorasta o to wszczynały się i urywały sprawy. Książę Michał Radziwiłł, hetman wielki litewski, ojciec księcia wojewody, na trybunale lubelskim zjechał się był z Tarłą, wojewodą lubelskim, który mu nie mało nadokuczał, będąc najzuchwalszym z ludzi. Ale wtenczas na niczem spełzło, a wkrótce JW. wojewoda lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, zginął w pojedynku od JO. księcia Poniatowskiego, podkomorzego koronnego; o którym to pojedynku wiele było gadania. Sprawa do-

stała się w spadku JO. księciu Lubomirskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu, którego natenczas spodziewano się w Lublinie. Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski, sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyczące się tej sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w której siedziałem, dodano mnie pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale Paliwoda, jakiego świat i korona polska nie widziały. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputatował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijaka. Oddał go był do palestry, chcąc mieć niedaleko oka; ale ten więcej szabli niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowie przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucharlawy, figura niepoczesna; ale mało ludzi równej siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznajomych i udając mazgaja, przyjść do zaczepki. Pozwalał najprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubem, żeby być wyzwanym, dopiero minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku, a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojcem dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią w. sędziego upitskiego, więc miałem przewagę na panu Bartłomieju i wierzył mnie. Bywało nieraz umityguję go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał się mię w drodze o Koronie. Razu jednego mówi mnie: — Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami; szczególnie radbym poznał jakiego Łęczyczanina. — A to czemu? — Temu, że kiedy mnie w szkołach męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzy mówią: bić się po djabelsku, a Polacy: bić się po łęczycku. Tyle mi się zostało z całej francuzczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu. — Ej, porzuć panie Bartłomieju pleść takie koszałki opałki. Czy nie wiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą świętą! Waćpan całe życie guza szukasz, a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie: to książę waćpana nie każe wypuścić ze stancji. — Panie Sewerynie; ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał, ale dla Boga! księciu

panu o niczem nie wspominaj. — Myślałem że się panicz utemperował; bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy się spuszczali z góry, naszelniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przeląkłem się mocno i zrobiłem intencję, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójdę do spowiedzi i komunji. Jakoż lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencji, bo książę kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłumaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie i księcia pana wielkimi przyjaciołmi. Szczęście że książę miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkiemi przywilejami od nuncjusza, bo inaczej byłby mszę świętą przypiekł. W istocie konferencja po dwunastej się zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. Bazyljanów i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza że mnie wyspowiadał, ale przyjęcie ciała i krwi Pańskiej do jutra odłożyć musiałem.

Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołoniewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś koligację z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypiło, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niem obracać. On to mawiał: że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego koligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Książę pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad ww. Radziszewskiego i Rupejkę, cywuna ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował, więc przy mnie, jako plenipotencie specjalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać, a jednak nie bardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanji. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie jurysdykcje były pozamykane, a urzędnicy, pacjenci i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych: więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip,

za któremi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się: — Nie źle byłoby siąść na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka. — Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójdę do gospody i każę go wynieść. — Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należącej, jakem wnosił z ich pąsowych lubelskich kontuszów. Ja im się ukłonił, oni mnie, i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip: widzę pana Bartłomieja siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyspie u karczmy. Oni stali kołem przy nim, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nieprzelewki; przybliżyłem się do niego, a on mi, mazgaja minę zrobiwszy: — Panie Sewerynie dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniarzowskim językiem; a ja ich nie ze wszystkiem rozumiem. — Aż jeden z pąsowych panów: Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurysdykcja trybunalska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi ztąd wyjść albo mąką, albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mamy zmleć, a którego skrupić? — Ja im na to: Moi panowie! jam już za stary abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunji przystępuję. Powtóre, będąc tu w interesie księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzic ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi panowie, puśćcie nas spokojnie. — Między nimi był, jakem się później dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z Bracławskiego, który wiedział o interesie księcia, i że jego mecenas nim się trudni. Ten się odezwał: Panowie koledzy! to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonji. — A czyście mnie ze swego spichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli? — Tyś się naszego kamienia dotknął, to jużeś nasz. — A jakże wy mnie mleć będziecie? — Powiedzno bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby? — A dla ozdoby. — To my ciebie wyuczym, jak się z nią obchodzić: wstawaj i dobywaj szabli. — A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się odemnie, a mleć kogo z waszych; bo zboże litewskie dobrze ususzone i twarde. — Obaczymy! — odezwał się jeden — czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać; wstawaj więc bracie. — A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić, niż bić się. — Już to za późno,

bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy ciebie wypłazowali. — No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie masz między wami Łęczyczanina jakiego, niech się nie męczę! — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając: — Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku! — Tak ja: Panowie dobrodzieje! posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was wszystkich starszego. Wszak to w tym samym Lublinie zrobiła się unja Korony z Litwą: poruszą się zwłoki przodków naszych, jak się Litwini z Polakami w temże mieście powodzą. Czyby nie lepiej na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagiełły, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili. Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie żebym posłał za winem i was uczęstował w tej gospodzie. — Zaczęła się miękczyć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła: — Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza; on nie wiedział o prawach naszego młyna. — Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzła, i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się, drapiąc w głowę: — A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie. — Słuchaj bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich jakiś sam. — Nie gniewaj się w. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko serjo mówię. A wiesz dla czego wolałbym z biedy potykać się z Łęczyczaninem, niż z waćpanem? bo mówią, że Łęczyczanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mnie wróżyła: że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakiem spojrzał na w. marszałka, bardzom się go przestraszył. — Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości, i dobywszy szabli, z największem impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swojego smyczka, plunąwszy w rękę i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bolu, ile z konfuzji, stał jak wryty. — A nu! — odezwał się pan Bartłomiej — myślałem że się bić z koroniarzem wielka filozofja, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować. — Poczekaj gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, a i drugi smyczkiem po łbie dostał. Stanął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczyczaninem, oto masz go tu. — Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał. — A to djabeł, nie Litwin — odezwali się koroniarze. — Słuchaj, panie bracie, tyś zadrwił z nas: udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej prepetycji. Jeżeliś temu rad, ofiarujem ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, cho-

ciażeś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziem. — — Omne trinum perfectum — odezwałem się — będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami. — Zgoda! — odpowiedział Bartłomiej — ja jak mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, to jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń. — Zaczął się z nimi całować, przepraszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: — Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie. — Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka jego samego i kolegów rannych: my piechotą, a ranni na furmance u żyda najętej. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomieja, alem go jeszcze więcej jak wprzódy pokochał, bo tak i honor prowincji litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału; mnóstwo było palestry i pacjentów w ustępnej sali: było tego więcej dwóch tysięcy, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłumacząc. W sali sądowej stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkiemi złotemi literami: Justicias vestras judicabo. To nas uderzyło, że Chrystus Pan miał twarz obróconą tak, że jej rysów nie można było widzieć; ale nasi przyjaciele powiedzieli nam, że snycerz nie był go tak wystawił, i owszem Chrystus Pan wprzódy na trybunał patrzył, ale przed laty pewien wypadek stał się przyczyną tej zmiany.

Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: — Żeby mnie sądzili djabli, sprawiedliwszy byłby dekret. — A że sumienie kłuło nieco deputatów, na roki jej nie pozwano, i wszyscy udali, jakby nie słyszeli, z czem się odezwała. I że to było pod koniec sesji, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni jako i świeccy: została się tylko kancelarja i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowach i ogonami, które się pod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej, zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarkowali się pisarze i kancelarja, że to byli djabli,

i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali co z tego będzie. Wtem djabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże wdowy. Przystąpiło do kratek dwóch djabłów jurystów: jeden pro drugi contra stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie djabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie djabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąść pióro. Zbliżył się pisarz pół umarły z bojaźni i przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi niż trybunał przenajświętszą krwią jego wykupiony, i w którym tylu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tem objawienie świątobliwy jeden bazylianin lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzedajności w sądach, świętokupstwa w księżach i pieniactwa w szlachcie. Ów dekret djabli podpisali (a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu), i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnej sesji trybunał znalazł djabelski dekret, gdzie był położony, bo rozumie się, że nikt z kancelarji ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach, a że akta nikomu nie są wzbronione, kto zechce, może go odczytać, nawet ekstraktem wyjąć.

Podczas gdy my się zastanawiali nad tak niesłychanym wypadkiem, usłyszeliśmy woźnych różnemi tonami powtarzających: — Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie! — a potem znowu: — Ustąpcie się! JW. Poznański idzie! — i tak ciągle coraz innego jaśnie wielmożnego mianując. My czem prędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwoma linjami palestry i pacjentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkiem skinieniem głowy odpłacając nizkie ukłony, z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnów i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie, uciszcie się, uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie. — I prawda, że w tak licznem zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między któremi przechodził, ukłonem ziemi prawie się dotykał, i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnieniem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło i między nimi JO. książę wojewoda wileński z JO. marszałkiem wielkim koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając, chociaż się prawowali; bo wielki dla siebie wzajemnie znali szacunek, ile że pomimo kilkokrotnych krwi związków, JW. Rzewuski, hetman polny koronny, a księ-

cia wojewody szwagier, miał wkrótce łączyć się w dożywotniej parze z córką księcia marszałka, księżniczką Konstancją, panią, która i pięknością i rozumem wszystkich zachwycała. — JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia wojewodę wileńskiego i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźniowie im krzesła poustawiali: bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność usuwali się. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni creator*, a deputaci duchowni wszyscy, i niektórzy świeccy, jakoż wielu z palestry i pacjentów wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć. JW. marszałek trybunału uderzył laską i rozkazał woźnemu, aby ogłosił gotowość sesji, a ten stanąwszy na progu ustępnej sali, tubalnym głosem wykrzyknął: — Mości panowie! najjaśniejszy trybunał przywołuje was do atentowania i słuchania spraw. Agitować się będzie rejestr ordynaryjny; kolej przypada na województwo krakowskie. Mości panowie, gotujcie się! — Rejent trybunalski głośno przeczytał wokandę, a sprawa JW. Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powodu z ww. Dembińskimi, chorążycami krakowskiemi, o *avulsa* margrabstwa pińczowskiego wprowadzona została. Pan Koźmian stawał od strony powodowej, a pan Plichta bronił ww. Dembińskich. To lubo były indukta, ani Demostenes, ani Cycero lepiejby nie mówili. Odbyło się jeszcze kilka innych wpisów na tej sesji; bo JW. marszałek bardzo był czynny i co sesji kilka dekretów ogłaszał.

A co to była za okazałość! Deputaci duchowni w rokietach koronkowych, deputaci świeccy w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze pąsowe, kołnierze i podszewki zielone, białe żupany. Taki to mundur nosił tego dnia i nasz książę, jako obywatel województwa lubelskiego, w którem oprócz innych dóbr, miał hrabstwo woszczatyńskie, także po Iliniczach, i na tem to hrabstwie pozwy od sukcesorów tarłowskich były kładzione.

Po sieniach hajduki, pajuki, węgrzynki, a strzelców, a hałastry, a kozaków, co nie miara; na rynku karety, kolasy, konie — i papież nie powstydziłby się niemi jeździć; a srebro, a złoto wszędzie aż kapało. Na trybunale szlachcic poznawał wielkość swojego narodu. To kiedy po sesji wracając na kwaterę, przechodziłem po pod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towarem zagranicznym handlują i wzbogacają się naszym groszem, tom z litością na nich patrzał i pomyślałem sobie: Nie zazdrościm wam, że u was każdy, jak mówicie, w kamienicy się rodzi, i że u was obfitość figielków stalowych i kościanych. Coby wam było z waszego dowcipu bez naszych pieniędzy!

Ani macie, ani mieć możecie tego co my. Gdzie się jaki nasz pan pokaże, to ani się opędzi od Francuzów, Włochów, Niemców; a żaden z nas do waszych panów nie lezie.

Tego dnia był obiad wielki u JW. prezydenta, na którym był nasz książę i JO. jego antagonista; tam się też zrobił początek zgody między nimi. Ksiądz Bykowski, deputat kapituły łuckiej, a który dzierżał infułę ołycką z kollacji JO. księcia wojewody wileńskiego, wielmożnego Radziszewskiego i nas wszystkich dworzan księcia zaprosił do siebie na obiad, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. Ciągle dawały nam się słyszeć wiwaty z armat tym, których zdrowia spełniano u JW. prezydenta.

Tego wieczora byłem w teatrze, i przyznaję, żem się bardzo niecierpliwił. Bo człowiek radby wiedział o sztuce granej, i nakoniec za to zapłacił, ale nie było sposobu. Co zacznę słuchać, to w prawo i w lewo taki hałas, że człowiek nie wie, gdzie się znajduje. Jak pokaże się wyżej czy deputat, czy jakiego deputata żona, krzyczą z dołu wiwat, że aż ściany się trzęsą; a niektórzy wina każą przynieść i wołają na komedjantów, żeby granie przerwali, pokąd kielich rąk nie obejdzie. Dopiero potem pozwolą biedakom dalej rzecz swoją prowadzić, póki jej na nowo nie przerwą. Tak sztuka około jedenastej się skończyła; a tylem o niej wiedział, powracając z teatru, jakbym nigdy ze stancji nie wychodził. Postanowiłem sobie, pokąd będę w Lublinie, na teatr nie chodzić i czterech złotówek we wodę więcej nie rzucić.

Nie długośmy bawili w Lublinie; bo jak przyjechał brat JO. księcia marszałka, pan krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, która od dwóchset lat trwała; w kilku godzinach się skończyła. Książę wojewoda wileński odstąpił na rzecz książąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcesji po Szydłowieckich, a książęta zakwitowali go z posagu JW. wojewodziny Iliniczowej. Komplanację sam JW. marszałek trybunału swoją ręką napisał, a strony ją podpisawszy, osobiście przyznały. Ekstrakt komplanacji przynieśli księciu plenipotenci książąt Lubomirskich, którym nasz książę rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a my podobnież takowy ekstrakt zanieśli książętom Lubomirskim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze dotąd nigdy nie widział żadnego kanclerza krakowskiego, który z urzędu swojego jest P r i n c e p s S e n a t u s obojga narodów. Co dostał wielmożny Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że pan Husarzowski, marszałek dworu księcia Lubomirskiego, wręczył mi tabakierkę papierową, ale ciężką, bo w niej było sześćdziesiąt czerwonych złotych, z których dnia tego użyłem dwadzieścia i cztery na kupno antała wina u Jokisza węgra, a to

prawdziwego maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewka urodziła. Ten antał wyprawiłem na Litwę z transportem księcia pana: takim sposobem dostał się do Doktrowicz, że o nim nikt nie wiedział, pokąd na weselu tejże córki łaskawi przyjaciele ze mną go nie wysuszyli.

II.

W czasie naszego pobytu w Lublinie cudowny zdarzył się wypadek. W. Kurdwanowski, możny obywatel, który rej wodził partji tego to hetmana Branickiego, co potem zaniósł ojczyznę tam, zkąd dostał żonę, był wielkim pieniaczem, i ani w Żytomierzu, ani w Włodzimierzu, gdzie miał dobra, nie było kadencji bez kilkunastu jego wpisów; toż samo i w trybunale. Plenipotenci hetmana jego spraw atentowali, plecy miał silne: biada szlachcicowi, co z nim sąsiadował; a taki był uparty, że nie znał co to się zgodzić, i pieniał się do upadłego. Była wdowa mająca wioseczkę niewielką w środku jego dóbr, którą bardzo życzył nabyć w. Kurdwanowski, i kilkakrotnie o to się zgłaszał. Ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, zbyć nie chciała swojej wioski, lubo jej wartość pewnie nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanej. Otóż rozgniewany w. Kurdwanowski tym, jak go nazywał, uporem wdowy, ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędzmi dokazać nie mógł. Miał on sobie obowiązanym neofitę Abramowicza, który liznąwszy jurysterji, do wszystkich brudnych interesów był sposobny: jakoż podobnemi na obywatela się wykierował, że już miał pod Berdyczowem kilka wiosek, które potem dzieci jego odziedziczyły, a przecie żadnego nie opuścił, byle mu coś kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego niecnotę, układa z nim następną machinację. Dziad pani Glinkowej od antecesorów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioskę, która go teraz tak mocno tentowała; a donacja, kontrakt rezygnacyjny i kwit de pretio były na to w aktach żytomierskich. Przekupują tedy niejakiego Chamca, plenipotenta pani Glinkowej, aby oryginały z pomiędzy jej papierów wydobył i im oddał, które dostawszy, jadą natychmiast do Żytomierza i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają u Rojeckiego, pisarza ziemskiego tamecznego, iż z akt wydziera oblatę tychże dokumentów. Tak zatarłszy wszelki ślad nabycia wsi, zapozywa w. Kurdwanowski panię Glinkowę o nieprawne posiadanie, sine nullo dato et accepto, jego majątku.

Napastowana wdowa, ufna w świętość swojej sprawy, a nie mniej w światło i przyjaźń Chamca, czeka wyroku co jej spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportację dokumentów. Pan Abramowicz jako plenipotent przysięga, bo tak w. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło, iż nie był na sprawie. Pan Chamiec zaprzysiągł także komportację dokumentów, będących w jego ręku, z których zniszczył te właśnie, co stanowiły cały interes jego pryncypałki. A tak sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował Rojecki pisarz, a który nakoniec może i sumiennie postępował, bo tak i sądzi się z dokumentów, nie z własnej wiadomości, przysądził panu Kurdwanowskiemu wieś z kalkulacją od lat kilkudziesiąt. Majętna wdowa, zagrożona tym dekretem z trojgiem dziatek być bez kawałka chleba, apelowała do trybunału, a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale w Koronie dwa dekreta trybunalskie conformiter zapadłe stanowią dopiero konwikcję. Właśnie kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa na stół przychodziła. Spieszył na nią pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał przytem wielu deputatów za sobą i miał czem ich nabywać; a sumienie swoje już był zwyciężył.

Jadąc do Lublina, gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiej. Tam widzi marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby jemu nieznajome. Marszałek ogłasza, iż sądzić się będzie regestr taktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi pana Chamca. Jakież było zdziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc wprowadzenie jego sprawy ze wszystkiemi okolicznościami jego zaprzedajności i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę pryncypałki! Po wysłuchaniu tej sprawy, w kilku słowach marszałek ogłasza dekret skazujący na śmierć Chamca; a po przeczytaniu onego każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Rojeckiego. Słyszy w. Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak pofałszował akta, i t. d., a marszałek równej krótkości dekret jak poprzedzający ogłosił, pana Rojeckiego toż samo na śmierć skazując. Czeka więc (zawsze we śnie) co tu dalej będzie. Słyszy że z kolei regent czyta dwa następne wpisy: Urodzonego Abramowicza i w. Kurdwanowskiego; marszałek oba wpisy połącza i każe wprowadzać sprawę. Tu słyszy w. Kurdwanowski instygatora tłomaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodziło, iż trybunał skazawszy na śmierć patrona Chamca i pisarza Rojeckiego, nie może mniejszej kary naznaczyć Abramowiczowi, co był główną sprężyną całej tej zbrodni-

czej tajemnicy; a cóż dopiero w. Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi jako istny szatan tych wszystkich nikczemników skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku: on, co będąc z starożytnego na Podlasiu rodu, powinien by przykładem do cnoty wszystkich zagrzewać, związał się z przechrztami i ludźmi podejrzanego szlachectwa, aby biedną wdowę, prawdziwą jak on szlachciankę, zgubić. Jakażby była sprawiedliwość najjaśniejszego trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła p. Kurdwanowskiemu, i gdyby ten, co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary? Po skończonym indukcie, nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedziawszy, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: — Odkładam sesję do Wielkiej nocy — i silnie stuknął laską, a pan Kurdwanowski się przebudził. Uczuł się zmęczonym tak dziwnym snem, przygotował się w dalszą drogę i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego djabeł przeciw Panu Bogu patronować i wmawiać mu: że sen mara, że o tem myślał, więc to się i przyśniło; że raz zacząwszy, ambicja każe kończyć; że prawo jest gatunkiem wojny, w której wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć; że kto przekupuje, za łeb nie bierze, więc ci, co zaprzedali sumienie, o sobie niech myślą; a on w czemże tak bardzo wykroczył? Nawet okazał sumienie dość delikatne, bo nie sam, ale umocowany jego zaprzysiągł komportację dokumentów; że nakoniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, może znaleźć sposobność i panią Glinkowę wynagrodzić: tak i do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy, zaczął chodzić koło swej sprawy i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami, gdy pan Chamiec wiózł pana pisarza Rojeckiego na jakąś kondescencję, most się pod nimi zawalił i pana Chamca wyciągnęli z pod mostu bez duszy, a pan Rojecki w kilkanaście godzin po tym przypadku skonał.

Dopiero w. Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę. Nie tylko że zakwitował panią Glinkowę ze wszystkich pretensji do jej majątku, ale z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego przyczyny, i klęcząc w obliczu nas wszystkich prosił, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który mu Pan Bóg łaskawy zesłał, a który w części już się ziścił. To mu wielką zjednało sławę; bo przyznanie się publiczne do winy, skrucha prawdziwa i zadość uczynienie dobrowolne, są rzeczy nadludzkie i tylko ulubieniec boży może je uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany i my szlachta wielceśmy się z postępku pana Kurdwanowskiego zbudowali, a ten dowód nowy niegarnionych a tajemnych rozrządzeń bożych pewnie dla nikogo straconym nie został. Odtąd pan Kurdwanowski zupełnie

odmienił prowadzenie swoje, wszelkiego pieniactwa poprzestał i wiódł życie chrześciańskie. Ale słowa we śnie słyszane: «odkładam sesję do Wielkiej nocy», utkwiły w nim, bo przez nie rozumiał, że w czasie Wielkiej nocy koniecznie umrzeć musi. Co roku potem przez cały wielki post gotował się na śmierć, rachując się ściśle ze swojem sumieniem. Jakom się dowiedział później, w samej istocie umarł w czasie świąt wielkanocnych, w podeszłym wieku, bo już i natenczas, kiedym go widział w Lublinie, nie był młody; a śmierć jego była do zazdrości, bo więcej lat trzydziestu do niej się gotował.

X.

KRÓL STANISŁAW.

Nie jest to łatwo sądzić o rzeczach publicznych, a tem więcej o mężach, którzy na nie wpływali. Ztąd wedle mojego zdania, największa przysługa, co ją wysoki rozum dla kraju uczynić może, jest opisanie należyte jego dziejów. Cycero mawiał: Historia magistra vitae — a przecie lubo głęboki mędrzec i nadzwyczajny krasomówca, lubo przez jego ręce przechodziły najważniejsze interesa rzeczypospolitej, nie dowierzał sobie i nie odważył się wydać dziejów ojczystych. Po zagranicznych krajach, gdzie liczni piórowi rzemieślnicy uprawiają papier pod książki, jak u nas szlachta role pod żyto i jęczmień, namnożyło się historji różnego rodzaju. Ja ich nie czytałem; bo oprócz swojego i nieco łacińskiego, żadnego obcego języka nie rozumiem, a przecie pewny jestem, że te ich pisma lubo pokupne, żadnego istotnego pożytku nie przynoszą. Kto przedsiębierze opisać dzieje jakiego narodu, powinien wprzód obeznać się gruntownie nie tylko z jego językiem, ale jeszcze z jego prawodawstwem, z obyczajami obywateli, a zasiliwszy się takowym zasobem, dopiero wziąść się do roboty. A i wtedy nawet nie ma pewności, aby się ona udała. Bo nie dość to wszystko znać, jeszcze trzeba mieć jakieś doświadczenie w prowadzeniu ludzi. Kowal gwoli kuje lemiesz czy podkowę, ale naród nie jest sztabą martwą w ręku tego, co mu przewodniczy, choć on prowadzi podwładnych; przecie nie robi się z nimi tylko to, co daje się robić; bezwątpienia włada nimi, a jednak niewidocznie ulega sam ich woli. Pod tym względem uważając rzeczy, możnaby sobie oszczędzić wiele zapytań, które z pierwszego rzutu rozwiązać się nigdy nie dadzą. Dla czego Jagiełłowie, mając Litwę i Ruś po sobie, nie utwierdzili dla siebie spadkowego tronu w Koronie, jak go mieli we własnym kraju? Dla czego

Batory Prus książęcych z Polską nie zjednoczył? Dla czego Zygmunt III. nie ugruntował syna na moskiewskim tronie? Dla czego Jan III. niczego nie obwarował dla rzeczypospolitej, biegnąc na ratunek Wiednia? Dla czego Konfederacja barska przybrała hasło niepolityczne przeciw dysydentom? Wszystkie takowe pytania niejednokrotnie słyszałem i po szczeremu wyznaję, że na nie dać odpowiedzi nie umiem. Ale zdaje mi się, że i świadomego odpowiedź byłaby w rodzaju tej, co ją kiedyś uczynił pewien biegły wojsk dowódca lekkomyślnemu młodzieńcowi, chcącemu go sztuki wojennej nauczyć. Owemu dowódcy nie było się razu jednego szczęśliwie powiodło, a tamten chciał mu dowieść, pokazując palcem na mapie jakąś rzekę, że gdyby był przez nią wojsko swoje przeprawił, na głowę nieprzyjaciela by poraził. — Waścin palec nie jest mostem — odpowiedział na to zniecierpliwiony wódz. Żeby dobrze opisać dzieje swojego narodu, bo wątpię, aby opisanie cudzego udać się mogło, trzeba mieć jakieś doświadczenie w kierowaniu ludzi przy okolicznościach zawiłych; a zbyt rzadko łączy się w jednej głowie i dzielność w uczynkach i dar przełożenia tychże uczynków w księgi. Dajmy na to, że takowe zjawisko się uiści, jakże trudno nie dać się ułudzić miłością własną i stronnością, bo mąż piszący rzeczy, do których sam wchodził, częstokroć musiałby sam siebie obwiniać. Cieszę się, że nie mamy historji ostatnich naszych czasów, bo niezawodnie byłaby nie do rzeczy. Niech każdy stary sumiennie pisze to, czego sam był świadkiem, niech pisze po swojemu, rzeczy uważając z własnego, a nie uczonego stanowiska, a dopiero jak będzie potrzeba, znajdzie się taki, którego Opatrzność wzbudzi, aby z tego wszystkiego pożyteczną ułożył historję. Całkowitą młodość przepędziłem w otwartych bojach z królem Stanisławem, lub w domach jemu nieżyczliwych, a jednak wszystko po bożemu rozebrawszy, petępiać go nie śmiem, ani jemu przypisuję niezasłużonej winy. Pewny jestem, że jeden człowiek wielką ofiarą, nadzwyczajnem poświęceniem się cały naród swój może zbawić; ale żeby jeden człowiek, acz najwyższy, występkami swojemi mógł naród potępić, tego nie przypuszczam, bo mniejsza zbrodnia przeczyć Boga istności, niż sprawiedliwości i miłosierdziu. Nie królów, ale poddanych grzechy gubią narody, bo z chlubą wyznać możemy, że żaden tron na świecie nie pochwali się panami tak łagodnymi, tak sprawiedliwymi, tak uczonymi, jak polski. I król Poniatowski miał wielkie cnoty, większe bez wątpienia niż niektórzy z poprzedników jego. Przy innych okolicznościach byłby sobie uzyskał odgłos wielkiego króla. Jakoż widzieliśmy rozmaitych władców, którzy przed naszemi oczyma rzecz swoją nie źle prowadzili, uchodząc za mądrych i przezornych, a przecie ani rozumem, ani wiadomościami, ani łagodnością obyczajów naszemu Stanisławowi sprostaćby nie mogli. Całe nasze nieszczęście,

że wpadliśmy byli w taką zagmatwaninę, że największy człowiek nie dałby jej rady. Wiele złego dwóch na jednego, mówi przysłowie, a cóż dopiero jak tłum weźmie go w obroty? Chociażby się nie wiedzieć jak odgryzał, nie postawi nigdy na swojem.

Niechaj mędrcowie świdrzą rozumem, a ja po prostu tłumaczyć się będę: jest to grzech pierworodny, na który zbyt ciężko chrzest wynaleźć; a chociaż mu nie przeczyli ani rozumu, ani zdatności, nie dowierzali atoli tyle tym przymiotom, by myśleć, że nimi zastąpi tę powagę, co ją ród wysoki i dziedziczne państwo saskiemu domowi zabezpieczały. Magnaci tak dalece byli przekonani, że nie była pora Piastowi panować, iż żaden z nich o koronę się nie pokusił. Bo nie ma co liczyć księcia Lubomirskiego, człowieka z umysłem pomięszanym, a którego intryga wystawiła była w czasie bezkrólewia, aby osłabić jedność magnatów. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, głowa tej partji, w której tyle lat walczyłem jako żołnierz i ziemianin, był nie tylko głębokim, ale i poczciwym statystą, bo ile mógł, przeszkadzał królowi Poniatowskiemu, i nawet usiłował zepchnąć go z tronu, na którym wedle jego przekonania nieprawnie był zasiadł, obstając za domem saskim, z poświęceniem wszelkiej prywaty: gdyż mógł mieć żal do nieboszczyka króla za odmówienie mu buławy litewskiej po śmierci jego ojca. Ale skoro się upewnił, że żadnego wsparcia z zagranicy mieć nie można, że dom saski przestał o nas myśleć, że wszystkie dwory obojętnie na nas patrzą: przekonał się, iż jako tonący brzytwy się chwyta, kiedy innego nie ma wsparcia, tak poczciwym obywatelom nie zostawało nic więcej, tylko się tulić do króla, zespolić wszystkie narodowe korzyści z jego osobistemi korzyściami, aby on czując siebie bezpiecznym między swoimi, nie żebrał wsparcia u postronnych, a tak: iżby każdy uważał za największą zbrodnię, wszelką usilność w czemkolwiek nadwątlić tę jedność króla z narodem, w przekonaniu na doświadczeniu opartem, że każda partja przeciwna królowi zostanie tylko narzędziem, którem szerzyć się będzie wyłom, co go nierząd w kraju wybił od lat tylu. Jak się więc pogodził z królem, mimo siebie puszczając prześladowania, które od niego doświadczał, pogodził się szczerze, i aż do śmierci ani on, ani żaden z jego partji, która całą Litwę zajmowała, nie złamali mu wiary i poddaństwa. Owszem na wszystkich sejmach posłowie litewscy jednomyślnie z dworem głosowali. Jakoż na pamiętnej sesji sejmowej r. 1786, kiedy rzecz chodziła o przyznanie królowi Subsidium charitativum, dość długo rozprawiały stany koronne w połączonych izbach; ale kiedy kolej przyszła na Litwę, książę wojewoda wileński objawił i życzliwość Litwinów i swoją własną potęgę temi słowy: — Nie mitrężąc czasu tak drogiego przy kończącym się sejmie, w imieniu całej pro-

wincji litewskiej daję afirmatiwę. — I ani w stanie rycerskim, ani nawet w senacie nie znalazł się żaden, coby mu tego pełnomocnictwa zaprzeczył.

Pan Bogusz, niegdyś sekretarz jeneralnej Konfederacji barskiej, był może najgłębszym w Polsce statystą i nadzwyczajnie poświęcał się dla kraju. Kiedy jego i nasze starania na niczem spełzły, na małem przestał: osiadł na dziesięciodymnym folwareczku, na którym miał dożywocie z łaski naszego księcia wojewody, bo więcej nic od niego przyjąć nie chciał. Tam zajmował się pielęgnowaniem pięknych kwiatów; rzadko kiedy dom opuszczał, nawet dla Nieświeża, ale dawnych znajomych rad był w nim ugaszczać. Razu jednego, kiedy mu służyłem w jego domku z panem Świętorzeckim, także wielkim statystą a jego ścisłym przyjacielem, zgadało się wedle naszego zwyczaju o rzeczach publicznych. Pan Bogusz mnie znał, kiedy to jeszcze byłem pokojowym u JW. Ogińskiego, wojewody witebskiego, i nie mało czasu strawiliśmy z sobą w dwóch konfederacjach; a tym bliższy wstęp miałem do niego, że nie chwaląc się, na takiej nodze postawiłem mu interes z sukcesorami tegoż JW. Ogińskiego, że na pół darmo, godząc się z nimi, czterdzieści tysięcy mu odliczono. A służyłem mu z przyjaźni, bo żadnej nagrody nie przyjmowałem, chociaż kilkakrotnie coś mnie chciał wetknąć w ręce. Otóż pan Bogusz zaczął mówić o potrzebie powiększenia władzy królowi; że nasze starodawne cnoty za nadto już były zbutwiałe, byśmy się mogli nadal cieszyć po dawnemu. Pan Świętorzecki na to się godził, jako utrzymywał, że powierzyć się nie można panującemu regnantowi. — Jakże, mówił, oddać skarb i wojsko marnotrawcy i tchórzowi? — Na to pan Bogusz tak odpowiedział: — Panowie bracia! nikt więcej odemnie nie nadokuczał królowi, bo przekonany byłem, że tylko panowanie monarchicznego domu mogło nas ocalić. A jeśli ma być koniecznie Piast, może z pomiędzy wszystkich zdatniejszego nie znajdziecie. — Na tośmy obydwaj powstali: — A co to, panie sekretarzu! — odezwał się pan Świętorzecki — czy daleko szukać trzeba zdatniejszego Piasta, a wszakże trzy mile nie spełna do Nieświeża? Godzi li się przepomnieć naszego księcia? — A pan Bogusz: — Moi panowie, gdyby to odemnie zależało, a Litwa była odrębnym narodem, ani bym się wahał uwieńczyć koroną to panowanie, co nasz książę swojemi cnotami nad nami otrzymał. Któż więcej odemnie przypatrzył się jego szlachetnym postępkom i poświęceniu się dla dobra ogólnego? Ale nasza Litwa jest tylko częścią Rzeczypospolitej, a wam wiadome uprzedzenia naszego księcia przeciw wszystkiemu co nie z Litwy. Każdego wielkopolanina nazywa kaszubą; kto z Małej Polski, u niego cygan, a kto z Rusi koronnej, ten u niego kuśnierz. W dobrach, co ma w Koronie, żaden z tamecznych stron oficjalista w jego służbie się nie

utrzyma, wszędzie naszych rozsyła, czem jeszcze więcej Litwę obowiązuje. Ale nie królewska to rzecz, dla jednej prowincji być wylanym, a drugie od siebie odganiać. A potem czybyście dokazali, żeby fałdów przysiadywał w Warszawie? W czasie sejmu ledwo szósty tydzień dotrzymał, tak tęsknił za Nieświeżem. A przecie król w swojej stolicy mieszkać musi. Jeżeli tedy on przy tak wielkich cnotach duszy i nadzwyczajnie dowcipie przyrodzonym nie myśli, by dla swoich przesądów całej Rzeczypospolitej mógł dopisać, czy znajdziecie jakiego innego Piasta, coby był zdatniejszym do rządu, od teraźniejszego? Nie tajno wam, jak ścisłe stosunki miałem ze wszystkimi naszymi magnatami. Otóż powiem wam, że jako ich wszystkich widziałem godzących się na królewicza, tak pomimo ścisłej przyjaźni, co ich w jedno grono łączyła, każdy z nich tak dalece poznawał, czego drugiemu nie dostawało, że prędzej zezwoliłby na Poniatowskiego, jak na którego ze swoich, zaczynając od naszego księcia. Wiem dobrze, że w duchu król Stanisław nie wiele o nas trzyma, ale już i to wiele, że sobą władać umie. Pytajcie naszych zakutych Litwinów, bywających w Warszawie, a każdy z nich powie o królu, że jest pełnym powagi, nie wdaje się w żadne śmieszki, każdego poddanego przyjmuje jednako, i choć miłuje swoich literatów, nie zaciera nimi gospodarzów. A na księcia-jenerała skarżą się, że ich w pośmiewisko obracał. Tak więc wszystko rozebrawszy, wnioskuję, że najlepiejby było, aby Sasi jak panowali nam blizko lat siedmdziesiąt, i dalej panowali, bo z pomiędzy zagranicznych domów on jest najmniej obcy naszym wyobrażeniom. Ale że wola Pana Boga, aby tubylec nami rządził, oddajmyż więc jemu sprawiedliwość. A jak nie stanie Stanisława Augusta (a my się tego doczekamy), wtenczas obróćmy naszą życzliwość ku wielkiej i dobroczynnej krwi jagiellońskiej, ku temu domowi, zkąd król teraźniejszy czerpał i swój wzrost i te nadzieje, które Opatrzność tak hojnie ziściła. — Skoro pan Bogusz nam dowiódł, że nasz książę nie byłby zupełnie dogodnym dla całej Rzeczypospolitej, obojętna dla nas była rzecz niezdatność do korony i innych magnatów; aleśmy nie mogli nie podziwiać, że on, tak czynny przeciwnik partji Czartoryskich, do nich skłaniał przyszłe nadzieje. Spostrzegłszy nasze podziwienie, tak się nam tłumaczył: — Panowie bracia, obywatel poczciwy powinien ile możności bronić ustaw swojego kraju, z poświęceniem nawet własnego przekonania, bo gdzie o powinność chodzi, tam już nie ma miejsca na rozumowanie. Jednak wcześniej czy później nadchodzi czas potrzeby nowych warunków dla społeczeństwa. Poczciwi ludzie, co im się opierają, dopełniają swojej powinności, ale nigdy zwycięztwem cieszyć się nie mogą. Bo starość musi ustąpić miejsca młodości, na którą kiedyś kolej przyjdzie także zostać starą. Rzecz pewna, że ci, którym obmierzł dawny porządek, nie składają

cnotliwszej części narodu, gdyż namiętność zawsze nowościom sprzyja; ale cóż na to poradzić, kiedy doświadczenie nas uczy, że nakoniec słuszność jest przy nich? Nie żałuję ofiar i poświęceń moich dla dawnego porządku, i dziś jeszcze bym je odnawiał, chociaż w przekonaniu, że one na nic się nie przydadzą: bo nie ma nic wspólnego między dopełnieniem powinności a przeczuciem pomyślnego skutku. Ale jakkolwiek być może, że prywata kieruje postępkami: ludzi, co hołdują nowości, wątpić nie można, że przyszłość jest ich, a nie naszą puścizną. Próżna więc usilność, chcieć wskrzesić to, co już nie żyje. Lepiej po szlachetnym oporze godzić się z nowemi wyobrażeniami, by przy tej zgodzie zachować to, co jeszcze zachować się może. By przynajmniej ocalić pamięć sławy naddziadów, starając się ile możności do nich łączyć te nowe wyobrażenia. Pokąd sława przodków jest świętą dla narodu, nie ma jeszcze nic dlań rozpaczającego; ale skoro ta będzie znieważoną, pomiataną, w pośmiewisko obróconą, wszystko wtedy przepadło; bo już to jest oznaka oczywista, że naród nie wart bytu, że nawet żyć nie może, ponieważ już się oderwał od korzenia, z którego żywot swój czerpał. Przyznam się wam, że w przyszłości lękam się mocno o sławę wielu naszych godnych mężów, którzy nie poprzestając na tem, co już chwalebnie dopełnili, dla zachowania dawnych naszych ustaw, nie chcą za przykładem naszego księcia szczerze się pojednać z położeniem rzeczy nieodzownem. Strzeż Boże! ażeby, kiedy przyjdą ostatnie Rzeczypospolitej zapasy, uporem swoim w przepaść jej nie wtrącili, woląc się chętniej złączyć z obcymi, niż podzielać z ziomkami to, co uważają być błędnem. —

Te były słowa tego wielkiego statysty, który tak zgłębił rzeczy nasze, iż ledwo nie duchem wieszczym przeczuwał, w co się one obrócą. Szczęśliwy, że nie doczekał się nieszczęść, których nigdy nie przestawał przewidywać. Ale te słowa jego nigdy mi nie wyszły z pamięci. Byłże senator wyższy w świetle, wolniejszy od samolubstwa, równy w poświęceniu swojem dla kraju księciu Antoniemu Czartoryskiemu? Byłże większy obywatel od Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, Antoniego Puławskiego, i t. p., i t. p.; a przecie na jak okropne stanowisko popchnął ich wszystkich upór w zamiłowaniu rzeczy godziwych i świętych, ale do których cały naród już smak był utracił. W r. 1784 król Stanisław objeżdżając Wielkie księstwo litewskie, nie ominął stolicy naszego Mendoga. Między nami Nowogrodzianami przeciw niemu wielkie krążyły uprzedzenia, ale na widok jego dostojnej osoby, jego majestatu, prawdziwie królewskiego, wszystkie one stajały jak śnieg kwietniowy przed słońcem. Napatrzyłem się na niego: było coś czarującego w tych rysach pięknego oblicza. Na granicy naszego województwa, gdzie go odprowadziły urząd i szlachta brzesko-

litewska, przyjęty został od starszyzny i szlachty nowogrodzkiej. Wszyscyśmy byli na koniach, a na czele naszem JW. Niesiołowski, nasz wojewoda, który go powitał czułą mową. A król nieprzygotowany, dziwnie pięknie na nią odpowiedział, dziękując za przywiązanie szlachty, oświadczone mu przez cnotliwe usta nieskażonego, w zawodzie pełnym zasług ich sędziwego wojewody. A potem, gdy ten mu przedstawiał urzędników i szlachtę, każdemu coś powiedział takiego, co go za serce uchwyciło. Nawet gdy między innymi przedstawiony mu był pan Michał Rejten, nasz pisarz ziemski, z taką czułością wspomniał brata jego Tadeusza, że wszystkim przytomnym łzy dobył z oczu. Dopiero wedle staropolskiego obyczaju, urzędnicy brzescy zdali urzędnikom nowogrodzkim usługę królowi, który w ciągu swojego pobytu nosił mundur naszego województwa. Wielmożny Rdułtowski, nasz chorąży, zastępujący miejsce pierwszego urzędnika, odebrał z rąk JW. Niemcewicza, podkomorzego brzesko-litewskiego, pod regestrem szaty i sprzęty podróżne królewskie, przyjął i dozór nad jego dworem, ciągle się sam zajmował odziewaniem króla i ścieleniem jego łóżka przy asystencji innych urzędników, tak, że przez cały czas jego pobytu tylko possessionati et bene nati dotykali się naszego pomazańca. Była wielka okazałość przy nim i siła pieniędzy poszła na wydatki jego podejmowania — a te pieniądze nie z jego kasy wyszły, ale naszą były krwawicą. Kiedy urzędnicy zbierali między sobą składki, my szlachta bardzo się obruszyli, że nas nie wzywają. Pan Łukasz Hreczecha w naszem imieniu się odezwał: — A co to panowie urzędnicy, sami tylko czujecie się być godnymi w podejmowaniu króla, a nas szlachtę za bajbardzo macie? — Dopiero każdy z nas co mógł sypał, a szczerze, bo kiedy szlachcic się rozczuli, rachować się nie umie. Dość że taka nawała brzęczączek padła u pana Stefana Wereszczaki, skarbnego nowogrodzkiego, że kiedy król nas opuścił, to chociaż po królewsku był podejmowany, a do tego każdy z jego dworzan i sług stosowny do swojego znaczenia otrzymał upominek: więcej dziesięć tysięcy zostało u pana skarbnego, z którycheśmy uchwalili fundusz na coroczne wybicie medalu złotego, a cztery srebrne z popiersiem królewskiem, na nagrodę uczniom nowogrodzkim, najlepiej odznaczającym się w czasie szkolnych popisów.

Król otoczony czołem województwa i tłumem szlachty, wjechał konno do Nowogródka i przed farnym kościołem stanął, chcąc najpierwej uczcić Pana nad pany. Kiedy zsiadł z konia, pan chorąży Rdułtowski podał mu swoje ramię, a pan Stanisław Orzeszko, koniuszy nowogrodzki, trzymał jedną ręką trędzle, a drugą strzemię. U drzwi kościoła, na czele duchowieństwa, JW. ksiądz Koncewicz, kanonik wileński, u oficjał nowogrodzki, orderu królewskiego kawaler, powitał go mową.

Poczem król, ciągle klęcząc, słuchał tajemnic pańskich, w czasie których wymieniony szanowny kapłan przyniósł mu mszał, i klęcząc, podał mu ś. ewangielję do ucałowania. Po mszy ś. urzędnicy województwa oddzielili się od szlachty i skupili się w grono. JW. Gedeon Jeleński, kasztelan nowogrodzki, zabrał głos, którym oświadczył w imieniu tychże urzędników radość publiczną z powodu dnia tak świetnego, w którym łaska Najwyższego użyczyła ich województwu, nacieszyć się obliczem pana i ojca całego narodu. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński, lubo był zaproszony do grona urzędników, stał między nami, oświadczywszy iż nie mając urzędu w tem województwie, jest prostym szlachcicem. Gdy skończył mówić JW. kasztelan, od nas witał króla jegomości pan Paweł Odyniec. — Po tych mowach i królewskich odpowiedziach, bo król na każdą mowę odpowiedział dziwnie pięknie, a głosem tak miłym, że jakby wdzięczną muzyką wszystkich serca wabił ku sobie, dopiero duchowieństwo, urzędnicy, szlachta, ba! i prostaczkowie nawet, zaczęliśmy śpiewać Te deum laudamus. Po odśpiewanym hymnie poszliśmy wszyscy za królem do szkoły wojewódzkiej. Ksiądz Krysztof Haraburda, rektor, przyjął króla łacińską mową, na którą król odpowiedział tymże językiem, ale tak płynnie, jakby rodowitym, czem do reszty nas zawojował. Potem od każdej szkoły uczeń wystąpił przed króla z mową: od poetyki w języku francuzkim perorował pan Julian Niemcewicz, podkomorzyc brzeski. Widać było, że król był uderzony wymową tego kawalera; jakoż mnie upewniali świadomi przytomni, że ta mowa miała być bardzo piękną.

Ale wspomnienie tej uroczystości rozdziera moje serce! — Młodszy mój syn, mój Karolek od syntaksy, mówił przed najjaśniejszym panem i podobał się królowi, bo od dzieciństwa dziwne miał szczęście do ludzi. Wielkie na nim, nie tylko my rodzice, ale i przyjaciele pokładali nadzieje, bo i twarz jakby aniołka i przy wielkiej zdatności nadzwyczajna pilność i potulność. Pan Bóg mi go dał, Pan Bóg mi go odebrał, niech mu będzie chwała na wieki wieków! Po skończonych szkołach, że miał ochotę do wojska, kupiłem mu chorąztwo w ośmym pułku litewskim. Pod Zelwą bił się jak lew, że chociaż desarmacja zastała go podporucznikiem, pan Jasiński, tymczasowy naczelnik w Wilnie, kapitanem go mianował w tymże samym pułku. Ale nie długo się cieszył swojem stopniem. Pod Sałantami, gdzie szesnastu oficerów ośmego pułku poległo, padł między nimi mój Karolek, pięciu bagnetami pchnięty. Pogrzeban został na swojej jeszcze ziemi, i to jest jedyna pociecha, co mi zostaje.

Król miał prześliczną do naszej młodzi mowę; prawdziwie jak ojciec do dzieci przemówił, a tak, że aż ryk dał się słyszeć po wszystkim kościele. A gdy potem własną ręką rozdawał me-

dale celującym ucznìom, gdy po przypinał mojemu Karolkowi, nie wiem co się ze mną stało, ale wszystkich roztrąciwszy, przedarłem się wprost do króla, jak długi padłem mu do nóg i rozbeczałem się, że sam król bardzo się rozczulił, podniósł mnie, dał rękę pańską do ucałowania, pobłogosławił mi syna, i jak się później okazało, dał dowód, że ta moja rzewliwość nie była mu od smaku. Że była właśnie natenczas kadencja świętomirska, król oświadczył, iż radby nawiedzić sądy. Pan Ignacy Rewieński, prezydujący w ziemstwie, z kolegami swoimi spiesznie udał się do sądu, aby króla przyjąc w czasie gotowej sesji. I tak się uwinęli, że kiedy król przybył, zastał sędziów na miejscach swoich, słuchających agitującej się sprawy. Indukt dopiero zaczęty przerwany został, a pan prezydent krótką mową powitawszy najjaśniejszego pana, zaprosił ojca i najwyższego sędziego narodu, aby raczył osobiście wymierzyć tę sprawiedliwość, co ją oni jego powagą i imieniem poddanym głoszą. Król zasiadł w krześle, a wszyscy sędziowie stali w milczeniu, bo w przytomności króla pełność władzy sądowniczej w jego tylko osobie zostaje. Pan Fabjan Wojniłowicz właśnie indukował sprawę, dość z siebie mało znaczącą. Rzecz chodziła o otrzymanie dekretu nakazującego wypłatę sumy, z prostego długu należnej, po dwóch kondemnatach używanych na panu Remerze, marszałku oszmiańskim, przez pana Jakuba Potrykowskiego, w ziemstwie nowogrodzkiem. Pan Jelec, umocowany pana marszałka, stawał z tem, że jego stronie zaoczność niesprawiedliwie przypisaną była: gdyż pozwy nie były kładzione na jego dobrach w województwie wileńskim, na których opiera się ubezpieczenie sumy zaciągniętej, ale pozwy położone były w Nowogródku, gdzie piędzi ziemi nie posiadając, pilnować się nie mógł. Domagał się tedy uchylenia zapadłych kondemnat. — Ale pan Wojniłowicz stanął z prawam, którem jak v o t, f o r u m u b i q u i n a r i u m całemu w. księstwu litewskiemu jest dozwolony w sprawach s i m p l i c i s d e b i t i — ale w ciągu induktu zręcznie zrobił zwrot do króla, którego w imieniu palestry ziemskiej powitał. Z mocy więc prawa wypadł wyrok na pana marszałka, aby pod winą wywołania na naznaczonym terminie sumę zapłacił, a ten wyrok przez króla podpisanym został. Pan Jelec, lubo sprawę przegrał, w imieniu swojego pryncypała zadowolenie podpisał, oświadczając, że jest nadto wiernym poddanym, aby w czemkolwiek różnił się w zdaniu z panem swoim. Wszystko to i godziny nie trwało, bo wszystko było przygotowane, by królowi czasu nie kwasić.

Po ogłoszeniu wyroku najjaśniejszy pan poszedł do grodu, gdzie go pan Kazimierz Haraburda, sędzia grodzki prezydujący, powitał, podobnie jak w ziemstwie prosząc go, aby raczył wysłuchać sprawy. Jakoś się nie opatrzył, że nie było przyzwoitą grzecznością prosić króla, aby zasiadł w jurysdykcji, gdzie nie

w jego, ale w wojewody imieniu wyroki się głoszą. Przecież król przedziwnie się znalazł, bo przyjmując to jego oświadczenie za dowód życzliwego poddaństwa, co w istocie tak było, oświadczył ze swojej strony, iż w namaszczeniu swojem przyjął stopień duchowny, a zatem wedle kanonów do spraw kryminalnych udziału mieć nie może, i dziękuje Bogu, że mu prawo nie pozwala karać miłych poddanych, czegoby mu i własne serce zabroniło. A ja w imieniu palestry grodzkiej miałem rzecz do króla. Łaskawi przyjaciele winszowali mi, że jakoś nie najgorzej mi poszło; wiem przyjnajmniej, że jeśli tam były pochwały królowi, nie z pochlebstwa, ani z podłych widoków pochodziły, ale były istnem wynurzeniem mojego przekonania, a król w krótkich wyrazach okazał, iż mi jest rad.

W dniu tym był wielki obiad dany królowi przez szlachtę w kościele OO. Dominikanów. Więcej nas tysiąca siedziało za stołem. Przykro nam było, że król rad nie rad wielkie grzeczności wyświadczać musiał jednemu z obcych książąt, kazał jego na obiad zaprosić i posadził go tuż przy sobie. Bo kiedy dzieci ojca przyjmują, nie radzi wtedy, by cudzy do nich się przymięszał. Tam wedle starego obyczaju urzędnicy województwa wzięli się do służby, a na czele ich w. Chryzostom Rdułtowski, nasz chorąży. Pan Benedykt Imieniński, mieczny nowogrodzki, stał przy królu z pałaszem dobytym. Pan Hipolit Korsak i pan Michał Ginter, jeden stolnik, drugi podstoli, zajęci kuchnią, zastawiali półmiski przed królem, podawali je i chleb mu krajali. Pan Jan Kiersnowski, cześnik, przynosił butelki i korki dobywał, a pan Antoni Zwierowicz, podczaszy, nalewał wino królowi, którego butelka więcej sta złotych kosztowała, a nalewał go w malutki kieliszek, gdyż król nie był wezwyczajony do trunku, owszem brzydził się w nim zbytkować. Pan Wojciech Płaskowiecki, krajczy, rozbierał pieczenie i krajał mięsiwa królowi przeznaczone. A inni urzędnicy między sobą podzielili dozór nad hajdukami pańskimi i inną liberją, z rozmaitych dworów obywatelskich zebraną, dla publicznej usługi. Podzielili ich na oddziały tak, że każdy oddział miał nad sobą urzędnika. Srebra były zbierane z całego województwa, ze wszystkich jego posesjonatów, co z herbów można było poznać, a nad tym kosztownym kredensem miał dozór pan Ignacy Rewieński, prezes sądu ziemskiego. Jeszcze to w czasie obiadu, książę gość, widząc że Zwierowicz królowi wino nalewa, kiwnął na niego i swój mu kielich pokazał, by i jemu nalał: ale nasz podczaszy, że tylko swemu obowiązany służyć, jakby go nie zrozumiał, postawił butelkę na stole. A książę tylko marsem na niego spojrzał, o co on mało dbał, i tamten sam sobie wina nalać musiał. A że my to uważali, była nam pociecha, iż przynajmniej duma upokorzoną została. Przy obiedzie spełniono kilka wiwatów, jednak towarzystwo nie bardzo było animowane, bo

ten dokuczliwy intruz pruł nam zabawę. Starszyzna nie chciała nas zagrzewać do kielicha, aby któremu z nas coś się nie wypsnęło, bo jakbykolwiek człowiek był ostrożnym po trzeźwu, to przy kielichu nie najlepiej wyjdzie obcy, który się tam urodzi, gdzie go nie posiali. Ale z tem wszystkiem nie dość mogliśmy się nacieszyć naszym królem.

Po obiedzie król z księciem wojewodą wileńskim pojechali do Nieświeża na całą noc, gdzie przededniem stanęli. Król tam miał dwie doby zatrzymać się, i wszyscy urzędnicy nie odstępując króla, za nim pojechali. Król obiecał panu Rdułtowskiemu przyjechać do niego z Nieświeża, ale że on jako zastępujący miejsce podkomorzego, ani na jedną chwilę nie chciał się odkazać od przełożeństwa nad królewską usługą, więc pojechał za nim do Nieświeża ze wszystkimi urzędnikami, gdzie i żona jego, księcia wojewody rodzona siostrzenica, umyślnym uwiadomiona, pojechała. Ale zaprosiwszy całą szlachtę nowogrodzką do Snowia na dzień pojutrzny, uprosił przyjaciół i sobie obowiązanych, aby wprost natychmiast ruszyli do Snowia, by rozporządzenia w jego niebytności zrobili do przyjęcia tak okazałego i licznego gościa; i mnie tam wyprawił, mówiąc: — Zmiłujcie się, by mnie wstydu nie było, a zajmijcie się gospodarstwem, bo czasu nie wiele. — Ja srebra i szkła zebrane ze sobą zabrałem, a chociaż gospodarstwa nie było, przy pomocy licznych przyjaciół i krewnych tego domu jakoś się urządziło tak snadnie, że wszystko pokazało się być przyzwoitem. Nazajutrz w nocy nasze chorąztwo przyjechawszy do domu, a opatrzywszy się, bardzo się ucieszyli i czule nam dziękowali, mówiąc że gdyby sami się byli wszystkiem zatrudnili, nigdyby nie zdołali popisać się lepiej. Uwiadomił nas chorąży, że król Jmć. bardzo był wesoł z przyjęcia nieświezkiego, a chcąc w domu księcia pana dać dowód szacunku swojego całemu naszemu województwu, obu naszych posłów, pana Adama Rzewuskiego, chorążyca w. litewskiego, i pana Kazimierza Jabłońskiego, wojskiego nowogrodzkiego, raczył zaszczycić orderem ś. Stanisława, oświadczając że w Snowiu innym obywatelom nagrody rozdawać będzie. Tłumy szlachty przez cały ranek przybywały dla powtórnego powitania najjaśniejszego pana, a przed południem samem urzędnicy nasi przybyli z Nieświeża z doniesieniem: że lada chwila król przyjedzie. Jakoż nie długo czekaliśmy na karetę dworską, z której wysiadł król, książę wojewoda wileński, JW. wojewoda nowogrodzki i ksiądz Naruszewicz, pisarz wielki litewski, a za nimi rozmaite karety, z których wysiadały: infuły, mitry, ordery, krzesła, i tak dalej. Gospodarz przyjmując u ganku wysiadającego króla, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt przyniesiony jego domowi; i my wszyscy klękli. Jako ojciec przez dzieci, tak król przez wiernych poddanych powitany został, i mocno go rozrzewniła czołobitność nasza. Nie obawa to była, ale miłość,

a tego słodkiego uczucia tylko dobrzy, ojcowscy królowie doświadczyć mogą. Pani chorążyna podała rękę królowi i zaprowadziła go do obszernej sali bawialnej, która w oka mgnieniu się napełniła. Król kilka chwil zabawiwszy, trochę z obywatelami rozmawiał, chwaląc uprawę roli w Nowogrodzkiem, iż nawet na Rusi piękniejszego zboża nie widział. Ale wkrótce kazał się zaprowadzić do komnaty jemu przeznaczonej; tam poszedł z księdzem Naruszewiczem, by odprawić ekspedycję do Warszawy, a my zebrani na pokojach, pomagaliśmy gospodarstwu bawić gości, zwłaszcza tych, co składali orszak królewski: a było dość mężów za królem z Warszawy przybyłych. Odznaczali się jego czterej szambelani, nieodstępni od jego osoby przez całą podróż. Ci byli: pan Trembecki, sławny wierszopis, już wieku dojrzałego, a tamci trzej młodzi byli: pan Szydłowski, wojewodzic połocki, pan Grocholski, kasztelanic bracławski, i pan Morykoni, nasz Litwin; bo chociaż jego przodkowie wyszli aż z łukiezkiej ziemi, gdzieś tam z pod Rzymu, ale on był osiadłym obywatelem w wileńskiem województwie, a nawet został nie długo potem starostą wiłkomierskim. Młodzi to byli panicze, po niemiecku się nosili i pudrowali czupryny; ale jak uważałem, przysłuchując się ich dyskursom, dobrze z polskimi rzeczami byli obeznani. Bo kiedy się zgadało o odmianach, co je w rządzie naszym uskutecznił sejm 1766 roku, pan Butrymowicz, podstarosta piński, ośmdziesięcioletni starzec, mąż wielkiej powagi, temu sejmowi gdy jął przyganiać, iż ścieśnieniem prawa de liberi vocis, zniósł przywileje narodu, że to prawo słusznie od przodków naszych było uważane jako pupilla libertatis, bo zasłaniało naród od skutków korupcji, która w czasach tak zepsutych ogarnąć może większość izby sejmowej. Słysząc to, na niego wielu powstało, a szczególnie szambelani królewscy. Pan Szydłowski bardzo gruntownie dowodził, że zerwanie sejmu przy lada materji zawsze było przeciwne duchowi naszego prawodawstwa, że to było nadużycie niektórych wyrazów Jana Zamojskiego; że przedtem in Volumina legum śladu nie było tak dziwacznego przywileju, upowszechniającego tylko nierząd i intrygi w narodzie; a że nakoniec samowolność nie na tem zależy, aby ulegać większości izby prawodawczej, ale dawać się wiązać przez widzimisię jednej osoby. Pan Butrymowicz, chociaż wielki prawnik, widno że nie najlepiej sprawy bronił; bo dość słabe były jego argumenta. Zgadało się także o potrzebie egzekucji dekretów; nasz poseł, pan Rzewuski, z wielką wymową powstał na nadużycia starostów, którzy w Warszawie przesiadują, a przecie bez ich podpisu grodzkich sądów wyroki egzekucji nie mają; i swoje rozumowanie kończył, mówiąc: — Sam skorzystawszy z tego nieładu, mam prawo o nim mówić. Wyobraźcie sobie panowie, że pan Turkuł, łowczy bracławski, zyskał na mnie w grodzie kijo-

wskim dekret, nakazujący zapłacić mu sześćdziesiąt tysięcy. Prosiłem o umiarkowanie, żeby przynajmniej rozłożył dekreta na dwa termina; ale zaufany w dekrecie, tak się okazał twardym, że ani sobie mówić nie dał o układach. Udałem się do Warszawy, gdzie mieszkał książę Lubomirski, wojewoda, a razem starosta kijowski, człowiek umysłu nieprzytomnego i tylko kobietami zatrudniony. Otóż tam mój umocowany wszedł w układ z jego faworytą, iż co dzień będzie jej płacić po jednym czerwonym złotym, aż pokąd książę podpisze dekret zwykłą formą. Rozumie się, że ta imość nie dopuściła księciu takowy podpis zrobić, by nie stracić akcydensu, tak, że pan Turkuł nie mogąc się doczekać egzekucji swojego dekretu, przecież zmiękczał i ze mną wszedł w układy. Na przyszłym sejmie, da Bóg doczekać, jeśli będę posłem, wniosę, aby odjąć starostom ten przywilej, tak uciążliwy dla szlachty, i domagać się będę, aby nadać sądom grodzkim moc egzekucji wyroków, jako ją mają ziemstwa. — I w samej rzeczy w Grodnie na sejmie 1781 na wniesienie tegoż pana Rzewuskiego, posła wówczas wołyńskiego, prawo o egzekucji dekretów jednomyślnie uchwalone zostało.

Tak tedy o publicznych rzeczach wszyscy byli zajęci mową i słuchaniem, gdy król wrócił na pokoje z księdzem pisarzem, i kiedy zgromadzeni poddani cieszyli się oglądaniem pana, gospodarz odezwał się, trafiając w ich myśl, o uszczęśliwieniu województwa tą pierwszą, a tak długo oczekiwaną bytnością króla na Litwie; ale król przerwał z żywością: — Mości panie chorąży nowogrodzki, jak widzę masz nas za obcego; wszakżeśmy rodowitym Litwinem, urodziliśmy się i chrzest święty przyjęliśmy w Wołożynie, a będąc w stanie rycerskim, sprawowaliśmy urząd stolnika litewskiego. Nawet byliśmy w Lidzie na sejmiku, na którym utrzymaliśmy na poselstwie teraz tu obecnego waszego godnego wojewodę. Mości wojewodo nowogrodzki, przyświadcz nam, żeśmy wtedy szczerze wam dopisali. — Skłonił się JW. Niesiołowski, dziękując za łaskawą pamięć najjaśniejszego pana, a ksiądz Koncewicz, sufragan nowogrodzki, sędziwy starzec, ale wielce lubiący gawędzić, wmięszał się do dyskursu. — Pozwól, najjaśniejszy panie, przypomnieć pewną okoliczność jednego pobytu waszej królewskiej mości na Litwie. To było w Wilnie za księcia biskupa Pocieja. Już byłem rektorem w kolegium ś. Kazimierza, a JW. pisarz wielki litewski tylko co został profesorem; jeszcze wtedy ani myślano o kasacie. Dano przeto wiedzieć księciu biskupowi, że na ponarskiej puszczy lud tajemnie się zbiera, dla odbywania jakichś zadawniałych pogańskich obrządków, i że tam stoi dąb poświęcony, ogromnej grubości, przed którym lud klęka, pokłony bije i ofiary pali. Już jego poprzednik bywał o tem uwiadomiony, i dał był rozkaz, by ten dąb zwalono i spalono; ale było mnie-

manie, iż jak kto toporem po dębie uderzy, sam siebie zetnie. Ztąd prostota myślała, że to Bóg swój dąb broni, a inni wnosili, że być może, iż djabeł ludzi omamiał — dość, że nikt się nie odważył na ten dąb porwać, i rozkaz dopełnionym nie został, a zabobony jak trwały tak trwały. Otóż książę Pociej, równie światły jak gorliwy, że tak na pedogrę cierpiał, iż od dwóch lat z łóżka nie wstawał, nie mógł osobiście zjechać do ponarskiej puszczy, ale wysłał tam komisję, a na jej czele nieboszczyka księdza Jurahę, oficjała wileńskiego; i mnie tam wysłano z ojcami jezuitami. Był z nami i ksiądz Naruszewicz, tu obecny, a ten mi kłamstwo zada, jeśli zmyślam. Siła była dominikanów, bernardynów i innych zakonników, nie licząc świeckich; dość, że omal całe duchowieństwo wileńskie nie zjechało się, kto z rozkazu, kto z ciekawości, a do nich mnóstwo panów i szlachty się przyłączyło. Przybyliśmy tedy w las, a już z całej okolicy spędzono prostaczków, ile ich tylko można było nagromadzić. Dopiero ksiądz Juraha miał naukę do narodu, w której go przekonywał, że to bałwochwalstwo porzucić trzeba, a przestać naszego Zbawiciela krzyżować, gardząc nauką jego kościoła, aby chodzić za baśniami i czartowskiemi wymysłami, a po skończonem nabożeństwie kazał ów dąb zwalić: ale żaden prostak nie chciał mu być posłusznym. — A co to, prawi jeden po drugim, mam sobie samemu być wrogiem? Niech księża sami popróbują go ścinać. — Nie trzeba zaś zapomnieć, że wiele było świeckich mężów. Ksiądz Juraha mówi JW. Chlebowiczowi, kasztelanowi wileńskiemu: — Jako wysoki senator, daj panie z siebie przykład, którym lud oświecisz! — A pan kasztelan odpowiedział, pokazując na JO. księcia Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, który był razem wojewodą wileńskim: — Oto jest pierwszy senator naszej prowincji; strzeż mię Boże, abym przywłaszczył sobie pierwszeństwo. — Ale książę hetman: — Rybeńko, przyzwoiciej aby stan duchowny zaczynał, a my potem. — Tu ksiądz Juraha: — Toby było przeciwko powagi stanu dochownego, toporem machać. — Tak wszyscy stanęliśmy jak wryci, tylko się na siebie oglądamy, bo choć wiara była wielka, każdy myśli sobie: a nuż czort omami, kto siebie pewny, kiedy on na Sanctus Sanctorum odważył się porwać. Świeccy jeszcze więcej zwątpili o sobie; pięknaby się rzecz zrobiła: tu uczą naród, aby w takie zabobony nie wierzył, a tu sami nauczyciele tak się polękali, iż żaden odważyć się nie może na to, przeciwko czemu piorunuje. Aż jeden pan młodziuchny, po zagranicznemu odziany, ale dziwnej urody, podobniejszy do anioła, niż do człowieka, widząc te korowody, porywa topor i śmiało nim po dębie raz, drugi i trzeci zacina. Dopiero jak zobaczył lud, że jemu nic, za nim z toporami tak żwawo, że dębisko duchem zwalone, runęło z hukiem o ziemię. My cie-

kawi; co to za pan tak odważny i piękny, dowiadujemy sie, że to pan kasztelanic krakowski, dzisiejszy nasz pomazaniec, który zaszczyca nas swoim majestatem, a który, daj Boże! aby nad naszymi prawnukami panował, jak teraz nad nami szczęśliwie panuje. Tak ledwo z dzieciństwa wyszedłszy nasz wielki monarcha, uzupełnił dzieło Władysława Jagiełły: tamten w pogańskich narodach prawdziwą wiarę zaszczepił, a ten ostatnie szczątki bałwochwalstwa zniszczył. Pan Bóg mu to nagrodził, powierzając mu panowanie nad ludem, którego, śmielszy od nas wszystkich, na drogę zbawienia naprowadził. —

Podobało się bardzo królowi to zaszczytne wspomnienie jego pierwszej młodości, tem więcej, że w tem zgromadzeniu było kilku tego naocznych świadków, a wielu z nas o tem wiedziało, ale tylko jak o słyszanej rzeczy. Pan Trembecki zaczął trochę prześladować księdza pisarza wielkiego litewskiego, że z siebie przykładu nie dał; ale ów JW. ksiądz się tłómaczył: — Co to waćpan myślisz, że u nas w zakonie jak między szlachtą, gdzie każdy starszy? U nas wara młodzikowi, coby się z czemkolwiek wyrwał przed swoim przełożonym. Nie prawdaż, mości sufraganie, że będąc rektorem, byłbyś mnie w ciupie zaparł, gdybym bez rozkazu jął się siekiery. A nakoniec sameś napisał, mości szambelanie, o naszym pomazańcu:

Że raczył nam powszechne światło rozprowadzić;
I myśleć nas nauczył, i po trzeźwu radzić.

Wszystko idzie ad Caesaris exemplum. Za czasów byliśmy pijaki, tchórze i ciemni, teraz jesteśmy trzeźwi, mężni i światli. Onegdaj my starzy w szkole nowogrodzkiej przekonywać się mogliśmy, że dziś dzieci więcej mają nauki, niż za naszych czasów wysokie urzędniki. — To młodzieży się podobało, ale starzy trochę czoła namarszczyli; jeno że król spostrzegłszy się, wnet temu dał inny obrót: — Byliśmy tak szczęśliwi — rzekł — obejmując rządy powierzone nam od Boga, iż znaleźliśmy wielu starych, którzy uskutecznili nasze zamiary względem rozpowszechnienia nauk między młodzieżą. Bo bez pomocy tych weteranów, o których widno iż żartując, tak lekko wspomniałeś, mości księże pisarzu litewski, na niciby się nie przydały starania nasze. — A temi słowy król mocno uradował całą naszą publiczność. Potem pani chorążyna zaprosiła króla, by raczył pozwolić sobie służyć obiadem w stodole, przepraszając, iż nie mają sali tak obszernej, w którejby mogli umieścić liczne obywatelstwo, łaknące dzielić gody królewskie. Król odpowiedział uprzejmie, że najwłaściwiej króla rolniczego narodu w stodole nakarmić, i podawszy rękę gospodyni domu, z nią poszedł na gumno. Gdyśmy za przykładem i pozwoleniem najjaśniejszego

pana zasiedli za stołem, zwrócił uwagę królewską przy nim stojący zrobiony misternie z ciasta i cukru na półmisku ogromnym wizerunek Piasta, siedzącego na wozie dwoma wołami ciągnionym, a naładowanym kołami, któremu u wrót Kruszwicy wojewodowie koronę i berło przynoszą. Tu cudna robota, która długo się jeszcze potem chowała w Snowiu, była dziełem wędrownego snycerza Niemca, który właśnie jakby z rozporządzenia boskiego, natenczas w kościele ojców Dominikanów nowogrodzkich różne ozdoby kościelne kształcił i złocił. A że jako Niemiec do wszystkiego był zręczny, kazał przeto pan chorąży nam go zabrać z sobą do Snowia, gdzie przez dwa dni nie spełna tak się nam popisał, że mu pan chorąży po odjeździe króla dwadzieścia pięć czerwonych złotych z dobrego serca dał nagrody. Z powodu tegoż wizerunku zaczęto rozprawiać, czy też w istocie tak było, czyli to tylko wymysł dziejopisarza. Jedni dowodzili rzetelności tego wypadku, drudzy, a między nimi szczególnie pan Trembecki, uważał to być alegorją. Rozpierali się jak to zwykle pomiędzy uczonymi, aż król się odezwał: — Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta, niech on nam służy na zawsze za dowód, że w zacnym narodzie prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić najwyższej władzy. — Jeszcze się wtenczas doskonale udało panu chorążemu, stojącemu jako gospodarz za krzesłem królewskiem: — Najjaśniejszy panie, powiedział, wasza królewska mość jest dla nas zupełnym Piastem, nawet kołodziejem, jak on, bo toczysz koło fortuny polskiej i litewskiej. — Co król mu odwdzięczył miłym uśmiechem; potem król zaczął po francuzku rozmawiać z panią chorążyną. Zaczęła się animować kompanja za hasłem przez gospodarza danem, który ogromnym kielichem spełnił zdrowie jego królewskiej mości w ręce JW. Niesiołowskiego, wojewody naszego. A potem kielich puścił się na wędrówkę między nami, przy tem zdrowiu śpiewano wiersze na prędce ułożone przez pana chorążyca litewskiego, naszego posła, a brata rodzonego gospodyni domu. Król małym kieliszkiem pił zdrowie gospodarstwa i szlachty, ale widno było, że mu to nie służyło, i choć w małej ilości, nie pijał bez widocznego wstrętu. Ale my szlachta, rozrzewniona jego bytnością, pozwoliliśmy sobie, że przez cały czas obiadu zabawa była dość animowana. I panowie z królem przybyli, chociaż do Warszawy nawykli, nie gorzej nam dopisali, a szczególnie ksiądz Naruszewicz, pisarz litewski, który pił że aż miło. Jednak jakieś było umiarkowanie, bo pan chorąży wstrzymał nasz popęd, gdyż król po obiedzie miał rozdawać urzędy; trzeba więc było gospodarzowi być trzeźwym, bo jako zastępującemu miejsce podkomorzego, wypadało jemu mówić z królem o wakansach i przekładać mu życzenia obywatelskie.

Jakoż po obiedzie król wezwawszy JW. wojewodę i kasztelana nowogrodzkich i pana chorążego Rdułtowskiego do swojej komnaty, konferował z nimi a nagrodach zasłużonym obywatelom i o rozdaniu wakansowych urzędów tym, co opinję publiczną mieli za sobą.

Po skończonej konferencji wróciwszy na pokoje, gdzie my zebrani z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy ich przybycia, król jegomość kazał księdzu Naruszewiczowi ogłosić nazwiska łaskobierców. Orderem orła białego zaszczyceni wtedy zostali: JW. Gedeon Jeleński kasztelan i ksiądz Kuncewicz, biskup adnumentański, sufragan nowogrodzki. A świętego Stanisława: pan chorąży, gospodarz domu, pan Obuchowicz, podwojewodzy, i pan Rewieński, prezydent sądów ziemskich. Pan Siemiradzki, który przed rokiem złożył nasze stolnikostwo in favorem pana Hipolita Korsaka, otrzymał urząd sędziego wojskowego. Wakujące strażnikostwo i mostowniczowstwo nowogrodzkie dostali: Pan Celestyn Czeczot i pan Józef Barzobohaty; także kilka starostw król naszym rozdał i nieco urzędów egzotycznych. W tym hojnym wylewie szczodroty najjaśniejszego pana i mnie jego łaska nie ominęła: dostało mi się cześnikowstwo parnawskie. A sposób, w jakim król te godności rozdawał, był nam wdzięczniejszy niż one same. Bo każdemu świeżo zaszczyconemu umiał coś obowiązującego powiedzieć. Gdy przyszło do mnie: — Mości cześniku parnawski, rzekł, zawsze się staramy zasłużonym obywatelom podawać coraz obszerniejsze pole do dalszych ich zasług. Wiem że długo byłeś nam przeciwny; ani wam to za winę przypisujemy, boś szedł za swojem przekonaniem. Spodziewamy się atoli, iż odtąd jedna tylko opinja nie dopuści żadnych domowych rozterek w naszej rzeczypospolitej, i że z równą wiernością będziesz służył królowi ściśle zjednoczonemu z całkowitym narodem, jakeś służył tej części, która niefortunnemi okolicznościami od niego się była odłączyła. Tuszym, że mieć zawsze będziemy w waćpanu wiernego sługę i przyjaciela. —

Klęknąłem natychmiast przed królem i u nóg jego odnowiłem przysięgę wierności, co ją aż do samego końca dochowałem jemu. I nie tylko ja, ale wszyscy obdarzeni równym zapałem przysięgali mu wiarę. Taką miłością zapaliliśmy się do naszego pana, że byliśmy jak w gorączce: żaden z nas nie umiałby dokładnie przypomnieć sobie, cośmy wyrabiali. To tylko pamiętam, że ustawicznie padaliśmy do nóg, płakaliśmy i śpiewali na przemian, a pili co się wlazło. — Choć król okazywał, iż był rad tym naszym wynurzeniom, pewny jestem, żeśmy się naprzykrzyli jemu, bośmy chwili mu wolnej nie zostawili: co jeden kończy, to drugi zacznie, a gospodarz tylko chodzi od jednego do drugiego i przekłada, że król nazajutrz z rana musi jechać, że podróżą i pracą zmęczony, że wczasu mu potrzeba — na siłę

my się przekonać dali. A tak zebrawszy się w oficynie, żeby hałas nie dokuczał królowi, całą noc piliśmy; że kiedy z rana król wsiadał do karety, zastał nas przed gankiem na nogach, lubo dubrze chwiejących się. Dopiero znowu nowe śpiewy i klękania przy pożegnaniu i prośby, by nam dał ojcowskie błogosławieństwo, którebyśmy zanieśli żonom i dzieciom naszym. A większa część naszych, choć ledwo na nogach się trzymała przez wino i niewczas, króla konno odprowadziła aż do granicy naszego województwa.

Ale kiedy po odbyciu wszystkiego wróciłem do Doktorowicz, co to była za radość żony i czeladki! Zsiadając z bryki, pierwsze moje słowa do żonki, która na przyjęcie moje wybiegła, były:

— Żonko! dziękuj Bogu, że nam nad spodziewanie poszczęścił: był już z jego łaski majątek i dziatwa, urzędu tylko nie dostawało, aż król jegomość raczył nas i urzędem zaszczycić. Mościa cześnikowo parnawska! pocałujże swojego męża! — Co powiadasz, mój kochanku? — Tak, tak, moja Magdusiu! Pamiętasz jakeś mocno uczuła roku zeszłego, że nasza sąsiadka, pani Rajka, miecznikowa, napisała do ciebie: Mnie wielce mościwa pani i kochana siostro! Rzewnemi łzami płakałaś przedemną, skarżąc się na jej niegrzeczność. A jam ci powiedział: choć pani miecznikowa, mogłaby spuścić ze swego prawa, by niem nie upokarzać sąsiadki; przeczyć jej tego prawa nie można, bo ona urzędniczka, a ty po prostu szlachcianka. Ledwom cię ukoił, toś przez cały rok ofiarowała boskiej. Opatrzności poniedziałki suszyć, byś także została urzędniczką. Widzisz, że kto z Bogiem, Bóg z nim, i my teraz z jego łaski jesteśmy wielmożni. — Ach, mój Sewerynku, pozwól niechno wyprawię forysia do pani miecznikowej z doniesieniem o naszem szczęściu, które listownie jej oznajmię, jako sąsiadce łaskawej. — Dobrze, moja Magdusiu, pisz; niech wszyscy wiedzą, że my na ludzi wyszli.

Moja Magdusia do siebie nie mogła przyjść z radości. A ja patrząc na tę jej radość, więcej czułem moje szczęście, niż kiedym je otrzymał w Snowiu z rąk najjaśniejszego pana. A w domu z jaką pociechą cała moja czeladka i wiejska gromada przybyli do mnie z powinszowaniem!

Pięćdziesiąt kwart gorzałki dałem gromadzie, aby na moim dziedzińcu radowała się z nami, a mój stary dyspozytor Pękalski, który mojego dobra gorliwiej niż własnego pilnował, którego synów moim kosztem w szkołach utrzymywałem, do łez mnie rozczulił, bo jak mu Magdusia oznajmiła, że cześnikiem zostałem, powiedział mnie: — Panie! już teraz spokojnie umrzeć mogę, kiedy doczekałem, że zasługi pańskie nie poszły marnie.

Ledwo nie przez cały kwartał zjeżdżali się do mnie sąsiedzi, by mi winszować zaszczytu, i nie mało kosztu ta ich życzliwość nam przyczyniła. Aleśmy tego nie żałowali, i Magdusia, choć skrzętna gospodyni, tak była ucieszona swojem znaczeniem, że na żadne wydatki dłoni nie ściskała.

XI.

SAWA.

Bez najmniejszej przesady wyznać można, że nie tylko doświadczeniem, ale pożyciem nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Bo szlachcic, choć najuboższy, był równy magnatowi; przy pomocy boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego bywały przykłady); a tej równości z magnatem nie tracił nawet, służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży starodubowski, służył u księcia wojewody wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódcą jego milicji i jeneralnym plenipotentem; a przecie urzędował rzeczypospolitej, posłował na sejmach i został orderowym panem. A że był starożytnym szlachcicem, ożenił się z siostrzenicą księcia, panną Brzostowską, z tak wysokiego domu, i nikt się nie dziwił, że sam książę wyprawiał wesele, bośmy wszyscy byli równi między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim; że zaś pan był zawsze wysokim sługą rzeczypospolitej, szlachcic u niego służąc, służył razem i ojczyznie.

Już dziś panów nie ma w Polsce, ani na Litwie, ale za to namnożyło się podpanków, co nie służąc ojczyźnie, nie z tego co boli, często nawet ani z soli ani z roli, ale z jakichś tam podradów, z nabytków nie koniecznie uczciwych, z handelków, z lichwy i podobnych szachrajstw, porobili sobie majątki znaczne; a że i dziadów swoich okazać nie mogą, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okolski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli — więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów ani by dostąpił, i wynoszą pod niebiosa postęp teraźniejszego wieku. Nie wiem kto w narodzie korzysta z tego postępu. Mieszczan, co nam wyrzu-

cano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widać, tylko po dawnemu handlują sami Żydzi, lub gdzieniegdzie jaki Niemiec przybyły; a włościaninowi nierównie gorzej. Na Litwie już bojarów zmusili do robocizny, a na Ukrainie zamiast dawnych dni letnich, co ich tylko po dwanaście na rok chłop odrabiał, pędzą go na pańszczyznę od nowego roku aż do świętego Sylwestra dzień po dniu. Pletą o prawach człowieka to, co pochwytali z zagranicznych książek, a nie wiedzą, że co tam jest w piśmie, u nas było w doświadczeniu, i dokładniej: bo to nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafią wymyśleć. Ale czyż tylko na równości zasadzały się zaszczyty i szczęście naszego szlachectwa? Szlachcic nie mógł być ani rządzonym, ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał; a sam z zagrody swojej mógł się przenieść i na ławicę poselską i na krzesło senatorskie, i na tron nawet. To też nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupili się dla potomków. Hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach wsławiali, a sejmy za szlachtę ich przyznawały, i takich nazywano ex charta belli. Ztąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie od narodu, dziesięć dyplomów sekretnych dać na szlachectwo takim, co szlachtą nie byli (jak to widzieć w konstytucji 1766 r.), a pozwolenia tego nadużył, zamiast dziesięciu może kilkuset uszlachcając, co sejm były o to skargi i choć daremne ze strony posłów dopominania się, aby metryki koronne im okazywano. Bośmy składali stan rycerski i w samych dyplomatach dodawane były zawsze te wyrazy: preciso scartabellatum. Była wprawdzie przez czas niejaki konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu Żydowi przyjmującemu wiarę katolicką: prawo pobożne, przeciw któremu nie godziło się sarkać, gdyż zgodne było z gorliwością narodu, chcącego wszelkiemi środkami rozprzestrzeniać królestwo boże na ziemi. Ale takowe szlachectwa nie były u nas poważne, bo zdawało się nam, że stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. Szlachectwo ex charta belli, choć świeże, było na równi z najdawniejszem poważane. Nie podszywano się dawniej pod cudze szlachectwa, ale prawnie onego dostępowano. Hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów włościan, co się odznaczyli pod Kluzynem, a sejm im wszystkim nadał przezwisko Żółkiewskich, tylko kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknienia familijnego zamięszania. Toż i Rewera Potocki, hetman wielki koronny, podał do klejnotu szlacheckiego wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale z nim razem krew za ojczyznę przelewali. Sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie: ztąd na Rusi powstali Jaroszyńscy, Sabatynowie, Ułaszyny, Santamany, i inni, którzy

bez niczyjego zgorszenia weszli w udzielność szlachecką, a z których ojczyzna miała potem pociechę. Dla tego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz jaki przywłaszczywszy sobie szlachectwo, nieprawnie za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innych zasług, tylko że miał pieniądze. Więc też na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad aby czy mieszczanin, czy popowicz, czy chłop zbiegły, mógł zostać jego sędzią, prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał imparitatem, i gdy tego dowiódł, samozwaniec cały majątek utracał, który najczęściej jure caduco dostawał się temu, co go przekonał o nieprawe posiadanie zaszczytu nienależnego i tem uwolnił obywatelstwo swojego województwa od wielkiego zgorszenia; bo gdyby dowieść nie potrafił, sam byłby karany pena talionis. Młodzieży teraz o tem gadaj, to słucha jakby o żelaznym wilku; albo ona rozumie, czem było nasze szlachectwo? Wie ona z historji, że Jan Zamojski podpisał się: Nobilis Polonus omnibus par; a może o tem nie wie, że na Litwie jest kilkadziesiąt domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, chociaż mają do niego niezaprzeczone prawo. Nie tylko Ogińscy, ale Puzynowie, Swirscy, Mickiewicze, Wańkowiczowie, Mirscy, mają mitry w herbach i są prawdziwymi książętami, do czego nigdy przyznawać się nie chcieli, przez miłość równości szlacheckiej. A potem cóż księstwo prawdziwemu szlachcicowi mogło dodać? Jeszcze to nie najdawniej, kiedy książę de Ligne, panujący w Niemczech, ożenił był swojego syna z naszą księżniczką Massalską, starał się o indigenat dla siebie na sejmie 1786 roku, i ledwo otrzymał ten zaszczyt z takiemi trudnościami, że powiedział publicznie: — Łatwiej w Niemczech o udzielność, niż w Polsce o szlachectwo. — I dziwi się młodzież, iż ci sami, co długo trutynowali czy tak wielkiego męża, hetmana cesarza rzymskiego i księcia udzielnego, przyjąć za szlachcica lub nie, obruszali się na jakiegoś rzeźnika albo bandarzystę, co sam siebie nobilitując, deptał najkardynalniejsze prawo narodu! Zresztą doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa nie wielka pociecha. Czytałem w podróży do Ukrainy zachodniej przez pana Sakowicza wydanej, że w okolicach Machnówki obywatele tak są bezczelni, iż jeden drugiemu psy i konie kradnie. Taka rzecz, dawniej po szlachcie niesłychana, mocno mnie była zastanowiła i temu wierzyć nie mogłem. Jakoż i teraz myślę, że trochę przesadził pan Sakowicz, ale już teraz miarkuję, zkąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki, wojewoda kijowski, z wymysłu pańskiego zostawszy handlarzem, do swojego miasteczka Machnówki przywabił był na buchhalterję, do której szlachta nasza niezdatna, różnych przechrztów, a popowiczów, a mieszczuchów: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. Ci ichmościowie nazbierawszy

grosza, szlachtą się porobili i już między siebie porozbierali część dziedzictwa wojewody; a że zabór kraju zaraz nastąpił, to im uszło i via facti utrzymali się przy szlachectwie: teraz ich synowie urzędują i nosy do góry zadzierają. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów, kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż jak dziś być niem obsypanymi? Chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. To też takich paskudstw o nas nie piszą. Tłumaczę więc jaśniej, dla czegośmy nasze szlachectwo tak wysoko cenili: nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej rzeczypospolitej; a kto był jej zasłużonym, tem samem mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, nawet choćby się był urodził chłopem. I tego dowód przytoczę: pan Sawa, co się urodził prostym kozakiem, nobilitacji nie miał, a był marszałkiem zakroczymskim i w czasie Konfederacji barskiej zasiadał między pany.

Służyłem pod ś. p. panem Sawą i przy mnie Panu Bogu ducha oddał; a chociaż nie chwaląc się, z dawnego rodu jestem szlachcicem (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu Sopliców podpisało się na elekcji króla Stefana), byłem mu posłusznym. A nie tylko ja i mnie podobni, ale JW. Potoccy, wojewodzice wołyńscy, byli pod nim regimentarzami, i chociaż magnaci całą gębą, drżeli przed nim. Razu jednego, gdy jeden z wojewodziców niedość prędko dopełnił jego rozkazu, przez co Drewiczowi udało się ujść prawie z rąk naszych, pan Sawa zaczął łajać wojewodzica i zagroził mu, że jeźli kiedykolwiek dopuści się podobnej opieszałości, to każe mu w łeb wypalić. To było w obec kilku panów, zapewne spokrewnionych z wojewodzicem, a nikt nie powiedział: — A co ma kozak gnębić senatorskiego syna? — bo wszyscy mieli Sawę za równego sobie. Jakoż w istocie poświęceniem się swojem dla ojczyzny wyrównywał on tym zasługom, które magnaci po przodkach odziedziczyli i przez które jedynie są magnatami.

Sawa urodził się w starostwie czehryńskiem, zkąd był i przeklęty zbrodzień Chmielnicki (takto z jednego drzewa może być i krzyż i motyka!); a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta czehryński, przywiózł go małym do Warszawy, i gdy go odumarł, a Sawa podrósł, po dworach służył za kozaka; bandurkę rzucił, a nawykł do innych zabaw: i spisą i szablą tęgo robił, na polowaniach zające z pistoletu ubijał, naszego języka się wyuczył i nasz obrządek przyjął; bo chociaż i pierwej był katolikiem, jeno obrządku ruskiego, mając szlachetne serce, jak najmniej chciał się różnić od szlachty. W czasie siedmioletniej wojny w pułku Szybilskiego (prostego jak on włościanina), Fryderykowi pruskiemu służąc, taką sobie zjednał sławę, że tam los

mógłby sobie był zapewnić. Ale ztęskniwszy za ojczyzną, do niej wrócił, a jako nieszlachcic nie mogąc się w komputowem wojsku umieścić, na nowo musiał po panach służyć. Kiedy się zaczęła Konfederacja barska, był wielki zjazd w Piotrkowie, na reasumcji trybunału. Mnóstwo było panów z licznemi pocztami; a że wielcy panowie prawie wszyscy mieli dobra na Rusi, do kilkuset kozaków zbrojnych przyprowadzili ze sobą. Sawa także się tam znajdował i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka trybunału, a będąc sam kozakiem, łatwo się z kozakami porozumiał i tak koło nich pochodził, że jak na cztery tuzy w tryszaku, mógł na nich rachować. Kiedy pan Kwilecki, starosta kościański, marszałek konfederacji, rozbił księcia Sołtykowa pod Rozrażewem, Sawa zebrawszy do półtrzecia sta kozaków na dobrych koniach, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkał po drodze rejterującego się Sołtykowa, napadł na niego niespodziewanie, rozbił do reszty, zabrał mu armaty, samego wziął w niewolę, i złączywszy się z panem Kwileckim, z nim razem szedł do miasta. Ten wypadek rozszerzył konfederację po całej Wielkopolsce. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży i zaczęli maszerować ku Warszawie. Sawa upewniał, że stolica dostanie im się w ręce, że gwardja koronna z nimi się złączy, a mając mieszczan po sobie, stojących tam Moskali nie masz czego się obawiać. Gdyby posłuchano pana Sawę, inny kierunek rzeczy by wzięły. Doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość przez obywatela, co się do niego przedarł, że całe Kujawy i Płockie są gotowe do powstania, byle tylko jeden zbrojny konfederat im się pokazał. To go zdecydowało zaniechać Warszawę, której się prawie dotykał, a co prędzej dostać się na prawy brzeg Wisły.

— Nuż nam się nie uda opanować Warszawy — mówił Sawie. — Jeżeli porażeni zostaniem, co być może, bo ten tchórz Poniatowski co mógł musiał zebrać na swoją obronę, natenczas cała konfederacja na Wielkopolsce przepadnie, której ledwo trzecia część powstała. Lepiej nam się wzmocnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero potem napewno pójść do Warszawy.

Napróżno Sawa ofiarował mu ze swoją przednią strażą napaść na stolicę, byle mu tylko pan Kwilecki stał w odwodzie, aby w przypadku do niego mógł się cofać; napróżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem i świeżem doniesieniem potwierdzał wszystkie wnioskowania Sawy o duchu stolicy i gwardji — nic nie mogło przekonać pana Kwileckiego. Był on dobrym żołnierzem i w wojsku francuzkiem w młodości swojej służył; ale na nieszczęście więcej wierzył w zagraniczne prawidła sztuki wojsko-

wej, niżeli w instynkta polskie, a do tego popierał go w zdaniu Gawar, inżynier francuzki przy nim będący, w którym szczególną miał ufność. Ten uzyskawszy dość wziętości, iż przyczynił się do zwycięztwa pod Rozrażewem, nie mógł pojąć, jak można w trzy tysięcy ludzi dobywać miasto wielkie bronione przez ośm tysięcy żołnierzy. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić przednią straż ku Wyszogrodowi, gdzie szczęśliwie przez Wisłę się przeprawili.

Pod pewnym względem niezupełnie pomylił się pan Kwilecki: bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły Konfederację. Oddzielił więc od siebie Sawę w trzysta koni, dał mu pod komendę pana Franciszka Dzierżanowskiego z częścią Mirowskich i kazał iść do Zakroczymia, aby rozszerrać powstanie po Mazowszu, a sam poszedł do Płocka, dla poparcia wzrastającej Konfederacji. Pan Dzierżanowski z początku chciał drzeć koty ze swoim dowódcą, jako szlachcic i oficer gwardji z kozakiem; ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że lubo przy nadzwyczajnem męztwie był dość burzliwym, słuchał go jednak potem jak dziecię piastunki.

Mnóstwo młodzieży mazowieckiej do naszych się garnęło i zaciągało się pod znaki Sawy. Od nich dowiedział się, że w Zakroczymie stoi bataljon moskiewski i kilkaset Dońców. Moskale widząc że dąży ku miastu, wyszli naprzeciw niego, tem pewniejsi zwycięztwa, że silny oddział karabinierów przybył im w pomoc z Warszawy. Rozwinąwszy się przed Zakroczymem, ledwo naszych zoczyli, dali ognia z armat, a potem posunęli szparko naprzód swoją kawalerję. Pan Sawa zalecił panu Dzierżanowskiemu cofać się przed kawalerją moskiewską, a sam zakryty jego obrotem, rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, skoro się jazda oddali. Doskonale się udało. Pan Dzierżanowski niby uciekając przed karabinierami i Dońcami, tak ich w pole wyprowadził, że pan Sawa miał czas pokazać się jak piorun pod samym Zakroczymem. Jak go spostrzegła piechota moskiewska, uszykowała się w czworobok i sypnęła ognia; ale pan Sawa nie dał jej się poprawić: czworobok złamał, cztery armaty zabrał i cały bataljon w pień wyciął. Opamiętała się dopiero jazda nieprzyjacielska na słuch wystrzałów, że się oddaliła zanadto i wzięła się co prędzej do odwrotu. Chociaż pan Dzierżanowski już jej na karku siedział, w największym jednak porządku szła, myśląc że do swojej piechoty się cofa. Wtem pan Sawa jak ją przywitał kartaczami z armat przez siebie zdobytych, wszystko się rozsypało: ten do lasa, ten do Sasa, a pan Dzierżanowski nabrał tego ile sam chciał.

Po tak świetnem zwycięztwie wszedł pan Sawa do Zakroczymia, gdzie mnóstwo było obywateli uwięzionych po klasztorach, którym natychmiast wrota otworzono. Liczne magazyny

wpadły w jego ręce, a czego pan Sawa dla wojska nie użył, to rozdał między mieszkańców. I nie tracąc czasu, zgromadził szlachtę będącą w mieście, aby co prędzej sporządziła akt powstania. Tak się podniosła Konfederacja w Zakroczymiu, której marszałkidm Sawa jednomyślnie ogłoszonym został, a regimentarzami obrani byli: pan Potocki, wojewodzic wołyński, i pan Lelewel, burgrabia zakroczymski.

— Bójcie się Boga, panowie! — mówił Sawa. — Ja prosty kozak, jakże wam szlachcie mam marszałkować?

Innego marszałka nie chcemy! — krzyknęła szlachta. — Pan Bóg i twoje zasługi namaściły cię polskim szlachcicem, nim sejm za takiego przyzna.

Przytem nie byłem, ale tak o tem wiem, jakbym na to patrzał; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy i od pana Dzierżanowskiego, i od p. Lelewela, i od wielu innych, z którymi później służyłem, a każdego relacja na jedno godziła. Dość że ta sama szlachta, co nie tylko urzędnika, ale wioski dzierżyć by nie pozwoliła nieszlachcicowi, marszałkiem swoim ogłosiła kozaka: bo nasza duma szlachecka nie była ad destruendam, sed ad aedificandam patriam. A sam widziałem jak inni marszałkowie, nawet i sam JW. Pac, co był nad nimi wszystkimi, obcowali z p. Sawą jak z równym i tyle go szanowali, że gdyby był wyniesiony nie tylko na marszałka, ale i na kasztelana krakowskiego, nikt by z poczciwych przeciw temu słowa nie powiedział: taki z niego był i wielki wojownik i godny obywatel. I ciągle się odtąd wsławiał marszałek zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było iść o zakład, że i on tam jest. A że ludzie obok niego i za nim padali, że kule ustawicznie robiły mu dziury w odzieniu, tak że zawsze łatany chodził, a sam nigdy ranny nie był; Rusini jako zabobonni, między jego kozakami urosło przekonanie, że on był charakternikiem, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, aby go żadna trafić nie mogła. Od nich i do nas ta pogłoska się rozeszła; przyznaję, że i sam temu wierzyłem, a to mniemanie bardzo go obrażało: raz, że był dobrym katolikiem, powtóre, że jako rycerz miał sobie za krzywdę, gdy o nim myślano, jakoby dla tego na niebezpieczeństwa śmiało się narażał, że wiedział, iż mu się nic nie stanie; i nieraz byłem świadkiem, jak przeklinał swoje szczęście, co mu rany dostać nie pozwalało. Ale na biedę ojczyźnie i nam wszystkim, przekonałem się, że on nie był charakternikiem. Bo kiedy pan Sawa później chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda wziąść Warszawy, zebrał z różnych komend do tysiąca koni (i ja mu się wtedy dostałem); szliśmy lasami powiatu radomskiego, gdzie często po drodze udawało nam się gromić oddziały moskiewskie. Pod Jankowicami nawet Drewicza zbiliśmy, i możebyśmy go samego żywcem schwytali, gdyby pan regimentarz

Potocki nie był się o jedną godzinę spóźnił: wszelako wzięliśmy przeszło pięćdziesiąt drewiczowskich huzarów, których wszystkich pan marszałek kazał zakłuć: pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki i z niewolnikami moskiewskimi zawsze łagodnie się obchodził; ale że Drewicz wielkie okrucieństwa popełniał, żonom konfederatów piersi odrżynał, niewolnikom naszym skóry z ramion zdzierał, a robiąc niby wyloty wiszące, mówił, że im kontusze sprawuje, i podobne okrucieństwa wymyślał — więc pan Sawa dla żołnierzy pułku Drewicza równem okrucieństwem odpłacał. Poszliśmy dalej, zawsze dążąc do Warszawy, a Suwarow, natenczas brygadjer moskiewski, na czele czterech tysięcy ludzi oddzielił się, by nas ścigać, i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa choć nierówny w sile, odważył się pójść wstępnym bojem. Mszczonów był w ręku Moskali: wielki staw przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już część jazdy moskiewskiej przeszła była groblę i piechota zaczynała przez nią przechodzić i od naszej strony szykować się. Pan marszałek myślił napaść na jazdę, nim piechota przejdzie, aby skrzydłem atakując, od grobli ją oderżnął. Uszykował tedy do boju swoje wojsko i pana wojewodzica wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie z półtorasta końmi, na Moskali uderzył. Dobrze się udało było, bo gdy uderzył, zaczęli pierzchać w nieporządku, i już byłby ich odciął, ale nad samą groblą na wzgórku stały armaty moskiewskie, które jak dały ognia, od pierwszego wystrzału pan marszałek dostał kartaczem w udo i spadł z konia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przywiązani, a mieli go za charakternika, widząc go rannym, bardzo się przelękli, jednak rzucili się ku niemu na ratunek. Skoro go podźwignięto, z największą przytomnością oddał dowództwo regimentarzowi zakroczymskiemu Lelewelowi, zalecając mu, by ścigał pierzchającą jazdę moskiewską, a sam się kazeł zanieść na rękach do karczmy, przy której stał wojewodzic wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać jak mogli udo pana marszałka: poznać było po twarzy, że mocno cierpiał, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko patrzał na komendę swoją, którą panu Lelewelowi poruczył. Ale ten jej rady dać nie mógł; bo jak spostrzegli ludzie, że już nie Sawa ich prowadzi, tak zaczęli pierzchać, że uciekający Moskale opatrzywszy się, wrócili do szyku i pędzili naszych, a tu coraz więcej jazdy moskiewskiej przechodziło przez groblę. Pan Sawa widząc, że dobrowolnie nasi się gubią, choć udręczony boleściami, chciał by go na konia posadzono; ale nie mógł siedzieć. Kazał więc wynieść kołyskę z karczmy, przywiązać ją do dwóch najlepszych swoich koni, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie w nią włożyć, okręcić pasami i końce ich do terlic kozackich przymocować. Tak niewygodnie i niebezpiecznie wisząc

na powietrzu między kozakami, wziął w rękę proporzec i prowadził nas do ataku. Opamiętał uciekających naszych żołnierzy, zawrócił ich z sobą i pomimo najokropniejszych boleści dając niesłychany przykład męztwa, złamał szyk Moskali i zmusił ich do ucieczki. Ale wszystko było za późno: już piechota moskiewska i armaty przeprawiły się przez groblę. Jak zaczęli ognia do nas dawać, sam pan Sawa pomiarkował, że nie ma nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, że do jednego wszystkich nas wystrzelają. Lubo boleści jego coraz więcej się wzmagały, że ledwo od rozumu nie odchodził, z największą przytomnością prowadził nasz odwrót przez Mszczonowską Wolę. Przedzieliwszy się wsią od ścigającej nas jazdy moskiewskiej, która dwa razy rozsypana, trzeci raz na karku nam siedziała, z dwóch stron razem kazał wioskę zapalić. Ponieważ wiatr był silny, wkrótce cała stanęła w płomieniach, i to wstrzymało czas jakiś Moskali. Sawa rozdzielił swoje wojsko na dwie połowy. Dowództwo jednej oddał wojewodzicowi wołyńskiemu, a drugą poruczył p. Lelewelowi, nakazując im najusilniej, aby każdy inną drogą cofał się ku krakowskiemu województwu, i nigdy nie łączyli się z sobą; sam zaś z dwoma kozakami i ze mną, który go nie chciałem odstąpić, zostając na miejscu, pożegnał swoich i pocieszył przyrzeczeniem, że jak tylko ranę wyleczy, znajdzie ich gdziebykolwiek byli. Wszystkie konie zostawiliśmy przy komendzie, a pana marszałka piechotą na rękach naszych zanieśliśmy w głąb lasu i całą noc przepędziliśmy w krzewinach pod gołem niebem, ratując go jak było można. Coraz bardziej jednak upadał na siłach i czasem nawet omdlewał. Nazajutrz rano, zawsze z drogim naszym ciężarem, puściliśmy się dalej w las na wolę bożą. Błąkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę, jak się potem pokazało, podleśniczego mszczonowskiej puszczy, i oddawszy się Bogu, na oślep do chałupy weszliśmy: bo trzeba było koniecznie w spokojnem miejscu złożyć pana Sawę, inaczej byłby nam skonał w ręku. Podleśniczy okazał się poczciwym szlachcicem i wiernym ojczyźnie; bo choć ubogi i obarczony dziećmi, ostatkiem się z nami dzielił. Mnie i kozaków poprzebierał za gajowych, a własną pościel w zamkniętej komórce oddał panu marszałkowi, którego podleśniczyna pielęgnowała. Potem sam w nocy wózkiem udał się do Mszczonowa, zkąd przywiózł żyda cyrulika. Ten opatrzył ranę pana Sawy: udo tak mu było spuchłe, że wszystko musieliśmy pruć na nim. Boleści odnowiły się okropnie przy pierwszem opatrywaniu: już nie mógł wytrzymać, jęknął kilka razy, a potem zemdlał, żeśmy go ledwo odtarli. Przyszedłszy do siebie, powiedział nam: — A co? prawda, żem nie charakternik — i pokazując swój szkaplerz, dodał: — Cały mój inkluz; innego nigdy nie miałem.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano;

a szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, której jako i jej mężowi powierzyliśmy, co za wielkiego człowieka mają w swoim domu, miała o nim staranie jak o rodzonym ojcu. Dobrze nam szło przez tydzień: pan marszałek zaczynał przychodzić do siebie i na jednej nodze skacząc, przenosił się już z łóżka do kufra pani Kleczkowskiej, na którym siadywał, aby nie nadto zleniwieć. Cyrulik robił nam nadzieję, że za parę tygodni najdalej na koniu będzie mógł siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda moskiewska: bo pan wojewodzic wołyński przed Suwarowem nie umknął i w kilka dni po rozstaniu się naszem rozbity, dostał się do niewoli z mnóstwem ludzi, gdyż z trzechset przeszło żołnierza, co ich miał jeszcze, ledwo pięćdziesiąt uszło, a resztę Moskale zabrali lub pobili. Otóż Suwarow dowiedziawszy się od jeńców, że Sawa ranny w mszczonowskiej potyczce, niewiadomo gdzie się podział, wnioskował sobie, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś niedaleko. A że jemu bardzo szło o to, aby go dostać, raz, że to był jeden z najdzielniejszych wodzów Konfederacji, powtóre, że chciał na nim pomścić się wielu drewiczowskich huzarów, którym pan marszałek płacąc za ich okrucieństwa, kazał ręce i nosy poodrzynać — oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem, kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie pojmać Sawę.

Gdzie djabelska robota, tam sam djabeł pomaga. A że wojsko moskiewskie na dwie części się dzieli: połowa oficerów, żołnierze, a połowa szpiegi, i tych ostatnich większa wziętość i prędsze postąpienie niż pierwszych (szpiegowskie rzemiosło przyszło u nich do wysokiego stopnia doskonałości!), dośledzili przeto prędko, że cyrulik mszczonowski tajemnie co nocy gdzieś wyjeżdża. Łapią go i dopóty biją, aż się przyznaje, że w lesie opatruje jakiegoś rannego. Biorą żyda, sadzą go na koń, aby był ich przewodnikiem, i w czterdzieści koni za nim ruszają do leśnej chałupy. Otoczyli ją nagle, a kilku z nich wpadło do izby. Gospodyni im grzeczności robi, zapytuje czy nie każą siebie czem poczęstować; ale oni nic nie mówiąc, prędko przetrząsają wszystkie kąty, a postrzegłszy komorę zamkniętą, wysadzają drzwi i zastają pana Sawę siedzącego już z pistoletem w ręku. — Pierwszemu z was, co do mnie przystąpi, w łeb strzelę! — zawołał Sawa. Oficier moskiewski cofnął się, lecz natychmiast kazał chałupę zapalić. Ja i dwaj kozacy wynieśliśmy z izby pana marszałka. Jak go ów oficer obaczył za domem, szyderskim tonem odezwał się do niego: — A szto mospan! tieper kapitulujesz? — Oto moja kapitulacja! — odpowiedział marszałek i pierś mu przeszył kulą. Tedy drugi oficer krzyknął: Zakoli jewo! — My choć bezbronni, ciałem naszem zaczęliśmy go zasłaniać; ale jak jeden Moskal urżnął mnie szablą po łbie, krew mnie oblała i straciłem przytomność, a kilku na mnie padło z postronkami, i zaraz związany, ani ruszyć się

nie mogłem. Pana marszałka bezbronnego i leżącego zaczęto kaleczyć niemiłosiernie. Jeden oficer, jak się pokazało, Polak w służbie moskiewskiej, bił go po głowie drzewcem od spisy; nasi dwaj kozacy to widząc, gołemi rękami odepchnęli nikczemnika; ale on ich obydwóch zakłuć kazał, i obadwaj skonali tuż przy mnie, mając oczy na pana marszałka obrócone. Oficer od Dońców zgorszył się postępkiem Polaka i sam zaczął zasłaniać naszego wodza, mówiąc: — Leżaszczawo nie bit' — przytem reflektował go, że jak żywcem przyprowadzi Sawę do jenerała, to prędzej dostanie krzyż, niż gdyby trupa przywiózł.

Na jednym wozie obu nas przywieziono do Mszczonowa: mnie skrępowanego, żem się ruszyć nie mógł, ze łbem obwiązanym, a pana Sawę kilkakrotnie pokłutego, z głową opuchłą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wozu, który czwałem konie ciągnęły, było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pan marszałek musiał cierpieć! Jednak nie skarżył się, tylko całą drogę odmawiał psalmy pokutne tak przejmującym głosem, że chociaż temu lat pięćdziesiąt i więcej, ile razy mówię lub słyszę: Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam tuam, zaraz mi staje przed oczyma nieboszczyk marszałek zakroczymski, łzami się zalewam. I teraz to pisząc, płaczę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie już miał komendę jenerał Potapow, Moskal rodowity, człowiek godny i pełen charakteru. Obszedł on się z nami bardzo po ludzku: do pana Sawy mówił z uszanowaniem i część kwatery swojej mu odstąpił, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Potem z błotem zmięszał oficera za barbarzyńskie z nami, a szczególnie z marszałkiem postępowanie; swojemu felczerowi kazał rany nasze opatrywać i zapytał pana Sawę, czego żąda, oświadczając, że starać się będzie wszelkie jego rozkazy wypełnić. — Nie długo panu jenerałowi naprzykrzę się — odpowiedział Sawa — bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza. — Jakoż natychmiast sprowadzono proboszcza, który go wyspowiadał, dał mu ciało pańskie i odmówił modlitwy, które za nim pan Sawa powtarzał bardzo przytomnie i tak wyraźnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był blizkim śmierci. Potem zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mi: — Oto mam szkaplerz, w którym są zaszyte relikwie ś. Wojciecha: jak skonam, zdejmiesz go, i zaklinam waćpana, byś go oddał p. Kaźmierzowi Puławskiemu, staroście wareckiemu. Jeśli ci się uda kiedy z nim się zobaczyć, powiedz mu, żem do śmierci był jego przyjacielem; a on niech ten szkaplerz nosi jako ostatnią odemnie pamiątkę. I waćpan, panie Soplico, nie zapomnij o mojej duszy. — To powiedziawszy, zażądał wody, wziął do ust, ale już przełknąć nie mógł; coś zaczął mówić niewyraźnie, można tylko było dosłyszeć: Jezus, Marja, Józef — i zaczął

konać. Nie pamiętam co się ze mną działo, ale jednak wypełniłem jego rozkazy: szkaplerz zdjąłem i nosiłem na sercu póki nie zobaczyłem się z w. starostą, co nie prędko nastąpiło; a odkąd mam kawał własnej ziemi, co rok egzekwie mu sprawuję. Nie długo po śmierci marszałka wyprawili mnie Moskale do Kazania z JW. wojewodzicem wołyńskim i z innymi jeńcami; a Bóg świadek, że mniej czułem stratę wolności, niż że ojczyzna nie będzie się już cieszyć tak dzielnym i poczciwym synem, jakim był pan Sawa.

XII.

PAN CZAPSKI.

Nigdy dobry uczynek nie będzie stracony, nawet i na tym świecie. Rozumie się uczynek, do którego się łączy jakaś ofiara, jakieś poświęcenie; bo cóż wielkiego rzucić, choćby pełną garść złota, jeśli to nie ujmuje nam najmniejszej wygody? Zbawiciel nasz widząc rozdających jałmużny i znaczne, rzekł, że biedna wdowa, co dała szeląg, większą ma zasługę, bo dała więcej niż każdy inny; był taki co i garść złota mógł dać bez uszczerbku swoich wygód, a ta wdowa może bez omasty musiała pożyć swoją wieczerzę, szeląg uboższemu oddawszy.

Dobrze sobie nadal tuszę o moim narodzie i ufam, że kiedyś Pan Bóg nad nim się zmiłuje, bo jest w nim wielki duch poświęcenia. Pomijam, że nigdzie magnaci nie byli tyle datni co nasi, i że mieli sobie za największe szczęście, kiedy kto z nich powstawał; ale i między nami szlachtą nawet zawziętości mało, a chęć przysłużenia się drugim wielka. To zwykłe u nas zakończenie listów wyznaniem służebnictwa nie jest tylko formą, ale istotną prawdą. Polacy wzajemnie sobie służą co dosłownie. Ten za cudzym interesem kłopota się po juryzdykcjach; tamten stara się pożyczyć gdzie pieniędzy dla sąsiada; ów krewnemu swojemu urządza gospodarstwo; inny, że kilka razy za stołem siedział z drugim, na pierwszą prośbę jedzie o mil kilkadziesiąt syna mu swatać; a wszystko bez innej korzyści dla siebie, tylko żeby się wywiązał z obowiązku obywatelskiego. Są zapewne wady narodowe; ale że ten duch ofiary i poświęcenia siebie, który okazuje cała nasza historja, tak uznana za pewną, jak i ta, co ją, nie wiem dla czego, bajeczną nazywają; że ten duch, mówię, trwa w narodzie, i tylko w naszym narodzie, jest to rzecz niewątpliwa, chociaż może nasi uczeni nie dość nad tem się zastanowili.

Uczynność polska nie zamyka się w ciasnym obrębie; sięga ona nawet i po za granicę swojego kraju. W tym właśnie roku, w którym się urodziłem, Moskwa wspierała Augusta III. przeciwko Leszczyńskiemu: z tego powodu po całej Wielkopolsce stały ich komendy. JW. Czapski, wojewoda malborski, pan znaczne dobra posiadający, a przychylny Augustowi, miał u siebie oddział artylerji. Chorąży, co nad tym oddziałem miał starszeństwo, będąc kawalerem w swoim narodzie zacnie urodzonym i dobrego wychowania, zaprzyjaźnił się był z synem jedynakiem wojewody, którego znałem w Konfederacji barskiej, starostą grodowym chełmińskim, i z którym potem w Kazaniu niewolę podzielałem. Że między młodzieżą związki są łatwe, wkrótce do wielkiej z sobą przyszli zażyłości. Czasu jednego zauważał wojewodzic, że chorąży wesołość swoją utracił i okazywał jakoby głębokie zmartwienie. Zaczął go więc wybadywać i nalegać, aby mu powierzył powód widocznego swego udręczenia. Wzbraniał się chorąży i zapierał się, ale nakoniec usilnemi prośbami przyjaciela znaglony, zwierza mu się: że jego podkomenduy zemknął, ukradłszy pieniądze rządowe, które się u niego znajdowały. Nie mając czem tej straty zastąpić, ani nie mogąc tak rychło pieniędzy od rodziców sprowadzić, nie widzi sposobu zasłonić się od kary, która go niechybnie czeka; bo za cztery dni jenerał przyjedzie, a jak pieniędzy pułkowych nie znajdzie, odda go pod sąd; ten pewno zdegraduje go, co matkę jego wpędziłoby do grobu. Nie mając przeto sił znieść tyle nieszczęść, postanowił w łeb sobie wypalić w dniu, w którym do niego jenerał przybędzie. Wojewodzic zapytał go, jak wielka może być kwota ukradzionych pieniędzy?

— Dwa tysiące czerwonych złotych — odpowiedział chorąży. —

Wojewodzic go zaklął, aby dopóki z nim się nie zobaczy, niczego nie przedsiębrał, i na to słowo oficerskie od niego otrzymał; sam zaś poszedł do ojca, jak długi padł mu do nóg i zmyślajęc że się ograł w karty, że na słowo przegranych dwa tysiące czerwonych złotych musi oddać natychmiast pod utratą honoru; powiadał, że nie wstanie, póki go ojciec nie wyratuje. Ojciec, co był senator wielce roztropny, a miłował syna, wystrofował go i dał mu te pieniądze, ale nie pierwej, aż syn mu przysiągł uroczyście na ewangielję, że przez całe życie swoje karty w rękę nie weźmie. Przysięgi tej najwierniej potem dochował; a owego momentu pobiegłszy zaraz do przyjaciela, rzekł mu:

— Życia sobie nie odbieraj, żyj dla matki i przyjaciół: oto masz pieniądze.

Wzbraniał się oficer, nakoniec rozczulony przyjął ofiarę. Wkrótce Moskale wrócili do kraju swojego. Aż po upłynionym roku na ręce wojewody przychodzi list do jego syna z pieniędzmi: dopiero przekonał się szczęśliwy ojciec, jak cnotliwego miał

syna, a razem, że on przyjaźń zawarł nie z płochym człowiekiem, ale z kawalerem ze wszech miar godnym. Bo trzeba wiedzieć, że rodowici Moskale, zwłaszcza potomkowie dawnych bojarów, są ludzie częstokroć uczciwi i moralni; tylko naród ich jest zhańbiony natłokiem rozmaitych przybyszów, którzy go obsiedli, w nim do znaczenia przyszli i zupełnie go opanowali: a że to są ludzie podli, dopuszczają się rozmaitych szkardzieństw; więc te spadają na naród tyle istotnie winny, że ich cierpliwie znosi, co zresztą jest poena pecati. Moskale są narzędziem uciskania innych narodów: z cudzą krzywdą rozszerzyli swoje granice, za to też są zawojowani u siebie przez garstkę cudzoziemców, którzy ich samych uciskają i nimi gardzą.

Po wielu leciech, kiedym ranny i więzień, zostawszy świadkiem jak zamordowano bezbronnego p. Sawę, powiezionym był do Kazania z panem Moszczyńskim, kasztelanicem inowrocławskim, z panem Pawszą, stolnikowiczem owruckim, i z innymi poczciwymi. W Kazaniu tylu naszych znaleźliśmy, że gdyby kto spadł z księżyca, mógłby myśleć, że do polskiego miasta się dostał, pókiby się nie opatrzył, że w niem tylko same cerkwie, a kościoła żadnego. Tamecznym gubernatorem był natenczas jenerał Wojejkow, w którym mieliśmy ojca, a nie zwierzchnika. Do mizernego lenungu, co nam rząd płacił, dodawał on z własnej kieszeni niemałe wsparcie i ile można było, osładzał nam nędzę; a to wszystko z powodu pana starosty chełmińskiego, któregośmy tam zastali. Kiedy bowiem przytransportowano go do Kazania, otrzymał rozkaz stawić się nazajutrz przed Wojejkowym, gubernatorem: przychodzi, wprowadzają go na pokoje, gdzie zastaje jego z żoną, dwóch kawalarów i trzy damy, jak się dowiedział później, że to było potomstwo gubernatora; a ten do niego:

— Czy poznajesz mnie waćpan, panie Czapski?

On mu na to: — Bóg świadek, że nie przypominam sobie, gdziebym miał szczęście być znanym panu.

A gubernator: — Ja to jestem ten sam, któremu waćpan ocaliłeś życie i honor. Żono i dzieci moje, padnijcie do nóg temu więźniowi! — I sam mu padł do nóg.

Dopiero poznał JW. Czapski owego chorążego, którego był wyratował swoją uczynnością. Rzucili się nawzajem w objęcia i popłakali się z czułości. Zaraz Wojejkow umieścił go w swym domu z kilku kolegami, i tyle jemu i wszystkim nam wywiązał się, że aż pan starosta miał sobie za powinność dać mu przestrogę, aby zbyteczną dobrocią nie ściągnął na się podejrzenia rządu. A tamten na to mu powiedział:

— Moja carowa jest wielka monarchini; patrzy ona na potęgę swoją, na rozszerzanie swej władzy, ale za nadto ma wysoką mądrość, aby plotki przed nią wiernemu słudze mogły uszkodzić; a gdyby inaczej było, wolę stracić łaskę u carowej,

za to żem poczciwy człowiek, niżeli stracić łaskę u Boga jako niewdzięcznik. —

I dla tego było nam wszystkim tak dobrze, że gdyby nasza ojczyzna nie była tak słodką, iż do niej nigdy Polak wzdychać nie przestanie, bylibyśmy o każdej innej zapomnieli. Moskale umieją zobowiązywać, kiedy chcą i dla tego cudzoziemcy do niej się garną, którzy przynajmniej tyle krzywdy narodowi, ile pociechy rządowi przynoszą. Opływaliśmy we wszystko, bo prócz jenerała gubernatora znaleźliśmy wiele ludzkości i u innych rodowitych Moskali w Kazaniu zamieszkałych, którzy nam świadczyli nawet nie mało. Było tego dobrego przez kilka miesięcy, ale jak Puhaczew podniósł rokosz, zmieniło się nasze położenie. Wmawiał on wszystkim, że on jest tym carem Piotrem, którego przed laty zamordowano, i szedł z siłą ku Kazaniowi. Duchowieństwo jemu pomagało, bo było rozjątrzone na rząd, który popom zabrał ogromne nieruchome majątki, a natomiast mizerny żołd naznaczył. Wojejkow bronił się z garstką żołnierzy, ale Kazania utrzymać nie mógł i ustąpił, dopełniwszy cudów waleczności, na któreśmy patrzali. Po zajęciu Kazania, Puhaczew dowiedziawszy się, że w nim znajduje się kilkuset konfederatów barskich, większą ich część kazał swobodnie puścić: tym sposobem wielu korzystając z zamieszek, co były po całej Moskwie, szczęśliwie przedarło się do ojczyzny. I tak wrócili obydwaj bracia Ciemniewscy, pan Szumlański, wojski halicki, pan Moszczyński, kasztelanic, pan Sówczyński, com go później widział podkomorzym czerskim, pan Charliński, miecznik kijowski, pan Staniewicz, sam JW. Czapski i wielu innych; a drugich, między którymi się znajdowałem, jakoż i pan Potocki, wojewodzic wołyński, pan Chomętowski, podczaszy lubelski, pan Staniewicz, chorąży pancerny, pan Grużewski, wojszczyc rosieński, pan Jełowicki, chorąży czernyhowski, i innych wielu kazał umieścić w wojsku swojem. Sam nasz przegląd robił Puhaczew, i kto z nas był rosły, tego brał do służby; a kto mały, tego wypuszczał na wolę, mając go za niezdatnego. Jednak nie wiem, z jakiej chimery wziął do swojego boku pana Zabłockiego, co był później konsulem rzeczypospolitej w Kremeńczuku, a miał postać tak szczupłą, że z tyłu na niego patrząc, można go było wziąść za trzynastoletniego chłopięcia. Pan Zabłocki do wielkiej u niego przyszedł wziętości. Puhaczew, że był kozakiem prostym, nieokrzesanym, bo ani czytać, ani pisać nie umiał, to kiedy się zapije, wszystko bywało każe rżnąć i palić: a że pan Zabłocki był przy nim, jak u nich nazywają, jenerąłem deżurnym, czasem rozkazu nie dopuścił spełnić; a jak się tamten wytrzeźwił i pamiętając wszelako, że dał jakiś rozkaz, którego nie spełniono, począł wrzeszczeć, to mu w żywe oczy dowodził, że żadnego rozkazu nie odbierał. Puhaczew kiedy niekiedy i poprzestał na jego zaparciu się, bo go bardzo

lubił; a względy te niczemu więcej tylko swojej przytomności był on winien.

Razu jednego w początkach jego służby, gdy Puhaczew, który wstydził się, że pisać nie umie, i chciał także za piśmiennego uchodzić, zawołał pana Zabłockiego, swojego już adjutanta, który pisywał rozkazy, jakie tamten wymyślał — i wziąwszy kredę, zaczął na giwere mazać niewiedzieć co, a potem zawoławszy swojego djaka, powiedział mu, pokazując giw er:

— Ja ciebie do mojej służby przyjąłem na hramo tnego; jeśliś nim jest, przeczytaj głośno, com napisał.

Djak mu odpowiedział, że tego nie potrafi przeczytać.

— A to taki hramotny, że mojego pisma nie umiesz czytać, i mój chleb darmo jesz? Zaraz mi czytaj!

— A kiedy car ze mnie żartuje, bo to nie jest pismo.

A Puhaczew: — Co! ty mnie kłamstwo zadajesz? Ja car pisaćbym nie umiał! — I natychmiast rozkazał, aby go na śmierć zaknutowano. Potem obrócił się do pana Zabłockiego i powiedział mu:

— Ty jesteś moim adjutantem i o tobie mówią, żeś hramotny; zaraz mnie przeczytaj, com tu napisał.

Położenie pana Zabłockiego nie było do zazdrości, a patrzcie jak się zgrabnie wywinął:

— Najjaśniejszy carze! kiedy Bóg ojciec co napisze, to chyba Bóg syn lub Duch święty przeczyta; bo równego chyba równy zrozumie. Żeby waszą cesarską mość pojąć, drugiego tak wielkiego cara sprowadzić by trzeba; ten chyba będzie tak mądrym, iż ich pojmie, a my nędzny proch i poddani swoje tylko pisma i nam podobnych czytać umiemy.

To się tak podobało Puhaczewowi, że go zaraz zrobił jenerałem deżurnym, i sam mu zaczął czytać to swoje niby pismo, w którem miało być: że Polska będzie potężną i Niemców w poddaństwo weźmie, i że on z nią wieczny sojusz zawiera i tak każe. Byliśmy często świadkami podobnych jego dziwactw, co dzień było co nowego i przewidywaliśmy, że wszystko na nic potem się skończy. Chociaż bowiem byli panowie nieżyczliwi carowej, jak który z nich zbliżył się do Puhaczewa, widząc że to bałwan i więcej nic, zaraz odstrychał się od niego. My byliśmy wierni, bo on był nieprzyjacielem tej, co nas gnębiła, a na koniec wolność nam wrócił, więc dobre za nadobne. Ale zresztą tylko motłoch do niego się wiązał i hultajstwo, a z tem daleko zajść nie można, nie mając kogo do prowadzenia takich nieswornych i dzikich tłumów. Chociaż wojewodzic Potocki i pan Zabłocki, oraz pan Staniewicz i inni nasi mieli zdatność i poświęcenie, żaden z nich pułkami nie dowodził; były one pod komendą kozaków i djaków, a my Polacy składaliśmy orszak przyboczny cara. Naostatek on niczyjej rady nie słuchał i co godzina inny wiatr zawiewał w jego mózgownicę. Radził mu

pan Potocki, a szczególnie pan Grużewski, aby prosto szedł na miasto Moskwę i tam kaszy narobił, mając popów po sobie; ale on bez potrzeby rzucił się w góry uralskie, gdzie go rozbito i żywcem wzięto razem z nami wszystkimi. W bitwie tej okazał się ostatnim tchórzem, jeżeli to bitwą godzi się nazywać; bo za pokazaniem się wojska carowej, cały ten motłoch i sam Puhaczew zaczął co prędzej uciekać. Puhaczewa na pal wbito, a nas do Smoleńska zapędzono i tam nas badano: czy my już w Polsce z góry wiedzieli, że ma być powstanie Puhaczewa; czyli on tylko z gotową rzeczą do nas trafił w Kazaniu? Były rozkazy carowej, aby jak najcierpliwiej inkwizycję z nas ciągnąć. W istocie gubernator smoleński z innymi dość ludzko się obchodził, ale do mnie i do pana Grużewskiego się przyczepił i o chlebie i o wodzie w ciemnicy nas trzymając, bez miłosierdzia z nami się obchodził; a to dla tego, że w samym początku naszego przybycia, kiedyśmy jeszcze wolni chodzili po mieście, poznaliśmy się z jednym popem tamecznym i rozmawialiśmy czasami z nim po łacinie, który nas uprzejmie przyjmował; co gdy donieśli gubernatorowi, ten, że nie był Wojejkowem, ale po policji służąc, z felczerskiego syna wyszedł na człowieka, a w obyczajach i świetle nie bardzo wyżej stał od Puhaczewa, wniósł sobie, że musimy być bardzo uczeni, że cała rzecz na nas się opierała, i że trzeba nas było wybadać wszelkiemi sposobami. Nim mnie o tej okoliczności oświecił później JW. wojewodzic wołyński, który dłużej odemnie bawił w Smoleńsku, już i sam nieco o niej się domyślałem, bo gubernator ciągnąc z nas śledztwo, wszystko nam powtarzał:

— Wy mądrzy ludzie, hramotni, po łacinie mówicie; i my mamy rozum na was. —

Szczególne to były inkwizycje. Pytał mnie na przykład: jak ja śmiałem wojować przeciwko carowej? i czy znam, co pisze jakaś żółta księga o buntownikach? Jam mu odpowiedział, że nie będąc carowej poddanym, nie jestem zgoła buntownikiem. Na co on skoczył z krzesła i zaczął krzyczeć:

— Jak ty śmiesz mówić, żeś nie poddany carowej? Kto nie jest poddany carowej? Feldmarszałkowie, urzędnicy 1. klasy, mający błękitne wstęgi, są poddani carowej; a ty, co żadnego czynu nie masz, śmiesz mówić, żeś nie jest jej poddanym! —

I nie poprzestawszy na grubiańskich wyrazach, zaczął mnie bić kułakiem po twarzy, że ażem spuchł, za każdem uderzeniem powtarzając:

— A co, czy ty nie poddany carowej? — A potem: — Zaraz mi gadaj, jak będąc w Polsce, mogłeś wiedzieć, że Puhaczew bunt w Moskwie zrobi i Kazań zajmie? Kto o tem tobie mówił? —

Ja mu na to: — Przysięgam, że pokąd z Polski mnie nie wy-

wieźli, nie tylko że nie wiedziałem o Puhaczewie i że ma zająć Kazań, ale nawet że Puhaczew i Kazań są na świecie.

— Oj, ty nic nie widziałeś! ty hramotny człowieku, co z popami po łacinie gadasz, o buncie Puhaczewa, że ma być, nie wiedziałeś? A dla czegoż ty przystał do niego w Kazaniu? Na to ja: — Miałem nadzieję, że za pomocą jego wrócę do mojej ojczyzny; a nakoniec jak wszedł Puhaczew do Kazania, on miał tam zwierzchność i musiałem słuchać co mi rozkaże, jak tu panu muszę być posłusznym.

— Co ty mnie robisz Puhaczewem! — i kazał mnie bić, abym się przyznał, jakie związki Konfederacja barska miała z tym buntownikiem. A ja tylko Boga brałem na świadka, że o niczem nie wiem i nie wiedziałem. Tego było kilka razy, toż i z panem Grużewskim trzymano mnie w więzieniu, gdzie prócz chleba suchego i wody, nic nie miałem, i kiedy koledzy nasi po mieście chodzili, nas trzymano w jamie. Pięknie nam posłużyło, żeśmy się z łaciną popisali.

Wtem jednej nocy wpada do naszej ciemnicy adjutant gubernatorski i obu nas wyprowadza aż za miasto, słowa nam nie mówiąc. Dopiero za miastem pokazawszy nam saneczki parokonne, kazał nam wsiąść, dał nam po dwadzieścia pięć rubli i powiedział:

— Jedźcie sobie do Polski i uciekajcie co prędzej.

My tedy dalej w drogę i nazajutrz jeszcze stanęliśmy szczęśliwie na ziemi rzeczypospolitej, w województwie witebskiem. Moglibyśmy byli do naszych gniazd trafić i szukać spokojnego chleba, zwłaszcza pan Grużewski, co miał swoje dziedzictwo; ale natura wilka ciągnie do lasu, a Polaka do służenia ojczyźnie. Każdy z nas swoją drogą jak mógł dostał się w województwo krakowskie, gdzie konfederacja barska jeszcze trwała. Tam uściskaliśmy naszych kolegów, którzy mieli nas za przepadłych.

Dla czego zaś adjutant gubernatorski ułatwił nam ucieczkę, później się dowiedziałem, za powrotem do kraju, od pozostałych w Smoleńsku spółwięźniów. Oto carowa otrzymała doniesienie, że gubernator smoleński nieludzko się obchodził z niektórymi więźniami: bo byli Polacy, co mieli u niej wziętość, a chociaż to samo dowodziło, że nie najpoczciwiej szli, jednakże byli Polakami i za nami obstawali. Więc carowa wysłała do Smoleńska bardzo godnego jakiegoś senatora, aby się upewnić, czy to tak jest, lub nie. Gubernator chcąc utaić swoje postępki z nami dwoma, sam ułatwił nam ucieczkę; bo z innymi dość ludzko się obchodził, żadnych okrucieństw się nie dopuszczał i ich wyznań nie miał powodu się obawiać. Niech mu Bóg nagrodzi! Dobrze że nie kazał nas podusić, bo tym sposobem mógłby jeszcze lepiej zatrzeć co nabroił.

Tak to czasem nie masz złego, co by na dobre nie wyszło: w Smoleńsku tylko nas dwóch z pomiędzy wszystkich konfederatów batogami bito — aleśmy za to ojczyźnie naszej prędzej na nowo służyć mogli, kiedy nasi koledzy jeszcze długo po nas musieli siedzieć na wygnaniu.

XIII.

SICZ ZAPOROZKA.

Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogrodzkim, i to mam sobie za zaszczyt, przytem wzdłuż i w szerz kilkakrotnie całą Polskę przebiegłem, nie mogę nie przyznać, że Ukraina jest najpiękniejszą naszą dzierżawą. Tam ziemia prawie bez pracy obdarza rolnika niezliczonym plonem, bydło tuczy się bez dozoru, najpiękniejsze konie i trzody liczne owiec okrywają pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek dowodzą, jak błogie jest ich życie. Słyszałem, że od czasu zaboru, gdy ogromne majątki naszych dawnych panów rozdrobniły się między przychodniów różnego gatunku, którzy częstokroć za kradziony grosz ponabywali swoje dziedzictwa, namnożyło się podpanków, a tych nieludzkość do smutniejszego stanu przyprowadziło rolników tamecznych, niż gdzieindziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może; ale mówię tylko o tem, co było za moich czasów i na com patrzał.

Pierwszy raz, kiedym poznał Ukrainę, nie była pora po temu zastanawiać się nad jej pięknością. Było to w r. 1763, gdy po przegranej naszej z Podhoryczaninem, ze szczątkami Konfederacji litewskiej szybkim pochodem i ledwo nie codzień bijąc się, przebiegaliśmy cały ten kraj szeroki, aby czemprędzej dostać się na Wołoszczyznę, czegośmy mimo największych przeszkód dokazali przez waleczność i wytrwałość własną, a szczęście i przytomność naszego wodza, JO. księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Byłem świadkiem, jak on ciągle na koniu zawsze się tam znajdował, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, a w najsmutniejszych przygodach żadną chmurką nie oziębiał naszych nadziei. W moich oczach pod Sawińcami, już blisko Dniestru, kresu naszych życzeń, kilka strzałów karabinowych przeszyło mu kurtkę, a kula armatnia uderzywszy

w ziemię o dziesiątek kroków od niego, powtórnym skokiem padła przy samych nogach. Tę kulę ważącą dwanaście funtów kazał książę podnieść, a później podobną tejże wagi z szczerego srebra odlać i takową ofiarował Najświętszej Pannie boruńskiej, gdzie wisiała przed obrazem, nim w czasie ostatniej rewolucji Moskale nie zrabowali jej, zrabowawszy kościół.

Ale w lat kilka potem miałem lepszą sposobność przypatrzyć się Ukrainie, kiedy po zawiązaniu się Konfederacji barskiej JW. Ogiński, wojewoda witebski, wysłał pana Azulewicza, Tatara, ale obywatela zacnie urodzonego, co był później pułkownikiem lekkiego pułku w wojskach rzeczypospolitej, a ze mną sąsiadował aż do śmierci w wiosce swojej dziedzicznej. Otóż z rozporządzeniem jeneralności, JW. Ogiński wysłał go do Islam-Giraja, hana krymskiego, aby przy nim prowadził interesa Konfederacji i do niej się zgłaszał, o każdej rzeczy donosząc. Dla przesyłania wiadomości, które tylko ustnie mogły przechodzić, bo nie było sposobu w papierki się wdawać, ciągle przedzierając się pomiędzy nieprzyjaciół, wyprawiono z nim nas czterech młodzieży, na których spuścić się można było. Pan Azulewicz także nie wiekiem, ale wziętością nas przewyższał, bo będąc biegłym w językach bisurmańskich, posiadał szczególną ufność wodzów Konfederacji i tej ufności nie zawiódł. Otóż było nas czterech jemu dodanych: pan Michał Ratyński, cześnikowicz miński, pan Wojciech Massalski, regentowicz oszmiański, pan Mikosza, co dobrze bisurmańczyzny wyuczywszy się, został później tłumaczem rzeczypospolitej w Stambule, i ja. Każdy z nas osobno musiał jechać dla uniknienia podejrzeń; dopiero mieliśmy złączyć się w Humaniu, gdzie pan Mładanowicz, rządca jeneralny, miał instrukcję od JW. Potockiego, wojewody kijowskiego, swojego pana, aby nas opatrzył we wszystko, co tylko pan Azulewicz zarekwiruje: i chociaż nas aż ze Lwowa wyprawili, każdy swoją drogą szczęśliwie do Humania trafił, oprócz pana Massalskiego, który został męczennikiem za ojczyznę i wiarę. Ten natrafiwszy na komendę pana Branickiego, wówczas łowczego koronnego, co już się zaprawiał na krwi rodaków, został do niego przyprowadzony. Jakiś sługa pana łowczego wydał, iż go widział we Lwowie przy dworze JW. Paca, starosty ziołowskiego, marszałka jeneralnego Konfederacji. Zaczął go tedy pan Branicki wybadywać: od kogo, gdzie i z czem jedzie? bo domyślał się, że z czemś ważnem; kusił go różnemi obietnicami, a nakoniec katował niemiłosiernie. Ale gdy szlachetny młodzieniec, pamiętny swojej przysięgi, ani łagodnością, ani groźbami, ani datkami, ani mękami nie dał się zachwiać, oddał go Branicki komendzie moskiewskiej, która jako szpiega natychmiast go powiesić kazała.

Islam-Giraj był zapalonym przyjacielem Polaków, i ciągle nalegał na Portę, by wojnę wypowiedziała Moskwie. Miał on

wielkie zaufanie u sułtana i świeżo był na nim wymógł, że przekupionych członków dywanu, którzy w r. 1763 rzeczywiście nas zgubili, poczęstowano stryczkiem jedwabnym. Teraz także, kiedy pan Azulewicz do niego był wysłany, popierał on jak mógł przez swoich stronników w Stambule JW. Potockiego, podczaszego litewskiego, który się biedził a biedził, aby sułtana nakłonić do wojny, i taki dopiął swojego, na przekorę całemu dywanowi, co mu ciągle szył boty; bo zasiadający w nim nie wiele byli lepsi od tamtych, co gardłem opłacili swoją przedajność. Dopiął zaś pan podczaszy swego takim sposobem: Sułtan był bardzo gorliwy o swoją wiarę i radby chciał cały świat nakłonić do swojego Mahometa. Otóż JW. podczaszy wyczerpawszy wszelkie środki, takowego nakoniec się chwyta: Że posiadał doskonale język turecki i miewał prywatne posłuchania u sułtana, determinuje się iść do niego; a ze strony było wiadomo, że miał łaskę u sułtana; więc go do niego puszczono. Stanąwszy więc przed sułtanem, pada mu do nóg i mówi:

— Rządco prawowiernych! wybaw nas od niewoli moskiewskiej, a cały mój naród podda się pod wyznanie twojego proroka. Masz mnie w ręku; przysięgam ci, że w dniu tym, w którym się dowiem, żeś Moskali z naszej ziemi wypędził, publicznie dam się obrzezać. —

Sułtan ucałował go serdecznie, czego z wielkim wezyrem nawet nie robił i natychmiast wojnę wypowiedział; bo już tu szło wyraźnie o honor Mahometa. A co to była za miłość ojczyzny, dać się potępić za nią! Trzeba bowiem wiedzieć, że pan podczaszy był bardzo żarliwym katolikiem, powiedziałbym żarliwym do zbytku, gdyby mógł być w tem zbytek. Nikt z nas nie był lepiej od niego przekonany, że tylko w naszym kościele można zostać zbawionym i co czeka tego, kto się poturcza. To kiedy później JW. a przewielebny Krasiński, biskup kamieniecki, jeden z wodzów naszej Konfederacji, którego brat rodzony, pan podkomorzy rożański, był marszałkiem jeneralnym w Koronie, jak JW. Pac na Litwie, wymówił mu po przyjacielsku, że za daleko się posunął: — Bóg mi jest świadkiem — odpowiedział podczaszy litewski — że nie dla rozpusty, ani z niedowiarstwa, byłem gotów opuścić prawdziwą wiarę, ale jedynie dla wyratowania biednej ojczyzny. Tuszę też sobie, żeby mnie za to miłosierdzie boskie nie ominęło; a gdyby inaczej się stało, to w piekle sam djabeł szanować by mnie musiał. — Na te słowa świątobliwy biskup, co był razem najgorliwszym obywatelem, nic nie odpowiedział, tylko westchnął i łzy mu się puściły.

Gdyśmy się połączyli w Humaniu, a opłakawszy przygodę naszego nieodżałowanego kolegi, którego krew woła o pomstę na zmoskwiciałym szlachcicu, co długim szeregiem zbrodni wyszedł na najmożniejszego w narodzie pana, o duszy nieboszczyka nie zapomnieliśmy. Pan Roguszewski sprawił mu porządne

egzekwie w kościele OO. Bazyljanów, na których nie tylko my, ale nawet pan Azulewicz modlił się, choć był mahometańskiego obrządku. Układaliśmy potem dalszą podróż. Trzeba było nam udać się naprzód do Siczy Zaporozkiej. Semen Kozyra, koszowy zaporozki, co zostawał w ścisłych stosunkach z wodzami Konfederacji barskiej, skończył był dopiero życie, jakośmy się o tem dowiedzieli w Humaniu, i nadchodziły wybory na jego następcę. Ta strata była dla nas bolesną, bo on nam był przyrzekł przyłączyć się do nas z wojskiem, którego więcej trzydziestu tysięcy mógł zebrać. Tym sposobem Konfederacja wzmocniłaby się na Ukrainie, której większa część była własnością panów bądź nami dowodzących, bądź przynajmniej nam przychylnych, a przytem wojska tureckie i Tatarów krymskich jakby weszły, niezawodnie cała Ruś zostałaby oswobodzoną. Szło nam więc najwięcej o to, aby nowy koszowy był nam przyjazny; a mieliśmy po sobie Dziumdzuryka, pisarza Siczy, który tem mocniej nam pomagał, że był podobno rodowitym szlachcicem polskim. On to skłonił ku nam Semena Kozyrę, bo miał być człowiekiem oczytanym, bardzo przebiegłym i wielką miał wziętość w całem Zaporożu. Byłby sam teraz wyniesiony na stopień koszowego, coby dla nas było bardzo pomyślnie; ale że wedle ich praw koszowy nie powinien był umieć ni czytać ni pisać, więc musiał poprzestać na pisarji, która był drugim stopniem dostojeństwa, i tem pomagał. Pan Roguszewski wyprawił nas do Siczy z gorzałką swojego skarbu, jako sług ekonomji humańskiej. Z batogami w ręku idąc przy podwodach wołowych, tęśmy podróż odbyli. Raz tylko byliśmy zatrzymani przez Dońców, którzy za okazaniem świadectwa ekonomji puścili nas natychmiast. Dodał nam był pan Roguszewski kilku doświadczonych kozaków humańskich, co już nieraz gościli w Siczy, a my dawaliśmy się im powodować tem chętniej, żeśmy widzieli ich szczerze przywiązanymi do wspólnej naszej ojczyzny. Przybywszy do Jahorlika, miasteczka do włości humańskiej należącego, na którem kończyły się dzierżawy rzeczypospolitej, trafiliśmy właśnie na czas jarmarkowy. Lubo miasteczko składało się tylko z wielkiej karczmy skarbowej nad samą Siniuchą i z kilku domostw żydowskich, zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, Kozaków, chłopów i Żydów, dla kupna lub przedaży koni, bydła, łoju, ryby suszonej, smoły i innych jeszcze tamecznych towarów. My z podwodami stanąwszy przy karczmie, a woły na paszę puściwszy, weszliśmy do izby szynkownej i zastaliśmy w niej mięszaninę różnych narodów, a każdego łatwo było poznać, do którego należy. Tu Tatary w kożuszkach krótkich, których włos sterczał do góry, i w krymkach baranich, odznaczali się twarzą ogorzałą i oczyma małemi. Ukraińskich chłopów można było poznać po szlachetności ich rysów i czystości ich białych koszul, na których czarność siermięgi wdzięcznie się odbijała. Głowy

ogolone, na wierzchu których kóska szeroko spadająca aż na ramię, a sełedcem przez nich nazwana, była jedynym szczątkiem ciemnej czupryny. Wielkie szarawary obwiązane szeroko czerwonym pasem, z po za którego wyglądała nahajka z rzemienia plecionego i jej srebrna rękojeść, zdradzały ukraińskiego kozaka. A moskiewskiego kacapa któżby nie poznał po długim szarafanie, ciemno błękitnym, zapuszczonej rudawej brodzie, włosach w okrąg postrzyżonych, twarzy jak księżyc w pełni, okrągłej, na której obojętność się malowała, i olbrzymich kościach hojnie sadłem opatrzonych. Kobiet nie było innych tylko Ukrainki, a tych było trzy rodzaje: baby, mołodyce i dziewki. Baby miały głowy chustką związane, opończe ciemne barankami podszyte, zgoła strój skromny, ich wiekowi przyzwoity; ale mołodyce i dziewki, między któremi wiele było pięknej urody, były dość wykwintne w stroju: galony sute i kosztowne, korale gęsto się ukazywały i dowodziły, że ich mężowie i rodzice byli majętni. Kiedyśmy weszli, wszyscy wtedy słuchali z największą uwagą ślepego bajarza, co grając na lirze, śpiewał im różne wypadki. Jedna pieśń jego opowiadała dokładnie najdrobniejsze okoliczności porwania księżniczki Ostrogskiej przez kniazia Dymitra Sanguszkę. Uważałem, że najwięcej zajmowało Ukraińców, kiedy wyliczał dobra kniazia Dymitra, szlachtę i kozaków jego dworu, jako też dobra księżny Ostrogskiej i sług jej płci obojej, wszystkich nazywając po imieniu. To jak wymieni jakie imię, co je nosi który z parobków, lub która z dziewek przytomnych, zaraz powstaje śmiech i palcami pokazują tego, kto wymieniony. My ubrani jak chłopi ukraińscy, nie zwracaliśmy na siebie oczu. Pan Azulewicz siadł między Tatarami i zawierał z nimi znajomość i przyjaźń, co mu nie było trudno, gdyż mówił po tatarsku jak rodowitym językiem. Pan Mikosza zajadał kaszę jaglaną, którą mu do izby Sajducha przyniosła; a pan Michał Ratyński był tylko dziewkami zajęty i bardzo się do nich zalecał, czem mnie niemało zafrasował. Żaden z nas nie umiał tłumaczyć się językiem stosownym do przybranego stroju; aleśmy przynajmniej milczeli, a pan Michał ciągle z litewska coś plótł dziewczynie i mógł tem nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bośmy mogli natrafić jeszcze na moskiewską komendę; dopiero byłaby bieda! Nic wszakże nie mogło pana Michała oderwać od powabów Ukrainki, która choć czasem naśmiewała się z jego mowy, okazywała jednak, iż mu rada. Ja, lubo nie starszy od niego, tylko śpiewem bajarza byłem zajęty. Z tego śpiewu dowiedziałem się, że Artur Jełowicki, dziedzic czternastu wsi, był marszałkiem dworu księżnej Ostrogskiej, że na czele jej ludzi tak się był wsławił pod Soczawą przeciw Wołochom, że mu król Zygmunt ofiarował chorąztwo nadworne litewskie. Ale on nie przyjął tego zaszczytu, z powodu, iżby księżna Ostrogska bez niego swemu dworowi rady nie dała; on zaś

wzrosłszy na usługach kniazia Ilji, miał sobie za obowiązek nie opuszczać jego wdowy, a według ewangielji, dwom panom służyć nie można. Jakoż dopiero po jego śmierci kniaź Dymitr najechał zamek ostrogski. Dowiedziałem się także, że kniaź Czetwertyński, dziedzic Komajgroda, który kniaziom Dymitrowi i Wasilowi towarzyszył w tym najeździe, był synem Ostafieja, co swoim kosztem utrzymywał pułk kozaków dla rzeczypospolitej i wielce się jej zasłużył. Bardzo mu się chciało kasztelanji bracławskiej, którą miał już sobie obiecaną od króla. Ale panowie rada nie dopuszczali spełnić tej obietnicy, żadając, aby wprzódy na wiarę rzymską przeszedł i dał dobry przykład innej szlachcie ruskiej. Gdy więc będąc schyzmatykiem twardym i mówić sobie o tem nie pozwalał, a z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozjątrzony, patrjarcha moskiewski dowiedziawszy się o tem, wyprawił do niego jakiegoś ihumena z propozycją, aby do cara przylgnął, za co nie kasztelanem, ale kniaziem udzielnym bracławskim zostanie i będzie miał porę pomścić się nad rzeczypospolitą, która krzywdą odpłaca jego zasługi; a on mu na to odpowiedział: — Krywda krywdoju, a otczyzna otczyznoju. Ja z jej nepryjatilom w pyśma ne budu wchodyty; ałe ty jemu powiż, szczo kniaź Jewstafij Czetwertyńskij didycz Komajhordu, a połkownyk Korola i riczypospolitoj polskoj tobie skazaw: szczo maty, persze pobie a potim pomyłuje, a maczycha persze pomyłuje, a potim pobie. — I z tem go odprawił. Jak skończył bajarz śpiewać a czapkę nadstawił, piętaki w nią padały, że aż się przepełniła.

Potem młodzież wzięła się do pląsów: pierwszy raz widziałem jak kozaka tańcują. Osobliwie jeden młodzian prześlicznej urody, z niewypowiedzianą zgrabnością tańczył: przysiudy, jak oni nazywają, do ziemi robił, do góry skakał i znowu spadał, hołubce bijąc; a to wszystko grając na bandurce, po naszemu teorbanie, i śpiewając ukraińskie miłosne piosenki. Dziewki ledwo go oczami nie zjadły. Ale co nas uderzyło najwięcej, to kilku kozaków, których strój przepychem znacznie się różnił od wszystkich innych. Mieli szarawary granatowe z galonem złotym szerokim, półkontusze ponsowe z wiszącemi wylotami, żupaniki z białego atłasu, pasy jedwabne z złotemi frenzlami, i czapki wysokie z siwego baranka, na wierzchu których wisiał jakoby worek ponsowy z kutasem złotym. Od kobiet widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy przypadkiem która do nich się przybliżyła; ale wszystkich mężczyzn znajomych i nieznajomych gorzałką i miodem traktowali, obowiązywali do picia i sami tęgo pili. Żyd arędarz wiadrami na ich rozkaz trunki nosił; a co przyniesie wiadro, natychmiast już próżne. I nas także częstowali, z prostą, ale obowiązującą grzecznością, tak, żeśmy nie mogli im odmówić spełnienia pary szklanek miodu.

Tu mię wzięła taka ciekawość, że lubom postanowił sobie ust nie otwierać, zapytałem Żyda, co to są za ludzie tak bogato ubrani? A on mnie: — Co to wy cudzy, że nie znacie zaporozkich kozaków? Oni w dziesięć podwóch z rybą chodzili do Humania i rybę przedali; ale że dowiedzieli się, że ich koszowy pomarł, nie mieli czasu tam zarobku swego przepić, bo spieszą nowego wybierać. Teraz z próżnemi furami na Kahorlik wracając do Siczy, tu wozy i woły poprzedawali. To moje szczęście! wszystko przepiją u mnie i goli do domu powrócą. Te bogate żupany oni w Humaniu sobie posprawiali, bo na Siczy nie godzi się im tak stroić. Nim słonko zajdzie, to wy ich zobaczycie tak jak chodzą u siebie. — Odpowiedź Żyda jeszcze więcej zaostrzyła moją ciekawość i niecierpliwie wyglądałem wieczora, gdyż dopiero przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszać, dla nieznośnego w dzień upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać: ledwo parę godzin upłynęło, zaczął Żyd ich rachować i zabrał im wszystkie pieniądze, że każdemu po kilka piątaków tylko się zostało. Naówczas kazali sobie podać katkę napełnioną dziegciem: i jeden po drugim w pięknej swojej odzieży w nią włazil i zanurzywszy się po szyję, wyłazil z kadzi, rozbierał się i cały ubiór, jakby gardząc marnościami świata, razem z czapką równie powalaną, aby to wszystko zabrał kto zechce. Potem wdziawszy koszule w łoju zmaczane i siermięgi brudne, w których wyjechali byli z Siczy, wzięli w ręce batogi i wyszli dobrze pijani, nikomu nie mówiąc: bywaj zdrów.

Pan Michał Ratyński pomimo moich nalegań, żeby się wyspał przed całonocną pieszą podróżą, nie mógł się wyrwać ze swoich zalotów; nawet się puścił w pląsy z parobkami i dziewkami, czem bardzo nas rozśmieszył, osobliwie jak poszedł pierwszy raz w życiu swojem w prysiudy. Ale pan Azulewicz, pan Mikosza, kozacy humańscy, co z nami szli, i ja, namościwszy sobie w sieni hojnie słomy miętej, porządnego użyliśmy wczasu aż do godziny przeznaczonej na wyruszenie w dalszy pochód.

Dwa dni jeszcześmy szli gołym stepem; ani pagórka, ani drzewka nigdzie nie było widać; tylko ogromna przestrzeń podobna do spokojnego morza, rozciągała się przed nami. Gdzieniegdzie sterczały mogiły, oddalone jedna od drugiej w pewnym wyrachowanym porządku. Mogiły te służą kozakom do stawienia czatów i do poznania drogi w czasie zimowych zamieci. Często także spotykaliśmy błąkające się, wpółzdziczałe trzody, które zimą i latem pasę się pod gołem niebem. Tak bezludną przestrzeń przebywszy, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie się zaczynały posiadłości siczowskich kozaków. Tam między skałami były porobione jazy, czyli tamy do łowienia ryb, i tam zastaliśmy assaułę, przy którym w niebytności pułkownika, będącego w Siczy na wyborach, zostawało dowództwo pułku korsuń-

skiego, stojącego w Gardzie na straży. Gdy nasi kozacy zameldowali nas asawule, przyjął on cały nasz orszak uprzejmie i dodał nam do konwoju jednego towarzysza siczowego z buzdyganem żelaznym, wielkim, najeżonym kolcami. Dowiedzieliśmy się od naszych kozaków, że widok tego buzdyganu jest dostateczną zasłoną od wszelkiej przykrości, mimo zwyczajną skłonność Zaporożców do rozboju; i lubo przechodząc przez ich zimowliki, byliśmy często nawiedzani od towarzyszów i ich czeladzi, a każdy będzie pił gorzałkę z podwód ile mu się podoba, ekonomja humańska na tem nic nie straci, bo byle kufę choć próżną przywieść do Siczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza, iż wypróżnioną została na drodze przez Zaporożców, zapłaci za nią jak gdyby była pełna. Ale że Zaporoże dzieli się na 40 pułków, z których każdy nosi nazwisko jakiegoś miasteczka ukraińskiego, jeżeliby przypadkiem konwojowane podwody jaką szkodę poniosły, pułk, w którego obwodzie toby się stało, całkowitą szkodę musi wynagrodzić. Zaporożce pierwej bardzo często rabowali Smilańszczyznę i Humańszczyznę; ale pan Ortyński, rządca tameczny, który umarł podczaszym bracławskim, ubezpieczywszy Humań w około fosą głęboką i ostrokołami, a wyćwiczywszy milicję nadworną JW. Potockiego, wojewody kijowskiego, nie tylko że ich odpierał, i raz tyle tej zgrai nabił, że aż pięć mogił na przedmieściu Humania na ich ciałach usypał, ale nawet samą Sicz napadł, zimowliki palił, trzody, stada zabierał, a Zaporożców wziętych żywcem w dyby zabijał i w Humaniu do ciężkich robót używał. Gdy się to kilkakrotnie zdarzyło, Bundur Mamałyg, co był natenczas koszowym, zawarł z ekonomją humańską i smilańską wieczny traktat, przysiągłszy, że już odtąd Zaporożcy rabunków w Polsce popełniać nie będą, byleby za świadectwem władzy swojej mieli wolność przybywać dla handlu do Humania, Smiły i innych dzierżaw domów Potockich i Lubomirskich. Nawzajem zaś poddani tych włości, opatrzeni w świadectwa oficjalistów, będą mogli bezpiecznie udawać się do Siczy, jadąc przez Gardę, gdzie była straż zaporozka od granic rzeczypospolitej i buzdygan w ręku naczelnika dla ubezpieczenia przejeżdżających. Jeśli jaki Zaporożec przeciw temu traktatowi wykroczył, chociaż najmniejszej kradzieży dopuścił się, bądź we włościach pomienionych, bądź na podwodach buzdyganem konwojowanych, koszowy karał go śmiercią po odsądzeniu sprawy przez sędziego Siczy, a napisaniu wyroku przez pisarza. Śmierć była zadawana następnym sposobem. Winnego przywiązywano u słupa, stawiono obok niego kadź gorzałki, a przy niej kładziono stos kijów: każdy kozak przechodząc koło niego, gorzałki się napił i kijem go uderzył, i póty bili i bili, póki mu życia nie odebrali. Takową śmierć niedawno poniósł Tymosz Podkujko Sołowej, ataman i poeta zaporozki, którego pieśni w obu Ukrainach śpiewają, a to z po-

wodu, że gdy koszowy Semen Kozyra (ten sam, co dopiero stał się dla nas nieodżałowaną stratą), częstując u siebie oficerów moskiewskich, przybyłych w interesach carowej, jak u nich w zwyczaju było, przy końcu obiadu kazał Podkujce grać na bandurze i śpiewać. On chcąc gościom podchlebić, ułożył na prędce piosnkę, w której między innemi rzeczami było: że Lachy ubodzy, bo choć sami żonki mają, dla ich popów żonek nie wystarcza; Zaporożcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, sami bez nich obchodzić się muszą; a Moskale najbogatsi, bo mają żonki i dla siebie i dla swoich popów. Otóż po odprawieniu oficerów, koszowy oddał pod sąd Tymosza Podkujkę Sołoweja, że ważył się przyganiać ustawom koszowym, i jako przekonany o tę zbrodnię, był kijami ubity, pomimo że i względy u koszowego i wielką miłość miał w całem Zaporożu. Tak wielkie jest u nich uszanowanie dla swoich praw. Rzeczywiście oprócz popów nikt tam nie mógł mieć żony. Popów tych (najczęściej z rozstrzyżonych w Moskwie za hultajstwo) było wszystkiego czterdziestu, to jest po jednemu na pułk, i niektórzy z nich tylko byli żonaci; zresztą żadnej kobiety nie było w całej Siczy i żadnej nie wolno było nogą na jej posiadłości stanąć. Ludność zaporozka utrzymywała się raz przyjmowaniem zbiegów bądź z Polski, bądź z Moskwy, najczęściej najgorszych hultajów, a którzy na Siczy poddawszy się pod surowe prawodawstwo, jego przepisów wiernie dochowywali; raz hodowaniem chłopczyków za granicą Siczy kradzionych, których kozacy przyspasabiali za synów i dziedziców swego majątku. Jeżeli kozak umierał, nie zostawując przysposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie części był dzielony: połowę brał koszowy, a druga połowa dostawała się cerkwi pułku, z którego był nieboszczyk. Tym sposobem cerkwie ich przychodziły do znacznego bogactwa. Koszowy oprócz tego miał wielką wyspę na Dnieprze, gdzie w kilku wsiach osadzeni chłopi żonaci, czynsz mu płacili i wyszynk gorzałki i miodu do niego należał. Często kozacy synów tych chłopów przyspasabiali. Koszowy i urzędnicy wielcy, których tylko było dwóch: pisarz i sędzia, ubogim odzieniem swojem nie różnili się od prostych kozaków, a ich skromne mieszkania mało co były wytworniejsze, odznaczały się tylko pięknością i obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała dochód pisarza i sędziego. Każden pułkownik pobierał małą jakąś opłatę od koni, bydła i owiec, na utrzymanie kureni, a w każdem kureniu utrzymywał za to kozaków, co chleb piekli, jeść warzyli i gorzałkę szafowali dla wszystkich, bądź rejestrowych towarzyszy, bądź ich czeladzi, komu się podobało w kureniu hulać.

Tak rozmawialiśmy z kozakami humańskimi o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc pięknym krajem, co był jego siedliskiem. Bo już nie goły step, ale

9*

gdzieniegdzie okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbiną; smutno było tylko, że śladu rolnictwa nie widać. Żadnej pracy nie chciał znosić Zaporożec, rolnictwem się brzydził, a nawet sadem rzadko który się bawił: próżniactwo było ich jedyną pociechą. Przybyliśmy do miasta Siczy, jeśli to miastem godziło się nazwać. Czterdzieści długich drewnianych karczem, pośród których tworzył się rynek w regularny czworobok, a każda karczma należała do innego pułku; a z tego rynku wychodziły trzy gościńce: jeden pod chałupę koszowego, drugi pisarza, a trzeci sędziego. Chałupy obszerne, ale słomą pokryte, przy nich wielkie sady, szczególnie koszowego, którego mieszkanie tem jeszcze się odznaczało od drugich dwóch urzędników, że on jeden miał wielką murowaną stajnię, w której trzymał do pięćdziesiąt koni, co było całym jego zbytkiem. Stanąwszy na rynku, poszliśmy prosto do pisarza, któregośmy zastali siedzącego przed chałupą na zydlu, z fajką w gębie. Był to człowiek przynajmniej siedmdziesięcioletni, ale czerstwy. Rysy jego twarzy okazywały coś niepospolitego. Uprzedzony o naszem przybyciu, przyjął nas grzecznie i z panem Azulewiczem rozmawiał jak z poufałym przyjacielem, lubo pierwszy raz go widział. Zaprosił potem nas wszystkich na kwaterę do siebie i wprowadziwszy do chałupy, rozmawiał z nami czystą polszczyzną, nawet nieco z litewska. Powiedział nam:

— Źle się stało: tylkoco obrali koszowym Jura Majborodę. Intrynga popów, Moskwie zaprzedanych, jego wyniosła. Jest to fanatyk w schyzmie: uroił sobie, że jak Polska pozbędzie się Moskali, to zmusi Sicz do unjii. Z tego powodu włada nim nasz protopop Sohaniczyn, brat archimandryty perejasławskiego, zawzięty nieprzyjaciel Polaków: że jego siostrzeńca, jakiegoś czernca motryniańskiego monasteru, co był watagą hajdamaków i w domach szlacheckich okrucieństwa popełniał, wbito na pal w Żytomierzu. Pokąd będzie koszowym Majboroda, nie możecie się spodziewać od nas pomocy. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam; a potem niech który z panów nazad pospiesza do Konfederacji z tem, co wypadnie jej donieść. Teraz muszę iść na ceremonję wnijścia koszowego w swój obowiązek, co długo trwać nie będzie. Wy z daleka stojąc, możecie się temu przypatrzyć; potem wrócicie do mojej chałupy i na mnie zaczekacie. Będzie uczta wielka u koszowego, daje on wieczerzę dla całej Siczy: wszyscy się na śmierć popiją, oprócz mnie; bo w dzień wyboru koszowego i obchodu jego rocznicy, pisarz żadnego mocnego trunku do ust wziąść nie może, wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza, a prawo chce, aby choć jeden przynajmniej był trzeźwy. —

To rzekłszy, wyszedł z papierem i kałamarzem w ręku, i z piórem za uchem, dla spisania aktu inauguracji.

Po niejakim czasie i my poszliśmy na rynek, gdzie już było mnóstwo kozactwa przed karczmą pułku czehryńskiego, w której siedział nowy koszowy, niegdyś assauła tegoż pułku. Z wielkiemi okrzykami prowadziła go tłuszcza z karczmy do domu koszowego, na dziedzińcu którego leżały cztery wozy przewrócone. Kozactwo natychmiast te wozy ziemią zasypiało, tak, że się wzniósł kurhanek dość wysoki. Na wierzchołku tego kurhanka siadł nowo obrany koszowy, a czterdziestu towarzyszy rejestrowych, z każdego pułku po jednym, weszli do izby i porządnie zamiotłszy całą chałupę, wszystkie śmiecia w ogromny kosz zebrali, tak, że się napełnił; potem zanieśli go na kurhanek i z trudnością dźwignąwszy w górę, wywrócili na głowę nowego koszowego, który zupełnie śmieciami został obsypany; a pisarz głośno wyrzekł:

— Jak widzisz się okrytym tym śmieciem, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich koło siebie. —

Na tem skończyła się cała ceremonja inauguracji naczelnika Siczy, który też od owego zwyczaju przewracania na nim kosza nosił nazwanie koszowego. Zstąpiwszy z kurhanka, wszedł on zaraz do domu swojego i odtąd zaczynała się jego władza. Pierwszą jego czynnością było, iż odbił piwnicę swego poprzednika, zkąd natychmiast wszystek miód, wiszniak i gorzałkę kozactwo wytoczyło, zostawując loch próżniuteńki. Wszyscy usiedli na ziemi, tak koszowy jak kozacy, około kotłów napełnionych barszczem, kaszą jaglaną, kluskami i pieczeniami wieprzowymi oraz baraniemi. Każdy łyżką drewnianą brał z kotła na swoją misę ile mu się podobało, i wszyscy poczęli zajadać z wielkiem żarłoctwem, co kilka kęsów popijając szklankami wiszniak lub gorzałkę. Pisarz siedział osobno i to jadł co oni, ale prócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupcom i innym ludziom nienależącym do Siczy, między którymi byliśmy i my, koszowy bardzo gościnnie rozsyłał trunki i w misach jadła, o których nadmieniłem, a które lubo nie wymyślne, bardzo nam smakowały i panu Azulewiczowi, co prócz wieprzowiny, resztę z nami smacznie zajadał. Gdyśmy spostrzegli, że mózgownice tak kozaków jak i przybyłych zaczynają się zagrzewać spirytusem, wycofaliśmy się z tej zgrai i wróciliśmy do domu pisarza, gdzie była nasza gospoda.

Nie doczekawszy się gospodarza, około północy poszliśmy na spoczynek. Zrana pan Azulewicz oświadczył mnie, że tylko przez ten dzień wypocznę w Siczy, a nazajutrz o świtaniu udam się z próżnemi podwodami napowrót do Humania i ztamtąd mam jak najprędzej spieszyć do jeneralności z doniesieniem, że tu nic wskórać nie mogliśmy, a on sam puścił się do Bakczyseraju, bo cała nadzieja na Tatarach; a na siczowych kozaków nie ma co rachować, bo wszyscy popi są rozjątrzeni na Polskę, a pan Majboroda, nowy koszowy, jest ich narzędziem. Tyle

tylko możemy być pewni, że przeciwko nam działać nie będą. Dodał nam Dziumdzuryk: kozacy prości sprzyjają Polsce, bo są przywiązani do swoich ustaw i przeczuwają, że Moskwa jak utwierdzi w Polsce swoje panowanie, nie scierpi ich swobód: podczas kiedy wolny naród nie byłby się gorszył z ich niepodległości. Ale starszyzna prawie cała już zepsuta: popi jej wmawiają, że carowa jak Polskę zabierze, to starostwa czehryńskie i czerkaskie podzieli między kozaków na własność; a koszowego, jeśli nakłoni kozactwo do zaprzysiężenia poddaństwa Rosji, zrobi hetmanem kozackim i całkowitą osiadłość Siczy da mu dziedzictwem. Tak to ci ludzie spodleni chcieli przedać wolność za dostatki, których nie dostaną: bo Moskwa żadnemu zdrajcy nigdy obietnicy nie dotrzymała.

Ostatni raz siedząc za stołem u pisarza i będąc tak blizkim pożegnania go, wedle wszelkiego podobieństwa na zawsze, odważyłem się mu powiedzieć: — Niech to pana pisarza dobrodzieja nie obraża, że tu jego chleb jedząc, może zbyt śmiały jestem w mojej ciekawości; ale mnie uprzejmość pańska do tej poufałości ośmiela. Co to za powód, że pan widocznie będąc szlachcicem polskim i mężem tyle światłym, że u nas równych mu nie wielu, zostałeś członkiem towarzystwa złożonego z ludzi, niech to pana nie obraża, prostych, włóczęgów i po większej części nieoświeconych?

On mnie odpowiedział na to: — Nie będę przed wami tail tajemnic mojego żywota, ani wypadki, które mnie tu zapędziły. Jestem szlachetnie urodzonym i moje przeznaczenie właściwe było i korzystać w wielkim narodzie z klejnotu szlacheckiego i posiadać znaczny majątek; jakoż w pierwszej mojej młodości byłem chorążym w kawalerji narodowej. Jestem ziemianinem województwa witebskiego, a moje prawdziwe nazwisko Wołk, familja znana Litwie. Mój ojciec był szczupłego majątku, ale szlachcic starożytnego narodu, za granicą wychowany. W wojnach króla Jana wsławił się i byłby doszedł może do wysokich zaszczytów, gdyby wiara jego nie stała mu na przeszkodzie: był z rodziców kalwinem. Jednak że był młody, przystojny, grzeczny, podobał się pannie Brzostowskiej, kasztelance mińskiej, jedynaczce, mającej znakomite dobra. Pomimo perswazji całej familji Brzostowskich, którzy z Jagiellończykami spokrewnieni, radziby mieć jak zwykle swoją krewnę za jakim magnatem, a nie szlachcicem, chociaż dobrego rodu, ale którego dom ledwie do wojewódzkiego urzędu mógł się docisnąć, moja matka zależąc zupełnie od siebie, poszła za skłonnością serca. Mój ojciec osiadł na żoninej ziemi w temże województwie witebskiem, gdzie i jego samego było gniazdo. Żył na wsi, pilnował roli, pozyskał przyjaźń sąsiadów i tyle szanował przekonanie mojej matki, że w przeciągu długiego pożycia ani cień zgorszenia od niego na nią nigdy nie padł. Było nas dwoje dzieci:

ja i siostra odemnie młodsza; zezwolił ojciec, aby nas w wierze macierzyńskiej wychowano. Ojciec kilka razy na rok jeździł do Kopysia dla dopełnienia swoich obrządków, ale tak cicho, że w domu nikt o tem nie wiedział. Zresztą we wszystkiem powierzchownie stosował się do wyznania matki: pościł z nią razem, bywał z nią w kościele, kapłanom łacińskim świadczył, jakby był katolikiem, a o religji nigdy nic mówił. Póki żył nasz proboszcz, człowiek prawdziwie świątobliwy, który nikogo nie wyłączał z miłości chrześciańskiej i niczyjego przekonania nie potępiał, pożycie moich rodziców było szczęśliwe. Ale po jego śmierci jezuici orszańscy znaleźli wstęp do naszego domu. Mój ojciec pomimo wstrętu do całego tego zgromadzenia, przez przywiązanie, jakie miał dla żony, przeszkody temu nie stawił. Owoż wkrótce wszystko się odmieniło. Ksiądz Rokita, przełożony jezuitów orszańskich, został spowiednikiem mojej matki, i co chciał, to jej wmówił: był to człowiek dość uczony, obywały za granicą, a mianowicie w Rzymie, i posiadał wszystkie warunki do kierowania umysłów słabych. Najprzód próbował on mojego ojca nawrócić; ale ten zawsze go zbywał milczeniem, albo zwracał rozmowę do innego przedmiotu, i lubo nigdy nie ubliżył mu w grzeczności gospodarskiej, umiał jednak dać mu poznać, że w żadne ścisłości wdawać się z nim nie chce. Tymczasem z moją matką szło księdzu szczęśliwiej i odpłacił mojemu ojcu za jego niechęć ku sobie. Jak zaczął jej prawić: że heretyk jest nieprzyjacielem Chrystusa; że kto papieża nie słucha, jest poganinem i zbrodniarzem; że prócz katolika, nikt nie wierzy w rzetelność swojej religji; że dysydent każdy z uporu tylko i z pychy trzyma się swojego kacerstwa, a u różnowierców są tylko cnoty przyrodzone, które żadnego względu u Boga nie mają; że dla Chrystusa potrzeba opuścić i rodziców i dzieci i męża — tak obałamucił moją matkę, że przywiązanie do męża straciła. Po daremnych usilnościach, aby ojciec zrewokował, nastąpiły kwasy, i nakoniec pożycie dwadzieścia lat szczęśliwe byłoby się rozeszło, gdyby zgryzoty ojcu mojemu śmierci nie przyspieszyły, właśnie jakby dla zapobieżenia tak wielkiemu zgorszeniu. Po śmierci ojca już żadnej przeszkody nie mieli Jezuici w owładaniu zupełnem mojej matki i jej majątku. Kto tylko nie był z ich ręki, u dworu naszego nie mógł się utrzymać, bo nawet nie miał do niego przystępu. Dość, że w najpotoczniejszych okolicznościach matka niczego się nie imała bez zezwolenia księdza Rokity. Mojej siostrze wmówili powołanie do klasztoru i w klasztorze ją osadzili; toż i ze mną chcieli zrobić, ale nie dałem się nakłonić, a za wsparciem Brzostowskich, krewnych moich a ludzi możnych, zostałem chorążym pancernym kawalerji narodowej. Będąc młodym i burzliwym, nieraz bywając u matki, nie mogłem nie szydzić z postawy, jaką nasz dom przybrał, i dziwacznych obyczajów, które

jezuici wprowadzili. Ksiądz Rokita jak ją był poróżnił z moim ojcem, tak i odemnie jej serce odwrócił. Wmówił jej, że rozwiązłe prowadzę życie, że do spowiedzi nie chodzę, że jestem kalwinem ukrytym; że majątek w moim ręku będzie tylko narzędziem obrazy Pana Boga, że moja matka żyjąc tyle lat z heretykiem, jest pod ciężkim grzechem, i że nie ma skuteczniejszego sposobu, aby go Pan Bóg wykreślił z księgi swojej sprawiedliwości, jak pozyskać wstawienie się świętego Ignacego, cały majątek oddając zakonowi, którego on jest założycielem. Słowem, kiedy ja poczciwie rzeczypospolitej służyłem,wszystko się gotowało do tego, aby mnie ogołocić z majątku. Zabrałem był znajomość z panną zacnego domu i posażną, starałem się o jej przyjaźń i wkrótce otrzymałem obietnicę od jej rodziców: już był dzień ślubu oznaczony za zezwoleniem mojej matki. W tym związku całe szczęście upatrywałem, bom szczerze kochał moją narzeczonę. Aż tu moja matka występuje z donacją całego majątku swojego Jezuitom, nic dla mnie, ani nawet dla siebie nie wyłączając, i sama osiada w Orszy na dewocji przy ich klasztorze. Rodzice mojej narzeczonej widząc mnie gołym, zerwali ze mną i powiedzieli: — Wybaczaj, panie chorąży, ale sam widzisz jak się rzeczy mają: nie masz gdzie naszej córki zawieść, a my dziecka na włóczęgę puścić nie możem. — Udałem się do OO. Jezuitów, błagałem księdza Rokitę, żeby choć cząsteczkę majątku mnie oddali, przekładałem że sama ludzkość tego po nich wymagała. Ksiądz Rokita odpowiedział mi z łagodnym uśmiechem: że majątek bywa częstokroć dla świeckich narzędziem grzechu, u duchownych zaś na chwałę tylko boską obrócony; że jako dobry katolik powinienem wolę matki szanować, ciesząc się owszem, że jej dostatki będą teraz obrócone odtąd na ćwiczenie młodzieży w bogobojności i nawracanie pogan. Że duchowni, którym dar ten powierzony, z boleścią serca nie mogą zrobić najmniejszego udziału, albowiem alienując fundusz kościelny, podpadliby exkomunji; ale w mojej mocy, jeśli mam ku temu powołanie, korzystać z tego majątku, wstępując do Towarzystwa Jezusowego; że nakoniec cokolwiek postanowię z sobą uczynić, oni nie przestaną modlić się za synem ich dobrodziejki. To wyrzekłszy i uniżenie mi się skłoniwszy, prosił, abym wybaczył, iż nie może ze mną dłużej bawić, bo spieszy do konfesjonału. Wyszedłem z klasztoru w największej złości i pałając zemstą, udałem się do dóbr niegdyś mojej matki, zebrałem tam kilku sług nieboszczyka ojca, oddalonych za namową Jezuitów, i łatwo ich podburzywszy, przygotowałem do mego zamiaru. Uzbrojeni wpadliśmy w nocy do klasztoru orszańskiego: własną ręką zamordowałem księdza Rokitę, a dwóch innych jezuitów, co bywali w naszym domu, moi towarzysze zakłuli, mając do nich jakiś żal. Resztę powiązaliśmy i cały klasztor zrabowawszy, podzieliśmy się znaczną gotowizną.

Potem rozeszliśmy się, każdy w inną stronę szukać schronienia. Już mi nie było czego siedzieć w Polsce: jezuici wtenczas byli mocniejsi jeszcze niż teraz; nie mogąc nie ściągnąć na siebie podejrzenia, wcześniej czy później nie ominęłaby mię kara przeznaczona na świętokradców i zbójców. Kryłem się jakiś czas po przychylnych domach. Gdy właśnie Sicz zaporozka przeniosła się była niedaleko granic rzeczypospolitej: tam się udałem, aby przynajmniej żyć blizko tej ojczyzny, w której nie mogłem już mieszkać bezpiecznie. Nabyłem tu zasług i znaczenia: już przeszło lat czterdzieści jak piastuję urząd pisarza, a Bóg mi świadkiem, iż żadnej okoliczności nie omieszkałem, aby być użytecznym ojczyźnie i rodakom. Żadna zgryzota mojego sumienia nie dręczy, chociaż mój postępek z księdzem Rokitą był okrutny; ale gdzie prawodawstwo obywatela nie zasłania od łupieztwa, samemu sobie sprawiedliwość godzi się robić. Zresztą zestarzałem się na Siczy, jej obyczaje przyjąłem i do nich nawykłem. Między kozakami, zwłaszcza prostymi, są wielkie cnoty i zapalona ich miłość do swobody nie może nie ująć szlachcica polskiego. Starszyzna jest popsuta, a Moskwa niczego nie zaniedbuje, aby do ostatka ją znikczemnić. Pokochałem szczerze nasze ustawy i to mnie tylko teraz udręcza, że przewiduję, iż Moskwa nas pochłonie, chociaż ja stary tego się nie doczekam. Wierzcie mnie, panowie bracia, że do naszej rzeczypospolitej polskiej jestem przywiązany nie tylko jako jej ziemianin, ale jako pełen przekonania: że skoro ona upadnie, żaden naród wolności nie zachowa.

Pożegnałem się czule z panem pisarzem siczowym i przy łasce Pana Boga wróciłem szczęśliwie do Konfederacji, z czem mnie do niej odprawiono. Przez całą prawie drogę rozmyślałem nad postępkiem pana Wołka. Zaporozkie to sumienie: najść na klasztor, zrabować go, porżnąć zakonników i jeszcze nie mieć nic sobie do wyrzucenia! Prawda, że oni nie lada mu się przysłużyli. Korzystać z pobożności matki, by dziecko wydziedziczyć, bez brzyczyn w statucie litewskim objętych, tylko dla tego, że ojciec był kalwinem! Ale też imać się świętokradztwa i morderstwa, to jeszcze gorzej! Tylko co nam wchodzić w cudze sumienie? Niech każdy się rachuje z panem Bogiem jak może, a Bóg każdego sprawiedliwie osądzi, tak pana Wołka, jako i księdza Rokitę. Dość, że pan Wołk był zawsze dobrym Polakiem, popierał naszą sprawę ile mógł, i nam był rad w swoim domu z całego serca; a jeśli źle zrobił, to i Bolesław śmiały i Kazimierz wielki czyliż nie zrobili podobnie? Ten utopił księdza Baryczkę, co go mają za świętego w województwie sandomierskiem; tamten zamordował św. Stanisława biskupa, który jest świętym dla całego świata: przecie gdy obydwaj ci królowie pokutowali, jeden z własnej ochoty, drugi pomimowolnie, pewien wielki teolog, mój znajomy mniemał, że i oni

sami są świętymi, na co się chętnie zgadzam. Więc i pan pisarz siczowy mógł swój postępek opłakać i jak się należy umrzeć. A że to dawno już tak lub owak nastąpiło, może tedy i on jest teraz świętym i już u Pana Boga prosi za tę ojczyznę, którą w życiu tak mocno miłował, czego ja mu również z całej duszy życzę.

XIV.

PAN LESZCZYC.

Chociażby mnie zrzędą i dziwakiem za to nazwano, wszelako wyspowiadam się z przekonania mojego, że już dziś nigdzie nie masz praw między ludźmi. Są rozkazy, urządzenia, ustawy, często mądre i zbawienne: ale nie ma prawa. Bo żeby prawo było prawem, trzeba mu czegoś więcej, niż to, że jest mądrem i zbawiennem: trzeba aby miało u podległych sobie miłość i wiarę, trzeba żeby do wykonania onego, kiedy niesmaczne, nie kruki, ani sołdaty zmuszały, ale przekonanie wewnętrzne i sumienie ciągnęło. Ztąd mi się widzi, że prawodawca nie tyle mądrym, ile świętobliwym być powinien, bo prawdziwe prawo nie jest rzeczą jedynie ludzką i bez jakiegoś boskiego natchnienia obejść się nie może. Władza prawodawcza nie była dawniej jak dziś urzędem lub rzemiosłem, ale powołaniem; prawnictwo nie było nauką, ale obyczajem. Myśmy nie znali takich, jak teraz widziałem w Wilnie, profesorów, co za roczne pensje, opał i kwaterę, uczą prawa krajowego i tłumaczą je. Naszymi nauczycielami były: doświadazenie, obcowanie z ludźmi doświadczonymi, chodzenie około spraw, przypatrywanie się sądom, przysłuchiwanie się rozmowom tyczącym się związków i interesów familijnych, a nakoniec gospodarstwo i pożycie domowe. Bez tego wszystkiego niech tam kto i dziesięć lat w Wilnie siedzi pod profesorem, niech wszystkich praw na pamięć ponaucza się, dla tego prawnikiem nie będzie. Bo żeby być prawnikiem, rozumie się gdzie jest prawo, trzeba być obywatelem. Jskoż u nas prawie każdy obywatel był prawnikiem i kiedy bywało zapiszą się na kompromis, nawet na jakiego magnata, ten chociaż pewnie w palestrze nie był, nikogo jednak nie prosił, by mu dekret napisał. A kto był prawdziwym obywatelem, ten nie kończył na tem, że miał dobra, ale miał wiarę, nałogi, tryb

życia, myśli obywatelskie, i dla tego był prawnikiem, a w razie potrzeby i prawodawcą: bo takiemu Pan Bog instynktu nie odmawiał. To też kiedy człowiek w ręce weźmie statut litewski, albo dawne konstytucje koronne, czyta je jakby jakie modlitwy: taką pobożność, taki duch boży w nich widać. Sprawdza się obietnica naszego Zbawiciela: «Gdzie kilku was zbierze się w mojem imieniu, będę z wami.» A że nasi prawodawcy, dawni królowie i panowie rady, zawsze się w imię Zbawiciela zbierali, dla tegoż ich prawa były częścią religji naszej: bo i one od Boga pochodziły. Czy mogą się tem pochwalić ościenne ustawy? — Czytałem z uwagą najdoskonalszy ze statutów tegoczesnych, kodeks Napoleona. Jest to rzecz bardzo mądra, bardzo pożyteczna; wszystko tam objęte, wszystko przewidziane; ale ci, co to pisali, w imię mądrości, w imię konieczności, a nie w imię Boga się zbierali. I dla tego do wykonania tych ustaw potrzeba mnóstwa urzędników, a siepaczów, a wart, a więzień, a szpiegów, a kosztu, że ledwo nie możnaby było drugie tyle wojska utrzymać za to na obronę kraju. Bo każdy wie, że ten kodeks jest tylko rzeczą ludzką, a każdy człowiek sobie samemu przynajmniej tyle rozumu i światła przyznaje, ile innym ludziom; dla tego siły potrzeba: więc już nie prawo, ale siła rządzi, i to tak wszędzie. — W jednej Polsce było inaczej.

W Nowogródku gród miał tylko dwóch pachołków do zamiatania izby sądowej: oni składali całą siłę jurysdykcji, a przecie ludzie możni z rozkazu sądu grodzkiego wieże odsiadywali; bo jak ksiądz kiedy u spowiedzi pokutę naznaczy, warty grzesznikowi nie dodaje! tak i gród dekret tylko ogłaszał, a strona sama go spełniała. Przyjeżdżał osądzony do grodu, przed nim oświadczył gotowość, potem szedł na wieżę i tam naznaczone niedziele wysiedziawszy, przed tymże grodem manifest zanosił, że swoje odbył, i powracał do domu z sumieniem czystem; albowiem kto prawu zadość uczynił, nie miał nic sobie do wyrzucenia względem ojczyzny, szacunek publiczny mu się wracał i mógł spać spokojnie. Wielkie było zamiłowanie obywateli dla swoich praw u nas. A nie słuchać prawa, to była taka hańba, że kiedy na kim publikatę albo dekret nakazujący wieżę ogłoszono, a on się odciągał, to oczu nie śmiał podnieść między ludźmi. Ztąd kiedy szlachcic został bardzo skrzywdzony, obity na przykład, nie rwał się do korda jakby za lada przymówkę, ale udawał się do prawa; a grzywny, które w nawiązce swojej krzywdy na napastniku zyskał, hańby mu nie robiły: bo dopełnienie woli prawa owszem sławę przynosiło. Gdy JW. Kalinowski, starosta grodowy winnicki, skrzywdzony został na publicznym gościńcu przez pana Potockiego, starostę kaniowskiego, który go kazał wyciągnąć z pojazdu i obatożyć (jak mnie o tem mówił w. Szczeniowski, starosta trechtymirowski, w czasie Konfederacji jeszcze); to pan Kalinowski, chociaż był możny i przy-

tem do korda tęgi, nie wyzwał na rękę pana kaniowskiego, jakby gardząc prawem pospolitem, albo jak gdyby u nas zwierzchności nie było; ale drogą prawa szukał sprawiedliwości i znalazł ją, bo pana kaniowskiego na dwunastoniedzielną wieżę osadził, a tak wielki basarunek na nim zyskał, że nie potrzebując się z niego bogacić, ale obracając na chwałę Pana Boga, wymurował piękny kościół z obszernym i pięknym klasztorem, w którym dotąd OO. Kapucyni mieszkają. Jak kiedy człowiek, że nie jest aniołem, przeciw Panu Bogu zgrzeszy: spowiada się, pokutę odbędzie i tem powstaje; tak obywatel, kiedy przeciw prawu wykroczył, w temże samem prawie znachodził środki do powstania: pokutę prawną znosząc. Najwięksi panowie w wieży siedzieli, kiedy który z nich nabroił, chociaż za łeb nikt go nie ciągnął. I nie tylko on odsiedział, ale i gorsze rzeczy: bo kiedy kto prawnie był osadzony na gardło, a był tchórzliwego serca, to własna familja jego sama się przyczyniała, aby dekret nie został bez wykonania. Obywatel ścięty z woli prawa, familji swojej nie skaził; dekret zaś niespełniony jakby wisiał nad nią. Panu Samuelowi Zborowskiemu głowę zdjęto w Krakowie za zniewagę majestatu królewskiego; a dla tego panowie Zborowscy najpierwsze urzęda piastowali, i z tego powodu żaden z nich na sławie nie cierpiał. Byli prawda niektórzy bracia Samuela skazani później na banicję; ale sami nie mało złego nabroili, powstając na zwierzchność własną, a szukając opieki u zagranicznego rządu. Wszakże jeden z nich, pan Jan, kasztelan gnieźnieński, brat rodzony pana Samuela, gdy był stateczny obywatel i wielki senator, umarł w wieku sędziwym pełen sławy i szacunku publicznego, i nikt jemu nie wymawiał, że miał braci łotrów.

Czasem sam winowajca podawał dobrowolnie głowę pod miecz, woląc umrzeć obywatelem, niż ochraniać nędzny żywot, który i tak wiecznie trwać nie będzie, i żyć w niesławie. W czasie Konfederacji barskiej, pan Baworowski, podstarosta trębowelski, jeden z konsyljarzy tej konfederacji, mąż ojczyźnie zasłużony, który z nami do ostatka bronił Częstochowy, gdzie z blizka miałem zaszczyt go poznać, razu jednego na obiedzie u pana Puławskiego, starosty wareckiego, gdzie i ja na szarym końcu siedziałem (a zajadaliśmy pieczeń końską, bo nie była pora wymyślać), opowiadał nam, że jego ojciec będąc także podstarostą trębowelskim, musiał ferować dekret śmierci na obywatela majętnego, jakiegoś pana Leszczyca, z którym kiedyś był w szkołach i nawet żył w przyjaźni. Ten pan Leszczyc zakochał się był w rodzonej swej siostrzenicy i chciał się z nią żenić; jakoż i ona nie była od tego. Wiadomo, że namiestnicy Chrystusa Pana zastrzegli, aby krewni nawet do czwartego stopnia nie wiązali się do małżeństwa, czego dotąd kościół wschodni przestrzega, ale nie wiem jak dalej będzie; bo że nie mają

papieża, któryby w przypadku wielkiej potrzeby im to prawo zwolnił, sami po zwierzęcemu chyba będą się rozgrzeszać ci, którym wypadnie z krewnymi się żenić. U nas przez długi czas sami monarchowie od krewnych unikać musieli; bo za takie kazirodztwa papieże ich wyklinali, chcąc aby oni dawali z siebie przykład posłuszeństwa prawu kościelnemu, a nie gorszyli poddanych. Ale potem jak wymyślono, słusznie czy niesłusznie, że monarcha nie może mieć żony innej, tylko córkę jakiegoś także monarchy, i zaczęto mniej się gorszyć, gdy który z nich żył z poddanką po bydlęcemu, niż gdyby ją wziął za żonę po bożemu. Więc ponieważ monarchów na palcach łatwo policzyć, wkrótce nie sposób było znaleźć królewiczowi królewny, coby z nim jakiegoś pokrewieństwa nie miała, zwłaszcza że oprócz nas i Węgrzynów, wszędzie nie wybieralni, ale spadkowi królowie panowali. Udawano się zatem do papieżów, aby temu poradzili, bo taki królowi spadkowemu potrzeba żony; a że cujus est condere, ejus est tollere, więc papieże na szczególne wypadki dawali dyspensy, a królowie tak się między sobą zaczęli wiązać, że królewska żona nie raz, ani dwa, ale kilkadziesiąt razy jest krewną mężowską, aż nakoniec zwiodły się rody królewskie. Zamiast tych rosłych, pięknych i walecznych monarchów, których obrazy widujem, i o których tyle wielkich rzeczy czytamy, powyradzały się jakieś nikłe, chorowite, bojaźliwe, do szewców podobniejsze niż do królów licha, że już ludy zaczynają się sromać swojego posłuszeństwa, i jeden naród po drugim pozbywa się naprzykrzonych a paskudnych tych rodów; a na czem to wszystko się skończy, tego nie wiemy, jeno co nam do tego, niech każdy o sobie myśli. Dość, że za granicą i magnaci zaczęli iść za przykładem królów i między sobą się wiązać, a papieżom naprzykrzać się o dyspensy, dla tego oni i ród swój zwiedli, choć nie tyle. Jeżeli się na ciele jeszcze całkowicie utrzymują, może dla tego, że ich matkom łatwiej było na to poradzić, niż królewskim żonom; na umyśle już całkiem upadli. Za granicą już tylko mieszczuchy książki piszą i uczą naród rozumu: oni po sądach mecenasują, ba! nawet prawa stanowią, i naród im wierzy, bo mają rozum, a szlachta poszła w poniewierkę, jako dumna samem głupstwem. To kiedy do nas napłynęło szlachty francuskiej, co tu uciekała w czasie koliszczyzny tamecznej, że cudze zawsze się podoba, panowie i panie chwytali tych zbiegów, jako nauczycieli mądrości. Wielu z nich widziałem, a żadnegom nie znalazł takiego, coby umiał po łacinie. Z przeproszeniem panów naszych, poznałem, że to byli głupcy, i nie dziwiłem się, że ich przepędzono: bo rządzący powinien mieć więcej światła niż rządzony, a kiedy go ma mniej, niech ustąpi, jeśli nie chce czegoś gorszego się doczekać. U nas magnaci nie składali stanu oddzielnego; byli szlachtą, byli narodem, na przestronnem polu

dobierali żon dla synów; dla tego też wysoki rozum ich się trzymał. A który magnat francuzki czy niemiecki prawo napisał, lub nareszcie książkę porządną ułożył? Niech go pokażą. Z korzennych i z bławatnych sklepów wychodzą tam prawodawcy, statyści, rymotworcy, dziejopisarze. Nie tak jak u nas: Lwy Sapiehy, Piotry Herbuty, Maksymiljanowie Fredry, Wacławy Rzewuscy, Ignacowie Krasiccy, Ignacowie Potoccy, Taddeusze Czaccy, co wszyscy byli jaśnie wielmożni i siedzieli na urzędach swych przodków.

I u nas zdarzało się, że magnat żenił się z krewną; z tego bywała nawet pociecha dla kraju, bo nulla regula sine exceptione; wtedy tylko źle, kiedy to się zagęszcza, jak za granicami. Ale u nas chwała Panu Bogu nie łatwo było o dyspensę nawet magnatowi, a szlachcicowi tak trudno, że i myśli podobnej do głowy nie przypuścił.

Pan Leszczyc będąc bardzo zakochany, wyrabiał się jak mógł w nuncjaturze i nie mało kosztu poniósł, a tak i dyspensy nie wskórał. Bo trzeba było dowieść, że się dom na pannie kończy, że z domu majątek wyjdzie, i inne jakieś przyczyny kanoniczne położyć. A że się jeszcze nie nauczono konsystorzom podawać fałszywych inkwizycji na krzywoprzysięstwie opartych, pan Leszczyc musiał z kwitkiem powrócić. Ale że już zabrnął w namiętność, przywabił synowicę do swojego domu i sam siebie dyspensując, zaczął z nią mieszkać po bydlęcemu, z wielkiem zgorszeniem całej ziemi trębowelskiej. Krewni zrazu perswadowali, aby się opamiętał; potem gdy na wszystko był głuchym, o takowe porubstwo zapozwali go do urzędu i sprawa się wytoczyła przed grodem, w którym pan Baworowski podstarostował. Po odbytych inkwizycjach, po wysłuchaniu świadków, po roztrząśnieniu dowodów i odwodów, zbrodnia okazała się tak jasno, że nie było sposobu mitygować ostrości prawa. Pan Baworowski osądził pana Leszczyca na gardło. Ale po ogłoszeniu dekretu pan Leszczyc umknął, jak się potem okazało, na Węgry, i śladu po sobie nie zostawił. Gród swoje zrobiwszy i zadość uczyniwszy sumieniowi, nie troszczył się o pana Leszczyca, gdzie się on obraca. Lat wiele minęło, nikt o tem już nie gadał, i co tam kogo mogło ochodzić, że dekret leży niewyegzekwowany w grodzie, kiedy winowajca może już i tak umarł? Dość, że majątek pana Leszczyca spadkobiercy wzięli, a pan podstarosta synowi kiedyś o tem wspomniał z dyskursu, jako o rzeczy dawnej. Umarł pan podstarosta, umarł jego następca, a pan Baworowski, co u nas był konsyljarzem, otrzymał urząd, piastowany niegdyś przez ojca. Wkrótce potem pokazuje się człowiek w wieku podeszłym i stawi się przed nim, przyznając się, iż jest tym samym Leszczycem, którego ojciec jego na śmierć dekretował; że nigdy mól serca gryźć mu nie przestał, za to iż wzgardził prawem ojczystem i od jego spełnie-

nia się uchylił; że nie mogąc dłużej znieść wewnętrznych udręczeń, przychodzi poddać się wyrokowi, i tylko prosi, aby o jego duszy nie zapomniano. Jakoż najprzykładniej pokilkakrotnie, bo nikt jego do śmierci nie naglił, spowiadał się, ciało i krew Pańską przyjął i cały tydzień jedynie z Bogiem obcował za pośrednictwem kapłana, a to w dworku otwartym i bez straży, z którego mógł wyjść, gdzieby mu się podobało. Potem przyszedł do grodu, oświadczając swoją gotowość, i nazajutrz w asystencji księdza poszedł na rynek, na którym kat go już czekał. Tam wziąwszy ostatnie błogosławieństwo od księdza, przemówił do narodu, zalecając mu bojaźń Boga i posłuszeństwo prawu, a tak czule, że to był sądny dzień, tyle po całej Trębowli narobił płaczu. Nakoniec ukląkł i wprzódy kata przez pokorę w rękę pocałowawszy, prosił go, aby podczas, gdy się będzie modlił, rzecz swoją zrobił. Jakoż wymawiał imię Jezusa, Marji i Józefa, kiedy mu głowa na ziemię upadła.

XV.

PAN WOŁODKOWICZ.

Wielkie dla nas złe, że zagraniczni ludzie chcą nas uczyć tego, co się u nas działo; a co gorsza, to że młodzież nasza chętniej im wierzy, niżeli nam, cośmy na to patrzali. Długi czas markotno mi było, że nie umiem po francuzku, bo człowiek w książkach francuzkich znalazłby jakąś rozrywkę; ale obcując z ludźmi uczonymi, podowiadywałem się od nich, że Francuzi o nas takie dziwolągi piszą, iż się cieszę teraz, że ich książek rozumieć nie mogę: bo niczego bym się nie nauczył, a cobym się nagniewał, to byłoby w zysku. Mówiono mi o opisie Konfederacji barskiej przez Demuliera, którego znałem osobiście, bo służyłem pod nim, i długo. Był to dobry żołnierz, rozumiał gdzie postawić armaty, jak wytykać obozy i jak jazdą uderzyć na nieprzyjaciela: w czem też wszyscy sprawiedliwości nie ubliżamy ani jemu, ani innym Francuzom, co nam pomagali. Był tam bowiem i Sochazy*), równy mu w biegłości, i Gawar, zawołany inżynier, który ożeniwszy się z Polką, został naszym ziomkiem, i Kellerman, całą gębą kawalerzysta, oraz wielu innych, których nazwiska już pozapominałem. Każdy z nich celował w swojem rzemiośle; ale chwała Bogu, ich mądrość nie była nad nasze mózgownice. Nasi im nie ustępowali: pewnie ani pan Puławski, ani pan Zaręba, ani pan Walewski, co potem został wojewodą sieradzkim, ani Sawa, marszałek zakroczymski, ani tylu innych naszych, od nich rozumu pożyczać nie potrzebowali, i jeszcze ich samych mogliby czegoś nauczyć. Otóż ten jenerał Demulier wszystkiemu u nas przyganiając, a tylko siebie chwaląc, robi księcia Karola Radziwiłła głupcem. Inny znowu Francuz, którego nazwiska nie umiem wymówić, ani wy-

*) Zapewne Choisy.

pisać, wydał dzieło: «O nierządzie polskim», w którem lubo naszym więcej sprawiedliwości oddaje i księcia Karola wytrwałość i męztwo chwali, przez piąte dziesiąte coś zachwyciwszy, prawi przytem: jakoby on na czele młodzieży rozbojem się bawił i okrucieństwa na Litwie popełniał, a godząc się tu z Demulierem, wystawia go za człowieka bez rozumu i barbarzyńca.

Że książę nie był po zagranicznemu oświecony, to pewna; ale że miał polski rozum, i wielki, to jeszcze pewniejsza. Miał on to światło przyrodzone, które u nas zawsze w kąt zapiera światło nabyte: bo lepszy rozum z głowy, niż z książek, i większa zaleta wielkie rzeczy umieć robić, niźli umieć dobrze je opisać. Księżna hetmanowa wielka litewska, ostatnia z domu książąt Wiśniowieckich, była pani wysokiego światła i książki nawet pisała; ale nie mając jeno jednego syna, pieściła go do zbytku, tak, iż książę Karol miał już rok piętnasty, a czytać nawet nie umiał. Każdy nauczyciel, co go naglił do pracy, za jego oskarżeniem był natychmiast od dworu przez księżnę matkę oddalony; a książątko tylko umiało w palcaty tłuc się z paziami, konia oklep dosiadywać i z fuzyjki jajka na powietrzu rozbijać. Książę hetman pomiarkował nakoniec, że synowi przecież czegoś więcej trzeba, aby mógł kiedyś piastować dostojeństwa przodków, i o tem księżnę przekonał. Więc ta oświadczyła, że dwoma folwarkami dziedzicznie obdarzy tego, co go wyuczy czytać i pisać bez żadnego się jemu sprzeciwiania. Znalazł się na to światły szlachcic, pan Piszczało, co dokazał tej sztuki, a to go wyniosło na majętnego obywatela i później na podstolego rzeczyckiego. On księcia Karola i dwóch jemu dodanych dla emulacji obywatelskich synów: pana Ignacego Wołodkowicza, chorążyca nadwornego litewskiego, i pana Michała Rejtena, podkomorzyca nowogrodzkiego, wyuczył czytać, pisać i pierwiastkowych nauk, bynajmniej nie znaglając, owszem bawiąc; a to tym sposobem: na wielkiej tablicy drewnianej było abecadło kredą napisane: każdy z uczniów stał o kroków kilkanaście od tablicy z strzelbą nabitą w ręku i trafiał w litery wymienione przez nauczyciela. Tak składano sylaby, potem wyrazy, potem okresy, aż póki wszystkiego kulami nie zdołano wyczytać. Pomału uczniowie nawykli słuchać wykładu pewnych prawideł, z własnej już ochoty wyuczyli się i pisać; a trochę czytaniem, więcej zaś obcowaniem z ludźmi świadomymi, nabyli znajomości prawa krajowego, historji narodowej, i wówczas ważnej dla nas nauki stosunków i związków familijnych. Książę w dziewiętnastym roku wieku swojego zostawszy miecznikiem litewskim, bardzo był na swojem miejscu; a kiedy został marszałkiem trybunału litewskiego, to juryści aż za głowy się brali, tak poznawał co prawda, a co wykręt. Po skończonem urzędowaniu wkrótce drugi raz był obrany marszałkiem, i byłby nim do śmierci, gdyby był chciał; szlachta pragnęła

jego, bo nikomu się nie dawał powodować, tylko własnemu światłu i sumieniu, a lepszych doradców znaleźć by nie mógł. Co się tyczy zarzutów, że w młodości okrucieństwa i rozboje popełniał, jest to istna potwarz, która sama z siebie upada. Książę, co wolał na Białej Rusi ośmdziesiąt tysięcy dusz męzkich ojcowizny swojej utracić, niż Moskwie zaprzysiądz wierność, przeciwną jego sposobowi myślenia, dowiódł, jak miał serce nie tylko dalekie od wszelkich podłych uczynków, ale nawet delikatne w uczuciu godziwości. Że zaś będąc młodym, a nie znajdując pola, na którem by zbyt żywe jego namiętności mogły się wyburzyć, na czele najświetniejszej młodzieży pędził życie po lasach litewskich łowami zajęty, i konno przebiegał kilkakrotnie całą Litwę: to dla tego, iż wśród ogólnego pokoju szukał umyślnych niebezpieczeństw i trudów, któremi chciał doświadczać nadzwyczajnej swojej odwagi. Jeżeli czasem przez swawolę jakiemu obywatelowi bydło porżnięto, lub jakie zabudowanie spalono, o to nie było procederu: bo ponoszący stratę sowicie, jak sam żądał, był nagrodzony. Na ludziach jakiegobądź stanu żadnego okrucieństwa nigdy się nie dopuszczano, książę nawet przy wielkiej porywczości swojej miał serce tak czułe, że znieść nie mógł cudzego cierpienia.

Towarzystwo księcia Karola, które partja króla Poniatowskiego, prowadzona na Litwie przez księcia-biskupa wileńskiego Massalskiego, hajdamakami nazywała, było złożone z ludzi światłych, w wierze dla ojczyzny nieskazitelnych, ani krwi, ani trudów nieżałujących i godnych zająć niepoślednie karty w dziejach polskich. Był tam pan Wołodkowicz, którego odwaga i nadludzka siła dziś za bajki uchodzić by mogły; największy ulubieniec księcia, opłakiwany przez niego całe życie, gdy w kwiecie młodości zginął bezfortunnie. Był i pan Pac, starosta ziołowski, później marszałek jeneralny Konfederacji barskiej na Litwie, który wolał być tułaczem do śmierci, niżeli odstąpić od swego przekonania. Był pan Rzewuski, wówczas podstoli litewski, świetny regimentarz tejże konfederacji, a szwagier księcia Karola. On to w nocy przez lochy podziemne prowadził nas do Krakowa, gdzie liczna załoga moskiewska została wyrżniętą, a stolica Polski oswobodzoną. Był pan Ogiński; wojewodzic witebski, co gdyby nie zginął w pojedynku z rąk jakiegoś magnata węgierskiego, do najpierwszych rzeczypospolitej doszedłby zaszczytów. Był pan Żaba, później wyniesiony na województwo połockie jednomyślną wolą Połoczan; bo w tem jednem województwie szlachta zachowała do końca wolny wybór swojego wojewody. Był pan Slizień, sędzic ziemski słonimski, który umarł w Carogrodzie z morowego powietrza, podzielając wygnanie księcia Karola. Był kniaź Lubecki, później marszałek piński, zawołany statysta. On to w czasie Konfederacji barskiej, kiedy jeszcze było wielkie podobieństwo,

że rzeczpospolita się ocali, podał był projekt, aby podzieloną była na cztery prowincje: Wielkopolskę, Małopolskę, Litwę i Ruś; żeby każda miała swojego metropolitę, kanclerza, hetmana, podskarbiego, wojsko, i uniwersytet i sejm; żeby unicki obrządek został rządowy. Żeby Pijarom i Bazyljanom wyłącznie wszystkie szkoły powiatowe powierzyć, a uniwersytety i gimnazja świeckim, a przy królu żeby był do rady senat ogólny narodu, z których połowa członków byłaby wybrana przez sejmy prowincjonalne; a połowa przez króla mianowana. Wszyscy mieli być uposażeni krzesłami starościńskiemi, i przy nich wraz z królem zostawałaby władza wykonawcza i sądzenie obwinionych we wszystkich materjach stanu. Z temi warunkami zabezpieczającemi wolność, żeby ustanowić dziedzictwo tronu dla familji saskiej, znieść liberum veto; uregulować też dochody duchowieństwa, aby jeden nie nadto, a drugi zbyt mało nie posiadał, a z przewyżki funduszów kościelnych uposażyć uniwersytety i szkoły. Chciał także zniesienia starostw grodowych, żeby grody tak jak ziemstwa od wyboru szlachty zależały, a przychodem miast grodowych zbogacić skarb rzeczypospolitej; jakoż i większą część starostw do niego chciał dołączyć, które to dochody z monopolu, soli i tytuniu, z opłaty podniesionej czopowego z podymnem, z wpływu ceł i stępla, oraz podatków innych, byłyby dostateczne, aby 200,000 regularnego wojska utrzymać. Może to były tylko marzenia, jednak w tem wszystkiem nie widzę nic złego, ile że niektóre z tych rzeczy sejm z r. 1788 dopełnił. Ten projekt u pana Świętorzeckiego, byłego sekretarza sejmu 1784, obaczywszy, przepisałem i u siebie starannie zachowuję. — Był pan Chomiński, co będąc wojewodą mścisławskim, marszałkował na sejmach i trybunałach, zawsze świetnie, zawsze przykładnie, a razem był wielkim wierszopisem, i jak słyszałem od ludzi, którym wierzyć można, w Rzymie nawet za mądrego uchodził. Był pan Szczyt, zmarły kasztelanem połockim, mąż w prawnictwie narodowem głęboki, którego pisma zatracone nieodżałowaną są szkodą dla publiczności. Byli Janusz Gorecki i Maciej Dereas, co później w Konfederacji barskiej ani panu Demulierowi nawet nie ustępowali w nauce wytykania obozów. Było i wielu innych jeszcze, składających bandę zwaną albeńską, której synowie i wnuki żyją. Zdaje się, że kto takim młodzianom dowodził i sobie ślepe ich przywiązanie uzyskał, nie mógł być sam bez wielkich przymiotów. Każdy z nich sposobił się do rycerskiego rzemiosła, i im kto zapamiętalszy dał dowód odwagi, tem wyższy szacunek u kolegów zyskiwał. Razu jednego pan Wołodkowicz z oszczepem w ręku, pojedyńczo wyszedł na niedźwiedzia lekko postrzelonego i śmiało go ugodził; ale oszczep złamał się między żebrami, a niedźwiedź do ostatniego stopnia rozdraźniony, na niego się rzucił. Ten nie tracąc przytomności, drzewcem

w ręku zostającem tak silnie po łbie go uderzył, że niedźwiedź upadł przygłuszony, a pan Wołodkowicz nie dając mu czasu przyjść do siebie, kordelas w sercu utopił. — Pan Kostrowicki, strażnikowicz piński, także albeńczyk, w Łachwie przesadził na koniu rów półtora sążnia szeroki i tyleż głęboki, który otaczał zamek łachewski. Raz cała banda albeńska na dzielnych koniach z naczelnikiem swoim przypadkiem nadjechała blisko karczmy słomą pokrytej, która się była zajęła. Ogień był straszny, a wrota otwarte; aż tu p. starosta ziołowski z panem podstolim litewskim odzywają się do ratujących: — Idźcie precz! My za spaloną karczmę wynagrodzim; wpadniemy do sieni i bić się będziemy na ostre, a niech nikt się nie waży do nas przystąpić, póki jeden z nas rannym nie zostanie. — To wyrzekłszy, wlecieli do sieni i bić się zaczęli w pałasze; a że obywaj byli gracze, potyczka długo trwała, siano zapalone w stodole padało na nich, w około wszystko gorzało; nie wiedzieć czem już oddychali: nakoniec pan Pac obciąwszy niżej ramienia pana Rzewuskiego, na swoich rękach wyniósł go z pośród ognia, tak, że i suknie podpalone mieli i sami byli osmaleni, aż się z czupryn im kurzyło. Któżby zresztą wyliczył wszystkie podobne popisy; nikt temu dzisiaj i wiary nie dałby, gdybym opowiadał czyny, na które jednak patrzałem.

Kiedy bezkrólewie nastało, książę już był wojewodą wileńskim i prowadził królewicza Sasa; partja zaś przeciwna, słaba w narodzie, ale silna żołnierzem moskiewskim przez nią sprowadzonym, najechawszy sejmik, z podeptaniem prawa pospolitego, gwałtownie wszędzie swoje sądy kapturowe narzuciła i nie dbała na manifesta uciśnionej szlachty. JW. Chreptowicz, później podkanclerzy litewski, został wtenczas, Boże mu odpuść! sędzią kapturowym nowogrodzkim. Wiadomo jest wszystkim, jak wielka powaga była kapturów: bo w czasie bezkrólewia jurysdykcje sądownicze zwyczajne ustawały, a władza trybunalska, ziemska i grodzka ściskała się w kapturach. Otóż p. Chreptowicz, co był wielkim znawcą srebrników starożytnych, a przytem lubił zbierać do kolekcji i ruble moskiewskie, chcąc zastraszyć partję Moskwie i panu stolnikowi Poniatowskiemu przeciwną (to jest cały naród, mniej kilkadziesiąt ludzi), wydał mandat, aby wszyscy Nowogrodzanie, należący do bandy albeńskiej, stawili się zawito przed sądem kapturowym dla dania odpowiedzi na zarzuty im uczynione, jakoby wraz z księciem wojewodą wileńskim rabunków i gwałtów się dopuścili po niektórych domach szlacheckich. Dla czego ten mandat i na samego księcia nie był położony, domyśleć się nie umiem; chyba jedynie w celu, aby księcia od przyjaciół jego odłączyć i w nich ku niemu nieufność wzbudzić. Jeżeli taka była myśl, to pożądanego skutku nie otrzymała. Młodzież nowogradzka hulała sobie w Nieświeżu, a książę wcale do czego innego ją przygoto-

wał, niż do stawiania się na wezwanie kapturów. Ale pan Wołodkowicz przymusiwszy woźnego do zjedzenia pozwu, z którym ten przybył, napisał przez niego do pana Chreptowicza, że na termin stanie z patronem swoim, którego woźnemu pokazał. Był to nahaj rzemienny z boćkowskiej fabryki; bo on miał trzy nahaje: rzemienny na pana Chreptowicza; jedwabny, przeznaczony panu stolnikowi Poniatowskiemu, co już otwarcie szedł do korony; a trzeci z nici złotych pleciony, na księcia-biskupa wileńskiego, kniazia Massalskiego. Poczem dobrawszy sobie sześciu tęgich rębaczy, nadwornych nieświezkich, i dwóch z bandy albeńskiej: Węcławowicza i Wazgirda, jedynych do nadstawiania łba, puścił się do Nowogródka, i chociaż rota stała w mieście, prosto poszedł ze swoim pocztem na ratusz. Jak go pan Chreptowicz przez okno zobaczył, tylnemi drzwiami umknął, nie poglądając po za siebie, i aż w klasztorze Dominikanów się oparł. Pan Wołodkowicz przyszedłszy do izby, a pana Chreptowicza nie zastawszy, zapytał po trzykrotnie, gdzie pan sędzia kapturowy, co go ma sądzić. Pan regent Matusiewicz, poufały pana Chreptowicza, chcąc miną nadrobić, odezwał się: — Co waćpan nachodzisz jurysdykcję, jakbyś nie wiedział, że ona ma jus gladii w ręku? — A pan Wołodkowicz: — A to piękny sędzia kapturowy, co inotescencje stronom posyła, a sam w dzień terminu się chowa! W niebytności sędziego jurysdykcja przy panu pisarzu; więc mój patron przed w. pana moją sprawę wprowadzi. — Dopiero pan Węcławowicz i pan Wazgird porwawszy pisarza, położyli go na stole sądowym, czerwonem suknem pokrytym, a pan Wołodkowicz swoją ręką odliczył mu piędziesiąt nahajów w obec całej palestry, patrzącej na to obojętnie: bo wszystka była złożona ze stronników radziwiłłowskich. Oćwiczywszy pisarza, zabrał papiery sądu kapturowego i zawiózł je z sobą do Nieświeża, dokąd dostał się ze swymi bez szwanku.

Wkrótce po tem zdarzeniu pan stolnik litewski ogłoszony był królem, więc kaptury ustały: sądom ziemskim i grodzkim czynność wrócono i brano się do urządzenia trybunału. Ale szlachta nie mogła zjechać się na deputatskie sejmiki: który nie był z partji króla, tego nie puszczono; a że mało kto na Litwie do niej należał, w wielu województwach po kilku obywateli sejmikowało. Tym sposobem zebrał się w Nowogródku trybunał z deputatów narzuconych przez stronnictwo i pod laską JW. Przezdzieckiego, co umarł pisarzem wielkim litewskim, a był głównym nieprzyjacielem księcia Karola Radziwiłła. Książę-biskup wileński sam zjechał na reasumpcję trybunału, by ucisnąć księcia wojewodę i jego przyjaciół, a książę już nie mając w niczem nadziei, tylko w orężu, podniósł konfederację nieświezką, do której się wiązało, co tylko było poczciwego na Litwie.

Dla asekuracji trybunału stał w Nowogródku pułk imienia Massalskich, na który śmiało mógł się spuszczać książę-biskup, będąc bratem rodzonym szefa tego pułku, Massalskiego. Majorem w tym pułku był niejaki Rożniecki, co miał jakieś przyjacielskie stosunki z panem Ignacym Wołodkowiczem. Księciu biskupowi i marszałkowi trybunału chodziło o to, aby przestraszyć partję radziwiłłowską; a pałając zemstą na pana Wołodkowicza, chcieli koniecznie go żywcem dostać, by do egzekucji przywieść kontumacjalny dekret na niego zapadły, w którym kara śmierci była mu przygotowana, za zbrojne najście kapturów. Układają więc z panem Rożnieckim o przywabienie Wołodkowicza do Nowogródka, a podły jurgieltnik takowego chwyta się sposobu: Przebrawszy się za markietana, przybiega do Nieświeża i tam znalazłszy pana Wołodkowicza, wmawia mu, że jest szczerze poświęcony rzeczypospolitej i księciu wojewodzie; że większą część oficerów przekabacił i że cały regiment przystanie do konfederacji nieświeżskiej, oprócz może czterech oficerów i szefa, których powiążą. Trzeba więc koniecznie, aby pan Wołodkowicz, będąc konsyljarzem konfederacji, tajemnie zjechał do Nowogródka, żeby nie dać czasu ani członkom trybunału, ani księciu biskupowi umknąć z miasta, jak wybuchnie powstanie, i żywcem ich połapać. Wstyd powiedzieć, ale brat rodzony pana Ignacego do tak czarnego podstępu należał, aby po nim odziedziczyć znaczne spuścizny. Pan Ignacy, co oddawna ostrzył zęby na księcia biskupa, nie mógł się oprzeć namiętnej nadziei dostania go w swoje ręce. A że przy niesłychanem męztwie był bardzo zarozumiały, nikomu się nie zwierzywszy, pewny swego, puszcza się sam na sam do Nowogródka i przed samym świtem zajeżdża na kwaterę pana Rożnieckiego. Ale wszystko już było przygotowane do jego zguby. W kilka chwil po jego przybyciu cały regiment otoczył dom majora. Poznaje pan Wołodkowicz zdradę po niewczasie, dobywa jednak szabli i rzuca się na wojsko. Żołnierzom zabroniono do niego strzelać, tylko bagnetów pozwolono używać; bo go chciano koniecznie sądownie zamordować. Pan Ignacy po kilkakrotnie łamał szeregi, ale nowe natychmiast się stawiły, grożąc mu lasem strzelb sztychami najeżonych. Żołnierze z tem większą skwapliwością szli na niego, że obiecano sto czerwonych złotych tym, co go wezmą. Narobiwszy nie mało trupa, a czując że ma tak licznego przeciwnika, iż niepodobna się przedrzeć, cofnął się pan Ignacy do domu, a ztamtąd wleciał w sad za dworkiem będący, probując czy nie uda się gęstwiną wymknąć na ścieżkę do farnego kościoła, zkąd może nie odważonoby się go porwać. Ale wszystkie drogi były mu przecięte, płoty nawet ogrodu wywrócone, aby go w coraz ciaśniejszym ostępie ściskając, nakoniec znużonego uchwycić. Co który do niego się zbliżył, śmierć albo rany odbierał; ale widocznie już

na siłach upadał. Był stary loch wawrzywny w ogrodzie, tu się więc schronił i nową walkę rozpoczął jakby w niedobytej twierdzy. Chował się w lochu dla odpoczynku, a gdy widział że się żołnierze po schodach spuszczają do niego, biegł przeciw nim, szablą siekał i do odwrotu zmuszał. Rady mu dać nie mogli, a trzeba było jak najprędzej go uchwycić, bo książę wojewoda wileński co chwila mógł przyjść na odsiecz. Żyd, faktor JW. marszałka trybunału, podał sposób, którym go dostali. Kazano z miasta wszystkie bety żydowskie poznosić i rzucać je w loch, a gdy niemi tak był przywalony; że już ruszyć się nie mógł, dopiero go żołnierze wzięli. Już w ich ręku będąc, jednego ubił pięścią, uderzywszy w skroń, drugiemu szczękę wywichnął. Ale nic nie pomogło: związanego zanieśli na ratusz do izby, gdzie trybunał zgromadzony kazał mu odczytać dekret sądu kapturowego, i zaraz dekret takowy potwierdził, nie dając mu czasu do tłumaczenia się, ani nawet nie chcąc go słuchać. Było to horrendum. W dekrecie stały same tylko potwarze: między innemi ta, jakoby pan Wołodkowicz szablą posiekał krucyfiks na stole sądowym, kiedy on nie tylko takiego świętokradztwa nie popełnił, ale nawet szabli z pochwy nie wyjął. Że nahajem obił rejenta Matusiewicza, tego się nie zapierał; ale to przestąpienie śmiercią karane być nie mogło wedle prawa. Jurysdykcja kapturowa będąc nadzwyczajną, nie do miejsca, tylko do osoby jest przywiązaną. Zawsze się mógł tłumazyć p. Ignacy, że w niebytności pana sędziego nie widział jurysdykcji; za skrzywdzenie więc szlachcica, choć na ratuszu, ale carente foro, grzywny i wieża po sprawiedliwemu, a nic więcej nie powinno go było szekać. Ale tu nie szło o sprawiedliwość, tylko o dogodzenie zemście. Pan Wołodkowicz został zaniesiony do sądu, niby wybadany, osądzony, dekretowany, dysponowany na śmierć i nakoniec rozstrzelany: to wszystko w przeciągu niespełna godziny! Zaraz po spełnieniu wyroku, i trybunał i książę biskup rozjechali się, bardzo w porę, bo książę wojewoda wileński dowiedziawszy się, że pan Ignacy puścił się do Nowogródka, zaraz przeczuł jego niebezpieczeństwo, i na czele sześciuset koni, zebranych na prędce tak bandy albeńskiej jako milicji swojej nadwornej, ruszył za nim do Nowogródka, i w ośm godzin po rozstrzelaniu przyjaciela stanął przed miastem. Regiment Massalskich próbował rogatek bronić, ale w puch został rozbity. Dopiero dowiedział się książę o swem nieszczęściu; bo często bywało potem powtarzał, iż dwa tylko miał w życiu prawdziwe nieszczęścia: pierwsze, podział kraju, a drugie rozstrzelanie Wołodkowicza; i nigdy nie przestał obu tych strat opłakiwać.

Więcej niż w dwadzieścia lat po tym wypadku, książę wojewoda jak zwykle obchodził dzień ś. Karola, na który, można powiedzieć, że cała Litwa zjeżdża się do Nieświeża. Książę wedle

swojego zwyczaju, otoczony sługami i domownikami, siedział w ogromnych sieniach swojego zamku, dla przyjmowania gości: naprzeciw każdego wychodził do drzwi i znowu wracał do swego głębokiego krzesła, nim dla innego przybywającego znowu wstać mu przyszło. A że każdy gość przybyły zostawał z nim w sieni, póki się wszyscy nie zjechali, cały ranek tam przepędzał w coraz liczniejszem towarzystwie. Owoż razu jednego wchodzi jakiś jegomość, w wieku bliższym starości niż lat młodych, w kontuszu mundurowym granatowym, z pomarańczowym kołnierzem i takiemi wyłogami oraz czapką, a w żupanie białym: zbliżywszy się do księcia, kłania mu się nisko, jakby żądając ośmielenia, aby mógł o jaką łaskę prosić. Książę to uważając, odezwał się: — Panie bracie, czego waść żądasz? — Jestem abszytowanym oficerem wojsk rzeczypospolitej; życzyłbym sobie być umieszczonym w milicji W. Ks. Mości. — Gdzież waść służył? — W pułku imienia Massalskich; oto mój abszyt i świadectwo mojego sprawowania się, które śmiem składać księciu panu. — Książę rzuciwszy okiem na papiery, raptownie pobladł i mocno zasępiony, powiedział: Wołodkowicza rozstrzelali! — Wtem postrzegliśmy, że starający się o służbę okazał na twarzy nadzwyczajne pomięszanie; potem przyszedłszy jakoś do siebie, głosem dość śmiałym przemówił: Nie zapieram się, iż w Nowogródku wyprowadzałem kiedyś na śmierć pana Wołodkowicza; ale o to moje sumienie żadnego mi wyrzutu nie robi. Jako żołnierz powinienem był słuchać naczelników i wypełniać ich rozkazy, a nie wchodzić w roztrząsanie ich rozporządzeń. Jeżeli otrzymam służbę u W. Ks. Mości, równie wiernie będę jej służyć, jakem służył królowi i rzeczypospolitej. — Na to książę: Wołodkowicza rozstrzelali! — i obróciwszy się do swego sztabs-oficera dziennego, którym na ten dzień był pan Tyszkiewicz, później starosta wielatycki, a natenczas podpułkownik książęcej milicji: Każ w. pan natychmiast, aby tu przyszło trzech żołnierzy z mojej warty, z bronią i ostremi ładunkami: Wołodkowicza rozstrzelali! — Wyszedł pan Tyszkiewicz, a my w największem podziwieniu czekamy, co z tego będzie. Oficer o służbę starający się stał jakby skamieniały, istny trup, że aż żal było patrzeć. Ponure milczenie panowało, przerywane tylko słowami: Wołodkowicza rozstrzelali! — które książę co chwil kilka powtarzał z coraz mocniejszem poruszeniem. Nadeszli żołnierze; książę zakomenderował: Nabij broń! — My na siebie ze strachem poglądali. Żaden z nas odezwać się nie śmiał; a tu widocznie gotował się występek, który nie mógł nas nie gorszyć, bo lubośmy z duszą i sercem byli poświęceni księciu, byliśmy wszakże szlachtą polską, i żaden nie był rad, być świadkiem jak się depcą prawa rzeczypospolitej. — Wołodkowicza rozstrzelali! — odezwał się książę — weźcie serce z papieru czerwonego i przyszpilcie je. — Oficer od warty przysko-

czył do oficera abszytowanego pułku Massalskich i zabierał się serce mu przyłożyć. A książę: Gdzie serce kładziesz? Nie tu: przyłoż je temu jeleniowi, co jest na tym wiszącym kobiercu. — Cała ściana w sieni była zakryta ogromnym kobiercem francuskim, wyrażającym łowy na jelenia: oficer jeleniowi wyżej łopatki serce przyszpilił, książę zakomenderował: Ognia! — i trzy kule przeszyły cel wskazany. Potem książę wstał z wypogodzonem obliczem, prosząc nas z sobą na pokoje. Masalczyk stajał jak śnieg majowy, ani się można było dowiedzieć, gdzie on się podział. My z księciem cały dzień wesoło przepędzili i ani wspomniał książe o zdarzeniu, którem nas tyle strachu nabawił.

XVI.

PAN BOROWSKI.

Pisałem o bandzie albeńskiej, a przyszło mi na myśl, że może już nikt dziś nie wie, co znaczyła ta banda, do której tak się starano należeć, iż każdy miał sobie za wielki zaszczyt być jej członkiem. Książę Karol Radziwiłł, będąc jeszcze miecznikiem litewskim, utworzył ją w Albie, domu wiejskim z ogrodem, pod Nieświeżem. Pan Piszczało, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, przepisy tej bandy ułożył. Patenta podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem do śmierci był pan Ignacy Wołodkowicz, a sekretarzem pan Michał Rejten. Każdy członek w listach podpisywał się: «radziwiłłowski przyjaciel», a książę go nazywał «panie kochanku». Że zaś zawsze ze swoimi albeńczykami obcował, to nazywanie «panie kochanku» zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał. Mundur albeńczyków był barwy radziwiłłowskiej: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, spinka z emalji błękitnej, na której z brylancików była cyfra z trzech liter: K. X. R. W tym mundurze trzeba było chodzić w Nieświeżu: a gdyby kto, nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewien, że zostanie zmuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był księcia ekonomem jeneralnym w Birżach, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w stopniu, który trzymał między sługami księcia, pokazał się raz w tym mundurze na licznem zgromadzeniu u pana Burby, cześnika rosieńskiego, a rządcy jeneralnego ekonomji szawelskiej. Ale na swoje nieszczęście znalazł tam dwóch prawdziwych albeńczyków: pana Kazimierza Sołohuba, koniuszego nowogrodzkiego, i pana Jana Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych. Ci na niego

napadli, mundur zdarli i jeszcze samego wyszturchali, lubo to było w uczciwym domu. Pan Skirmunt o to się żalił przed księciem; ale książę, nie tylko że przyznał słuszność panu Sołohubowi i Wierzejskiemu, ale nawet oddalił pana Skirmunta: bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był twórcą.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być: szlachcicem karmazynowym, osiadłego obywatela synem, tęgim do korda, dzielnym do konia, choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiej doświadczonym i niepospolitej odwagi. Książę nie mógł nikogo patentować, jedno za wstawieniem się dwóch części całego towarzystwa. Obowiązki patentowanych były: stawić się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku, iść z nim gdzie ich poprowadzi, a nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawić za honor Najświętszej Panny, księcia wojewody, swój własny i każdego z członków towarzystwa. Były rozmaite przepisy dla tej szkoły prawdziwie bohaterskiej: w rzędzie innych ten, że dwaj albeńczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po jurysdykcjach, ale powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę dozwolić im nawet rozprawy na szable, jeśliby innego nie było sposobu do zgody. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek w Nieświeżu, który szczególnie okazał dobroć księcia.

Razu jednego zjechało się kilku radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie, u JW. Mikołaja Morawskiego, jenerała wojsk litewskich. Między nimi był pan Leon Borowski, od śmierci pana Wołodkowicza najpoufalszy domownik księcia, i pan Bonifacy Sołohub, co to niegdyś pana Skirmunta wyszturchał. Pan Bonifacy strzelał nic potem, bo miał wzrok krótki; ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwururną angielską, nad jaką lepszej u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajne miał oko, chciał jej koniecznie dostać i różne mu proponował facjendy. Ofiarował za nią cztery konie siwo-pstrokate, któremi przyjechał do Samuelowa; ale i to było napróżno, bo lubo pan Bonifacy do nich dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał, powtarzając:

— Prędzej się z moją skórą niż z dubeltówką rozstanę.

— Na co ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz?

— Czy umiem, czy nie umiem, to nie twoja rzecz: a strzelby nie dam.

— A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś.

— To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim litewskim,

bo twój zarzut mógłby mnie obchodzić; ale wiem, że może strzelam tak dobrze jak ty.

— Możesz tego dać dowód: niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra; obrzućmy ją siecią, mam sworę gończych z sobą, od których lepszych i w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia JW. jenerała jest na twoje usługi; on obławy nam nie odmówi, ani dojeżdżaczów. Pójdźmy więc ze świtem do kniei, prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierzynę, ja ci oddam moje cztery konie; a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się z swoją strzelbą.

— Zgoda! Ale zróbmy układ na piśmie i wręczmy go JW. jenerałowi; bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć: wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy.

— Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza jak ci na nosie chyba siędzie.

Wziął tedy pióro i papier pan Bonifacy i napisał: «Między w. Leonem Borowskim, komornikiem słonimskim, i w. Kazimierzem Sołohubem, koniuszym nowogrodzkim, zawiera się następna umowa: Dnia N. N. do kniei samuelowskiej sieciami obrzuconej, o piątej godzinie przed południem, z trzema sforami gończych psów, z których jeden jest w. Leona Borowskiego, a dwa drugich JW. Mikołaja Morawskiego, jenerał-majora W. księstwa Litewskiego, gospodarza domu, i z jednym dojeżdżaczem na koniu, pójdą w. Kazimierz Sołohub, w. Leon Borowski i sam JW. gospodarz, oraz inni wymienieni goście, którzy udadzą się do kniei, aby w czasie mogli dać świadectwo. Nikt strzelby z sobą mieć nie będzie, oprócz w. Sołohuba, a ten w przeciągu najdalej trzech godzin winien będzie przynajmniej jednego zwierza ubitego okazać. Jeżeli go okaże, cztery konie siwo-pstrokate wraz z uprzężą, któremi przyjechał do Samuelowa w. Borowski, będą temuż wyżej wzmiankowanemu w. Sołohubowi wydane, i żadnej pretensji ani praw własności do nich rościć nie będzie w. Borowski; jeżeli zaś po upłynieniu trzech godzin, to jest o samej ósmej z rana, żadnego zwierza ubitego w. Sołohub nie okaże, natenczas strzelba angielska dwururkowa z napisem: «Segalas London», a która jest złożona u JW. jenerała Morawskiego, zostanie wydaną w. Borowskiemu. W. Sołohub, że do niej równie żadnego prawa sobie rościć nie będzie, zapewnia. A za zezwoleniem stron niżej podpisanych, JW. Mikołaj Morawski, jenerał-major W. Ks. Litewskiego, bierze na siebie obowiązek, przyprowadzić ten dobrowolny opis do egzekucji.»

Podpisali się strony i świadkowie. A pan jenerał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził do jutrzejszego polowania.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacego różnemi żarcikami, ale pan Bonifacy fantazji nie tracił i powtarzał:

— Obaczymy, kto wygra zakład!

Nazajutrz przed piątą jeszcze wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanej Koski. Po niejakim czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogon jednego z psów pana Borowskiego, którego dopiero przestrzelił, i odzywa się:

— Proszę o konie, ubiłem zwierza!

— Jakto! — powiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż zająca, jeśli chcesz, aby konie były twoje.

— Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zającu nie masz wzmianki, tylko o zwierzu; a spodziewam się, że pies zwierzę.

— Do kogo innego waćpan idź ze swojemi krotofilami, a ja pana jenerała proszę o strzelbę.

Pan jenerał na to:

— Odczytamy w domu opis; a gdy strony mnie poruczyły onego dopełnienie, do niego stosować się będę.

Wrócili wszyscy do domu; pan Leon nie posiadając się ze złości, a pan Bonifacy za boki trzymając się od śmiechu. Przybywszy do domu pan jenerał włożył okulary, przeczytał tranzakcją i powiedział:

— Nie masz wyrażonego rodzaju zwierza, co miał być ubity; zatem wedle opisu w istocie pan Bonifacy wygrał zakład.

— Ja na to nigdy nie przystanę — odezwał się pan Leon — odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierzę?

— A jużci nie ptak — rzekł pan Bonifacy. — Pożegnaj się z końmi, panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiej się pilnuj.

— Ty moich koni nie dotkniesz, a strzelba moją będzie, chyba Pana Boga nie ma na świecie. Jeżeli pan jenerał z mojej własności mnie wyzuje, mamy jurysdykcje, do nich się udam po sprawiedliwość. Prędzej cały majątek stracę, niż pozwolę, aby mię gubić błazeństwem.

— Nie strasz mię ziemstwem ni grodem, bo my obydwaj albeńczyki, a tobie wiadome nasze prawa, że musimy wszelkie zatargi między sobą sami ukończyć. Ja na żadne twoje pozwy nie stanę, błaźnić się nie chcę: który z naszych niech nas sądzi, ja na każdego przystaję; najwłaściwiej by gospodarz sądził.

— Z przeproszeniem JW. jenerała, jak się na niego zapiszę, to zasłużę, by mi szarą gęś przypięto. Pan jenerał przed wprowadzeniem sprawy już waćpanu słuszność przyznał; piękniebym wskórał w jego sądzie.

Na to pan jenerał: — Ja się nie ubiegam o to, bym wasze spory razstrzygał; zapiszcie się na kogo chcecie, a ja zatrzymuję konie i strzelbę u siebie, i temu oddam, komu je dekret kompromisarski przysądzi.

— Przystaję na to — odpowiedział pan Bonifacy — piszę się na kogo zechce pan Leon, byle na albeńczyka. Uważajcie panowie moją powolność; wygrawszy sprawę, poddaję ją pod sąd: bo wedle opisu rzecz skończona i mam niezaprzeczone prawo do koni jak i do strzelby.

— To w. pan tak sobie tłomaczysz interes; ale obaczymy co inni powiedzą. Jeżeli ci, co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną.

— Ja o waćpana przycinki nie stoję. Całe życie przywykłeś z drugich żartować, to waćpanu teraz nieznośnie, że z samego zażartowano. Ale tu idzie o rozstrzygnienie rzeczy, kto ma nas sądzić? —

— Ja na samego księcia wojewodę się zdaję.

— Zgoda, niech naczelnik nas sądzi. JW. jenerał miał dziś do Nieświcża jechać; jedźmy z nim i tam kończmy; JW. jenerał nie zapomni zawieźć z sobą naszego opisu. A patrz, panie Leonie, jak sprawa ze mną łatwa: że już ty bez koni, ofiaruję ci miejsce na mojej bryczce.

— Nie doczekasz nigdy, abym z twojej łaski miał korzystać; wolę iść piechotą, niż siedzieć na waćpana powozie. Ja choć lubię żartować, ale bez cudzej krzywdy, a w. pan po moją własność sięgasz. Wstydziłbyś się z taką sprawą przed księciem występować; śmiechu tylko z siebie narobisz. Trzymaj już nareszcie strzelbę, ale dla Boga, odszczep się od moich koni.

— O! prawda, jaki pan mądry! Tylko że nie wmówisz we mnie, bym odstąpił od mojego; sam się wstydzić będziesz w Nieświeżu za swój upór; i że będąc komornikiem, dałeś się złapać w opisie przez takiego, co nigdy nie był w palestrze. A kiedy nie pojmujesz mojej grzeczności, to mniejsza; idź sobie piechotą kiedy chcesz.

Pan Leon nic nie odpowiedział, a widząc że wszyscy w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozłościł, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, choć mu je każdy uprzejmie ofiarował; ale u arędarza podwodę najął i sam jeden puścił się do Nieświeża, a co gorsza dla niego, że wszyscy się śmiali do rozpuku. Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc go, by chciał zostać superarbitrem. Na to książę:

— Dobrze, podejmuję się tego; jedźcież więc do Nowogródka i wracajcie z przyznaną inskrypcją, a ja ją rozsądzę.

Zaczęto ją pisać: pan Leon chciał koniecznie, by w niej domieszczono, że książę wojewoda wileński będzie sądził rzecz wypływającą z komplanacji w Samuelowie zawartej, tłumacząc wyrazy wedle ich znaczenia powszechnie przyjętego. Ale pan Bonifacy temu się oparł, sprawiedliwie wnosząc, że takie informacje w inskrypcji byłyby pewną nauką ubocznie księciu daną, przeciwną delikatności winnej tak wielkiemu mężowi; i kiedy

książę podejmuje się sądzić sprawę, to nie może być jak tylko sędzią bezwarunkowym i strony wszelką ufność powinny w nim położyć. Dał się przekonać pan Leon; bo w tem jednomyślnie wszyscy przytomni przyznali słuszność panu Bonifacemu. Pojechali więc z inskrypcją do Nowogródka, ale każdy osobno; bo pan Leon tak był rozjątrzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiero obok niego w pojeździe siedzieć. Pojechali więc, przyznali inskrypcję przed grodem i nazajutrz wrócili do Nieświeża z wszelką gotowością. Książę zapisał akt sądu kompromisarskiego i kazał sprawę wprowadzić. A że był biegłym w sądownictwie, pomiarkował, iż strony będąc na siebie bardzo zawzięte, nie mogłyby tłómaczyć swojej rzeczy bez wzajemnych uraz, po których jako ludzie odważni i zuchwali, skończyliby na gorszem. Książę, że ich obydwóch lubił, a chciał między swoimi albeńczykami ile możności jedność zachować, nie pozwolił żadnemu z nich ani słowa wyrzec przed ogłoszeniem dekretu, i naznaczył kary po trzysta złotych na rzecz bonifratrów nowogrodzkich za każde odezwanie się tak jednej jako i drugiej strony. Z tego powodu obligował mnie pan Leon, abym od niego stawał. Pana Bonifacego obrońcą był Jerzy Płaskowiecki, krajczy starodubski, jeden z albeńczyków szczególnie szacowanych od księcia. On to w czasie bezkrólewia zastępując miejsce rejenta aktowego w Nowogródku, przyjął przeszło sześćdziesiąt manifestów od obywateli żałących się na konfederację jeneralną, lubo ta konfederacja pod karą abjudicationis ab omni activitate zabroniła kancelarjom przyjmować wszelkich manifestów przeciw jej czynnościom. Za to został uwięziony i przez moskiewską komendę prowadzony Bóg wie dokąd; ale szczęściem, nie dochodząc do Swierznia, pan Aleksander Odyniec napadł na komendę, rozsypał ją i uwolnił pana Płaskowieckiego, który kilka lat po Prusiech musiał się tułać. Dopiero konfederacja radomska zdjęła dekred abjudicationis i banicji, na niego przez kaptur nowogrodzki ferowany; a dla większego dowodu, iż mu się activitas wróciła, król Stanisław dał mu przywilej na krajczostwo starodubowskie.

Każda strona na żądanie samego księcia dodała po jednym arbitrze, cum voce consultativa. Od pana Leona zasiadł pan Michał Rejten, pisarz ziemski nowogrodzki: a pan Bonifacy uprosił p. Józefa Radziszewskiego, chorążego starodubskiego. Wprowadzenie sprawy, indukta, repliki, wysłuchanie świadków, trwały dni dwa, po których upłynieniu książę ogłosił dekret, przesądzający cztery konie wraz z uprzężą panu Bonifacemu Sołohubowi; a stosując się do konstytucji 1764 r., za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi, uwolnił go od wieży, ale kazał mu zapłacić grzywien około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z których

potrącił ośmdziesiąt złotych na bonifikację szkody jego, poniesionej w psie gończym, zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon, gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły, i nie podziękowawszy księciu, w niepohamowanym gniewie natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehorełу, dzierżawy, którą z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość i odsyłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak parcjalnego w sądzeniu. Dodał przytem, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie; że jako wolny szlachcic będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kaprysach pańskich, i inne dotkliwe rzeczy. Książę gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potruchleli na taką zapamiętałość pana Leona względem swego dobroczyńcy; ale książę zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku, mówiąc:

— Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozchimerował, jednak jakoś da się przeprosić.

Tu nie koniec. Pan Leon, wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędzie zwalić kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do rady nieustającej. Dopiero książę się obraził; bo tej jurysdykcji nienawidził i opierał się, co miał siły, jej ustanowieniu: był albowiem przekonany, że ona jest niezgodną z wolnością obywatelską, z niezawisłością władz sądowniczych i z powagą sejmów. Istotnie, jakaż może być udzielność sejmowa w tworzeniu praw, skoro jest magistratura tłómacząca też same prawa? Pan Leon nic zgoła nie wskórał, bo rada nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, tem więcej, że wówczas jej marszałkiem był JW. Jelski, podkomorzy smoleński, mąż światły i znający, że w narodzie żadna władza nie jest w prawie naruszyć świętości kompromisu; a książę do najwyższego stopnia obrażony, zaawizował pana Leona o wykupno Niehorełу, i złożywszy sumę przed aktami, odebrał na siebie majątek, więcej rocznego dochodu przynoszący, niżeli wynosiła cała kwota zastawą na nim oparta. Nadto jeszcze się odgrażał, że na tem nie poprzestanie, i kilkokrotnie prawie co dzień przed nami powtarzał:

— Panie kochanku, nie mam ani przyjaciół, ani sług wiernych. Pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmie. Kto mnie szczerze kochał, już nie żyje. Gdyby żył Zawisza, lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał, co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero, gdyby Ignacy Wołodkowicz zmartwychpowstał! Wszyscy albeńczyki moje folwarki za bezcen trzymają; słudzy się panoszą, i to całe ich przywiązanie. —

Te słowa wnętrzności nam przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona szczerze kochali, pomimo jego dziwactw. On będąc w największych względach u księcia, nie tylko że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiej strony nasze obowiązki dla księcia były święte: my chleb jego jedli i smaczny; i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nieradzi musielibyśmy się z nim rozprawić, bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba. Przyjaciele tedy i słudzy księcia, zrobiliśmy między sobą jakby jaki sejm, aby jakoś tak rzeczy pogodzić, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, ani względem przywiązania i wdzięczności dla naszego księcia: ani względem przyjaźni, którąśmy dochowywali panu Leonowi. A że pan Jerzy Płaskowiecki był między nami mężem wielkiej powagi, jedynym do rady, wielki kunktator i który miał przewagę nad nami wszystkimi i nad samym panem Leonem, dawszy tyle dowodów i wielkiego światła i wielkiego charakteru, uprosiliśmy go, by się do niego udał i wmówił mu: aby się upokorzył przed księciem, jak sama słuszność tego wymagała po nim, a nie czekał, aż my, pomimo że go kochamy, zmuszeni zostaniemy, chociaż z boleścią serca, zadość uczynić naszej powinności, jak tego bywały przykłady; bo książę lubo z uniesieniem wyrzucał nam, żeśmy na jego sławę byli obojętni, w duchu dobrze wiedział, że nie tak rzeczy się miały; i niedawno był odebrał dowód, ile jego przyjaciele i słudzy byli do niego przywiązani. Kiedy książę Michał Radziwiłł, wówczas kasztelan wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławnego mecenasa, pana Raczyńskiego, co go dobrze w Wilnie pamiętają, bo chodził po niemiecku z ogromną upudrowaną fryzurą i z kolczykiem przy lewem uchu; to gdy on mecenas przeciw naszemu księciu w indukcie wystąpił z lezjami w przytomności kilku albeńczyków, ci to na pozór obojętnie przyjęli. Ale dwóch dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Raczyńskim wyjechali na kawę do Pohulanki, gdzie już trybunalska jurysdykcja nie dochodziła; pan Paweł Uzłowski i pan Bazyli Czeczot, oba albeńczyki i nowogrodzanie, z kilku sługami księcia wojewody tam wpadli i w obliczu księcia kasztelana jego umocowanemu sto batogów odliczyli po niemieckich pludrach. Książę kasztelan tak się przeląkł, by i jemu samemu się nie dostało, że w Wilnie kilka niedziel obłożnie chorował; a pan Raczyński wyleżawszy się parę dni, po cichu, że go świat nie widział, wrócił do Wielkopolski ze swojem nadspodziewanem honorarium. Książę wojewoda umiał ocenić dowód poświęcenia, ale był nieco markotny, iż z jego powodu chybiło się gościnności na Litwie względem brata wielkopolanina, i to wymawiał; a pan Ciwun Rupejko jeszcze nas wszystkich i samego księcia rozśmieszył, tłómacząc się, że wedle praw naszych i n

loco delicti każdy powinien być karany. Kiedy więc nie oglądano się na JO. księcia kasztelana, wysokiego senatora i imiennika naszego księcia, czegożby się nadal mógł spodziewać pan Leon? Jednak widać było po księciu, że w duchu taki tęsknił za panem Leonem; bo choć się na niego odgraża, bywało póki trzeźwy, jak się podochoci, przez zapomnienie często go wspomina w dobry sposób; a wyspawszy się, znowu się odgraża.

Pan Jerzy znalazł pana Leona w Słonimie, gdzie on był komornikiem, i zastał go ledwo nie w czarnej melancholji.

— Patrz, panie krajczy — powiedział mu, przywitawszy go — gdzie mnie czart zapędził! Dwudziestoletnie zasługi djabli wzięli, piękny majątek utraciłem i jeszcze wcześniej czy później po skórze dostanę: nic nie brakuje tylko tego. Czemże pana przyjmę? Mam pół garca wódki starej i tem cię traktować będę, bo nie ma z czego. Patrz! — dodał mu, wytrząsnąwszy sakiewkę, z której wypadła złotówka i kilka srebrnych groszy — oto cały mój majątek, a wszystkie moje pasy lite zastawione po żydach się walają. Dało mi się we znaki polowanie samuelowskie! Ale sam znam, żem się nie popisał. Wstyd mi. W Warszawie chodząc jak chłystek koło rady nieustającej za moim głupim interesem, którego nie mogłem nie przegrać, chociażbym i królewskim był bratem, takem się był odsłużył, że z miasta by mnie nie wypuszczono, gdyby poczciwy Sołohub nie był przysłał przez Tatara trzech tysięcy złotych z listem, w którym wyraża, że nigdy nie przestanie ubolewać, iż jest przyczyną moich dolegliwości. Co on winien? Ja jak ostatni błazen postąpiłem. Jakem wpadł w niełaskę u księcia, to odemnie stronią jak od zapowietrzonego. Bóg ci odpłaci, żeś o mnie nie zapomniał. —

I nalawszy kielich wódki, wypił do pana Jerzego. Wypił i pan Jerzy.

— Co myślisz z sobą robić, panie komorniku?

— Albo ja wiem, co będzie dalej! Teraz przyjacielskie oblicze mnie zabłysło, tego dawno nie było, więc zmartwieniom zrobi się przerwa, jest przynajmniej z kim wypić: na frasunek dobry trunek; do waćpana, panie krajczy!

— A cóż to, panie Leonie, czyż z desperacji gorzałką już się rozpiłeś?

— Kto, ja? Jakem sodalis, wodę jak kaczka piję. Albo mam za co i z kim pić? Wiesz zkąd u mnie ta wódka? Oto wczoraj tydzień się skończył, jak ona nienaruszona stoi w tej flaszy. Przybył do mnie szlachcic z zaścianku Raców: wszak musisz znać okolicę Raców pod Nowogródkiem?

— A dla Boga!

— Nieborakowi parę koni ukradziono; opytem trafiał za niemi do Słonima, gdzie je znalazł u Fejbisza, pierwszego kupca tutejszego. Nie mając tu prócz mnie znajomego, bom nieraz na

słomki w jego okolicy chodził, do mnie się udał i garniec starej wódki mi przyniósł, prosząc o pomoc. To z nim razem część jego wódki wypiłem, a potem biedakowi wykierowałem interes. Fejbisza nastraszyłem grodem, ale tak, że żydzisko nie tylko że konie oddał, choć je w dobrej wierze kupił, ale jeszcze dwadzieścia złotych nawiązki mu odliczył za ekspens podróży. Cóż to, panie Jerzy, nie pozwalasz bym do ciebie wypił?

— Ale kochany panie Leonie, jabym truciznę gotów z tobą pić; ale wolałbym wina kieliszek.

— To już wyraźnie natrząsasz się ze mnie. Gadać o winie takiemu, co dwa złote niespełna ma przy duszy! Minęły te czasy, kiedy pan Leon z nieborelskiej piwnicy łaskawych przyjaciół częstował: teraz czem bogat, tem rad.

— Ja ci pożyczę pieniędzy.

— Dziękuję, łaskawy przyjacielu; a gdzie pignus responsionis! Wszak wiesz, że sumka, którą miałem na Nieborele, jest nieboszczki mojej żony: leży ona teraz w aktach nowogrodzkich bez pożytku dla mnie; a czterdzieści tysięcy moich własnych, co mi się zostały z krwawej pracy mojej, siadły makiem u pana Łopota: od trzech lat ani kapitału ani procentu nie widzę. Ja je mam za przepadłe.

— Co za nowa desperacja!

— Albo to ja pozywać się będę kiedykolwiek? Dał mi się już proceder we znaki. Żeby mnie kto teraz nawet imparitatem zadał, to bym się nie bronił. Dziękuję ci, panie Jerzy, ale twojej ofiary nie przyjmę.

— Panie Leonie, porzuciłbyś bluźnić; wszak wiesz, że nie uchodzę za takiego, co swoją pracę w błoto rzuca. Kiedy ci chcę pieniądze powierzyć, to widno że muszę upatrywać jaką pewność dla siebie. Oto masz w tym ładunku sto czerwonych złotych: wykup coś pozastawiał, potraktuj mnie dobrem winem, jeśliś mi rad, a pieniądze wrócisz mi w Nieświeżu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Ja w Nieświeżu! Wątpię, panie krajczy, żebyś za dobrą ewikcję swoich sto czerwonych złotych przyjął monetę, która dla mnie przygotowana w Nieświeżu, a która — dodał z głębokiem westchnieniem — i tu nakoniec mnie znajdzie.

— Co mamy na sucho rozprawiać: bierz pieniądze, poszlij po wino, napisz mi dokumencik, a przy kielichu i uradzim i uradujem się.

— Toć to i Bóg i ludzie wiedzą, że masz więcej rozumu niż ja: zrobię co każesz.

Odliczył pieniądze pan Leon i swego chłopca posłał do winiarki, dając mu czerwony złoty i mówiąc:

— Ruszaj do Małgosi, połóż jej w ręce co ci daję, żeby mi przysłała przez ciebie garniec tego wina, co po oficjale świętochowskim dostała.

Sama nadzieja, że będzie traktował gości, i jeszcze tem dobrem winem, rozweseliła pana Leona. On, co był najgościnniejszym z ludzi, odzyskał teraz ten humor, jaki zwykle miał, będąc jeszcze wyrocznią nieświezką.

Przynieśli wino: zasiedli obaj przyjaciele; pan Leon dokument napisał, odczytał go z uwagą pan krajczy i porządnie złożywszy, schował w zanadrze. Kielichem zaczęli się bawić. Opowiadał różne dykteryjki pan Leon, tak dowcipnie, że nie tylko garniec, ale i dziesięć możeby się niepostrzeżenie wypróżniło, tak miło czas schodził. Ale gdy przyszło do interesu, to jest jaką furtką trafić do księcia, to nad tem zaczęły się suszyć umysły. Rozmaite środki podawał pan Jerzy, a pan Leon zawsze odpowiadał:

— Ja na to się nie odważę. Znam księcia pierwszy impet: każe mię na śmierć obatożyć, jak mu się pokażę, i nie jeleń, ale pan Leon personaliter weźmie w skórę: i między nami, wart tego. Nieraz sam sobie chcę dać po skórze, a on by mnie miał żałować? Nadto mu się naraziłem! On poczciwe ma serce, ale mój postępek był tak nieroztropny, tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i świętej pamięci księciu Sierotce byłbym się naprzykrzył; a dopiero jemu nie masz rady, on wszelkie do mnie przywiązanie utracił.

— Otóż wiesz co, panie Leonie? On ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyby żelazne łamie; ale jak tylko się podchmieli, ciebie szuka, i przymrużywszy oczy, mruczy, nalewając kielich: «Do ciebie, panie Leonie!» —

— Co powiadasz?

— Bóg świadkiem, że kilka razy to było przy mnie. Cały dwór za tobą tęskni: raz, że ktoby cię nie kochał, wilcze miałby serce; powtóre, że nie ma komu za tym lub owym do księcia w interesie się wstawić. Ksiądz Kantembryng, co tylko sumienia książęcego się nie tyczy, do tego się nie miesza, i za rodzonym ojcem słówka nie powie. Pan Mikołaj Morawski, rad że mu się udaje nieraz księcia z błotem zmięszać, jak ten go zniecierpliwi, na tem poprzestaje, i ni za sobą, ni za nikim, jak wiesz, nigdy się nie odezwał, i radby księcia do oszczędności, niż do wspaniałomyślności nakłonić. Ile razy książę czem grubem kogo obdarzył, to on mówi: «Za-za-zapłać twoje dłu-długi, a do-do-dopiero bądź wspaniałym.» Pan Michał Rejten, który u niego coby chciał wyprosił, a pięciu djabłów się nie zlęknie, przed nim ust nie śmie otworzyć; a prócz tych trzech, nikomu by i nie bardzo uszło być z księciem zbyt śmiałym. Po tobie tęsknimy wszyscy, i jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty wiesz, że in vino veritas, cała alba mnie do ciebie, panie Leonie, wysłała w delegacji, abym ciebie jakoś przywabił do przeproszenia księcia; bo wszyscy radzi mieć po dawnemu

twoje plecy za sobą w Nieświeżu, a nie być zmuszonymi gdzieś tobie drogę poniewolnie zastąpić.

— Tam do djabła! kiedy tak się rzeczy mają, będę w Nieświeżu.

— Kiedy?

— Najdalej za tydzień. JW. Plater, kasztelanic trocki, w przyszłym tygodniu żeni się z panną Rzewuską, chorążanką litewską, siostrzenicą księcia, więc pójdę do Nieświeża na wesele.

— Takoż ci przystąpiło coś nowego do głowy, taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?

— Albo ja sam nie potrafię się zaprosić?

— Czyś ty oszalał! Wszystko u ciebie bez miary: toś dopiero do zbytku był tchórzliwego serca, a teraz wpadasz w zarozumiałość. Posłuchaj mojej rady: po weselu, jak się porozjeżdżają, a książę zacznie tęsknić za siostrzanką, przyjdziesz do niego z księdzem Kantembryngiem i powiesz —

— Tra ra ra ra! A co to ja na szubienicę dekretowany, żebym w asystencji księdza chodził? Ja wolny szlachcic przecie: nie dam sobie w kaszę napluć. Audaces fortuna juvat, timidosque repellit. Dość o tem panie krajczy dobrodzieju: co Pan Bóg natchnie, to się zrobi; a teraz cały frasunek że u garnca dno się pokazuje. Pozwolisz po drugi posłać?

— Nie, nie, jakem sodalis, ani kropli. Będzie ze mnie. Moje konie popasły, słońce nisko, a przed zachodem muszę być u JW. Sliźnia, podkomorzego słonimskiego, w interesie mojego szwagra, i tam przenocowawszy, ze świtem wracać, dla opowiedzenia się z mojego poselstwa do ciebie przed sejmikiem relacyjnym dworu nieświezkiego. Bywajże mi zdrów, kochany panie Leonie, niech Pan Bóg tobie instyktuje i nie dopuszcza na ciebie nowych szaleństw. Tylko ceremonji ze mną nie rób; trafię do moich koni.

— A jużci na progu żegnać ciebie nie będę. Niech cię Bóg prowadzi i odpłaci dobroć twojego serca. Wszystkim kłaniaj się odemnie, a najwięcej pani krajczynie, mojej dobrodziejce. Kiedy mi wszyscy dobrze życzą, tem samem widać że Bóg ze mną. Oj bieda, że u mnie nocować nie chcesz.

— Jakem sodalis, gdyby nie mojego szwagra interes, kijem byś mnie od ciebie nie odpędził. Upadam do nóg twoich, panie Leonie.

— Z boleścią serca rozstaję się z tobą, panie Jerzy. Nie zapomnij za mną westchnąć czasem do Pana Boga i Najświętszej Panny, aby mi się udało: wszak my obydwaj sodalisy. —

Tak pożegnawszy się czule, pan krajczy siadł na swoją bryczkę, a pan Leon w dobrej nadziei i w wesołym humorze z dziedzińca wrócił do swojej izby. Opowiadał nam pan Jerzy za powrotem do Nieświeża to wszystko, com opisał. My się

nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie, kiedy książę siostrzenicę wydawał i kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały. Jakże tu było nieproszonemu przyjechać do zairytowanego na siebie gospodarza! Ale kto mógł pana Leona przeniknąć?

W dniu, w którym się miało odbyć wesele, pamiętam jak dziś, o dziewiątej z rana, po mszy ś., książę siedział w sieni, dokąd mu przynieśli w kobiałce szczenięta świeżo narodzone Nepty, wyżlicy faworytnej. Książę był w złym humorze, bo nic nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę i jej potomstwo, i nakoniec odezwał się:

— Panie kochanku, kazałem aby mi z Łachwy kilka łosi i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydzić przed kasztelanicem trockim, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie; odkąd mnie pan Borowski ukrzywdził bezkarnie, za boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy: bo doczekam się tego, że we własnym moim domu w. komornik słonimski da mnie w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu do tego pomogą. Jak tylko oddam chorążankę, zaraz wyjadę do Ołyki. Między koroniarzami szukać będę przyjaciół, a Litwy znać nie chcę.

I coraz mocniej zaczął sapać, a my, cośmy go otaczali, nie wiedzieli co z sobą robić, tak nas temi wymówkami piłował. Wtem u sieni drzwi się odmykają i wchodzi — kto? pan Leon Borowski! z miną gęstą, w kontuszu nowogrodzkim ponsowym, z pasem tak litym, że aż oczy się ćmiły, i niziuteńko skłonił się przed księciem. Książę tak się zmięszał, że aż języka zapomniał w gębie. Wstał, znowu usiadł w krzesło i odezwał się w roztargnieniu:

— Co tam słychać, panie Leonie?

— Teraz słychać że dwóch wielkich głupców na Litwie.

— Kto taki?

— Jeden książę Radziwiłł, wojewoda wileński, a drugi Leon Borowski, komornik słonimski.

— Jakto! — przerwał książę, mocno zasapawszy.

— A tak, książę panie! Radziwiłł, że się porwał na carowę; a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Cóż powiecie? Książę zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a potem rzekł:

— Panie Leonie, w. pana całe życie błazeństwa trzymać się będą! A kto waści zaprosił do Nieświeża na wesele?

— Sam się zaprosiłem, książę panie; zatęskniłem się w Słonimie. Wykroczyłem, o tem Bóg i ludzie wiedzą więcej jeszcze niż sam książę. Bij mnie, bom wart tego; ale ostrzegam, że W. Ks. Mość i hakami od Nieświeża mnie nie odpędzisz — i kląkł przed księciem. Książę się rozczulił, ucałował go, mówiąc:

— Panie Leonie! bądź dobrej myśli, a o tem, co minęło, nie gadajmy.

Pan Leon padł mu do nóg i rozpłakał się, i my wszyscy się rozpłakali; książę go podniósł i zaprowadził do stancji, dokąd my wszyscy za nim poszli. Książę ciągle odtąd był wesoły: bo pan Leon miał dar szczególny jego rozweselać, jako i nas wszystkich. Wrócono mu Niehorełę i mundur albeński, przy dawnych względach, i odtąd już nigdy pan Leon księciu się nie naraził. Takiego pana, któremu równego nie było i nie będzie, śmią francuzcy pisarze nazywać barbarzyńcą!

XVII.

PALESTRA STAROPOLSKA.

Zdaje mi się, że odkąd świat był światem, nigdy nie było takich przemian w tak krótkim czasie, jak jest życie moje. Wszystko się albowiem odmieniło: stan, obyczaje, religja, ludzie, tak, że gdyby człowiek dzisiejszego wieku mógł mieć przed oczyma obraz dawnych czasów, nie poznałby swojej ojczyzny, a jeszcze mniejby ją poznał wskrzeszony starzec, co przeżywszy panowanie dwóch Sasów, w pierwszej połowie królowania Stanisława Augusta rozstał się z tym światem. Czy więcej było rozumu dawniej, czy teraz? To zadanie jabym tak rozwiązał: teraz więcej ludzi rozumnych i nierównie więcej; ale dawniej kto był rozumny, rozumniejszy był od takiego, co mu dziś największy rozum przyznają. Jakoś to dawniej nie było tych ludzi rozumnych ogólnie; każdy rozum swojej rzeczy pilnował. Ten był teologiem, ów jeometrą, tamten prawnikiem, inny wierszopisem; i takich było nie wiele, a lada kto nie przywłaszczał sobie prawa do rozumu. Szlachcic otwarcie wyznawał: «Ja sobie prosty człowiek, tegom się nie uczył i w tem objaśnienia dać nie umiem; ale mój sąsiad te rzeczy dobrze zna i panu je opowie.» Teraz pełno ludzi, o których powszechnie mówią, że są rozumni; ale zapytaj, czy prawnik? — nie; czy teolog? — nie; czy mówca? — i to nie; czy nareszcie rolnik wykwintny? — i to nie. Cóż takiego? — Jest to człowiek rozumny, i kwita. Ten rozum zdaje się być jakimś drążkowym, nakształt owych województw odpadłych, których krzesła się zachowały, a urzędnicy (nie przymawiając sobie) jurysdykcji nie mieli. Sparzyłem się ja raz porządnie na jednym rozumnym człowieku, co miał z Wilna patent na rozumnego. On to był chemik wielki: jak zaczął mię tumanić jakiemiś kwasorodami a wodorodami, i dowodzić jak sztuka browarna w kolebce u nas, tak

mnie zbałamucił, żem go użył na przestrojenie mojego browaru w Litorowicach. Wydawała mi beczka żyta 27 garcy wódki, miał mi podwoić wydatek, i tem mnie złapał: jak zaczął psuć, a niszczyć, a przestrajać — kosztu mi narobił co nie miara, a beczka ledwie 15 garcy wydawała. Ja mu się żalę, a on na to takie doskonałe tłumaczenie daje, że gębę zamyka innym, tak dobitnie przekonywa. Dawaj znowu reperować i poprawiać, a wydatek coraz gorszy, mnie wódki potrzeba, a ten mi argumenta i rozprawy sypie. Naprzykrzyło mi się nakoniec; pozbyłem się mędrca i po dawnemu żydek majster regulował mi browar, że na nim wychodzę jak przedtem. A tyle straciwszy, to miałem w zysku, iż wstydzić się trzeba było, że starzec, dałem się ułowić przez młokosa. A prawnicy teraźniejsi! Panie Boże odpuść profesorom wileńskim, co ich uczą! Użyj którego z nich do sprawy: to jak zacznie rozprawiać, nie tylko że całą historję Polski przebiegnie, ale ledwo nie potopowych czasów sięga w tłómaczeniu prawa; a kiedy co napisze, to chyba drugiego jurystę sprowadzisz, żeby ci wytłómaczył co on chce. A jakie tony, jakie rozumienie o sobie, jakie lekceważenie nas dawnych prawników? Każdy z nich siebie ma za ministra. To też się ich nie dopłacisz. Dawniej połowę palestry zaspokoiłbyś tem, czego się teraz jeden domaga. Dawniej to jurysta, kiedy nad interesami zęby zjadł i dobrze osiwiał, a miał wieś w dożywociu i kilkadziesiąt tysięcy po ludziach, to uważał siebie za szczęśliwego i co dzień Panu Bogu dziękował; dzisiaj popatronuje parę lat w ziemstwie lub trybunale, podejmie się interesów jakiego niedoświadczonego panicza, albo pojedzie do Petersburga za czyjąś sprawą, i nim drugich parę lat upłynie, już krocie rachuje. Zysk ma w kieszeni, bez szkody w sumieniu, bo sumienia dawno nie miał; a Bóg widzi, że praw naszych nie rozumie, tylko szczebiotliwością nas zaciera. A my starzy, widząc że nas za nic mają, ręce opuszczamy. Po części mają oni słuszność, bo na taki skład rzeczy jaki po zaborze nastąpił, ich rozum lepszy od naszego. Szczerze się wyspowiadam, że ani jurysdykcjów, ani procedury, ani szlachty teraźniejszej nie rozumiem. Ten sam sąd w jednej sprawie raz powie czarno, drugi raz powie biało, jak mu wypadnie. «Takie moje przekonanie», oto cała odpowiedź sędziego, żalącemu się na rozbój. Krzyczą na niego, krzyczą że on prewarykator, że bezsumienny, że sikorki chwyta. Nadchodzi sejmik, myślisz że ani się pokaże przed ludźmi; bynajmniej! otwarcie idzie na sąd: a ta sama szlachta, co dopiero wrzeszczała, prosi go z zapałem, aby na następne trigenium raczył się podjąć sądownictwa. I jacyż to sędziowie! Znam ja takich, co złamanego halerza nie posiadają, a przecie urzędują. Kto teraźniejsze czasy zrozumie?

Przed dwoma laty, JW. Zabiełło, co mnie zaszczyca swoją łaską, a którego ojca kiedyś na ręku nosiłem, na kontraktach

nowogrodzkich widząc się ze mną, mówi mi: — Mój cześniku, byłeś przyjacielem ojca mojego: oto mamy sprawę, bądź łaskaw zasil swoją radą konferencję, którą w tym przedmiocie zbieram u siebie. — A ja mu na to: — Co ja panu pomogę mojem starem doświadczeniem i na co się zda konferencja? Teraz żadna sprawa ani tak dobra, by jej nie przegrać, ani tak zła, by jej nie wygrać. Niech pan rzuci na stół garść brzęczączek: kiedy cet, to wygrasz; kiedy liszka, to przegrasz. Oto najlepsza dziś konferencja i cały rozum teraźniejszych prawników. — «A i dawniej bywała po sądach prepotencja magnatów.» Ja na to tak odpowiadam: Była czasem forsa mięszająca bieg sprawiedliwości; ale i w tem złem jakieś sumienie się przeciskało. Słaby sędzia, dogadzając panu, zwlekał jak mógł, nękał szlachcica przewłokami, niszczył go tem, ale go nie zarzynał jak dziś. «Expecta cadaver», mówił mu, i chociaż nikt tego nie pochwali, przecie krzywego dekretu nie podpisał. Jeżeli kiedy niekiedy bywało zgorszenie, ludzie się gorszyli; a dziś, może za śmiało się odezwę, sędzia sumienny nie więcej waży od zaprzedajnego i podłego, w obliczu zepsutego powszechnie społeczeństwa. Gdyby przed jakiem teraźniejszem ziemstwem lub trybunałem wytoczyła się na nowo ta sama sprawa, od której to kiedyś Piłat ręce umywał, a Żydzi położyli jeden i drugi pakiecik bomażek, Gubernator nieżyczliwy Chrystusowi Panu, jeszcze sędziemu zrobił nadzieję, że dla niego wyjedna ćwierć łokcia czerwonej wstążki z czarnemi albo żółtemi brzegami — przekonany jestem, że nasz Zbawiciel zostałby powtórnie umęczony. Jakoż nie przestają go u nas krzyżować rozpustą, oszukaństwem, obojętnością na jego prawa, sobkowstwem, zażyłością z nieprzyjaciołmi wiary i ojczyzny, i tak dalej. A że jednak pomimo tych niegodziwości nie można przeczyć, iżby miłość ojczyzny nie przeważała we wszystkich sercach, skarżą się na Pana Boga i szemrzą, że już jej nie wraca, on, coby mógł to uskutecznić jednem skinieniem swojej wszechwładnej woli. Albo my zasługujemy na to, iżby cuda nam robił? Panowie bracia, kto chce gmach wystawić, powinien się naprzód w kamień, wapno i cegły upatrzyć! Jeżeli cegły są kruche, że aż pod ręką się rozsypują, możesz być gmach? Ojczyzna jest gmachem, a my cegłami. Wypalmy siebie w cegielni wiary i cnoty, a potem weźmijmy się do budowania, to w samej budowie ściany nie będą się walić. Zapewne to niesmaczno: łatwiej być męczennikiem, niż pokutnikiem; łatwiej walczyć za ojczyznę i za nią ginąć, niż całe życie mieć siebie w straży, chronić się od niegodziwych zysków, kiełznać swoje chuci, unikać wszelkich stosunków z Filistynami, i zamiast uciskania poddannych, podnosić ich do godności człowieka. Ale chociaż męczeństwem po rozbrykanym żywocie można duszę zbawić, ojczyzny męstwo samo jedno nie zbawi. Trzeba być dla niej jeszcze pokutnikiem, wyznawcą,

pustelnikiem, dziewicą nawet, a dopiero się ona zbawi. Tak droga rzecz lada czem się okupi; a każdy grzech zapłatę swoją weźmie. Niechno kto przepatrzy dzieje domów pańskich, a przekona się, że jeżeli który z nich upadł, zawsze się znajduje gotowa ku temu przyczyna w postępowaniu jakiegoś przodka. Jeżeli kto od jakiego (wedle swego wyobrażenia) złego chroni się grzechem, pewnie większe złe nastąpi, niżeli to, którego chciał uniknąć. Jerzy Lubomirski był wielkim bohaterem, wielce ojczyźnie zasłużonym, ale tyle dumnym człowiekiem, że nie mógł znieść nad sobą spadkowego króla. Zniweczył zamiar Jana Kazimierza, chcącego dziedzictwo tronu na nowo u nas zaszczepić, i zbrojno najechał swojego prawego pana: za to jego potomkowie walają się z popowiczami i mieszczuchami po sieniach gubernatorów narzuconych przez rządy najezdnicze. Dom Sapiehów na Litwie nienasycony był w domaganiu się starostw; ciągle burzył się, pokąd nowym udziałem skarbu rzeczypospolitej królowie go nie zaspokoili, nim na nowo łakomstwo nie wznieciło zaburzenia: za to jego potomkowie, chociaż ze wszech miar godni, do ubóstwa przyszli. Był jeden wojewoda, co uważał swój dom być poniżonym, że syn jego pojął pannę starożytnego rodu, ale którego blask z jego domem się nie równał: kazał ją porwać, by zmusić do rozwodu, bo taka była myśl jego; jeno słudzy chcąc lepiej jeszcze usłużyć swojemu panu, utopili niebogę. I to się działo w królestwie chrześciańskiem! Cóż z tego wynikło? Oto pan wojewoda nie mógł znieść, że jego jedynak skojarzył się z ubogą szlachcianką, która jednak senatorów liczyła między przodkami; a później tenże sam syn ożenił się z nierządnicą, co ją wydobyli z pomiędzy jatek carogrodzkich, a która goryczą i hańbą schyłek jego żywota zatruła. Wieleż to mamy przed oczyma przypadków, że dziad nie pozwalał na sejmach, aby ustanowiono podatki i pomnożono wojsko na oparcie się Moskwie; a teraz taż sama Moskwa cały majątek, z której małej cząstki nie chciał poświęcić, potomkom zabrała, i wnuki są wskazani flintę dźwigać w szeregach moskiewskich: i to na całe życie, za to, że dziad nie chciał pozwolić, aby kilku jego poddanych kilka lat służyło rzeczypospolitej. Tak to za zbrodnie dziadów i ojców niewinne syny i wnuki pokutują. Czego szczególne domy, tego i ogólna ojczyzna doświadcza. Kiedy się nią opiekując, Pan Bóg tyle narodów ruskich nam powierzył, jakże się my z nimi obchodzili! Wstyd wspomnieć. To też Pan Bóg i nas samych poddał pod jarzmo ruskie. Za dawnych my się byli opamiętali i poddaństwo ruskie już bardzo łagodnie było rządzone; ale po zaborze, jak ogarnęło łakomstwo serca obywatelskie, takiej nieludzkości zaczęto się dopuszczać względem włościan tamecznych, o jakiej nasi przodkowie najtwardsi wyobrażenia nawet nie mieli. Nie tylko że całkowitą pracę poddanego przywłaszczyli sobie, ale duszę

jego gubią, pobudzając go do pijaństwa, by mu ostatni grosz wyłudzić. Cokolwiek czy mieszkowi czy zmysłom idzie na korzyść, samolubny i bezbożny obywatel obu płciom swojego poddaństwa wydziera. To złe coraz się szerzy, i chcą, aby Pan Bóg wszelkie prawa sprawiedliwości krusząc, uciskających bez litości od ucisku uwolnił. Za moich czasów wielkie były cnoty. Jeżeli wykroczenia naddziadów trzeba było odpłacić, dawno bylibyśmy się oczyścili i wrócili do szkód nieodżałowanych; ale następne pokolenia nowemi zdrożnościami przedłużyły gniew boży. Ta to historja świadczy, że grzechy poprzedzają zawsze upadek narodów. Nie chcieli Grecy uznawać zwierzchności duchownej chrześciańskich papieżów; za to wpadli nie w zwierzchność, ale w kajdany bisurmańskiego papieża: a widno że musieli poprawić się i odpokutować, kiedy powstali. Rzym, pokąd był cnotliwy, tak jemu los dopisał, że aż jeden wielki a uczony święty napisał, iż Pan Bóg nie mógł tak wielkich cnót nie nagrodzić zwierzchnością nad światem. Największe, najpotężniejsze narody oddały się w poddaństwo rzymskie. Horacjusz, zachowując wiarę, iż świat jest Rzymu udziałem, pisał:

Horrenda late nomen in ultimas
Extendat oras,

A niżej trochę:

Carminum Liber III. Ode III.

Quicumque mundo terminus obstitit,
Hunc tangat armis, visere gestiens
Qua parte debacchentur ignes,
Qua nebulæ, pluviique rores.

A potem jak zaczęli Rzymianie zapominać wstrzemięźliwości przodków i wodze puszczać wszelkiemu wszeteczeństwu, naprzód wolność utracili, później sami wpadli w poddaństwo ludów barbarzyńskich, półdzikich, które mieli w pogardzie. Potem jak przyjęli wiarę chrześciańską i cnoty przez nią nakazane w sobie rozwinęli, powtórnie uzyskali przewagę na świecie. Jak niegdyś przez senatorów i żołnierzy swoich, tak odtąd przez biskupów i kapłanów swoich panował Rzym nad światem, pokąd łakomstwo, sobkowstwo i rozpusta nie przynęciły się do niego na nowo i nie okroiły mu panowania, którego jednak w zupełności utracić nie może.

Patrzyłem ja na upadek obyczajów, nim nastąpił upadek ojczyzny. Już oddawna magnaci psować się zaczęli, ale szlachta jakoś się trzymała. Pamiętam, że po wojewódzkich naszych miastach o domach nierządnych nie było słychać; a kiedy jaka zwodnica probowała frymarczyć dziewkami, niedługa jej była pociecha. Byle się gród o tem dowiedział, artykuł 31. rozdziału XIV. statutu litewskiego zaraz temu dał radę. Jeszcze w szko-

łach byłem, ale dobrze pamiętam, jak w. Obuchowicz, podwojewodzi nowogrodzki, osądził na oderżnięcie nosa i wargi jedną starą szlachciankę, która otworzywszy traktyernię w Nowogródku, panienkami wabiła młodzież do siebie. A chociaż w tym czasie królewicz Karol, panujący w Kurlandji, przejeżdżając przez Nowogródek, pobudzony litością, instancję wnosił do pana podwojewodziego, by karę ułagodził, nie dał się on zmiękczyć; klęcząc i płacząc, przepraszał najjaśniejszego królewicza, że sumieniu swojemu szwanku zadać nie może, i dekret na rynku spełniony został. Kilka lat przed zaborem kraju, książę Radziwiłł, wojewoda trocki, gdy był w Nowogródku na sprawie z JW. Niesiołowskim, wojewodą nowogrodzkim, wpadła mu była w oko córka niejakiej Niklewiczowej wdowy, co ją wszyscy pamiętają w Nowogródku, jak pod farnym kościołem kiełbasy i bryndzę przedawała. Ale była szlachcianką, a co więcej poczciwą; a jej córka wyglądała jak pączek róży. Że książę wojewoda trocki nie był skrupulat, użył swojego kamerdynera Niemca, czy Francuza, by mu koło dziewczyny patronował: jakoż on miał być majstrem do tego, w czem go w Warszawie i w Wilnie nieraz książę doświadczał. Ale że Nowogródek nie stolica, poszkapił się fircyk. Stara nasadziwszy ukrytych świadków, zapozwała kusiciela do grodu, gdzie był sędzią pan Dominik Wierzejski, którego brat rodzony był rejentem sądów zadwornych i jednym z filarów bandy albeńskiej, a on sam był urzędnikiem nieskażonym sprawiedliwości i gorliwości w dopełnieniu najściślejszem prawa. To choć książę był wielkim panem, takiego mu napędzili strachu, że dwadzieścia tysięcy dał Niklewiczowej na posag córki, aby go z pozwu wypuściła. A pomimo próśb i groźb, pan Wierzejski kamerdynera na dwanaście tygodni do turmy zaparł; a spodziewam się, że po takiej rekolekcji poznał, że co stolica, to nie prowincja. Nasza młodzież widząc, że i panom nie bardzo uchodzi broić wszeteczeństwa, w wielkiej obyczajności się chowała: bo i Boga się bała obrażać, i taki urzędy były straszne. Ale powoli zaczęło się złe od panów do szlachty przenosić, przecież bardzo powoli. Za moich czasów byli w Nowogródku juryści, starzy kawalerowie z białym wąsem, a skromni i niewinni jak panny. To my młodsi nie mówię już z innych powodów, ale z samej obawy oburzenia ich na siebie, dobrze musieliśmy się warować od złego: bo rzadki był przykład widzieć młodzika, coby starca jak ojca nie szanował.

Był pan Andrzej Jelec, urodzony z siostry JW. Żaby, wojewody płockiego, co go wuj jako opiekun oddał od palestry nowogrodzkiej, chcąc, aby nabywszy w prawie doświadczenia, mógł kiedyś tą drogą i do wyższych posunąć się dostojeństw. Jakoż wkrótce, lubo młody, zjednał sobie i nie bez słuszności odgłos jednego z pierwszych prawników, i nawykł do tego

chleba, że przestając na jurysterji, z którą mu się dobrze działo, nie piął się do urzędów, chociaż i te go nie omijały: bo wziętością wuja swojego, który uprosił u księcia wojewody wileńskiego, pana mojego, iż mu wyrobił order złotego lwa, został patronem królewskim i szambelanem JKMości, i jednym był w naszej palestrze, co go jako orderowego tytułowano jaśnie wielmożnym. A prócz tego zaszczytu, że i w rozum własny, i w pokrewieństwo z senatorami, i w przeszło tysiąca czerwonych złotych, co mu rok rocznie przynajmniej jurysterja przynosiła, był zaufany, wiele sobie pozwalał, i choć młody, na starszych się nie oglądał. On to i po francuzku trochę mówił i z wielkim światem stolicy był obeznany, a z królem kilka razy rozmawiał i nachwytał coś pańskich narowów. Miał on chętkę i po niemiecku się przebrać, i tyle tylko mu się dostawało; ale to jakoś u nas nie uchodziło, i taki rad nierad musiał się trzpiotać w długiej naszej sukni. Otóż razu jednego, że figle płatać lubił, zastawszy mnie u pana Fabjana Wojniłowicza, rejenta ziemskiego, niegdyś mojego mecenasa, sędziwego starca a jeszcze kawalera, który między skrupulatami za skrupulata uchodził, zaczął pan Andrzej obu nas prosić, byśmy go wyręczyli, powiadając: że przyjechała z Mazowsza majętna obywatelka z dwiema córkami wcale dorzecznemi, że ma jakąś ważną sprawę rozpocząć w Nowogródku z księciem wojewodą trockim, i że jego prosiła, by raczył ją bronić. Ale że on w natłoku spraw, jaki się na barkach jego opiera, nie może nowego ciężaru już przyjmować, więc tedy na koleżeństwo nas zaklina, byśmy naszych usług jej nie odmówili, ile że pomagając wdowom i sierotom, to wielka zasługa i wielkie odpusty za to. Nakoniec dodał: — Kto wie, może kiedy wy będziecie szperali w dokumentach matki, córki doszperają się do waszych serc; wszakżeście obaj kawalerowie. Ja was do niej zaprowadzę i do konferencji chętnie należeć będę.

My jakby przeczuciem ostrzeżeni, długośmy się wypraszali; ale jak zaczął nas prosić a zaklinać, raz że był z nami w zażyłości, powtóre że taki nie bardzo się nie godzi usług wdowom odmawiać, daliśmy się w pole wyprowadzić. Poszliśmy za panem szambelanem; już to było pod wieczór. Wiedzie nas, wiedzie, aż na przedmieście; tam w zakręcie do jakiegoś dworeczku wprowadza i przedstawia jakiejś pani w podeszłym wieku i jej jakoby dwom córkom, urodziwym pannom. Oświadczył, że my patronowie tutejsi, jego przyjaciele, że bierzemy na siebie kierunek jej procedury. Jejmość uprzejmie nas przywitawszy i podziękowawszy nam za naszego czasu poświęcenie, prosi nas siedzieć. My rozgościwszy się, czekamy by o interesie mówić zaczęto; a jejmość nagli nas, byśmy siebie pozwolili utraktować ponczem, który już raczynał być w modzie. Pan Andrzej w naszem imieniu zapewnia, że chętnie pić będziemy z łaski jejmości pani podstoliny, i że po lampeczce lepsze koncepta na kon-

ferencji się udadzą. Pan Fabjan, świeć mu Panie na duszy! lubił szklaneczką się bawić; jakoż ani pan Jelec, ani ja nie byliśmy od tego, aby w towarzystwie się nie pobawić. Owoż tedy stanęła waza pończu, a jak się potem odkryło, zamiast wody był to czysty arak kipiący, ale tak osłodzony, żeśmy się nie spostrzegli. Jedna szklanka spełniona wszelką nam przytomność odjęła; a pan Jelec, co całą tę zdradę wymyślił, umknął, zostawiwszy nas na boską opiekę. Już świtać zaczęło, gdyśmy się obudzili, i dopierośmy poznali, że ani mniej ani więcej, tylko żeśmy w podejrzanym domu noc przepędzili! W ponurem i gorzkiem milczeniu wyszliśmy z tej Sodomy, złorzecząc panu Jelcowi za jego nieuczciwy żart. Odprowadziłem pana rejenta do jego dworku. Tam usiadłszy jeden naprzeciw drugiego, zaczęliśmy rzewnie płakać. Serce rozkroiłoby się samemu panu Jelcowi, gdyby na to patrzał, zwłaszcza na frasunek sędziwego rejenta. Ten pierwszy przerwał milczenie, mówiąc:

— Panie Sewerynie, a gdzie to nas ten łotr zaprowadził? Siedemdziesiąt i kilka lat żyję, a nigdy przed dniem wczorajszym moja noga nie postała, tylko w takiem miejscu, z którego publicznie szczycić się mogłem; a dziś moja starość już jest zhańbiona. Czy my za to zasłużyli?

Ja mu odpowiedziałem: — Jużci gdzie nie ma woli, tam nie ma grzechu. Niech się pan Andrzej kruszy, co z nami tak podłego żartu śmiał się dopuścić, a nie my, na których niewinność Pan Bóg patrzy.

— Nie, panie Sewerynie! my winni; wszak to nas w szkołach uczono: Cum bonis bonus eris, cum malis perveteris. A po co my z tym farmazonem, co się Pana Boga nie boi, przestawali, a nawet zaprzyjaźnili się? Ukarzmy siebie, aby nas Pan Bóg nie karał? —

Dopiero kazał mi się położyć i pięddziesiąt batogów mi odliczył; a potem sam się położył, oddawszy mnie batog, i musiałem jemu taką samą liczbą wywzajemnić się, ile że mnie na rany Chrystusowe zaklął, abym go szczerze bił, jakom doświadczył, że i on mojej skóry nie oszczędzał. Potem, choć zbolały że ledwo mógł się ruszać, kazał się wózkiem zawieść do pana sędziego Wierzejskiego, by mu donieść że na przedmieściu ladaszczyce osiadły. Szukano ich tam; ale złap wiatra w polu! Tak się to śmiecie prędko po tym kawałku wyniosło, że śladu nie można było dopytać. Dopiero pan rejent na pana Jelca! Ledwo ludzie odwiedli, że go nie zapozwał do grodu; ale jednak cała palestra tak uczuła krzywdę swojego rejenta, że pan Jelec musiał się wynieść z Nowogródka i w Wilnie szukać nowego szczęścia, ze starym rozbratawszy się przez pustotę. Jakoż go ono tam nie minęło; bo z taką wymową i praw znajomością wszędzie w Polsce nie byłoby mu trudno o kawałek chleba. Później po niedługim czasie ożenił się i zupełnie się ustatkował, że

potem nieraz widywałem go z wielką przyjemnością. Ale pan rejent do śmierci mu nie odpuścił. Razu jednego przypadkiem w Wilnie, na obiedzie proszonym u pana Jana Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych, wysunął się gładko, aby z panem Jelcem za stołem nie siedzieć, z czego się nazajutrz przed gospodarzem tłómaczył. Tak to za naszych czasów umieli czuć godność i powagę chrześciańskiego szlachectwa, nim zaczęto puszczać w pośmiewisko starożytne obyczaje, mianując je fanatyzmem i ciemnotą: bo łatwiej wyszydzać i potwarzyć cnoty, niż je naśladować.

XVIII.

OŻENIENIE SIĘ MOJE.

Tyle pamiątek napisawszy, niech mi wolno będzie nie przypomnieć i o tej dla mnie tak ważnej, kiedy wszedłem w dożywotnie związki z Magdaleną Bohuszewiczówną, w których lat trzydzieści przeżywszy, mogę wyznać że niebo miałem na ziemi.

Od lat kilku jurystowałem w Nowogródku, a lubo jeszcze nie byłem umocowanym księcia wojewody wileńskiego, miałem już uczciwy kawał chleba; bo zawsze było coś do roboty. O nagrodę nigdym się nie przymawiał, przecie gęsty grosz kapał w kieszeń, tak, że drugi co roku cośby sobie oszczędził; ale ja, chociaż żyjąc przyzwoicie i każdego przyjmując jak się należy, żadnej wykwintności nie znałem, tylko wszystko było jak zwyczajnie u szlachcica w dorobku, jednak grosz mi nie dopędzał grosza; a żeby co schować, ani myśleć o tem. Razu jednego, gdym zaczął rozpamiętywać, że pókim czerstwy, praca mnie żywi; ale jak stargam siły, a pracować nie zdążę, w co się obrócę? — takem się zadumał, że anim spostrzegł jak pan Fabjan Wojniłowicz wszedł do mojej izby, i dopierom się opamiętał, gdy się odezwał:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedziałem, zerwawszy się ze stołka i idąc na powitanie szanownego gościa, pod którym dependowałem, i któremu byłem winien i los jakiego doświadczałem, i możność robienia sobie nadal obszerniejszych nadziei.

— A nad czem to waćpan tak się zamyślił, że nie uważasz, iż od dwóch Zdrowaś Marja tu jestem?

— Przepraszam pana rejenta dobrodzieja za moją nieobyczajność pomimowolną; ale kiedy człowiek nad sobą zacznie dumać, a do tego smutek kole, to oprócz swojej biedy o wszystkiem zapomina.

— A jakaż waćpanu bieda siadła za kołnierzem?

— Bój się Boga, panie rejencie! czyż to nie mam nad czem się frasować! Rachowałem się przed chwilą z całego roku. Sam widzisz jak pracuję, niejedną noc przesiedzę nad papierami, cały ranek w ziemstwie, a u grodu podłogę wydeptałem; nie mogę też się skarżyć, że darmo pracuję, a z rachunku okazuje się jednak, że na rok drugi i pięćdziesiąt złotych się nie zostaje. Przecież zbytków nie robię: jem po szlachecku, piję to co ludzie piją, a po ścianach nie zawiesiłem majątku Sam widzisz, panie rejencie, że tu tylko cztery kąty, a piec piąty. Innym się lepiej udaje. Pan Eljasz Korbut, nasz kolega, dopiero wziął w dzierżawę ekonomję nowogrodzką, a i synów w konwikcie wychowuje, i żonę utrzymuje przyzwoicie, i nigdy bez kilku gości swojej sztukamięsy nie zaczepi, lubo z każdego szeląga swojego może się przed Panem Bogiem śmiało tłómaczyć. Ja podobnych wydatków nie mam, na siebie jednego pracuję; a nie tylko że o folwarkach nie myślę, ale kiedy za najęcie dworku zapłacę, to już mi się zdaje, że wielki ciężar z serca spadł: a przecie do ludzi nie mniej mam od niego szczęścia. Teraz toć wszystko nic, ale przyszłość mnie trwoży.

— Bardzo dobrze rozumiem, zkąd to pochodzi, panie Sewerynie; ty zawsze będziesz goły, pokąd się nie ożenisz.

— Pan rejent dobrodziej robisz po księżemu: drugim żony dajesz, a sobie nie bierzesz.

— To też z własnego doświadczenia czerpane rady dla przyjaciół. Żebym był się ożenił pokąd była pora, nie tak bym wyglądał jak dziś. Dependowałeś u mnie, to już ci nie powiem jak do mnie pieniążki płynęły: daj ci Boże przez pół mieć moje szczęście. Najmożniejszych ludzi w województwie interesa przez moje ręce przechodziły. A plenipotencja panien Benedyktynek nieświezkich (com ją wyrobił panu Krysztofowi Mickiewiczowi, zostawszy rejentem ziemskim), mało mnie wnosiła? Ptaszego mleka chyba nie dostawało. A akta co dają, czy to mała rzecz? Byłeś przytem, jak tenże sam Eljasz ofiarował mnie dziesięć tysięcy rocznie za przychód kancelarji, a przecie cóż mój synowiec znajdzie po mojej śmierci? Dworek w Nowogródku i trochę sprzętów, co je człowiek przez całe życie zbierał: oto cała parada! Albo to jedno i drugie nie naprzykrzyło się? Dawno bym już próżnował, gdyby było na czem. Ale całe życie tak było ze mną. Ja za kratami stoję, a o tem nie wiem co się w domu dzieje. Ten urwie, ten uchwyci, ten wykpi; człowiek dla drugich ma rozum, a dla siebie głupi. Ja na kondescencji, a słudzy hulają; tam weźmiesz złoty, tu szkody na dwa. Oj! bieda, kiedy majątku słudzy tylko pilnują. A jak się domem zająć kiedy czasu nie ma? Człowiek radby wchodzić w przychód i rozchód; ale natuptawszy się dobrą część dnia, a przez drugą napisawszy się, że ledwo palce nie puchną, a w aktach fałdów

przysiedziawszy, to jeżeli godzinę znajdzie się wolną, chce się człowiekowi rozerwać trochę, bo już i zdrowia nie staje; gdzież dopiero w rachunki się wdawać! A i o duszy trzeba pomyśleć: aż wstyd, że o statucie litewskim cały dzień się myśli, a dziesięcioro bożego przykazania i kwadransu się nie rozpamiętywa; ba! nie tylko wstyd, ale i strach, żeby za to kiedyś nie oberwać cięgów. Gdyby była żonka, człowiek pracowałby, a jejmość grosz do grosza zbierałaby; i wygoda w domu byłaby lepsza, i aniby się spostrzegł, jakby się majątek zrobił. Panie Sewerynie, u nas w Polsce księdzu i żołnierzowi dobrze w bezżeństwie; a szlachcic, czy to rolnik, czy prawnik, jeśli się nie żeni, to mu piątej klepki nie dostaje. Posłuchaj mnie starego: wszak choć nie dla mnie, ale dla drugich; nieraz się na coś przydał mój rozum. Jużeś dość świata wydeptał, żeń się pókiś czerstwy.

— Taćto bym nie był od tego, ale trzeba umieć brać się, a ja przez całe życie z żadną białogłową kwadransu nie rozmawiałem. Już piąty krzyżyk mi schodzi, czyż to pora uczyć się podobać pannom. Zaczynam szpakowacieć, a ludzie mówią, że do panny z siwym włosem, tak jak do psa z jeżem. Będę po domach koperczaki stroił, czy się uda lub nie, a chleb jaki jest i ten się straci.

— Ja waćpana wyswatam.

— A z kim?

— Pani Rejtanowa, podkomorzyna nowogrodzka, ma w domu swoim krewnę, pannę Magdalenę Bohuszewiczównę, na opiece. Panna uboga, ale zacnej krwi i poczciwa z kościami; nie szpetna; będzie z niej gospodyni! Wszak znasz ją?

— Widziałem ją parę razy w kościele z JW. podkomorzyną, przystojna panna; tylko czy zechce pójść za mnie?

— O to bądź spokojny. Pani podkomorzyna moja siostra stryjeczna; moje słowo coś tam waży. Do Gruszówki nie daleko, ja tam za ciebie się oświadczę, mnie nie odmówią; a tak spokrewnimy się z sobą. Odkąd cię poznałem, panie Sewerynie, pragnąłem z tak poczciwym człowiekiem naszą przyjaźń ściślejszym skojarzyć węzłem; a pannę Magdalenę jak weźmiesz, kto tylko w Nowogrodzkiem karmazynowy, będzie twoim dalszym lub bliższym koligatem.

— Kiedy pan rejent dobrodziej tak łaskaw na mnie, bądź mi ojcem. Ale żeby się nie rozgłosiło przed czasem; bo jak się nie uda, co mnie ludzkie języki nafrasują, to będzie w zarobku. Niech się wtenczas dowiedzą, jak coś będzie pewnego.

— Ze mną jak z księdzem po spowiedzi. Tylko żebyś mnie nie zawiódł, panie Sewerynie; bo jak mnie zaryzykujesz, a potem placu nie dotrzymasz, pamiętaj że to rzecz z domem uczciwym.

— A, panie rejencie dobrodzieju! czyżem zasłużył byś mnie miał za bałamuta. Prędzejbym się śmierci spodziewał, niż taką mieć u niego opinję.

— To tak się mówi: jako juryście wybacz że zbyt ostrożny, mam twoje słowo, spodziewam się że i tam je otrzymam; ani spostrzeżesz się, jak ciebie ożenię.

I tak zostawił mnie samego, ale w dobrej myśli: a to z tego powodu, że kilka dni przedtem, na ś. Joachim był odpust zupełny u OO. Dominikanów nowogrodzkich, z którego i ja nędzny grzesznik między tylu pobożnymi chciałem korzystać. Modliłem się do tego wielkiego świętego, a mojego patrona, bo jego imię przybrałem, kiedy mnie już pod wąsem będącego bierzmował ksiądz Pancerzyński, biskup laodycejski, sufragan nowogrodzki. Oto modliłem się serdecznie do tego potężnego szafarza łask bożych, aby mną kierował w wyborze stanu, ofiarując mu ten mój jaki był, chętnie porzucić, jeżeli mi coś przeciw niemu zainstynktuje. I przenajświętszym sakramentem uzbroiłem się na tę intencję. Kiedy więc pan Fabjan, co mnie znał od tylu lat i który zrobił ze mnie jurystę, nigdy do mnie nic podobnego nie mówił, a tu i żonę wynalazł dla mnie i brał na siebie o nią się starać, i tak mnie namawiał, bym wziął jego krewnę, do wygód w domu możnym przywykłą, jak gdybym był możnym — on, któremu się wyspowiadałem z mego chudopacholstwa, o czem, bez tego wyznania mógł być pewnym: wziąłem te jego słowa za głos boży i nie wątpiłem ani że otrzymam pannę, ani że z nią będę szczęśliwym. Szło mi tylko żeby mieć czem odbyć niezbędne wydatki żeniącego się. Bo i za ślub trzeba zapłacić, i mieć w czem żonę wozić, i taki czemkolwiek domek dotąd kawalerski opatrzyć, by w nim i żonę i ją nawiedzające obywatelki przyjąć. Zdarzała mi się wprawdzie grzanka. Kahał nowogrodzki miał sprawę ważną z JW. Niesiołowskim: grubo mi ofiarowano, bym jechał do Wilna dla jej atentowania przed sądem zadwornym; ale choć byłem potrzebny, nie odważyłem się tego podjąć, bo Panu Bogu ślubowałem, że nigdy Żydom moich usług nie poświęcę, mając to za ubliżenie i mojej wierze i mojemu stanowi. Ale jakoś Pan Bóg wszystkiemu poradził. Tego samego dnia albowiem, w którym pan rejent raczył się zająć moim losem, w. Jabłoński, wojski nowogrodzki, zaprosił mnie na odbycie kondescencji na gruncie z OO. Dominikanami nowogrodzkiemi; a że zgodnym sposobem skończyła się ta sprawa, na której dzwoniłem, bo sam komplanację napisałem, pan wojski dał mnie bryczkę na pasach, którą był przed rokiem z Warszawy sprowadził, a jakiej równej nie było w Nowogródku; ksiądz prowincjał zaś ofiarował mnie tysiąc złotych. Kiedy więc w kilka dni potem mój łaskawca, pan Fabjan Wojniłowicz wpadł do mnie z doniesieniem, że już wszystko się ukartowało, i że trzeba mi z nim jechać do Gruszówki dla podziękowania JW. podkomorzynie, śmielej z nim puściłem się w drogę, nie turbując się by gdzieś chyba zapożyczywszy się wydatki opędzić. A jednak lubo byłem rad temu, co się robiło,

cała podróż nie obeszła się bez wielkiej niespokojności, a nawet strachu. Coś to było na kształt świsłockiej potyczki, kiedy pierwszy raz szedłem na nieprzyjaciela, albo gorzej jeszcze: bo tam człowiek z kolegami niebezpieczeństwo podzielał, a tu samemu wystąpić trzeba było: tam był pewny że się tchórzem nie pokaże, a tu zostawała obawa, żeby się głupcem z wielkiego pomięszania nie wydać. Im więcej zbliżaliśmy się do Gruszówki, tem większy strach, tak, że kiedyśmy wjeżdżali na dziedziniec, to żeby się ziemia otworzyła, możebym w nią skoczył. Ośmielał mnie jak mógł towarzysz podróży i szczerze się litował nademną. Jakoś się to odbyło przed JW. podkomorzyną, która była pani wielkiej powagi i wyrozumiałości. To prawda, że pan Fabjan wszystko za mnie mówił, mruczałem sam nie wiem co, tylko tyle pamiętam, że dziękując, do nóg jej padłem, i odbyły się zaręczyny. A ja i moja narzeczona wyglądaliśmy jak delinkwenci na śmierć dekretowani. To wiem od pana Fabjana, bom siebie nie widział, a na moją narzeczonę oczu nie podniosłem. Zamieniwszy pierścionki, po oznaczeniu dnia ślubu opuściliśmy Gruszówkę. Że już było późno, w karczmie nocowaliśmy; tam dopiero przyszedłem do siebie. Potem jak się rozeszła wieść o moich zaręczynach, a zaczęli na sądach kosmato mnie witać i sędziowie i koledzy i pacjenci łaskawi, to była nowa przeprawa: ale byłem śmielszy, bo było wielu takich, co już przez to przeszli. Jeżeli czasem mnie nadokuczano temi winszowaniami, gdzie bez jakiego siakiego żarciku się nie obeszło, z drugiej strony miałem i wielkie pociechy, odbierając dowody uczynności polskiej od obywateli, którym służyłem. Jak zaczęły do mojego dworku przychodzić fury, to ze zbożem, to z leguminą, to z omastą, żebym miał hrabstwo dziedziczne, moja żona porządniejszej spiżarni znaleźćby nie mogła. A na wiktuałach nie kończyło się niektórych dobrodziejstwo. Wielmożny strażnik Łaski dał mi dwie krowy na nowe gospodarstwo; wielmożna Bernowiczowa, cześnikowa nowogrodzka, dwa obrusy i dwa tuziny serwet swojej roboty; a JW. chorąży Rdułtowski, chociaż nie miałem czasu jemu się zasłużyć, beczką wina mnie obdarzył — tak, że było i na czem i czem przyjąć, czyja łaska mnie nawiedzić. I dnia 25. listopada, w dzień ś. Katarzyny, panna Magdalena Bohuszewiczówna została panią Soplicową. Lubo przed ślubem do niej pięciu słów nie byłem wyrzekł, i oprócz jej urody, która mi była wdzięczną, z doświadczenia nie mogłem wiedzieć ani o jej roztropności, ani o jej cnotach chrześciańskich i szlacheckich; przecież wziąłem ją, bom jak najlepiej o niej trzymał, spuszczając się na instynkt boży i na charakter sędziwego jej krewnego a mojego najszczególniejszego łaskawcy, na którego zdaniu i radzie śmiało mogłem polegać. Jeszcze to przy oddawaniu wieńca miał tęgą mowę pan Jakób Wereszczaka, wice-rejent nowogrodzki, w której, jak to zwykle by-

wało, wynurzywszy życzenia wszelkich boskich błogosławieństw, i dobrą onych wieszczbę zwiastując w wybraniu na ślub dnia ś. Katarzyny, patronki szczęśliwych małżeństw, wyliczył procedencje panny i jej koligacje z domami Rejtenów, Wockowiczów, Wierszowskich, Jermanów, Rdułtowskich i innymi starożytnymi a zasłużonymi ojczyźnie w naszem województwie. Za mnie odpowiedział niezmordowany dla mnie w życzliwości szanowny mój niegdyś mecenas, pan Fabjan Wojniłowicz, rejent ziemski nowogrodzki, który tłómaczył powody mojej wdzięczności Panu Bogu i Najświętszej Pannie, że mnie obdarzają tak poczciwą małżonką, niemniej otuchy w dalsze ich błogosławieństwo, rozpatrując i jej cnoty i związki, które zabieram z tak zacnemi domami, nadmienił: iż lubo podobnymi urzędami mój ród nie był zaszczycony, jednak, że jestem starożytnym szlachcicem. Że zaścianek rozrodzonych Sopliców jest założony na ziemi od wielkiego księcia Witolda, nadanej mojemu przodkowi za wzięcie w niewolę pod Orszą Murzy Ułan Murudyna; że sześciu z mojego domu podpisało się na elekcji króla Stefana. A nakoniec podał za rękojmię przyszłego szczęścia mojej żony poczciwość moją, za którą dał świadectwo z wiadomością rzeczy nie płonną, jako znający mnie od lat kilkunastu, i ten, co mię doświadczył lat kilka w moim domu. Po odbytym ślubie panu rejentowi do nóg padłem, tą choć powierzchowną oznaką dając mu dowód uszanowania i prawdziwie synowskiej wdzięczności za tyle łask, które uwieńczył tą mową swoją. Umiałem czuć, o ile pochwała mojego charakteru z ust tak szanownego męża była dla mnie zaszczytną; a niemniej byłem mu wdzięczny, że publicznie o mojej prosapji odezwał się; bo biorąc familjantkę, byłem rad iżby wiedziano, że i ja sroce z pod ogona, jak to mówią, nie wypadłem. Potem że JW. podkomorzyna sprawiła wesele, był wielki zjazd; kielichy krążyły gęsto, bo pan Fabjan był gospodarzem, i wszyscy się ubawili jak potrzeba.

Takie było moje ożenienie. Oprócz pary sukienek i cukiernicy srebrnej nie wziąłem nic po żonie; ale wielki odebrałem posag w jej cnotach i w szczęściu, które mi przyniosła. Przez cały przeciąg trzydziestoletni domowego pożycia najmniejszego zmartwienia nie doświadczyłem. Ośmnastu laty byłem od niej starszy, a przecie ją przeżyłem: taka była wola Pana Boga, żebym tęsknił czasem za chwilą, która mnie złączy z moją Magdusią. Nasza intercyza mogła być bardzo krótka, mogliśmy sobie wspólnie zapisać dożywocie na wspólnych nadziejach: bo nadzieja była całym naszym funduszem. Ale jakem ją zaprowadził do siebie, wszystko zaczęło iść jak z kłębka. Dwa lata nie upłynęły, a już i dworek, który najmowałem, był naszą własnością, i parę tysięcy leżało na procencie; a potem zaraz książę wojewoda wileński powierzył mi swoje interesa, i Doktorowicze dostały mi się w dzierżawę. Ja siedzę przy sprawach, a Magdusia

pilnuje gospoparstwa. Dobrze to mawiał pan Fabjan, że dobrze z żonką. W percepcie złoty, a w ekspensie srebrny grosz, a przecie lepiej się żyło, niż kiedy byłem kawalerem. Tak i co dzień ktoś był u nas; a na ś. Magdalenę co roku, nim nawet na wsi osiadłem, to w naszym dworku i sędziowie i koledzy, i nawet umyślnie ze wsiów łaskawi przybywają, i cały dzień nas swoją bytnością zaszczycają, a przecie majątek się robił. Coś się już dało, a po śmierci i folwarki i trochę po ludziach pieniędzy znajdą wnukowie. A co po exdywizjach pracy przepadło! Bóg i ludzie wiedzą. Ciągle doświadczałem błogosławieństw bożych: mam co jeść z łaski Najwyższego, bo i dom i świeronek we wszystko patrzony. Raj byłby na ziemi, gdyby jedna rzecz — żeby to choć na starość ten wiatr północny przestał mnie wiać w uszy! Żeby przynajmniej moi wnukowie moje zwłoki mogli złożyć obok żoninych, na swojej ziemi, ale zupełnie swojej! Niech się stanie jednak wszystko tak jak Bóg, a nie jak my chcemy.

XIX.

KLASZTOR SURLAŃSKI.

Niechaj mędrkowie jak chcą rozumują, zaprzeczeniu nie podpada, że wiara ze wszystkich uczuć jest najsilniejszem i najwięcej twórczem. Sława, potęga, duma, rozum, męztwo, wielkie rzeczy na świecie dokazały; ale co jest największego, co przetrwało czasy, to było dziełem wiary. Wiele starożytnych narodów upadło, że ledwo ich pamięć zachowuje się między ludźmi, a jeżeli coś się z nich zostało, coby dotykalnie świadczyło o ich niegdyś bycie, to tylko pomniki ich wiary: te trwają dotąd. Pomniki ich potęgi, lubo bardzo warownie wzniesione, w kurzawę już się obróciły, jak zwłoki tych co je wystawili. Jeżeli wiary, choć błędne, ale istotne, tyle były silnemi, czegoż nie dokaże nasza jedynie prawdziwa, której sam Bóg wcielony nauczył? Jakoż co tylko jest teraz na świecie trwałego, szlachetnego, godziwie potężnego, wszystko to natchnęła wiara ojców naszych. Nawet nie pojmuję, czem się człowiek bez wiary podniesie, jeżeli wielkich dopuściwszy się zbrodni, nie zupełnie jeszcze zagładził ostatki szlachetności duszy; jeżeli w fałszywej wierze, albo też, co gorzej, żadnej nie ma. Bo człowiek sam w sobie nie posiada oczyszczającej siły, musi ją koniecznie otrzymać od potężniejszej istoty. Tać to u pogan nawet były jakieś obrzędy oczyszczające sumienia. Być może, że Pan Bóg i tam patrząc na szczerze korzącego się zbrodniarza, użyczył mu jakichś środków powrotu do cnoty i błogosławił jego pokutę; bo nikt nad możność ofiary nie zrobił, a niewiadomość nie jest występkiem; a nakoniec co tylko jest dobrego, czy uczynek, czy myśl, bez natchnienia bożego nie będzie. Ale to jest rzecz głęboka, której nie tylko świecki, ale kapłan nawet jasno nie rozwiąże. Co się nas tyczy, to jest pewne i niezawodne, i tego pilnujemy; a co będzie z innymi, tego nigdy nie

dojdziem. Tej zagadki słowa nasz pan nam nie objawił. Tyle tylko wiemy, że o ile jest zarozumiale im dotuszać, o tyle okrutnie ich potępiać. Dziękujmy naszemu Zbawicielowi, że nas oświecił i że wprost dał nam środki, którymi możemy jego łaskę, że tak powiem, zniewolić. Prawodawstwo naszej chrześciańskiej pokuty jest tak jasne, tak dokładne, tak skutkiem usprawiedliwiane, że niczem się nie wymówimy, jeżeli z niego korzystać nie będziem. W tem wielka wyższość dawnych czasów nad teraźniejszemi, że chociaż z jednej strony bywały zbrodnie większe niż te, na które teraz patrzym (bo żywotność naszych przodków była silniejsza niż zniewieściałych potomków, co nie będąc nawet zdolni podnieść się do namiętności gwałtownych, jedynie w podłych i nikczemnych gnuśnieją); z drugiej strony wielkie było wyobrażenie o cnocie i o pokutach, któremi się wykupywały przeciwne jej wykroczenia. Bywały czyny gwałtu, bywały czyny i podłości: oba te rodzaje występków czasem się łączyły, aby zaślepiwszy człowieka, zamienić go w potwór. W to się do zbytku wpatrują miłośnicy istniejącej pory, a nie chcą zastanowić się nad tem, co się obok działo. Jakto w owych czasach wznaszały się przytułki dla nędzy i rozpaczy; jak się po gościńcach gęściły pielgrzymy; jak drapieżne bestje ustępywały swych jaskiń pokutnikom różnego rodzaju; jak się nimi puszcze napełniały. Więc były głęboko wyryte w sercach wyobrażenia obowiązków; a pokąd one się nie zatrą, nie ma nic rozpaczającego dla społeczeństwa. Bo ten tylko w niewinności wielkie rzeczy może działać, kto w występku umie znieść dobrowolnie wielkie pokuty. W owym ogólnym duchu czasu nieposlednie trzymała miejsce nasza ojczyzna. Między rozlicznymi dowodami jeden szczególnie utkwił mi w pamięci, lubo nim przeszło pięćdziesiąt lat temu dowiedziałem się z największą dokładnością, i to z przypadku.

Uciekając z więzienia smoleńskiego, ciężko na zdrowiu zapadłem w Surłach, miasteczku w powiecie orszańskim leżącem. Na gospodzie żydowskiej niezawodnie bym umarł, gdyby Opatrzność do niej nie była zaprowadziła dwóch OO. Karmelitów bosych, powracających z kapituły do klasztoru swego, wznoszącego się nad surlańską puszczą, pod opieką ś. Erazma. Miłosierni zakonnicy zawieźli mnie z sobą ledwo przytomnego i w ich klasztorze odzyskałem zdrowie po kilkoniedzielnej niemocy. Kiedym ich pożegnał, tak mnie opatrzyli, iż wyznać mogę, że ich groszem dostałem się aż w Krakowskie, gdzie się złączyłem znowu z konfederatami, z którymi do końca walczyć zaprzysiągłem uroczyście w dniu tym, w którym zaciągnąłem się był pod ich znaki. To była tylko przyczyna, iż nie zostałem zakonnikiem, bo dziwnie mi się było podobało całe to zgromadzenie, złożone z ludzi świątobliwych, pracowitych, a między którymi było nawet kilku uczonych. W czasie mojego tam po-

bytu dowiedziałem się o wszystkich szczegółach ich fundacji i to teraz z przypomnienia zapisuję sobie.

Za panowania Jana Kazimierza żył w województwie witebskim możny obywatel, mający jedynaka syna. Nazwisko jego Ciechanowiecki, głośne na Litwie. Lubo posiadał znaczne dobra, że znał wielkie obowiązki dla księcia Jeremjasza Wiśniowieckiego, wywdzięczając się, zupełnie na majątku podupadłemu jego naślednikowi, księciu Michałowi, oddał mu tego syna na usługi, który ze swego utrzymując się, ledwo że nie cały dwór tego księcia składał. Ale jak tylko wdzięczność narodu i pamięć zasług ojcowskich wyniosły na tron polski księcia Michała Wiśniowieckiego, jedną z pierwszych czynności nowego króla było, wywiązać się panu Ciechanowieckiemu za dobrowolne z nim podzielanie nędznego losu. Zrobił go krajczym litewskim i dał mu kilka królewszczyzn, między temi starostwo grodowe orszańskie. Tak w młodym wieku, pierwsze dostojeństwa piastował. Wkrótce potem odumarł go ojciec, co go zmusiło opuścić stolicę, raz aby ostatnie posługi oddać zwłokom rodzica, powtóre, aby objąć po nim szerokie dziedzictwa. W województwie zamieszkawszy, zaprzyjaźnił się z w. Łopacińskim, stolnikiem witebskim, i oświadczył mu się o rękę jego córki. Już go był sobie zobowiązał poprzednio, odstępując mu za konsensem królewskim starostwo orszańskie; a zresztą będąc odpowiednim pannie zacnością rodu i do wysokiego urzędu łącząc najznaczniejszy majątek w całym powiecie, otrzymał obietnicę, i w przytomności ledwo nie całego województwa odbyły się okazałe zaręczyny. Ale cóż jest trwałego w pomyślnościach ludzkich! Wszelkie zdaje się posiadał rękojmie statecznego losu, a największe nieszczęście nad nim się gotowało. Jego mamka staje przed grodem (w astystencji już nie pamiętam jakiego obywatela, co u nieboszczyka jeszcze Ciechanowieckiego nabył wieś, w której mieszkała) i zeznaje, że pan krajczy jest jej synem, którego zamieniła, będąc mamką prawdziwego panicza; że ten w dzieciństwie u niej umarł; że sumienie takowy postępek ciągle jej wyrzucało; nakoniec, że kapłan, któremu się spowiadała, poradził jej zrobić to wyznanie, jako jedyny środek, aby powstać z ciężkiego grzechu. Zagrożony taką sromotą (bo już inni Ciechanowieccy, którym o majątek chodziło, brali się gorliwie do dzieła), pan krajczy broni się jak może, chwyta się wszelkich środków ratunku, pozywa mamkę jako kalumniatorkę, wedle prawa fołdrując na jej gardło. Pan Łopaciński, w którego jurysdykcji toczyła się sprawa, sam do żywego dotknięty, pomaga mu potajemnie, o ile było w jego możności. Nakoniec nieszczęśliwy człowiek pozorną mamkę, a w samej rzeczy matkę swoją, bądź namową duchownych, których na nią nasadził, by jej tłómaczyli, że wyznanie burzące spokojność publiczną, nie może pochodzić z dobrego ducha, bądź wzru-

szywszy w jej sercu afekt macierzyński przekładaniem, że syna pozbawia majątku, czci, a nawet życia, gdyż on tego nieszczęścia nie przeżyje, skłania, aby przed grodem oświadczyła: że pierwsze zeznanie zrobiła jedynie ze złości za to, iż domagając się o jakieś znaczne nagrody za staranie około jego niemowlęctwa, zbytą została z ofuknieniem jako natrętna; co jej serce goryczą i zemstą napełniło. A z panem starostą orszańskim się umawia, że z porządku rzeczy potwarzy podobnej dochodząc, będzie się domagał w jego sądzie o karę gardłową, której on nie odmówi, zapatrując się na własne wyznanie zapozwanej; ale że natychmiast jedzie do Warszawy wyrobić u króla list żelazny, którym w momencie egzekucji ją uwolni, a potem zapewniwszy jej byt wygodny, przeniesie w oddalone województwo.

Po takiej umowie ze starostą a przyszłym swoim teściem, niemniej z matką, której gdy całą rzecz wytłómaczył, ona się na wszystko zgodziła i do końca wytrwać w powtórnem wyznaniu przyrzekła, jedzie spiesznie do Warszawy i powraca z listem żelaznym. Tymczasem sprawa toczy się zwykłym porządkiem; gród wyrok śmierci feruje, a pan starosta, mając już sobie ów list od zięcia pokazany, potwierdza dekret w pewności, że syn stracenia matki nie dopuści. Ale pan krajczy chcąc się zabezpieczyć, aby następnie nic się na jego szkodę nie odnowiło, nie użył listu, i rodzona matka jego straconą została.

Pan starosta, co jeden o wszystkiem wiedział (bo inni sędziowie w dobrej wierze wyrokowali), gdy mu wiceregent doniósł o spełnieniu wyroku, padł bez duszy jakbym piorunem przeszyty. Pan krajczy w rok potem ożenił się ze starościanką, szczęśliwe miał z nią pożycie i spłodził sześciu synów, których w wielkiej pobożności wychował. Wszystko mu się powodziło, wszystko miał: i znaczny majątek, i wysokie urzędy, i szacunek publiczny. Każdy mógł mu szczęścia zazdrościć, bo nie wiedział co się w jego sercu działo. Nakoniec po leciech niemało odumarła go żona, kiedy najmłodszy z jego synów już był dorosłym. Dopiero w pasowaniu się z samym sobą spędziwszy rok żałoby, zwołał wszystkich sześciu synów, wyznał przed nimi dręczącą tajemnicę i oświadczył, że na puszczy surlańskiej chce klasztor wystawić i w nim życie na pokucie zakończyć. Na to synowie rozmówiwszy się z sobą: «Ojcze, odpowiedzieli, kiedy tak jest, żaden z nas nie ma prawa do tego majątku, coś go posiadał. Wystaw klasztor, a prawnym właścicielom oddaj twoje dostatki, któreś znacznie pomnożył; my zaś wszyscy opuścim świat i z tobą razem będziemy Panu Bogu służyć.»

I tak pan krajczy klasztor pustelniczy wystawił pod imieniem ś. Erazma, swego patrona, i Karmelitów w nim osadził; a zwoławszy Ciechanowieckich, już podupadłych, wedle Boga istotnych dziedziców jego włości, wyspowiadał im swoją zbrodnię, przeprosił za krzywdę im uczynioną i cały majątek im oddał,

przekonawszy ich, że ten fundusz nawet, który poświęcił na chwałę boską, nie z ich majątku, ale z darów królewskich zebrany. Potem z sześciu synami wstąpił do nowicjatu, we dwa lata z nimi razem uczynił profesję i umarł braciszkiem w wieku bardzo podeszłym, a w tak wielkiej świętobliwości, że jego ciało słynie dotąd cudami. Wszyscy synowie jego wyświęceni zostali na kapłanów i zakon miał z nich wielką pociechę, bo i wielce byli pobożni i ozdobieni wysokiem światłem, i nawet urzędy pierwsze w zgromadzeniu piastowali.

XX.

PAWLIK.

Za naszych czasów wychowanie młodzieży nie było co do nauk tak wykwintne jak teraz, ale pożyteczniejszych wydawało obywateli. Polak z dawnych szkół wyszedłszy, był prawdziwym Polakiem: między tysiącem cudzoziemców można było poznać z jakiego on narodu. Dzisiaj, czy to na Szląsku, czy na Litwie, czy w głębokiej Niemczyznie, szkoła szkole podobna: jedne nauki, jedne zabawy, jeden rozkład czasu. Wychodzą z nich jacyś obywatele świata, którym zarówno mieszkać by to w Rzymie. I to ma być wielki postęp, ażeby coraz więcej zacierać cechy szczególne narodowości, a utworzyć jakiś naród ogólny, światły, mądry, bez przesądów. Piękna myśl; ale chwała Panu Bogu, nic z tego nie będzie, a wszystkie wielkości mędrków nie zmienią wyroku, który Duch święty nam objawił temi słowy: Et separavit Deus gentes, secundum linguas earum. Bo jak nie ludzi to była rzecz zrobić, aby ten naród nie był innym, tak też nie dokażą, aby nim być przestał. Nadwątlą dzieło boskie, nadpsują, ale go nie zniszczą. Pan Bóg po czasie na swojem postawi; a ludzie przewrotni sami się zawstydzą, że na przekór Opatrzności tyle zaufali nędznemu rozumowi. Dobre były nasze szkoły, chociaż prócz łaciny obcych języków w nich szlachcic się nie uczył, i chociaż młodzież pod wąsem mniej umiała niż dziatwa dzisiejsza. Taćto szeroko rozprawiają, że ciemnota nasza robiła nas niesposobnymi do postawienia mocnego rządu; że moralność publiczna zniknęła była w zabobonach i klasztornych dziwactwach; że brak oświaty tak przytłumił uczucia uczciwości, iż u nas miano za zaszczyt brać jurgielta zagraniczne; że dopiero wtedy naród okazał się szlachetnym i godnym bytu, kiedy król Stanisław zaprowadził reformę w nauczaniu publicznem; i inne podobne zdania, któremi poru-

szają popioły naddziadów, a które tak często się powtarzają, że już im wierzyć trzeba. Ja przyznam się, że moim prostym rozumem nie pojmuję, jaki może być stosunek między rządem silnym a tem, co nazywają oświatą publiczną. Chyba że Moskwa i Tureczczyzna są narodami bardzo światłymi, bo jużci też tam rządy nie są słabe. A co się tyczy jurgieltów zagranicznych, mój Boże! czarne na białem widzą, a przekonać się nie chcą. Nie wiele rubli i talarów weszło w kieszeń tych, co z Alwara wzięli swój rozum i głowy sobie podgalali. Między fraczkowymi to, między tymi to, co po polsku z musu tylko i z biedy mówili, a po zagranicach ciągle wędrowali i pudrowali czupryny, można je było znaleźć stosami: wszakto oni przy sferze rządowym siedzieli. A czy to kontuszowi sprowadzili Moskali przy schyłku Augusta III.? Czy kontuszowi nas poddali pod gwarancję carowej? Czy kontuszowi podnieśli konfederację słucką, toruńską lub zawiązali targowicką? Czy to kontuszowi marszałkowali na sejmach podziałowych? Wszystkie spiski na ojczyznę w języku francuzkim się knowały; a jeśli uwikłał się w paskudztwo jaki nieobaczny kontuszowy szlachcic, zawsze go do tego namówił fraczkowy dworak, pełen poloru i oświaty. Wszakże nawet te zabójcze wyrazy w nasz język wprowadzone, którymi sejmy podziałowe szafowały, a które my nie rozumiejąc, powtarzali, nie ze szkół jezuickich, ale z akademji zagranicznych do nas przywędrowały. Kiedy to my nie znali tego przebrzydłego zagranicznego rozumu, Konfederacja barska sześć lat się trzymała. Bo kiedy marszałek jeneralny ogłosił pospolite ruszenie, szlachcic nie brał na rozum, czy to się uda czy nie, ale słuchał powinności, nie oglądając się na majątek, ani na żonę i dzieci: siadał na koń i tam ruszał, gdzie prawo krajowe iść kazało. A kiedy nastała konstytucja 3. maja, za którą każdy z nas był gotów dać się umęczyć; że bardzo oświeceni ludzie rządzili, ani pomyślili ogłaszać pospolitego ruszenia. «To stara ustawa — mówili — trzeba naśladować ukształcone ludy i tylko wojsku poruczyć obronę narodu.» To też po kilku tygodniach wszystko się skończyło. Oj! lepszy nam był alwar, niż towarzystwo ksiąg elementarnych. Po dawnych naszych szkołach wszystko tak było, jak w tej rzeczypospolitej, dla której nas hodowano. Mieliśmy nasze sejmiki, nasze sądy, biliśmy się w palcaty, robiliśmy obroty wojskowe i wprawiano nas do religji, na której się opiera polska narodowość. Wyszedłszy ze szkół, czy wypadło urzędować, czy prowadzić chorągiew, człowiek nie przychodził do rzeczy obcej dla niego. A nadewszystko uczono nas, aby nie rozprawiać o powinnościach, ale je dopełniać.

Pan Ambroży Korsak, porucznik piatyhorskiej chorągwi, a mój szczególny dobrodziej, miał lat przeszło siedmdziesiąt, miał wnuków już obywateli osiadłych, a przecie jak Konfederacja nastała, wiekiem się nie wymawiał; bo pamiętał, że zo-

stawszy towarzyszem, jeszcze pod znakiem JW. Denhofa, wojewody połockiego, co umarł hetmanem polnym, przysiągł że na każde wezwanie gotów gardłować za ojczyznę. Czyby siebie oszczędzał, czy nie, wszelako dziś by nie żył; bo kiedy padł pod Częstochową, miał lat siedmdziesiąt ośm, a już odtąd przeszło pięćdziesiąt lat minęło, i przecie nie był to człowiek przedpotopowy. Cóżby mu był za zysk, gdyby swojej powinności nie był dopełnił? A co zyskali zdrajcy ojczyzny, co Moskalom duszę przedali? Pieniądz jeśli nie został strwoniony, ktoś inny z niego korzysta, a najczęściej i niepotomek: male parta idzie do czarta; wiemy z doświadczenia, że z grosza źle nabytego tertius heres non gaudebit! To też pan Korsak bywało mawiał:

— O życie nie dbaj, bo ono nie twoje. Deus me custodiat (takie było jego przysłowie), kiedym został towarzyszem, jeszczem nie zarastał, bom z trzeciej klasy uciekł do chorągwi, w której będąc dzieckiem, miałem sowity poczet, z łaski JW. Denhofa, wojewody połockiego, ojca nieboszczyka hetmana, na którego dworze mój ojciec się wychował. Rychło po zameldowaniu poszedłem z chorągwią w korelicką puszczę dla łowienia rozbójników. Otóż był z nami towarzysz miękkiego serca; nazywał się Szeliga. Kiedy my hultajstwo ścisnęli w ostępie, a oni do nas dali z rusznic, pan Szeliga placu nie dotrzymał i uciekł co koń mógł wyskoczyć, aż pfe! Nam nie zaszkodził, bo hultaje po parę razy do nas spudłowawszy, co do nogi poddali się, a nikogo z naszych nie straciwszy, zawieźliśmy powiązanych łotrów gdzie potrzeba, i nielada zdobycz nam się dostała; siebie zaś nie tylko że haniebnie spaskudził, ale życia nawet nie ocalił: bo błądząc po lesie, zmęczony dostał się do chałupy jakiegoś gajowego, gdzie gospodyni w malignie leżała, tam się zaraził i w kilka dni umarł. A gdyby był dotrwał w powinności, byłby żył sobie zdrów. Na całe życie to dla mnie było nauką. Ja tu będę uciekał przed śmiercią, która może o mnie i nie myśli, a sam gdzieś się na nią natknę? Lepiej robić swoją powinność, a na Pana Boga się spuścić.

Pan Korsak, człowiek stary i doświadczony, miał mnóstwo dykteryjek do opowiadania, bo niejedną książkę można było napisać z tego, co widział i doświadczał. Po zdobyciu Krakowa, kiedyśmy tam zimowali spokojnie, nim dopiero na wiosnę Moskwa odważyła się nas zaczepić, w dzień ś. Ambrożego zebraliśmy się u pana Korsaka, dla powinszowania mu rocznicy imienin. Było nas kilkudziesiąt z różnych województw; gospodarz wszystkim był rad i beczka wina poszła na traktament. Nie można było nasłuchać się dość tego, co opowiadał. Opowiadał nam, jakto w początkach swojej żołnierki, będąc na służbie jeszcze u JW. Pocieja, hetmana wielkiego litewskiego w Wilnie, asystował konno przy jego kolasie; a że ten pan był wielce po-

bożny, kazał mu z sobą mówić różaniec. Gdy więc z kolei hetman zaczynał antyfonę:

O Marjo! cna dziewica,
Porodziłaś królewica,
Niebieskiego dziedzica —

właśnie w tym samym momencie obaczył pan Korsak, że z poprzecznej ulicy szła kolasa, w której siedziała pewna dama, o której córkę się starał. Puścił się tedy, damy rączkę ucałował, zawrócił konia i w samą porę trafił, by kończyć antyfonę:

Porodziłaś bez boleści,
Zbaw nas smutku i żałości.
Zdrowaś Marja! Amen.

Tak to się JW. hetmanowi podobało, że nie mógł różańca nie przerwać, by powiedzieć:

— Mości towarzyszu, zgrabnyś! o waści pamiętać będę — i wkrótce dał mu chorąstwo w tejże chorągwi. Z tego powodu ośm razy rąbał się z tymi, co do tej rangi sami aspirowali. I inne podobne rzeczy mówił nam przy kielichu, że aż miło było; a nareszcie jakoś przyszło, że wziął się do opowiadania początków swojego zawodu w naszej Konfederacji: bo on był z pierwszych, co się do tego związku zaciągnęli, chociaż był Litwinem, a Konfederacja barska, jak wszystkim wiadomo, zawiązała się na Ukrainie.

— Moi panowie bracia, a raczej synowie, bo już chwała Panu Bogu, nie rok i nie dwa, jak ósmy krzyżyk zapisał się na mojej metryce, a pięćdziesiąt ośm lat się skończyło, jak osobiście służę w kawalerji narodowej, nie licząc tych kilku, co będąc zapisanym, w palcaty wojowałem ze studentami. I z hajdamakami się ocierało, i ze Szwedami się obwąchało pod Warką i Kaliszem, i siedmioletniej wojny coś się zaczepiło, i w czasie ostatniego bezkrólewia za piecem się nie siedziało, i z księciem wojewodą wileńskim po Wołoszczyznie się tułało; a taki wystarczyło i lat i siły, aby tu wam służyć. A nie wielka była sztuka śmierć mnie znaleźć. Jakoż ukąsiła mnie ona kilka razy, ale jeszcze nie zjadła, jak widzicie, i Deus me custodiat, tuszę, że jeszcze niejednego tam wyprawię, dokąd i samemu wkrótce pójść trzeba. Otóż panowie moi, rok piąty temu, że pokój był po całej rzeczypospolitej; stałem sobie spokojnie w Krożach z chorągwią, której dowodziłem, jakby dziad do roboty niezdatny. To człowiek uczył towarzystwo iść gęsiego, lub ocierać się o szachownicę; to ich sprawy z żydami sądził; to na delacie

czopowe egzekwował: aż tęskno było że się próżnuje; cóż robić. Moskale przez Kroże idą a idą, a nie można im powiedzieć: A za się! Chociaż chorągiew była dobrze pokryta, bo więcej pięćdziesiąt towarzystwa, a ledwo nie dwa razy tyle szeregowych, przecież przywołuje mnie JW. Giedroić, strażnik litewski, od śmierci JW. hetmana mój rotmistrz, i mówi mi te słowa:

— Panie Ambroży, nie można wiedzieć co będzie; si vis pacem, para bellum: ja bym rad moją chorągiew powiększyć, i na to mam konsens hetmana. Ruszaj więc waść na Ukrainę i kilkadziesiąt koni ztamtąd przyprowadź.

— Choć dziś, JW. Panie, człowiek na tym towarze zęby zjadł. —

Odliczył mnie JW. strażnik sześćset czerwonych złotych obrączkowych, jeden w drugiego, które w trzos własną ręką zaszywszy, koszulę nim opasałem; a wziąwszy dwóch z towarzystwa i tyluż luzaków, ale których znałem jak mój sygnet herbowy, co go na małym palcu noszę, że byli dziarskie chłopcy, nie czekając nazajutrz, puściłem się w podróż, zdawszy moją chorągiew na pana chorążego Mikołaja Staniewicza, i doszedłem szczęśliwie do Cudnowa, dóbr dawniej do ordynacji ostrogskiej należących, a teraz dziedzicznych JO. księcia Marcina Lubomirskiego, który z nami służy. Tam się poznałem i ściśle zaprzyjaźniłem z panem Czajkowskim, łowczym kijowskim, a gubernatorem hrabstwa cudnowskiego. To był zacny i dobrze myślący obywatel; więcej z przyjaźni, niż z potrzeby księciu służył, bo jedną i drugą miał wioskę dziedziczną i nieco grosza po ludziach. Pan łowczy nie tylko że mi ofiarował swoją pomoc do kupna koni, ale wszystkich kozaków dworskich oddał na moje zawołanie; oraz pozwolił mi w zamku założyć kwarterę, i tam zbierać konie, póki z niemi nie wyruszę na Litwę. Jakoż to tu, to tam po sąsiadach w pierwszych tygodniach uzbierałem ze dwadzieścia koni, ale koni całą gębą. Wtedy to mi się dostał ten mój siwosz, coście go wszyscy znali, i co mi pięć lat wiernie służył, a który kiedy padł pod Opatowem, ledwom nie płakał jak po synu rodzonym. I sobie czekam zdrów w Cudnowie na kiermasz berdyczowski, aby i resztę dokupić. Aż tu pan Puławski, starosta warecki, podnosi Konfederację w Barze i zaczynają biegać po kraju uniwersały, powołujące szlachtę do pospolitego ruszenia. A Moskale szastają się po okolicy jak szczury po szpichlerzu, tak, że pan łowczy w obawie by mi chudoby nie zabrali, radzi wyprawić ludzi i konie w puszczę cudnowską. Ja mu na to:

— Dobra i łaskawa rada w. pana dobrodzieja; ale na sercu mi cięży rozkaz marszałka Konfederacji: darmo, trzeba iść gdzie każą.

A on mnie:

— Niech pan porucznik konie zbiera w lesie, gdzie bezpiecznie; a ja mu co będę mógł szlachty dostarczę. Lepiej w kilkadziesiąt koni służyć marszałkowi, niż z dwoma towarzyszami przed nim się pokazać, choćbyś się cudem do niego przedarł z tak małą siłą.

Nie miałem nic do powiedzenia, tylko podziękować mu za łaskę; a on na niej nie przestając, sam chciał mnie przeprowadzić do Szyjeckiej Budy, gdzie mie naznaczył kwaterę. Naprzód tam moje konie wyprawił z dworskimi kozakami, a nazajutrz sami wyruszyliśmy konno: nas dwóch, syn pana łowczego, młody i piękny kawaler, i kilku dworskich. Zwyczajnie gawędziliśmy z sobą przez drogę. Opowiadał mi pan łowczy, że w puszczy cudnowskiej ma swoje siedlisko zgraja Pawlika, sławnego zbójcy, który jest postrachem szczególnie żydów, gdyż niejedno miasteczko złupił. Jakoż przed dwoma tygodniami, zapewne dla wywiadów, Gontar, jego namiestnik, z dwoma hultajami pokazali się na targu cudnowskim z furą półdrapków, niby zwyczajnie pobereżniki. Ale szynkarz jeden, który już raz był w ręku Gontara i niezawodnie by wisiał, bo już miał stryczek na szyi, jeno że na jego szczęście Pawlik trafem nadszedł i kazał go z duszą puścić, obdarłszy do koszuli; poznał go i zaraz pobiegł dać znać dworowi.

— Jakem się o tem dowiedział — dodał pan łowczy — ruszam czemprędzej na targ z kozakami: udało mi się złapać dwóch hultajów, ale Gontar jak w wodę padł. Całe miasteczko do góry nogami przewróciłem, ani sposobu było go znaleźć. Mając przecie podkomendnych, kazałem ich w dyby zabić: cały dzień wały mi kopią około zamku, a w furtydze nocują.

Jam okazał podziwienie, że do grodu ich nie odsyła. Ale pan łowczy na to:

— My nie w Litwie, u nas hajdamaczyzna ciągła. Gdybym ich do grodu odesłał, krótka byłaby sprawa: tam by ich powiesili nim by słońce zaszło, a dopiero mnie byłaby bieda z Pawlikiem; jednej nocy nie przespałbym spokojny. Z naszymi hajdamakami ani nadto dobrze, ani nadto źle być nie można. Wiedzą oni, że ich dwóch w moim ręku, z tego mi zysk: bo jakby szkodę zrobili, bez grodu kazałbym ich wbić na pal: radzi nie radzi muszą być spokojni.

A ja mu:

— A to piękną mieć będę kwaterę w lesie! Z deszczu pod rynę: ja kryję konie przed Moskalem, a złodziej mi je zabierze.

— Pan porucznik nie znasz ich obyczajów: w szyjeckiej Budzie będzie bezpieczniej niż w Cudnowie. Hajdamaka ma wilczą naturę, nigdy szkody nie robi blisko swojego gniazda. Mamy

tam hutę i karczmę, przy której co niedziela pełno hajdamaków. Piją z fabrykantami, nawet dzieci ich do chrztu trzymają: święta między nimi komitywa, ani hajdamak fabrykanta, ani fabrykant hajdamaki nie zdradzi. W kasie bywa po kilka tysięcy złotych, a daj Boże, żeby ze strony kasjera i rachmistrza nie było więcej szkody, niż od hajdamaków. Bywa często Pawlik u naszego leśniczego, i ja go tam razu jednego spotkałem i mówiłem z nim, udając że nie wiem co on za jeden, lubo leśniczy mi szepnął kto on taki. Nie masz co mówić, sprytny chłop a barczysty, że nie życzyłbym trzem jego spotykać, nie daliby mu pewno rady. Pan porucznik nieraz go może widzieć będziesz. —

Tak rozmawiając, szliśmy dalej w las ścieszkami, po których najmniejsza fura nie przeszłaby. Chociaż konno, musieliśmy iść gęsiego za przewodnikami, aby co prędzej do szyjeckiej budy się dostać. Wtem słyszeć się dały gwizdania. To już nic dobrego nie zwiastowało; aż tu zaraz dwóch hultajów wyszedłszy z gęstwiny, zbliża się do nas i krzyczy:

— Stój!

Każdy z nich trzymał rusznicę w ręku. Pan łowczyc koło mnie będący dobył pistoletu z olstry; ale ja na niego:

— Schowaj mi zaraz waćpan pistolet. W lesie wara z ognistą bronią! żeby jak wystrzelisz każde drzewo za to nie dało ognia. Albo widać z kim sprawa?

A jeden z nich, którego poznał pan łowczy, że to był sam Pawlik, przystąpiwszy do mnie:

— Widno że pan bywalec: dalibyście sobie duchu, gdyby panicz był wystrzelił.

Wtem gwizdnął przeraźliwie, i więcej może stu rozbójników wysypało się z prawej i lewej strony drogi. Pewnie jedna noga z naszych nie uszłaby, gdybym łowczycowi był dopuścił wystrzelić.

Zbliżył się Pawlik do pana łowczego:

— A co panie, czy mam pana zabić w dyby, jak pan moich ludzi?

— Mój kochany! — odpowiedział łowczy — ty wiesz że Cudnów nie mój i że ja pańskiego dobra pilnować muszę. A kiedy który hultaj na rynku się pokaże i o nim mnie dadzą wiedzieć, jeszcze przy ludziach, coby to powiedzieli, gdybym jego nie ścigał? Ty nie do mnie miej żal, ale do mojego pana, co w instrumencie wyraźnie zalecił, abym hajdamaczyznę wypleniał. Rozpraw się o to z nim w Warszawie, lub gdzie go znajdziesz, a mnie daj czysty pokój, a nawet podziękuj mnie, że ciebie w lesie nie gabam. Niedawno pan regimentarz rekwirował, bym z całego poddaństwa zrobił w lesie na was obławę; a ja to tem,

to owem go zbywam, byście pokój mieli. Ty umowy nie dotrzymujesz z leśniczym: ziemię jadłeś, przysięgając że w lesie nas zaczepiać nie będziesz; my za to na was przez szpary patrzymy, a teraz na mnie napadasz. Myślałem żeś uczciwy hajdamaka, a jak widzę, z ciebie zupełne ladaco.

— Albo ja nie szanował wielmożnego pana i jego ekonomji? Onegdaj jeszcze spotkałem pisarza jadącego z Budy do Cudnowa, i mówiłem z nim po bożemu, niech sam powie. Jeszcze go prosiłem, aby mnie skałek przywiózł, anim mu macał szarawarów, chociaż w nich tysiąc złotych było. A wielmożny pan moich ludzi w dyby pozabijał. Czy oni szkodę jaką robili, czy nie chcieli bazarnego opłacić? Cóż to, czy już nam nie wolno na targu półdrabek przedawać? Teraz moje na wierzchu: oddam za swoje.

— I cóż na tem zyskasz jak mnie ukrzywdzisz? Niechno któremu z nas włos aby jeden spadnie z głowy, a ekonom cudnowski o tem się dowie; na pal każe wbić obydwóch twoich podkomendnych, a potem jak z kozaków i wszystkich włościan cudnowskich wyprawi obławę do puszczy, nie wiem czy na tem zarobicie. Przyznaj, że wam nie źle się dzieje w Hałacie: lepiej nas puść z Bogiem i licz na moją wdzięczność.

— Ale! Niech tylko poprobuje ekonom moich parobków zamordować, ja jemu nazajutrz żonę i dzieci pozarzynam, z Cudnów ze czterech stron podpalę, że ściany na budę nie zostanie.

— Ale mój Pawliku, gadajmy po ludzku. Czy ty zemstą swoją, choćby ci się ona i udała, swoich wskrzesisz jak ich na pal wsadzą? Lepiej puść nas z Panem Bogiem, a ja twoich ludzi wypuścić każę.

— Ja wielmożnemu panu już nie wierzę. Wszakżeśmy obiecywali nie dokuczać sobie. Od nas ekonomja cudnowska szkody nie poniosła: nawet pani Sosnowskiej, posesorce Turczynówki, na jedno słówko pańskie konie zebrane oddałem. A wielmożny pan moich niewinnych ludzi pozabierał i dwie niedziele w dybach trzymasz, jakby jakich szkodników. Teraz wielmożny pan w inną dudkę dmiesz: jak puszczę was na słowo pańskie i wielmożny pan do zamku się dostaniesz, zaraz powiesz: «Co to ja temu chamowi mam dotrzymać obietnicy? Albo to szlachcic, żeby ze mną w umowy wchodził! A haki, a kleszcze na zuchwałego chłopa.» Czy ja was nie znam!

— Panie Pawlik, wszak ja wam dobrze życzył: sam przyznaj, czyś mało łask doświadczył odemnie. Czy wam bronię leszczynę palić na proch? Czy nie pozwoliłem trzem twoim parobkom ze skarbowemi podwodami iść do Krymu za rybą soloną? Czy na Filipówkę nie kazałem wam wydać na twój znaczek z magazynu całej kufy gorzałki? Przyznaj, panie Pawliku, że tobie w naszym lesie jak w raju.

— Aha! teraz «panie Pawliku», bo strach ma wielkie oczy: będzie tego dobrego gołemu za pazuchę. Ja wielmożnemu panu krótko powiem co być może. Niech pan zostawi mi zakład, że moich ludzi odeszle, a ja pana wypuszczę. Rozumie się, że na pamiątkę zostawicie mi co macie pieniędzy przy sobie.

Miarkujcie panowie bracia, co tu się działo ze mną, który kilka set czerwonych złotych miałem przy sobie!

— Kiedyś tak niewierzący, panie Pawliku — odrzekł pan łowczy — puśćże mi syna i gościa, a ja u ciebie zostanę jako zakładnik.

— Tak nie będzie. Ja wielmożnego pana puszczę, a syna zatrzymam: prędzej wykupi ojciec syna, niż syn ojca; a paniczowi się nic złego nie stanie, że u nas przenocuje.

— Panie Pawlik, zmiłuj się waćpan nad moją żoną. Co ci ona winna, że ją w łyżce wody chcesz utopić? Jak mnie bez syna zobaczy, to jak Bóg na niebie, bez duszy padnie.

— Wielmożny pan znasz to, że mnie łatwo wziąść za serce. Wracajże pan zdrów z synem; ale ja bez zakładu nie zostanę: oto ten gość pański, co paniczowi wypalić nie dopuścił, z nami pójdzie do Hałacy i tam będzie siedział, póki wola pańska; bo ja go nie wypuszczę, pokąd ludzi nie obaczę. To wojak, on z nami tęsknić nie będzie.

— Panie Pawliku, nie rób mnie tej krzywdy, żeby mój gość miał narzekać, iż mnie zaufał. Kiedyś taki nieludzki, wolejże i mnie i syna zatrzymać, a jego puszczaj: niech na mnie raczej największe nieszczęście spadnie, niżby mój gość najmniejszej przykrości miał doświadczyć.

Żal mi się zrobiło poczciwego łowczego.

— Mości dobrodzieju — ozwałem się — niech pan się o mnie nie troszczy, a z godnym synem i swoim dworem rusza sobie do Cudnowa: ja panu Pawlikowi służę do jego Hałacy. Wdzięczny mu jestem, iż mnie oszacował godnym być zakładem słowa w. pana dobrodzieja; i za dobrą opinję o mnie bardzo mu dziękuję. U niego źle mi nie będzie; wszak my obaj żołnierze: ja rzeczypospolitej, on własnej swojej sprawy; jakoś się porozumiemy. A pan łowczy jak mu ludzi odeszle, wiem że tyle pan Pawlik grzeczny, iż mnie sam odprowadzi do szyjeckiej Budy. Niech mnie szanowny łowczy tu zostawi, a wielmożnej łowczyni nie zapomni moje ukłony złożyć.

— Niechże Pan Bóg nagradza szanownemu porucznikowi, żeś się zlitował nad moją babą; a ja zaręczam, że nie długo będziesz się nudził. Tylko bardzo proszę pana Pawlika, aby po ludzku obchodził się z panem porucznikiem.

— Wielmożny pan niech o to będzie spokojny: u mnie kto na gościnie, więcej waży niż rodzony ojciec. Ale jeszcze pana

porucznika nie mam za gościa, i dla tego com już raz powiedział, teraz powtarzam: kto co z panów ma pieniędzy przy sobie, proszę natychmiast o nie.

Pan łowczy dobył z szarawarów sakwę, w której było kilkanaście elizawetnych rubli, i te oddał mu, dodając:

— Rozbierz mnie do koszuli, kiedy wola, jakem sodalis, i halerza nie znajdziesz.

— Teraz do waćpana, panie poruczniku!

Pan łowczy przerwał z pośpiechem:

— Co waćpan chcesz, panie Pawliku, znaleźć u żołnierza? Jeżeli ma kilka tynfów, czy i te już mu zabierzesz? Nie godzi się!

— Wielmożny pan już za sobą mówił, a panu porucznikowi Pan Bóg dał język — i do mnie obracając się: — Czy pan masz pieniądze?

— Mam kilka złotych — i oto one.

— A więcej nie masz przy sobie?

— Więcej nic.

— Niechże pan da na to słowo szlacheckie i żołnierskie, a ja uwierzę — i podał mi rękę.

— Otoś mnie zagadł, panie Pawliku! To darmo, bądź co bądź, a honoru nie splamię — i dobywszy trzosa: — Masz go wpan: ale piekielną wyrządzasz mi krzywdę! To nie moje pieniądze, rzeczypospolitej; a jakie ich było przeznaczenie, wszystko djabli porwali.

— Wybaczaj, panie poruczniku — powiedział Pawlik — każdy żyje ze swego: szlachcic z pańszczyzny, żołnierz z żołdu, żyd z łokcia i kwaterki, a rozbójnik z tego, co mu Pan Bóg w cudzej kieszeni przyniesie. Bądź panie weselszej myśli, bo smutek szkody nie wróci. A wielmożny pan komisarz niech z Bogiem rusza nazad i moich ludzi tu odeszle. Tu na tem samem miejscu będzie ich czekał mój namiestnik: a jak była między nami przyjaźń tak i będzie, póki mnie wielmożny pan znów nie zaczepi, bo ja pewnie nie zacznę. Pana porucznika sam do szyjeckiej Budy odprowadzę.

Tak pan łowczy ze swoim pocztem nazad, a ja z hultajstwem dalej; a takiemi gęszczami, że zsiąść musiałem i piechotą ruszać. Pawlik obok mnie i wszystko pyta, czym nie znużony, powiada, że mnie nieść każe, i próbuje ze mną w dyskurs się wdać: ale mi tak było żal mojego trzosa, że sto kuglarzy by mnie nie rozerwało. Co to, panowie! cała nadzieja uzbrojenia ludzi jak kamień w wodę upadła! To też nakoniec powiedziałem:

— Mospanie Pawliku, zostaw mnie w pokoju. Ja teraz na waszej dyskrecji; jak ludzie mówią: wiele złego dwóch na je-

dnego, a ile z oka sądzić mogę, was więcej sta: nie wielka sztuka przymusić mnie, abym dął w waszą dudkę. Ale jeśli łaska, nie wymagaj, bym się bawił, kiedy smutek w sercu. Nie masz godziny, jakem się dowiedział, że wy na świecie jesteście, więc wam nic nie winienem; a przecie zebraliście mi pieniądze, które dał mnie mój rotmistrz na kupno koni do chorągwi. Za nie byłbym może kilkadziesiąt jeźdzców uzbierał i zaprowadziłbym ich do Baru. Poprzestańże na tem. Ażebyś sam miał pociechę, to w. panu powiem, że jak z tem się pochwalisz przed Moskalami, na wielką u nich wdzięczność zasłużysz, boś im dogodził. Do mnie, jeśli łaska, nie gadaj: ja łgać nie umiem i otwarcie powiem, że z tym tylko się bawię, komum rad: a do waćpana mam żal, tem większy, że to nie moja, ale ojczyzny szkoda.

— Kiedy pan się gniewa, do niego mówić nie będę; ale niech pan o mnie jak chce trzyma, ja pana bardzo szanuję, a jak go na swojem gospodarstwie przyjmę, to pan się przekonasz, że czart nie tak czarnym, jak go popi malują.

Wszystko to było dobrze, nie mogłem narzekać aby był nieobyczajnym, bo i z wielką grzecznością do mnie mówił, i tak czystą polszczyzną, jakby rodowity szlachcic. Ale tyle mi humoru popsuł, zrabowawszy mnie do szczętu, że nie mogłem się oddąsać, i szedłem zasępiony, jak myśliwy co niedźwiedzia spudłował. Nie bardzo uważałem na szczegóły naszej podróży, bo i nie było czego uważać. Zwyczajnie bór i las, las i bór: do tego w naszej Litwie człowiek z maleńkiego przywyknął. Aż zaszliśmy ponad Teterów, a taką gęstwiną, że słońca widzieć nie można było. Dopiero Pawlik podawszy mi rękę, prowadził mnie, wlokąc nogę za nogą, prawdziwie z pieca na łeb, pod skałę, gdzie był otwór tak nizki, że ledwo nie czołgając się weszliśmy. Ale ten otwór coraz się rozszerzał, pozapalano łuczynę i tak rozjaśnjało, że było widno jak wśród dnia na podwórku. Obaczyłem ogromną przestrzeń wykutą w głazie i wyrytą w ziemi: to było siedlisko rozbójników. A co za wygodne siedlisko! Chociaż tam nigdy promień słońca nie doszedł. Sale, izby, a spiżarnie, a kuchnie, a składy, a piwnice, zgoła jakby jakie podziemne miasteczko. Cała hałastra wnet się roztasowała. A Pawlik taki gospodarz uprzejmy, a tak mną zajęty, że gdyby nie widok speluuki i nie leśne facjaty jej mieszkańców co chwila przypominały, żem u złodziejów na gościnie, mógłbym myśleć, że mnie jaki możny obywatel przyjmuje. Że to była godzina obiadowa, motłoch się rozsypał i każdy zajadał ochłapa, na jaki napadł, a pan Pawlik zapytał mnie, czy pozwolę by ze mną siadł za stołem. Rozumie się, że nie była pora o to z nim się targować. Kazał więc stół na dwie osoby nakryć i wcale smacznym obiadem na farfurze mnie poczęstował; a dla zakropienia onego, garniec wytrawionego maślaczu był na stole. Po

sztukamięsie, Pawlik za zdrowie moje srebrny puhar wina spełnił, a na wiwat za danym znakiem kilka samopałów dało ognia, że odgłos po całej spelunce kilkakrotnie się powtórzył. A że obiad był smaczny, nic dziwnego; bo jakaś popadja z pod Wasilkowa, zakochawszy się w djaczku i dla niego porzuciwszy męża, z nim do Pawlika przystała. Djak do rozboju pomagał, a popadja Pawlikowi za kucharkę służyła. Wszystko było dobrze i przyzwoitie; ale ta myśl, że człowiek krew i łzy pije, psuła wesołość; powtóre, ciężył na sercu smutek po własnej szkodzie, i więcej jeszcze wstyd, że pomimo naszego statutu i naszych konstytucji, złodzieje bezkarnie gospodarują i biesiadują na Rusi, pod bokiem prawie urzędu (bo do Żytomierza i dwóch mil nie było); a tu nie masz siły, by takowemu bezprawiu koniec położyć. Ale cóż, kiedy rzeczypospolita ciągle od postronnych napastowana, a tylko zajęta tem, by swoją całość zachować, nie miała czasu ani do odetchnienia, nie tylko do urządzenia siebie wewnętrznie. Nie temu, co na łożu boleści ze śmiercią się pasuje, myśleć jakby sobie mieszkanie oporządził. Wszystkoby się u nas dało zrobić, gdyby ościenni dali nam pokój. I tak, panowie, chociaż w plugawem towarzystwie, jakoś frasunek się topił w lampeczce, że, Panie Boże przebacz! gawęda dla mnie zaczęła przybierać powabu.

— Panie Pawlik! — powiedziałem mu — kiedy tak się Panu Bogu podobało, że pomimo tego, iżeś mnie ledwo ze skóry nie obdarł, przecie u waćpana stołu za swoje zdrowie wzajemnie kielichy spełniamy; pozwól siebie zapytać, czy i ten koń mój gniady, z którego zleźć musiałem, aby jak wąż przedzierać się z waćpanem po zaroślach, a którego tu nie widzę, także via facti został waszą własnością?

— Pan porucznik go znajdziesz w szyjeckiej Budzie; zaraz go tam odesłałem. Że pan pozwoliłeś mi siąść z sobą, to dla mnie tak wielkie szczęście, iż nie dopuszczę, aby pan odemnie smutną wynosił pamiątkę. Na sercu mi leżało, że moich ludzi w dyby pozabijano; dla tego pozwoliłem sobie pana komisarza cudnowskiego namęczyć, i teraz pewno nic go tyle nie frasuje, jak to, że w jego przytomności trzos panu zdarłem. Tyle tylko mojego, co go nafrasuję. A musiałem go ukarać, bo mnie niesprawiedliwość wyrządził; a przecie i moim ludziom trzeba pokazać, że o nich dbam. Ale kto ze mną je chleb i sól, do mnie żalu mieć nie będzie. Wracam panu trzos nietknięty: coś pan tam włożył, to i znajdziesz. Tem chętniej to oddaję, żeś pan przedemną odkrył przeznaczenie pieniędzy. Ja, choć nie szlachcic, przecie na tejże samej ziemi urodziłem się co i pan, i pewnie Moskalom przysługi nie zrobię.

Przyznam się wam, panowie bracia, że to mnie tak rozczuliło, że i podziękować nie umiałem, tylko serdecznie go uści-

snąłem. Ale aż mróz po mnie przechodzi, jak wspomnę o tem, co się z tego zrobiło. Jeden z hultajów szastający się około naszego stołu, widząc że mnie oddaje trzos brzęczący, odezwał się:

— Nie dość że konia jego nie zaczepiamy, jeszcze i pieniądze temu Kachowi oddają.

A Pawlik jak się urazi, a porwie topor:

— Jak ty śmiesz — mówi — sobaczy synu, wtrącać się do moich czynności!

A potem jak go palnie, na dwie części łeb się rozleciał. Dopiero Pawlik jak krzyknie:

— Kamień u szyi przywiązać trupowi i w Teterów go rzucić, a ziemię obmyć z krwi.

Poczem z wypogodzonem obliczem, jakby zająca trafił, na nowo siadł u stołu, mówiąc mnie:

— Niech pan porucznik nie uważa. Sam panie jesteś wodzem i wiesz dobrze, że bez posłuszeństwa wojsko być nie może. Przepraszam, że przerwałem mu zabawę.

Przyznam się wam, że to była rzecz tak niespodziewana, że aż trzy lampy musiałem wypróżnić, nimem przyszedł do siebie. Potem pomyślałem sobie: kaduk was bierz; co mnie tam wasze prawa obchodzić mają: samiście się im poddali, a jak kto sobie pościele, tak niech się i wyśpi!

Zresztą, prawdę powiedziawszy, czas mile mi zchodził z rozbójnikiem, bo już do niego nie miałem żalu po zwrocie szkody, a i winko było smaczne i rozmowa przyjemna. On mnie się wyspowiadał z całego prawie żywota. Był poddanym ś. p. Woronicza, oboźnego koronnego, dziedzica Trojanowa, bo w jego zamku się urodził z rodziców dworskich; i od dzieciństwa był u niego w wielkich łaskach: lulki panu nakładał, potem do polowania mu asystował. Kazał go pan wyuczyć czytać i pisać, i pewnieby go liberował z kawałkiem chleba, gdyby nagle nie był skończył życia. A tak Pawlik osiadł jak na lodzie. Bo oboźny małoletnie dzieci tylko zostawił, których opiekunem będąc z prawa natury ich wuj, pan Szczyt, podkomorzy piński, że nigdy nie mieszkał w Trojanowie, wszystko tam było na dyskrecji rządców. Otóż Pawlik bardzo w widokach swoich upadł, zamiast u pana, u komisarza będąc na usługach. Jeszcze mu tam z początku szło siako tako; ale pokochał się z synowicą komisarską, u stryja będącą na opiece, i jakoś ich komisarz nadszedł, gdy z sobą różaniec już odprawiali: a jak nie bądź trudno opiekunowi być okojętnym na związki krewnej z poddanym, pannę naprędce wydał za jakiegoś oficjalistę pod ręką będącego, a łatwo zgadnąć co Pawlika spotkało, lubo się z tem nie chwalił, tylko mówił, że niemiłosiernie skrzywdzonym został. Ja go nie bardzo za język ciągnąłem, ale można było domyślić

się, jakiego rodzaju była ta krzywda, po zemście, jakiej się nad komisarzem dopuścił. Wtedy już silna zgraja hajdamaków osiadła była w puszczach cudnowskich. Jej watażką był Burczak, najniegodziwszy rozbójnik, jakiego kiedykolwiek miała Ukraina. Nie było nocy, w którejby jaki obywatel zrabowany nie został. Djabeł by przed nim tynfa nie uchował. Jak napadnie bywało na dom, porwie gospodarza, na goły brzuch żar mu kładzie i póty dmucha, póki on mu do ostatniego szeląga nie wyzna. Dopiero czasem puszczał, a najczęściej zamordowywał, i bez końca pomnażał rozmaite okrucieństwa przed nim niesłychane. Rozjątrzony Pawlik do niego się udał, i pierwsza była jego wyprawa na zamek trojanowski, który do szczętu zrabowawszy, komisarza powiesił do góry nogami, że go krew zalała. Kiedy w Żytomierzu porwano Burczaka biesiadującego u kochanki, która sama podobno ostrzegła gród o jego przybyciu, rozumie się, że nie tracąc czasu, urząd ćwiertować go kazał; wtedy już Pawlik odwagą i sprytem do takiej był wziętości przyszedł u rozbójników, iż go ten motłoch na wodza jednomyślnie obrał. Równie śmiały jak poprzednik, a daleko bystrzejszy, nie plamił się podobnemi okrucieństwy, poprzestawał na łupieniu, a bezbronnym śmierci nie zadawał. Znacznie komendę swoją powiększył, bo do niego hultajstwo ze wszech stron się garnęło, aż na końcu robił trudności w przyjmowaniu, jakby jaki rotmistrz kawalerji narodowej. A była w nim jakaś żyłka uczciwości. Pewnego majętnego obywatela syn, już pod wąsem do szkół jezuickich w Żytomierzu chodzący, za jakąś psotę w szkole obatożony, tak silnie to uczuł, że pałając zemstą, do niego chciał przystać. Ale on nie chciał korzystać z uniesienia rozpaczy, owszem reflektował go, przekładając, że mu, będącemu szlachcicem, a zatem ze stanu wyłącznie poważanego w kraju, nie przystoi zostać wywołańcem jak oni, co gdyby nawet i poczciwie chcieli się prowadzić, dla ich urodzenia żadnego dobra spodziewać się nie mogą. I tak ukojony chłopiec do ojca powrócił. Pawlik do takiej zuchwałości przyszedł, że otwarcie z ekonomjami w umowy wchodził i one mu się opłacały. Niektóre mu corocznie haracz dawały, jakby jakiemu krymskiemu hanowi, lękając się napaści. Kahał piatecki płacił mu pięćset złotych na rok, które pobierał w jego imieniu garncarz miejscowy, jego kum; a z tego nic mu się złego nie stało, bo ekonomja piatecka nie śmiała go o to napastować.

— Panie poruczniku! — mówił mnie — nie myśl pan, bym tylko był rozbójnikiem wojennym; masz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości: w całej Polsce przy mnie jednym jest jurysdykcja między dziedzicem a chłopem. Jak dziedzic lub ekonom ukrzywdził chłopa, a ten do mnie się uda ze skargą, zaraz posyłam, żeby mu sprawiedliwość zrobiono, z groźbą, że inaczej tydzień nie minie, a tok z dymem pójdzie. Z początku

ze dwa razy, dla przykładu, com przyrzekł, tom dotrzymał; ale chwała Bogu, nie masz teraz potrzeby tego ponawiać: bo w całej okolicy nikt już chłopa nad inwentarz nie zażywa.

Cóż powiecie, panowie bracia! Trzy doby bawiłem u Pawlika na gościnie, nie z musu, ale z własnej ochoty; bo jeszcze tej samej nocy przybyli hultaje z Cudnowa odesłani, z listem do mnie od szanownego łowczego, w którym tysiączne robił deprekacje, że z jego powodu tyle przykrości doświadczyłem, i prosił bym na bonifikatę mojej szkody przyjął od niego dwadzieścia koni z rynsztunkiem, które mi odeszle do Budy. A lubo jam go potem zapewnił, że Pawlik wrócił mi co był zabrał, poczciwy łowczy swojej ofiary nie cofnął i odesłał mi dwudziestu jeźdźców, których jeneralności przedstawiłem swojego czasu. Mimo siebie puszczając wszelkie bezprawia, jakich nieraz Pawlik się dopuścił, tyle go znalazłem gościnnym i dobrze względem ojczyzny myślącym, że pomyśliłem sobie, D e u s m e c u s t o d i a t: — Czegoż mnie wchodzić w cudze postępki? Wszak Duch święty powiedział: Nie sądź byś nie był sądzonym. —

I tak przez trzy dni ugościwszy, odprowadził mnie Pawlik do szyjeckiej Budy, gdzie powoli zbierałem mój oddział i nowo zaciążnych uczyłem obrotów, a on ciągle o wszystkiem mnie donosił, że ani patrolów, ani placówek nie potrzebowałem wysyłać.

Nie na tem koniec. Razu jednego, wziąwszy mnie na stronę, mówi:

— Panie poruczniku! między swoimi więcej trzydziestu ludzi wyrozumiałem, że myślą tak jak ja: wszyscy chcemy do pana przystać i ojczyźnie służyć.

— Od Pana Boga wasza myśl natchniona; nic świętszego!

— Ale ja panu przyznam się, że na mnie w grodzie żytomirskim leży dekret. Jak do pana przystaniemy i pójdziemy dalej, a kto z tych stron mnie pozna, to żeby mnie czasem Konfederacja nie kazała powiesić.

— Pluń waćpan na to. A co to ja malowany, żebym dopuścił, aby skrzywdzono takiego, co podemną służy? Już masz zasługi, których pewnie nie zamilczę. A jeśli jest jaki dekret, ten był ferowany na Pawlika, herszta rozbójników, a nie na Pawlikowskiego, prawdziwego syna ojczyzny i jej zasłużonego dowódcy oddziału ochotników, walczącego w Konfederacji za wolność i wiarę zawiązanej: bo już jesteś dla mnie Pawlikowskim, i ciebie inaczej nigdy nie nazwę.

— A jeśli Pan Bóg dopisze, a pokaże się, żem się zdał na coś, czy Konfederacja wyrobi mnie potwierdzenie tego nazwiska i szlachectwo?

— Ani wątp o tem. Jak dobrze pójdzie, Konfederacja

w sejm się zamieni i wszystkim zasłużonym da nobilitację. Tak Pan Bóg przykazał i były takie przykłady. A nim do tego przyjdzie, kto będzie wiedział jaki twój ród? Ja przed starszym przedstawię cię jako szlachcica z Polesia, który moją prawą ręką jest; a kto mi odważy się kłamstwo zadać, z tym ja się rozprawię: a porucznika piatohorskiej chorągwi w kaszy nie zjeść. —

Pawlik jak długi padł mnie do nóg, i nazajutrz on i przeszło trzydziestu jego ludzi przedemną przysięgę wykonali. Tak tedy kiedy pana Puławskiego w Berdyczowie oblegano, miałem więcej sta młodzieży łebskiej, na dzielnych koniach, należycie uzbrojonej i odzianej. Chciałem mu iść na odsiecz, ale Pawlik mnie przekonał, że na kilka tysięcy regularnego wojska, opatrzonego w armaty, próżno by było z naszą garścią o jakąś korzyść się pokuszać. Czego innego wkrótce potem dokazaliśmy. Pan Puławski broniąc się w Berdyczowie, tuszył że go wybawi ogólne powstanie z Kijowskiego i Wołynia. Ale panowie Stępkowski, regimentarz jeneralny wojsk królewskich, i Branicki, wówczas łowczy koronny, obaj zausznicy króla Poniatowskiego, zniósłszy się z Moskwą, w Kijowskiem nie dopuścili powstania; a co się tyczy Wołynia, szlachta tameczna rada, że między sobą rozchwytała ordynację ostrogską, wcale nie życzyła sobie, by rzeczpospolita została dość silną, aby o swoją własność mogła się upomnieć. Wolała więc wedle swojego zwyczaju patrjotyzm przy kielichach wykrzyczeć, niż się skromnie poświęcić dla ojczyzny. Znany całej Polsce honor wołyński!

Tak więc pan Puławski siedział w forteczce karmelitańskiej, jak mysz w pułapce: ni naprzód, ni nazad. Bronił się jak mógł, ale widząc że nie masz rady, o kapitulację prosił. I chyba głupi miałby to za złe. Jakoś umowa z Moskalami była dobra: bo choć oddał forteczkę i broń, ludzie swobodnie mieli iść na Pokucie, gdzie Konfederacja silnie się trzymała. Ale Moskal, zwyczajnie jak Moskal, słowa i podpisu nie dotrzymał, i rozbroiwszy załogę, jako jeńców wyprawił wszystkich do Kijowa. Otóż tu popisał się Pawlik; bo jakkolwiek mnie to przypisują łaskawi przyjaciele, przed Bogiem zgrzeszyłbym, przywłaszczając sobie cudzą zasługę. Z namowy jego poszedłem z nim dla odbicia naszych, chociaż ich pułk Dońców konwojował. Ale że on wszędzie miał swoje stosunki z poddaństwem, łatwo nam było przedzierać się między komendami nieprzyjacielskiemi, bo każdy krok ich był nam wiadomy. Szliśmy więc manowcami, aby kozakom zastąpić drogę od kijowskiego gościńca. Pod Prądkiem nie mogliśmy ominąć silnego oddziału Moskali: było tego blizko dwóch tysięcy i cztery armaty. Myślałem że już po nas; ale przytomność Pawlika wszystkiemu zapobiegała. Bo gdy jenerał moskiewski kazał zapytać: co my za jedni? do-

kąd ruszamy? i za czyim rozkazem? Pawlik odpowiedział, że jesteśmy chorągiew wysłana do Lisianki przez pana regimentarza partji ukraińskiej, dla ukojenia rozruchów tam wszczętych przez zbuntowane chłopstwo. W samej rzeczy już tam Żeleźniak koliszczyznę rozpoczynał; a przytem posłużyło to nam bardzo, że nasi tak porządnie byli odziani, iż śmiało mogli uchodzić za kawalerję narodową. A że Moskale pana regimentarza mieli za swojego, i nawet wyraźnie im było zalecono, abym we wszystkiem z nim się znosili, jakoś nam uszło, że jenerał na tem poprzestał i szczęśliwej nam życzył podróży, sam w swoją stronę postępując.

My nazajutrz, kiedy już dobrze zmierzchło, o ćwierć milki od Chodorkowa, spotkaliśmy Dońców prowadzących naszych braci: mnóstwo było wozów, na których wyprawiano broń w Berdyczowie zdobytą. Dopiero jak przypuścim na nich! ani pomiarkować mogli, zkąd ten piorun spada. Jednak bronić się zaczęli i strzelali z pistoletów. Aż tu nasi w ich ręku będący, spostrzegłszy że o nich rzecz, dalej do wozów chwytać broń i uzbrajać ich czemprędzej, zwłaszcza że chłopi przy furach gwałtem z wsiów pozabieranych, nie mogli dobrze życzyć tym napastliwym kozakom i szczerze pomagali naszym drągami. Kozacy kilkunastu swoich utraciwszy, nie wiele myśląc, w nogi!

Tak odbiliśmy pana Puławskiego i cały prawie garnizon berdyczowski; a Pan Bóg nie dopuścił Moskalom, aby się cieszyli ze swojej zdrady, zatrzymując jako brańców tych, co obowiązali się swobodnie puścić. Pan Puławski szczęśliwy, że za naszą pracą a rzeczypospolitej szczęściem do wolności wrócił i nadal ojczyźnie mógł być pożytecznym, na moje przedstawienie mianował porucznikiem w moim szwadronie pana Pawlikowskiego, i odtąd pod tem nazwiskiem między nami kursował. Sprawiedliwie dano mu drugi stopień w szwadronie, bo on najwięcej się przyczynił do jego utworzenia.

Pan Puławski objąwszy nad nami dowództwo, prowadził nas ze zwykłą jemu odwagą i przezornością. Po drodze u szlachty tyle koni ponadostawał, że spieszonych żołnierzy nowo w jeźdźców przekształcił, i szczęśliwie złączył się z JW. Potockim, podczaszym litewskim, na Pokuciu.

Poczciwy Pawlik skończył właśnie jakby dla usprawiedliwienia przysłowia, że kto ma wisieć, nie utonie. On utonął, bo nie miał wisieć, jak chciał tego kiedyś gród żytomierski. Kiedy uchodząc na Pokucie przed Moskalami, wpław przeprawiliśmy się przez Zbrucz, trzeba było takiego nieszczęścia, żeśmy jednego tylko utracili człowieka, a tym właśnie był Pawlik. Widno że koń, w którego ufał, musiał go zawieść: bo kiedyśmy na przeciwnym brzegu stanęli, ani Pawlika, ani jego konia ju-

żeśmy więcej nie ujrzeli; a własnemi oczami widziałem jak był skoczył w rzekę. Szczerze go żałowaliśmy; ale cóż, kiedy taka była wola boża! Wierzajcie panowie bracia mnie staremu, że gdyby nie był marnie zginął, wysoko by zaszedł: bo to był rodzimy żołnierz, a do tego całą gębą kawalerzysta. —

XXI.

PAN RYŚ.

W naszej niegdyś Polsce, jak wszędzie, a szczególnie u nas, fortuna się na kole toczyła: raz była na wierzchu, raz na spodzie; aby nikt się pysznił, ani rozpaczał. Zdaje mi się, że Pan Bóg tak przykazał, i że to powinno być wszędzie. Ztąd wedle mizernego mojego pojęcia nie chwali się owym narodom, niby od naszego kształtowniejszym, gdzie tak prawodawstwo urządzone, ażeby magnat nie obawiał się utraty kiedykolwiek swego magnactwa, a chudy pachołek nigdy się nie cieszył nadzieją wyniesienia się na magnata. Gdyż pierwszy ma obwarowaną ordynację, którą po nim starszy syn odziedzicza, a młodsi na okruszynach ojcowizny zmuszeni poprzestać, albo do stanu duchownego bez istotnego powołania wstępują, albo idą do wojska, uciekając od stanu małżeńskiego; bo wedle ich wyobrażeń, ani żony utrzymać, ani dziatwy wychować stosownie do swego rodu nie mogą. A uboga szlachta, choć równa w zacności, ale nie poparta naczelnictwem możnego ordynata, wstydząc się rzemiosła i kupieckich frymarczeń, cierpi niedostatek obok stanów podlejszych, zacierających ją ciągle wzrastającemi bogactwami. U nas, jako nieraz patrzało się na potomka magnatów, zmuszonego ubóstwem cudzy a służebny chleb pożywać; tak też i chudy pachołek bywało na magnata wychodzi i ordery dostaje, i do krzesła się dochrapie, i z mitrami się koligaci. Bo jak powieje wiatr szczęścia na polskiego szlachcica, Bóg wie, gdzie się on zatrzyma; potem wzbiwszy się w górę, ród jego częsem podupadnie, a podupadłego magnata potomek znowu się podniesie. I tak ciągle szło u nas, by nikt w szczęściu nie śmiał pomiatać tymi, co mniej pomyślną dolę mieli. U nas, jak wszędzie, nie wiele było znacznych; ale u nas jednych wszyscy byli zacni. Ztąd kiedy minister, czy senator, swojego

szlachetnego sługę, lub okolicznego szlachcica nazywał bratem, ten czuł dobrze, że to nie było zwrotką obłudnej grzeczności, ale wyznaniem rzetelnej prawdy. Szeroko o tem bym mówił; ale na co się to przyda? Wszystko się już skończyło. A zresztą, choćbym się rozszerzył, czy mnie zrozumieją? Teraźniejszy świat czegoś niby chce, do czegoś dąży; ale sam nie wie do czego, i dojdzie tam, gdzie się nie spodziewa. Ale porzućmy o tem: nie jestem prorokiem, by rozprawiać o przyszłości, a wolę o tem pisać, na co patrzałem.

Moi rówiennicy, których już nie wiele, pamiętają jeszcze w Nieświeżu sławnego organistę Rysia; ba! po dziś dzień w kościele świętego Krzyża co niedziela i święto dają sią słyszeć organy jego roboty. Nazywano go ordynatem nieświezkim, bo on był piątym czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta jego funkcja niezgorszym kawałkiem chleba była uposażona. Miał i półwłocze ornego gruntu, i piękną łąkę, i sad przy porządnym dworku, i trzysta tynfów, które wedle fundacji corocznie od kahału nieświezkiego pobierał. A kolędy? — Wszakże opłatki, co pod koniec adwentu rozwoził po familji książęcej, zaczynając od Nieświeża, a kończąc na Kojdanowie, za nielada folwarczek staćby mogły. Ekspensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie jak służka kościelny: to się zjadło, co się na gruncie urodziło; a choćby urodzaj chybił, od czegoż parafjanie? Synowi sam dyrektorował: jeżeli miał jaki wydatek, to jedynie na utrzymanie galowego ubioru, który w dni świąteczne wdziewał; bo codzień i w domu chodził sobie w szaraczkowej opończy, jak okoliczny szlachcic. Ale na jego galową suknię warto było popatrzyć, kiedy na szarym końcu za stołem księcia hetmana w niej zasiadał, ile razy wypadała jaka uroczystość, czy kościelna, czy familijna. Kontusz z aksamitu czarnego, żupan atłasowy tejże barwy, pas sakiewny srebrny, a na tem wszystkiem z czarnej krepy krótki płaszczyk nakształt paljuszu i doktoratka; bo gdy organiści jako ludzie kościelni nie noszą szabli, płaszcz krepowy i doktoratka były dla nich oznaką dystynkcji. Książę hetman go lubił, a szczególnie brat jego książę chorąży, który sam niezgorzej grywał na organach, i niemi często się bawił, chwaląc Boga w swojej kojdanowskiej kaplicy. Ten zawsze nazywał go żartując swoim kolegą. A trzeba wiedzieć, że Rysiowie byli z dobrego rodu, nawet tym samym herbem pieczętowali się co i Pocieje. Że o tem dobrze wiedział nasz Ryś i umiał to cenić, więc czy u książąt paradnie występował, czy w kościele Panu Bogu śpiewał z wtórem, czy koło gospodarstwa się krzątał, zgoła czy w aksamicie, czy w szaraczku, zawsze tak się nosił, by choć trochę przynamniej dawały się widzieć karmazynowe hajdawery. A miał swoje koncepta, któremi i za uczonego i za krotofilnego uchodził; jakoż nie bez tego, żeby odbywszy organistowskie wychowanie, nie

był więcej z książkami obeznany, niż ludzie światowi. Razu jednego, kiedy JW. Rejten, podkomorzy nowogrodzki, zjechał do Nieświeża dla rozgraniczenia Rudawki, majątku jezuickiego z ordynacją, do której sprawy wchodził i Ryś, bo właśnie jego łąka była na samem pograniczu, kilkanaście osób obiadowało u JW. podkomorzego w polowej karczmie, gdzie był założył swoją jurysdykcję. Ponieważ gospodarz kazał sobie służyć i Rysiowi, siedział on za stołem z innymi, nie omieszkawszy przywdziać swojej doktoratki. Gdy więc, jakto zwykle biesiadując, a zwłaszcza po prawniczych mozołach, szukano w dyskursję rozrywki, jakoś zapytał podkomorzy, zkąd to, że wielkanoc raz tego dnia, raz owego, nie tak jak Boże narodzenie, co regularnie na dzień 25. grudnia przypada? Wszyscy przytomni brali to na rozum, a żaden nie umiał objaśnić, nawet umocowany OO. Jezuitów, lubo obcując często ze swoimi pryncypałami, mógł więcej niż inni znać kalendarzowe statuta. Kiedy tak wszyscy w rozumowaniach się plątali, spostrzegł podkomorzy, że Ryś śmiejąc się, ramionami wzruszał; ku niemu więc obrócił mowę:

— A cóż to, szukamy jak widzę, niedźwiedzia po za lasem. To waścina rzecz, panie organisto, bo księży nie masz między nami. Wolałbyś nas oświecić, niż ramionami ruszać, jak półmędrek między żakami.

— Nemo sapiens nisi patiens, JW. panie — odpowiedział Ryś, powstawszy i nisko się skłoniwszy. — Dwa lata trzeba chodzić na teologję, żeby poznać, co to jest kalendarz, i to jeszcze daj Boże. —

— Chociaż my teologji nie umiemy, czemuż po ciwuńsku nie masz nam rzeczy tłumaczyć? Czy to raz nam wypada mówić babie o prawach, kiedy ma proceder, a choć w palestrze nie była, jakoś umiemy robić je dostępnemi do jej mózgownicy. Bo kto co sam zna tak jak potrzeba, ten łatwo objaśni nieświadomych.

— Kiedy wola JW. pana, to więc wyłuszczę moją rzecz. Kalendarz przepisuje dla pożytku ziemi to, co Pan Bóg napisał na niebie; bo każda gwiazda jest literą. Podczas oktawy przesilenia dnia z nocą, kanonicy katedralni wraz JO. pasterzem czytają na niebie, a co wyczytają, to i zapisują: z tego kalendarz i rubrycele, z tego kantyczki. Bo wszystko w kościele bożym nakręcone jak godzinnik: kanonicy piszą, plebani czytają, organistowie śpiewają i grają, wierni wtórują; a tak wszystko się obraca na chwałę bożą i pożytek ludzki.

— Daj go katu! — odpowiedział komorzy — wielki z waści mędrzec, jak widzę, panie organisto. Z tem wszystkiem winszuję temu, kto waści rozumie, a jeszcze więcej temu, kto z tak licznem abecadłem tyle się obezna, iż się w czytaniu nie pomyli.

— I bardzo się mylają, JW. panie. Bazyłjanie na przykład, że nie tak umieją czytać jak nasi, to też kalendarz Rusinów niepotem. Albo naszym nawet nie natrafia się, że nie wyczytawszy jak się należy niebieskiego pisma, obiecują na dzień ten lub owy pogodę, a tymczasem deszcz jakby na złość. Na co daleko szukać: teraźniejszego roku, jak zapewniał kalendarz wileński, gryka miała nam urodzić, a posucha tak ją wysmaliła, że onegdaj na kiermaszu w Stołowiczach oźminę po trzy tynfy płacono. A to wszystko dla tego, że książę biskup wileński pojechał do Rzymu ad limina Apostolorum, a kanonicy bez pasterza lada po jakiemu czytali.

Pan podkomorzy na takowe objaśnienie parsknął od śmiechu, bo był sam uczony. Ale niejednemu musiał się klin w głowę zabić, i ta dykteryjka o Rysiu długo powtarzała się na dworze nieświezkim. Dość, że organista Ryś dudlając po klawiszach, a jeżdżąc po kolendach, uzbierał sobie kilkadziesiąt tysięcy, które spadły na jego syna. Ale ten odstąpił ojcowskiej spuścizny dalszym a ubogim krewnym, gdyż nie dawszy się namówić do rzemiosła ojcowskiego, znalazł dostatki w innym zawodzie, przez co organy nieświezkie, blisko od półtora sta lat dziedziczne należące do Rysiów, wyszły z ich domu, a co przewidując stary, mocno się martwił. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie żenili się zawsze z córkami organistów, a swoje córki za ich synów oddawali, tak, iż kiedy naszemu urodził się syn, książę chorąży, co go do chrztu trzymał, przed ceremonją słusznie żartem powiedział:

— Ten chłopczyk kantyczkową nutą kwilić będzie, bo z miecza jako i z kądzieli samych tylko organistów w genealogji rachuje.

Ale ten żart w sprawiedliwą wróżbę nie został obrócony. Wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały. Lubo od piątego roku życia już go zaczął poufalić z organami, lubo przez dwa lata może mu jakie tysiąc batogów sypnął, by napędzić ochoty do muzyki — ani jednej nuty Karolek nauczyć się nie mógł, co tem więcej martwiło ojca, iż go Bóg dalszem potomstwem nie udarował.

Gdy Karolkowi siódmy rok się skończył, Ryś sporządziwszy pozytywek dla księcia chorążego, któremu na imię było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa na sam dzień ś. Karola, by Karolek wręczył go JO. ojcu chrzestnemu, jakoby na wiązanie. Ale księcia w zamku nie zastali, bo ten krył się przed swoimi imieninami w Starczycy, gdzie miał domek wiejski, a raczej folwark porządnie zabudowany, gdyż będąc wielce oszczędnym, tych zjazdów u siebie nie lubił. Pojechał więc Ryś do Starczycy, zawsze z synkiem, sam w swoim paradnym ubiorze, a synek z pozytywkiem w ręku i z pałasikiem u boku. Zajechawszy pod bramę, wysiedli obaj z wózka i szli sobie ku folwarkowi. Książę

siedział za oknem i patrzał się na dziedziniec. Kiedy chłopczyk za ojcem zbliżał się do ganku, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi; a wtem Karolek, rzuciwszy pozytywek, dobył szabelki i jak palnie żurawia po szyi, powalił go o ziemię. Staremu aż mrowie przeszło po sustawach, i nie dziw; bo jeszcze na Litwie taki się nie był urodził, coby nie drżał przed księciem chorążym, nie wyjmując księcia hetmana, lubo ten był jego bratem starszym i latami i urzędem. Cóż dopiero miał czynić chudy pachołek! Ale książę wyszedł na ganek, za boki się trzymając od śmiechu:

— Zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego. Dziękuję za pozytywek; ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co z nim się stawi. Ja go umieszczę między moimi paziami i posunę go z czasem, że mu nigdy na kęsie chleba nie zabraknie. Sam widzisz że on nie do klawiszów stworzony.

I tak stary odjechał sam jeden do nieświezkich organów, a Karolek został na dworze książęcym.

Książę miał czterech paziów, synów majętnych obywateli; ubogie Rysiątko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali częsty i suty grosz; a Karolek tylko ubiór z łaski księcia dostając, nie miał ani szeląga przy duszy. Ale wkrótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło; a to tym sposobem: Książę chorąży po obiedzie nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju pilnując go, grywali sobie w halbecwelfa, żeby im czas schodził. Jakże Karolkowi z nimi grać bez pieniędzy? Otóż taką grę pustaki wymyślili. Paź stawi naprzeciwko Karola pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów: kiedy Karolek wygra, pieniądze jego; kiedy skrewi, musi księcia pijanego i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów szło na kartę. Czas niejaki mu się udawało; ale jednego razu, gdy książę uderzony przebudził się, sądny dzień zrobił się w Kojdanowie.

— Kto ciebie hultaju do takiej zabnawy amówił? — zapytał książę Karolka.

— Ja sam siebie namówił — odpowiedział chłopiec, nie zmięszawszy się.

— Kiedy mnie tak zuchwale odpowiadasz, obaczymy, czyje będzie na wierzchu.

I natychmiast kazał mu pięćset łóz odliczyć, bo wiadome były porcje księcia chorążego. Prawdziwą rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bolu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Książę, co był świadkiem egzekucji, lubo z przyrodzenia twardego serca, powiedział:

— Jednak to niepospolite chłopię. — A po skończonej kaźni zapytał go niby łagodniej, chociaż ta łagodność u innego uchodziłaby za największe uniesienie:

— Z jakiego powodu łotrze śmiałeś twojego pana znieważyć?

— Ten mu na to:

— Cóż miałem robić z biedy: wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja będąc chrzestnym synem księcia pana, od czterech lat, co mu służę wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem.

Książę natychmiast darował mu pięćset tynfów, właśnie tyle ile łóz dostał, i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej lafy, by swój nos nadal od szczutek ochronić.

Jak wyrósł Ryś, został dworzaninem i coraz więcej wzmagał się w łaski swojego pana, dla wierności, odwagi, a szczególniej siły: bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak robił, że chyba jeden Wołodkowicz mógłby mu dotrzymać. Pojedynki miewał częste, bo był zuchwały. Będąc dworzaninem księcia chorążego, gdy młody książe Karol Radziwiłł, później wojewoda wileński, a wówczas miecznik litewski, przy kielichu powiedział mu:

— Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie rysiem; ale odkąd przyłaskawiono na dworze mojego stryja, winieneś się nazywać kotem, bo kot jest ryś swojski.

Tak się Ryś oburzył, że ani go zastanowiło, iż sprawa była z synowcem i spadkobiercem jego pana. Wręcz mu powiedział:

— Ja nie waszej książęcej mości chleb jem, ale jego stryja; a moja służba nie rozciąga się do tego, bym od całego domu mego pana miał przegryzki znosić. Ja taki szlachcic jak i książę; a że mój ojciec głośniej Pana Boga chwali, książę przeto nie masz prawa przekręcać mojego nazwiska, ile żeś mi go nie dał: i proszę natychmiast ze mną się rozprawić.

A książę lubo przed Bogiem i przed ludźmi mógłby się wymówić z nieprzyjęcia wyzwania od dworzanina swojego stryja, jednak że sam był tęgim do korda, rad będąc spróbować się z graczem, za jakiego uchodził pan Ryś, ile że go miał za dobrego szlachcica, pomimo perswazji swoich sług i przyjaciół, dotrzymał placu z niemałą szkodą swojego zdrowia: bo takie cięcie dostał wyżej łokcia, że kilka niedziel z izby nie wychodził. Książę hetman, chociaż srogim był dla syna, tyle to uczuł, że pojechał do Kojdanowa skarżyć się przed bratem, iż jego dworzanin syna mu okaleczył. Jeno książę chorąży mu odpowiedział:

— Niech książę brat da temu pokój. Nasz miecznik tak mi jest miły jak samemu księciu; bo nie mając dzieci, mam go za syna i dla niego pracuję. Ale sam się żalisz, że jest niespokojnego umysłu: więc jak raz i drugi oberwie za swoje, to może się opamięta. Nakoniec za co mam karać Rysia, kiedy urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachecku?

I tak ta burda nie zaszkodziła Rysiowi, nawet na przyszłość; bo jak książę Karol odziedziczył Nieśwież, jedną z pierwszych czynności było posłać jemu mundur albeński, a po śmierci stryja przywiązał go ściśle do swojej osoby. Wkrótce po tym pojedynku, książę chorąży jakby dla okazania, iż przeciw niemu sierdzistości w sercu nie miał, wypuścił mu dożywociem Wilczyznę, wioseczkę niewielką, o pół mili od Kojdanowa, ale z dobremi gruntami. Ta wspaniałość księcia wydawała się tem dziwniejszą, że ludzie z większemi i dawniejszemi zasługami nic u niego wskórać nie mogli, gdyż on był z małej liczby Radziwiłłów, co tylko o sobie pamiętali.

Ryś bynajmniej nie poprzestawał na dochodach swego folwarku, i znaczne długi porobił, a wszystko na stroje: bo niczego nie oszczędzał na przyozdobienie swojej osoby. I była tego warta: kiedym go poznał, to już był niemłodym, a jednak jeszcze tak pięknym, że nie można się było na niego napatrzeć. To też sam wiedząc o tem, lubił ozdobnie się pokazywać. Ledwo nie codzień co innego było na nim. Nikt ani tak litych pasów, ani tak kosztownych spinek, ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, a wszystko z dziwnym smakiem umiał zastosować. Nadzwyczajne przytem miał szczęście do ludzi: zawsze będąc w potrzebie, ustawicznie prosił o pożyczenie pieniędzy, i zawsze ich dostawał, bo każdy jakby oczarowany prośbą, dawał, nie pytając o ewikcję. Co większa, choć ledwo dwudziesty czwarty rok mu się kończył, choć żadnego, by najmniejszego urzędnika nie miał w swojej koligacji, choć morga ziemi dziedzicznej nie posiadał, a miał długów więcej niż włosów na głowie, przecie został obrany deputatem z województwa mińskiego na trybunał litewski, pod laską księcia Karola Radziwiłła, właśnie jakby się urodził książątkiem, lub jaśnie wielmożnego synem. A choć w urzędowaniu więcej pilnował tańców niż dokumentów, ta deputacja była powodem, iż raptownie został możnym.

W Wilnie, gdzie w tym roku agitował się trybunał litewski, bawiła na opiece u stryja panna Kietliczówna, córka owego sławnego facjendarza Kietlicza, który prawie z niczego zacząwszy, ogromny majątek zostawił małoletniej swojej jedynaczce. On to w czasie siedmioletniej wojny więcej miljona zarobił, dostarczając żywność wojsku moskiewskiemu, ciągnącemu przez Litwę do Prus. A ta córka była tak dobrze jak zaręczona już panu Łopotowi, któremu szczególnie sprzyjał opiekun panny. Ale tak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał. I nie dziw; bo pan Łopot, acz zacny i godny kawaler, ale jedynak w możnym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka: wszystkiego się obawiał; lada wietrzyk, bywało, nie wyjdzie na podwórze, jeno z twarzą w pieluchy obwiniętą; a kiedy w piątek ryby zje odrobinkę, to już nazajutrz kilku doktorów przy łóżku.

A panna, hic mulier: i bekasy w lot biła, i zająca szczwała co koń mógł wyskoczyć; istny dragon w spodnicy, a z tem wszystkiem urodziwa. Jakżeby ją było sprządz z panem Łopotem! Ryś z nią, to dobrana para. I dla tego też rychło tak się pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei, pan Łopot odkosza dostał i wyjechał sobie z Wilna, pomiarkowawszy że chyba szablą wypadnie pannę zdobywać, a to z Rysiem była rzecz trochę ryzykowna. Zostawały jakie takie trudności do przełamania ze strony opiekuna; ale gdy mu pan Ryś bąknął, że czy wola stryjowska czy nie, wcześniej lub później panna jego nie ominie; a zatem jeżeli mu będzie nieżyczliwość okazywał, potrafi to odwetować, gdy przyjdzie mówić o rachunkach z opieki, tak pana stryja zbił z tropu, że sam mu został swatem. W istocie odwdzięczył się pan Ryś po ślubie; najdelikatniej asystując żonie w zakwitowaniu opiekuna ze wszystkiego, o co prosił, gdyż i bez tego ledwo nie pańska fortuna dostała się w ich ręce.

Już książę chorąży nie żył, a pan Ryś przeniósł swoją wierność i przywiązanie do księcia hetmana, i lubo około dwudziestu folwarków posiadał, nie przestawał siebie liczyć między sługami radziwiłłowskiemi. Tytułowano go strażnikiem mińskim i był powszechnie poważany w całym powiecie: bo był gościnnym i uczynnym, choć zawsze burzliwym. Mając na przykład sprawę z księciem Radziwiłłem żyrmuńskim, starostą lidzkim, gdy umocowany księcia w indukcie przed ziemstwem lidzkiem uszczypnął go wzmianką o organach nieświezkich, tak się oburzył, iż na ustępie zaczął samemu księciu cierpkie robić wymówki; a kiedy książę ufny w swoje imię, wyrzucał mu, że tak długo będąc wykarmiony radziwiłłowską pieczenią, nie zachowuje winnego względu dla członka familji, z której powstał, pan Ryś odważył się odpowiedzieć publicznie:

— Byłem i jestem sługą Radziwiłłów, ale orłów, a nie kobuzów. Co to książę ze swoją ladajaką mitrą występujesz, jakbyś był co lepszego odemnie! Radziwiłłów panów, to tylko w linji nieświezkiej i trochę w kleckiej znamy: a wy żyrmuńscy pokażcieno senatora między wami. Książę chorąży, mój nieboszczyk pan, żadnego z was gołą ręką nie dotknąłby, ażeby świerzby nie dostać!

I podobnemi przygryzkami tak go wziął oprymować, że biedny książę ledwo uciekł.

Z początku miał zwyczaj pan strażnik do korków żony strzelać; ale ona go od tego oduczyła, bo trafiła kosa na kamień. Razu jednego, gdy w sypialni porwawszy za pistolet, zabierał się do korków jejmości, ona będąc wtedy brzemienną, powiedziała jemu:

— Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od

tych twoich popisów. Idź sobie do masztarni gwoździe kulami zabijać, a moich korków nie psuj.

— Jeszcze ten raz ostatni, kochanko. Pozwól wypróbować moich pistoletów.

Ale ta porwała drugi pistolet na skrzynce leżący i odwiodłszy kurek:

— Słuchaj Karolku — mówi — jeżeli mnie korek ustrzelisz, to ci natychmiast takim sposobem pas rozwiążę.

Pan strażnik myślał że żartuje: paf! do pięty jejmościny i w sam korek trafił; on z pistoletu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia. A jejmość nie wiele myśląc, jak da także ognia, i rzeczywiście pas mu rozwiązała. Pan strażnik pochwalił zręczność żony i rączki jej ucałował; ale odtąd rozejm zrobił z jej korkami. Tak dobrane małżeństwo nie mogło się nie miłować wzajemnie: ich pożycie nawet za dawnych czasów było do przykładu. To też kiedy pani strażnikowa pożegnała męża, powiwszy mu jedyną córeczkę, on ledwo że niezupełnie rozum utracił z żalu, i gdyby nie wielka jego wiara, byłby sobie życie odebrał. Łbem tłukł się o ściany, rady sobie dać nie mógł, więcej roku okrom swojego plebana nikomu się nie dał widzieć, nawet był brodę zapuścił; a tak zaniechał gospodarkę, że gdyby ówczesni słudzy byli takiego sposobu myślenia jak dzisiejsi, majątek zostałby w puch rozbitym. Zgoła tak zdziwaczał, że familja nieboszczki już zabierała się do odezwania się względem opieki nad dzieckiem i majątkiem, który był pański, bo już z siebie potężny, bez wielkiej pracy sam wzrastał. Nakoniec ocknął się pan strażnik ze swojej melancholji. Testament jak się należy sporządził, opiekunem nad sobą i majątkiem dziecka zrobił pana podkomorzego Rejtena, a zostawując sobie sto tysięcy do wolnego rozporządzenia, sam wstąpił w Wilnie do nowicjatu Jezuitów. Tam jak mu ogolili brodę, a wzięli go na reflekcję, jakoś się opamiętał; bo największy żal się umityguje przy prawdziwej pobożności i perswasji ludzi roztropnych. Wszakże ja sam więcej jeszcze miałem powodu rozpaczać po mojej Magdusi. Do trzydziestu lat z nią przeżywszy, nie tylko że doświadczałem doli pomyślnej, jak państwo strażnikowstwo przez te lat kilka, co z sobą mieszkali; ale doznałem z nią pospołu i niemałych bied, pokądeśmy do dobrego nie przyszli: a wiadomo, że związki serc więcej się ściskają wspólnictwem niedoli, niż pomyślności. Przecież dusza przepełniona goryczą, znalazła nakoniec tyle siły, aby Bogu ofiarować odebrany pocisk, a tem samem bez jakiejś pociechy nie została odprawiona. Tak i pan Ryś po gwałtownym żalu tyle się opamiętał, iż nawet poznał, że nie był powołany do zakonnego żywota, ale że na świecie wedle woli boskiej miał szukać zbawienia. Jakoż sami ojcowie Jezuici przekonali go, że ani zgromadzenie z niego, ani on z surowej reguły pociechy mieć nie będzie. Ba! gdyby tylko

w stanie duchownym chrześcianin mógł być zbawiony, toćby się świat za kilkadziesiąt lat skończył, albo należałoby odrzucić obrządek łaciński i wszystkim uniatami zostać dla zachowania rodu ludzkiego. Ależ znowu, gdyby wtedy Bisurmanie napadli, niktby się od jasyru nie uwolnił. Bo kim tu się bronić, nie mając jeno popów, djaków, popowiczów, ludzi ani z powołania, ani z wychowania nie sposobnych do rycerskiego rzemiosła? A nakoniec, kiedy odkąd świat stoi, inaczej się dzieje, więc dowód oczywisty, że wola Pana Boga, aby inaczej się działo. Dość, iż pan Ryś, że był wspaniałomyślnego animuszu, stu tysięcami nadawszy nowicjat wileński, aby go na świecie modlitwy ojców nie opuszczały, wrócił sobie zdrów do obszernego majątku, a habit zakonny zawiesiwszy na kołku, de noviter wdział kontusz rycerskiego stanu i z dawną wykwintnością w stroju często gościł na dworze nieświezkim, którym już władał książę Karol Radziwiłł, świeżo po śmierci ojca wyniesiony na województwo wileńskie. I tego pana szczególne a spadkowe łaski uzyskał, nie tylko przyjemnością obcowania, ale dowodami niepospolitej przychylności. Gdy bowiem wkrótce śmierć króla Sasa nastąpiła, a Konfederacja w czasie bezkrólewia zawiązana, karząc księcia Karola za życzliwość dla domu saskiego, odsądziła go od województwa wileńskiego i od wszelkiej własności, jako nieprzyjaciela ojczyzny — książę po zagranicznych ziemiach tułając się, nie miał innych dostatków oprócz kosztownych sprzętów, wywiezionych na prędce, i serc swoich przyjaciół, a te go nie zawiodły; bo każdy wedle swojej możności o jego potrzebach pamiętał. Pan Ryś był z liczby tych, co się najszczególniej odznaczyli: on na swoje dobra dwakroć sto tysięcy zaciągnąwszy, całkowitą kwotę odesłał księciu do Włoch, chociaż zbyt ślizka była nadzieja odebrania kiedykolwiek tej należytości. To też kiedy rzeczy jakoś się ułożyły, a książę wrócił do obszernego dziedzictwa i do ojczyzny, milszej mu nad wszystkie dziedzictwa, najścislejszą poufałością wywiązywał się panu Rysiowi z tak sowitych dowodów przyjaźni, bo czemże innem mógł okazać wdzięczność tak możnemu obywatelowi, któremu już wówczas rachowano około dwóch kroć sto tysięcy intraty. Pan strażnik mając jedynaczkę, a nadto miłując pamięć żony, by w powtórne związki miał się pętać, sprowadził madame, chociaż Francuzkę, ale bardzo roztropną; na nią zdał wychowanie panny strażnikówny, ba! nie tylko wychowanie, ale cały dom; a sam ciągle w Nieświeżu bawił i szczęśliwie trafiwszy na sługi, którym mógł zawierzyć, kiedyniekiedy dojeżdżał do rozmaitych swoich dóbr, dla dowiedzenia się na prędce, co się z gospodarką działo. Tak tedy sobie hulał z bandą albeńską, bądź towarzysząc księciu wojewodzie na łowach, bądź tańcując na często powtarzanych balach zamkowych, bądź wszystkich zadziwiając wykwintnością ubioru. Już za mojej pa-

mięci, bywało, czy na wieczory bachusowe, czy na ś. Karol, czy na inne gale, nikt się naprzód dowiedzieć nie może, jak ma pan Ryś wystąpić; a jak wystąpi, zawsze na nim coś nowego i nieprzewidzianego. To dopiero naśladują go wykwitnisie: bo kto z niego nie brał wzoru, tego nasze szlachcianki i panie nie miały za gustownie odzianego. Zgoła on był twórcą mód nieświezkich. Pinduszki, cośmy wszyscy, zaczynając od samego księcia wojewody, więcej dwóch lat nosili, były jego wymysłem.

Razu jednego, z powodu bierzmowania młodego księcia Hieronima, którego książę wojewoda był bratem i opiekunem, gdy miała być uczta z tańcami w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli jak wystąpi pan Ryś; bo wiedziano, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić, a modnisie nieświezcy, jako to p. Michał Rejten, p. Leon Borowski, p. Piotr Wiazewicz i inni, starali się mieć to, co i on na sobie. Ale starali się napróżno, bo zachowywał sekret najściślejszy, a nie było sposobu jego szatnego podkupić: raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, powtóre, że się go obawiał jak ognia. Otóż nie wiem jakim środkiem ksiądz Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel księcia Hieronima, dowiedział się, ale w sam dzień bierzmowania, że pan Ryś miał wystąpić na wieczorne tańce w botach z najpiękniejszego żółtego atłasu, które na sprzążeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko wyglądały z pod kusego kontusza. Namówić współzawodników w wykwintności, aby w podobnem obuwiu wystąpili, było już zapóźno, gdyż nie wystarczało czasu na sporządzenie tego stroju; ale ksiądz krotochwilny robi następną psotę. Między pokojową szlachtą księcia wojewody był pan Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konsulów rzymskich wyprowadzał swoją procedencję; ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie nieświezkim z ordynarji, którą jej wyznaczył książę, zawsze protektor podupadłej szlachty. Pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej lafy, co ją jako pokojowy pobierał, a przytem że miał piękną rękę, iż jego pismo za istny sztych mogło uchodzić, pisze, bywało, supliki do księcia od poddanych bojarów, żydów i innych podwładnych, z czego także miał siaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę czem mógł wspierał. To był całą gębą poczciwy i szlachetny chłopiec. Od kilku miesięcy jednak szły mu interesa pomyślniej, gdy książę upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu, aby księcia Hieronima uczył formować charakter, przez co też codzienne miewał stosunki z księdzem Szukiewiczem. Nie trudno było nakłonić do figla dziewiętnastoletniego młodzieńca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował. Z namowy więc księdza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne asamble, pan Scypion w przedpokoju między liberją schowany, z kwaczykiem w ręku i z garnkiem peł-

nym dziegciu, czatował na pana strażnika jak wyżeł na dubelta. Wchodzi nareszcie pan Ryś, z miną gęstą, cały lśkniący się od złota i szkarłatu; jedna ręka oparta na karabeli w jaszczur oprawnej, druga przy prawym boku pieści kutas od czapki; łeb do góry zadarty. A tu przy podwojach pan Scypion kwaczykiem bryzg! bryzg! po bótach, że aż zrobiły się pstrokate. Pan Ryś nie wiedząc, co się z nogami dzieje, dalej sobie do sali tak oświeconej, iż jaśniej było niż śród dnia: wita się w prawo i w lewo, i nizko skłoniwszy się księciu, dawaj koperczaki stroić do dam, zaczynając od sióstr książęcych. Wtem słyszy koło siebie śmiech, nie wie co to znaczy; aż JW. jenerałowa Morawska, siostra księcia wojewody, do której właśnie się wdzięczył, odzywa się:

— Mój strażniku, co to koło ciebie czuć dziegieć! Czyż tobie na inne perfumy nie wystarczyło?

Pan Ryś zmięszał się, spuszcza oczy i jak spojrzy na swoje bóty, desperacja! Pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór dbał jak o własną skórę, i tak się zaciął, że słowa jakby skrzepłe z gardła wyleźć mu nie mogły. Nakoniec zawołał:

— Kto mnie ukrzywdził!

A tu wszystkim jeszcze większy śmiech; książę aż płakał ze śmiechu, patrząc na niego. Dopiero pan Ryś rozzłościł się bez miary, i Bóg pamięta, co wygadywał.

— Biada temu — mówił — kto mnie obraził! Z pod ziemi go wydobędę. Jeżeli to się zatai, to jakiem sodalis, choćby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, póki nie trafię na dziegciarza!

Te i tym podobne niedorzeczności prawił; a im więcej się gniewał, tem więcej się śmiano, że aż zaczął trząść się od stóp do głowy, jakby wpadł w niemoc ś. Wita, i zniknął z sali, zawsze odgrażając się na wszystkich, czem nie tylko nie zmięszał kompanji, owszem w trójnasób jej wesołość powiększył. Ale nazajutrz, jak począł robić kwerendy, już nie wiem jakim sposobem, dowiedział się jednak, że to wszystko było sprawą księdza Szukiewicza i pana Tadeusza Scypiona. Do księdza nie było sposobu czepiać się, bo ksiądz nie dobędzie korda, którego nie nosi, tylko za napaść może wystąpić z klątwą, od której krzyżową sztuką, ani młynkiem się nie zasłonisz. Całkowitą więc złość ku panu Tadeuszowi obrócił i na dziedzińcu zamkowym napotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu okropne wymówki jął mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je pokornem sercem i powiedział:

— Ja sam to znam, że młodszy starszego, a prosty szlachcic urzędnika zbytnią konfidencją obrażając, podrwiłem głową i za to najuniżeniej przepraszam. Bo cóż więcej mogę uczynić? Nie jest w mocy mojej cofnąć co się już wykonało. Odpuśćże mnie,

panie strażniku, swawolę, dla miłości Boga; a ja mu uszkodzone buty odsłużę i odmodlę.

Ale na to pan strażnik zapamiętały: — Mnie nie o buty chodzi, ale o śmiech ludzki, coś na mnie ściągnął. Ja twoich modlitw i posług nie potrzebuję: na twoją skórę mam chrapkę. A że ci jej dotąd nie wytatarowałem, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod bokiem pierwszego senatora naszej prowincji burdy nie chcę robić. Ale życzę ci gałganie jak najdłużej trzymać się klamki książęcego dworu i z Nieświeża nie wyjeżdżać; bo dzień, w którym przestaniesz być sługą księcia wojewody, będzie wigilją dnia tego, w którym pięćset łóz dostaniesz.

Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska, ale stara szlachecka krew po jego żyłach krąży.

— Jak ty śmiesz — odezwał się — batogami straszyć szlachcica, co nie twój chleb je? Żeś się wzmógł fartuszkowym majątkiem, to myślisz, że tobie wszystko wolno? A przypomnijno sobie, że twój ojciec karbował ci skórę przy swoich organach, kiedy mój był namiestnikiem kawalerji narodowej, gdzieby ciebie i na luzaka nie przyjęto. Otóż żebym dowiódł, że twoje pogróżki lekce sobie ważę, to lubo kawałka chleba nie mam, zaraz księciu panu podziękuję i ciebie zmuszę byś mi stanął, jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim. A jeśli mi nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moją sławę: tedy plac ostrzelam, ogłoszę ciebie po całej Litwie za infamisa, i choć piechotą, od zaścianka do zaścianka chodząc, opowiem szlachcie, że zaufany w pieniądze, co ci Pan Bóg dał, lepszego od siebie szlachcica batogami straszysz, chleb mu odebrawszy. A wszyscy pójdą za mną, bo w mojej osobie całą biedną szlachtę pokrzywdziłeś!

Pan strażnik porwał się, i ledwośmy przegrodzili od niego pana Tadeusza; a ten w istocie poszedł do księcia, tam padłszy mu do nóg, opowiedział całą rzecz i podziękował za służbę, tłumacząc się, że dobra sława, która składa całkowitą jego ojcowiznę, nie pozwala mu służyć księciu, pokąd nie odwetuje swojej krzywdy.

Nie trudno było panu Scypionowi przekonać księcia tak ćwiczonego w szlacheckich prawidłach. Książę się rozczulił tym uczciwym sposobem myślenia młodzieńca, i na dowód, że jego usługi były mu wdzięczne i pożyteczne, najpiękniejsze świadectwo mu podpisał. Kazał potem odliczyć jemu parę tysięcy, jako deservita merces, z zapewnieniem, iż o losie jego matki pamiętać nie przestanie. A choć przyjął na siebie postać, jakby o niczem nie słyszał, jednak panu Michałowi Rejtenowi powiedział:

— Powiedz, panie kochanku, panu Karolowi, że wiem o wszystkiem i wolałbym żeby się przeprosili; wszakże jeżeli wola spotkać się po rycersku, niech i tak będzie. Kto chce,

niech wojuje orężem, a Panu Bogu zda liczbę, za jaką wojował sprawę: mnie nic do tego. Ale kto ukrzywdzi Scypiona na sławie, zapomniawszy o jego szlachectwie, ja to za moją własną krzywdę poczytam, bo sam jestem szlachcicem; a kiedy kto się odgraża do nahajów, dufając że mocny, to i ja nie słaby!

Posławszy potem po księdza Szukiewicza, powiedział mu:

— Waszeć biedy narobił, panie kochanku; starajże się to odrobić.

Perswazja pana Michała Rejtena, a zapewnie i głos sumienia, przekonały pana strażnika, iż zaniechał myśleć o pokrzywdzeniu pana Scypiona; ale z niecierpliwością czekał wyzwania, bo czując się być upokorzonym, okropnie się zawziął. Nie długo czekał. Pan Scypion udawszy się do pana Borejszy, porucznika chorągwi księcia wojewody, który z jego ojcem kilkanaście lat kolegował, kiedy obaj byli towarzyszami, objaśnił mu wszystko co do najdrobniejszych szczegółów, i uprosił go, aby raczył od niego kulkę zanieść panu strażnikowi. Pan porucznik nie odmawiając tej posługi synowi kolegi, poszedł w poselstwie do pana Rysia. Że zaś miał z nim dawną zażyłość, a do tego był człowiekiem dojrzałym, walecznym i w podobnych wypadkach doświadczonym, nie zaniechał mu przekładać: iżby najwłaściwiej było, żeby pan Scypion, jako go już raz publicznie przepraszał za psotę, tak znowu swe kroki do pojednania powtórzył, do czego ma nadzieję jego nakłonić, byle ze swojej strony pan strażnik dał słowo, że się da przeprosić i wzajemnie przeprosi za nieprzyzwoite wymówki i pogróżki, uczynione z mocnego uniesienia; a potem żeby się uścisnęli, nie dopuszczając wspólnego a ciężkiego grzechu, by za buty, chociaż atłasowe, krew chrześciańska i szlachecka przelewać się miała. Ale pan strażnik kulę przyjął, a o niczem więcej mówić sobie nie dał. Gdy układali się o czas, miejsce i sposób pojedynku, nadszedł ksiądz Szukiewicz. Pan strażnik powitał go lubo z sercem kwaśnem, jednak z powierzchownością dość uprzejmą; ale skoro ten zaczął perswadować, aby niewinnej swawoli, której sam przyznał się być pierwszą pobudką, nie doprowadzał do następstw krwawych, ze zgorszeniem ludzi pobożnych i z obrazą Pana Boga — przerwał mu pan Ryś temi słowy:

— Roboczy z waszeci człowiek, kiedy codzień czytając mszę świętą i odmawiając swoje pacierze, a do tego dozierając księcia hetmanowicza, aby się dobrze uczył, a nie swawolił, i później mogła mieć z niego pociechę rzeczpospolita, jak ją zawsze miała z jego przodków, jeszcze znajdujesz dość czasu, nademną rozciągać nieproszoną opiekę. Chociaż nie czuję się być winnym zdawać przed waszecią rachunek z mych postępków, ale przez grzeczność powiem mu, że mam Scypiona za uczciwego chłopca, choćby dla tego, że mnie wyzwał, tak dalece, iż gdybym miał syna, cieszyłbym się widzieć go we wszystkiem do niego podo-

bnym. Bo co prawda, to prawda. Tem samem, że mu staję, widać że go szacuję; ale żebym się oczyścił od pojedynku przeprosinami, tego się nie doczeka. Co się powiedziało, czy to było dobrze czy źle, to do mnie należy: a jako od urodzenia nigdy z bojaźni nie cofnęło się, co się raz wyrzekło, tak też nowego trybu życia nie przyjmę, kiedy wiek nieco czuprynę przyprószył. Zatem, mój miły księże, wracaj do swego brewiarza i nie miej obawy, abym ci przeszkadzał go odmawiać mojemi radami.

— Panie strażniku dobrodzieju, wybaczaj, że się do tego nie przyznaję, bym się w cudzą rzecz wtrącał: bo nie tylko powołanie moje do tego mnie zmusza, ale każdy chrześcianin winien ująć się za zniewagę praw kościelnych i boskich. Dość pierwszy katechizm otworzyć, żeby znaleźć, jak Pan Bóg uważa mężobójców.

— Tylko proszę, mój księże, nie uczyć mnie katechizmu. Z łaski Pana Boga i świętej pamięci ojca mojego umiałem co potrzeba; a więcej roku przesiedziawszy w nowicjacie, możebym dziś jeszcze kogoś nauczył. Wiem co kapłanowi, a co człowiekowi rycerskiego stanu przystoi. Bić się na wojnie po żołniersku, albo w pojedynku po szlachecku, to rzecz inna; a zdradą kogo kozikiem zakłuć, to znowu inna. Ja dobry katolik, a do tego s o d a l i s, przy łasce Pana Jezusa i Najświętszej Panny w czem się należy nie przeskrobię; wiem że nie Turczyn, nie Żyd, nie pies się pojedynkuje, jeno chrześcianin i szlachcic. Zresztą nie ja wyzwałem, ale mnie wyzwano: a zatem ruszaj sobie ze swojemi kazaniami do pana Scypiona. Wszak nie ten, co jest pod kondemnatą, z niej kwituje, ale ten, co ją otrzymał. A jeżeli pozwolisz mi się wywzajemnić radą, toć życzę, i jemu daj pokój: bo że książę wojewoda waszeci dobrze płaci, to nie na to, byś nas doglądał.

— Więc pan strażnik klątwę za nic sobie ważysz? Przecież i dzieci wiedzą, że czy kto ofiaruje, czy przyjmuje wyzwanie, ten pod klątwą kościelną.

— To już z nowego bicza trzasnąłeś! Szczęście, żeś nie na półgłówka natrafił. A wiedz o tem, że ja twojej klątwy się nie obawiam; a co się tyczy kościelnej, z łaski Pana Boga nadto się wywiązałem kościołowi, by miał mnie od siebie odłączać. Bo gdyby waszeć w chleb kościelny opatrzono na tyle tylko, ilem kościołowi wyświadczył, nie miałbyś już potrzeby bakałarzować. Co się nie mówi by się chwalić, lub jakby się żałowało tego, co się zrobiło, i owszem, da się jeszcze więcej swojego czasu zrobić; ale dla tego, iżby dowieść że bredzisz. Na sam nowicjat wileński, zkąd wychodzili księża trochę większego zdania, niż waszecine, sto tysięcy odkazałem i odliczyłem. Nie z fartuszkowego majątku, jak śmiał szczekać ten śmierdziuch Scypion, do którego to nic nie należy (dam ja jemu fartuszkowy

majątek!), ale z własnej mojej krwawizny. OO. Jezuici nie dadzą zaginąć dla tego, iż nie wierzę, że Pan Bóg chce, abym się zbłaźnił. O to pokój; a niech ksiądz pan, czy pan ksiądz, przyjmując oświadczenie mojej wdzięczności za jego nawiedziny, raczy także przyjąć moją prośbę, by te nawiedziny skrócił, bo nie mam dłużej czasu mu służyć.

I tak księdza odprawił z niczem.

Pan strażnik nie szukał adjutanta na dworze nieświezkim, bo pomiarkował, że żaden z nas nie był rad pomagać przeciw koledze w istocie pokrzywdzonemu, za którym, jak wiedziano, książę nasz pan się oświadczył. Wezwał więc pana Moniuszkę, majora w pułku wielkiej buławy litewskiej, godnego i zasłużonego męża. Ten z panem Borejszą umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz, na obszernem błoniu między Kleckiem a Dunajczycami.

Wielu z nas udało się na to zjawisko, ponieważ pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, byśmy byli świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, mimo siebie puszczając, iż sprawa była z takim, co miał i lwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno, każdy z jednym pistoletem w ręku i z szablą na temblaku. Gdyby ogniste bronie obydwom spudłowały, szabla miała ostatecznie rzecz rozwiązać. Jak się zjechano, broń ponabijano, a zapaśnicy siedli na koń, jeszcze po raz ostatni usiłowano ich pojednać. Ale gdy obaj oświadczyli, że przyjechali na plac boju, a nie na plac umowy, sekundanci rozstawili ich o pięćdziesiąt kroków. Pan Moniuszko przeżegnawszy się, powiedział te słowa: «Protestuję się przed Bogiem i przed wami bracią szlachtą, że nie z powodu jakiej niechęci przeciw panu Scypionowi, ale dla tego pomagam tu w. strażnikowi Rysiowi, iż on będąc wyzwanym, a nie wyzywającym, żądał po mnie tej rycerskiej posługi, której jako szlachcic i żołnierz przyjacielowi odmówić nie mogłem; a do ostatniego momentu miałem nadzieję strony do zgody nakłonić, jako biorę was wszystkich za świadków, iżem ku temu żadnej usilności nie zaniedbał. Gdy przeto przychodzi do bitwy, do której końca asystować winienem, proszę was o przyczynę do Pana Boga, aby nie obciążał sumienia mojego tą krwią, co się dziś przeleje.»

A pan Borejsza, także przeżegnawszy się, do nas tak przemówił:

— Lubo jestem obrońcą strony wyzywającej, protestuję się przed Bogiem i wami bracią szlachtą, że jeżeli wpływam do tego pojedynku, to nie przez brak miłości bliźniego, ale owszem żeby dopomódz synowi nieboszczyka, mego kolegi, który został skrzywdzony. A że mimo przekonania o słuszności jego sprawy, nie wprzód dopuściłem pojedynku, aż wyczerpawszy wszelkie godziwe środki do pojednania stron; zatem upraszam

was wszystkich tu przytomnych, abyście za mną złożyli świadectwo na ostatnim sądzie, teraz zaś westchnęli przynajmniej do Pana Boga, iżby mi mojego uczestnictwa za ciężki grzech nie poczytywał.

Potem za danym znakiem obaj zapaśnicy przeżegnawszy się, czwałem na siebie natarli. Bitwa i przez jedno Zdrowaś Marjo nie trwała. Bo gdy bezskutecznie dawszy ognia z pistoletów, do pałasza się porwali, pan strażnik został draśnięty po ramieniu jakby piórkiem; ale jak palnął szablą na odlew po ręku pana Tadeusza, ręka mu z pałaszem padła na ziemię, i on sam w kilka chwil omdlały z bolu, powalił się z konia. My wszyscy pobiegliśmy mu na ratunek z lekarzem, którego mieliśmy z Klecka na każdy wypadek. Ledwośmy go ocucili, że trochę przytomności odzyskał, i zawieźliśmy go do Klecka z obandażowaną raną, by tam ulokować u lekarza, który się podjął, już nie rękę mu wrócić, bo ta aż w dzień ostatecznego sądu wróconą mu będzie, ale choć przy tak ciężkiem kalectwie życie mu zachować.

Ile dotąd gorszył nas pan strażnik swoją zaciętością, tyle nas zbudował potem czułem sercem. Jeszcze na placu załamywał sobie ręce z żalu, a ukląkłszy przed biednym Tadeuszem, z oczami zalanemi łzami błagał go, by mu odpuścił swoje nieszczęście. Później osiadł w Klecku u lekarza, i póki trwała niemoc pana Scypiona, o krok go nie odstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pachołek. Gdy nareszcie do zdrowia przyszedł (jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo, które ubogiemu szlachcicowi wszelki sposób do życia odejmuje), zabrał go z sobą na wieś do swojej córki, tam go z nią zapoznał i po kilku tygodniach powiedział mu jednego razu:

— Słuchaj, panie Tadeuszu! Ja ci rękę odciąłem, a Bóg świadkiem, że mojemi obiema chciałbym ci tę jedną wynagrodzić, bo krzywda twoja cięży na mnie jak kamień młyński. Ale przyjm w restytucji rękę mojej córki i zostań moim synem. Byłem ubogi jak ty, kiedy jej matkę wziąłem, a przecie daj jej Boże być z tobą dłużej, ale nie więcej szczęśliwą, tylko ile ona była ze mną.

I nie dawszy mu czasu odpowiedzieć, zawołał córkę, oświadczając jej swoją chęć. Panna strażnikówna że była po chrześciańsku wychowana, wiedząc iż głos rodziców jest głosem bożym, i że wielkie błogosławieństwa spadają na dzieci spuszczające się w postanowieniu swojem na ich wolę, odpowiedziała skromnie, że jak dotąd nie sprzeciwiała się rozkazom ojca kochanego, tak nigdy sprzeciwiać się mu nie będzie. Nie wiele ją ta uległość kosztowała, bo pan Tadeusz, lubo pozbawiony ręki, i sercem i głową i urodą swoją łatwo mógł się podobać. Na tak pochlebne oświadczenie padł on do nóg przyszłemu ojcu swojej narzeczonej, a kilka niedziel ledwo upłynęło, zostając szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, został z chudego

pachołka spadkobiercą jednego ze znaczniejszych na Litwie majątków.

Huczne były zaślubiny, które książę wojewoda zaszczycił przytomnością swoją ledwo nie z całym Nieświeżem. Pan strażnik dzieciom odkazał wielką część swoich dóbr i lat kilka patrzał na ich powodzenie. A gdy przyszła na niego kolej wszystkim ludziom przeznaczona, uległ temu prawu ogólnemu z przytomnością i zaufaniem w miłosierdzie Boga, bo do wieczności i długo i dobrze się gotował. Po jego śmierci reszta dostatków spadła na zięcia i córkę. Jednak za życia swego jeszcze miał pociechę widzieć sypiące się zaszczyty na pana Tadeusza Scypiona, bo kiedy mu dawał ostatnie błogosławieństwo, zostawił go już starostą sądowym lidzkim i kawalerem orderu świętego Stanisława.

XXII.

STANISŁAW RZEWUSKI.

Powszechnie wszyscy o nas mówią, że jesteśmy lekkomyślni, że się nam nic nie wiedzie, dla tego, iż wielomówstwem ciągle ostrzegamy naszych nieprzyjaciół, i że żadna tajemnica między nami się nie utrzyma. W każdej bajce jest prawdy połowa, ale połowa tylko, więc wszystkiego wierzyć nie trzeba. Rzecz pewna, że towarzyskość naszych obyczajów na wielkie niebezpieczeństwo naraża języki nasze, bo po prawdzie powiedziawszy, gawędka jest nam całą rozrywką w chwilach wolnych od zatrudnień. Szlachcic zajmuje się gospodarką, bo taki Pan Bóg przykazał, aby o dzieciach pamiętać, by nie chodziły bez obuwia. Ale jak się namozoli, natupta, nadrepce — czemże się rozerwać? Czytać? Nie każdemu mieć biblioteki, a chociaż i znajdzie się jaka książka, czytać, to i rozrywka i trud razem; a człowiek czasem wprost czystej rozrywki potrzebuje. Ogród? To pańska rzecz, nie szlachcicowi w tem się kochać. Cóż tedy robić?

Byłem razu jednego na Szlązku, kiedy to mnie wzięła ochota popróbować, czy się nie uda zarobić na wołach. Jakoż po prawdzie powiedziawszy, nie straciło się, bo tak i koszt podróży się wrócił, i coś się wywiozło dla oporządzenia domku, i żonie w gościńcu się dostało kilka niemieckich fraszek, i z siakim takim procentem grosz tam wrócił; ale to nie warto podjętych za tem mozołów. A człowiek rad, że wyszedł na swojem, i trochę świata obaczył. Poprzestał na tem i drugi raz nie chwytał się tak niespokojnego chleba.

Otóż w Namysłowie na kiermaszu poznałem się z jednym

tamecznych stron możnym obywatelem, który mnie widząc w kontuszu, sam szukał ze mną znajomości, a to z powodu, iż prozapję swoją z Polski prowadząc, rad był się dowiedzieć o imiennikach w niej pozostałych. Na moje i jego szczęście mogłem mu dać objaśnienie, jakiego żądał. Bo on wyprowadzał się z domu Putkamerów, a dom ten w Nowogrodzkiem osiadły, był mi dobrze znajomy, kiedy to jeszcze kratek pilnowałem; a miałem z nim nawet i swojactwo przez moją żonę. To wszystko opowiedziałem. Mówił trochę po polsku, zwyczajnie jak Szlązak, ale po łacinie jak się należy. Ucieszył się, iż jego krwi dobrze na Litwie się powodziło, i zaprosił mnie do swojego zamku pod samym Namysłowem. Ja mu służyłem, raz, że sama grzeczność nie pozwalała odmówić, a powtóre, byłem rad odpocząć, tem więcej, że koniaki mi się pochorowały. Lubo jego gościnność nie była zupełnie taka, jak u nas, co to gospodarz ledwo sam siebie nie usmaży, aby gościowi dogodzić; nie mogę się jednak skarżyć, iżby wedle jego obyczajów na pół zniemczałych, bo taki podobno już był zlutrzał, nie był dla mnie wylanym.

Oprowadzał on mnie po swojem gospodarstwie i znał się na niem, bo wedle ich zwyczaju, to był dobry gospodarz. Podobało mi się, że dawna polska natura ich nie opuszcza. Pilnuje roli, nie tak jak zupełni Niemcy, co ziemię swoją w dzierżawę puszczają, a sami w kamienicach siedzą, rynku pilnując, jak zwyczajnie Niemcy. I tak więcej tygodnia u niego bawiłem. Jeszcze to widząc mnie porządnie ubranego, z pasem litym, a szczycąc się, iż z polskiej krwi pochodzi, wymówił się, z wielką jednak delikatnością, że mój ubiór bardzo mu się podobał, i że bardzo byłby szczęśliwy, mieć całkowity strój polski na pamiątkę swojej procedencji. Mnie ruszyła ambicja, żem nie tandetnik, abym odzieniem handlował; prosiłem go, aby raczył odemnie przyjąć ofiarę z mojego ubioru, gdyż do domu wracając, nowych znajomości robić nie myślę, a tylko o takie dwory kołem zaczepić, w których mi będą radzi, choćbym i w kapocie się stawił. Jakoż nazajutrz z rana, przepraszając iż mu atencję moją oddaję w kapocie, wręczyłem mu, co tylko dnia poprzedzającego miałem na sobie. I chociaż pas słucki do tysiąca złotych mnie kosztował, rad byłem go przekonać, że kiedy potrzeba, my się nie rachujemy, i że jego chleba nie darmo jadłem. A lubo z mojej strony to była ofiara, więc nie bez jakiejś przykrości; takem go widział uszczęśliwionym z mojego upominku, że ażem się ucieszył z myśli przysłużenia się jemu. Że był podobnej mnie tuszy, zaraz chciał się po polsku ubrać, do czego mu pomogłem i wyuczyłem jego sługę, jak pas ma jemu zawiązywać. Dość, że cały ten dzień chodził w mundurze województwa nowogrodzkiego, jakby nasz obywatel, chociaż

u Niemców był baronem. Ale tego samego dnia oprowadzając mnie po swojem gospodarstwie, a zaszedłszy do obory, która jakby jaki pałac wyglądała, wybrał dwanaście najpiękniejszych krów i buhaja, prosił mnie, bym to przyjął na pamiątkę. Ja mu się wymawiał, że nie z pretensji żadnego obdarowania odstąpiłem mu moją starzyznę; ale on mnie tłómaczył, że jako od koligata jego krwi nie wahał się przyjąć odemnie, co mu tyle jest szacownem, że więc sama słuszność każe mnie uprzejmie przyjąć, co mi z dobrego serca ofiaruje. Jakoż przekonał mnie, iż nie było na swojem miejscu upokarzać go, okazując się zbyt twardym. Czule podziękowawszy, z moimi ludźmi odesłałem bydełko mojej Magdusi, która i kochała się w bydle, i na niem się znała. A sam jeszcze kilka dni zostałem, póki konował przy zamku mieszkający zupełnie nie wyleczył mi konie.

Otóż więcej tygodnia bawiąc w zamku okazałym, u tak możnego obywatela, oprócz domowników żywego ducha nie widziałem, chociaż sąsiadów miał mnóstwo, bo tam magnat chyba ma tyle ziemi, ile u nas zamożny szlachcic. To mnie mocno zdziwiło. Jak można, pomyśliłem sobie, takowe życie prowadzić, wszystko mieć do przyjęcia ludzi, a nie żyć z niemi. U nas by obywatel zwędził się z nudy, a on się nie nudził. Miał on wielką bibliotekę, ledwo nie tak obszerną, jak JW. podkanclerzego Chreptowicza w Szczorsach, a prócz tego zbiory różnego gatunku. To jakieś kwiatki zasuszone w papierach, to robaczki szpileczkami przekłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce wszystkie, jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanję do Najświętszej Panny, że ani się zatnie, choć tego mnóstwo; bo on to wszystko mnie pokazywał i tłómaczył. Więc kiedy się napracuje w polu, że już mu rozrywki potrzeba, to swoje drobiazgi przeziera, przeczyszcza, przekłada, i tak mu czas schodzi. A jak mnie mówił, każdy prawie u nich możny obywatel ma podobne rupiecie i niemi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba, aby czas schodził. My szlachta podobnych rupieci u siebie nie mamy, ni się znamy na nich, a cała nasza zabawa z ludźmi obcować. Kiedy który z nas dorobi się, że aż przyjdzie do własnej wioszczyny, jako zwykle, w niej dworu nie zastaje, zaraz go stawi nad folwarkiem, ale tak, żeby z okna na gościniec mógł patrzeć, by wyglądać, czy kto nie łaskaw nawiedzić; to kiedy spostrzega, że z daleka kurz się podnosi, ledwo serce nie wyskoczy z radości, że może ktoś o nim nie zapomniał. A kiedy nadzieja nie zawiedzie, to dopiero szczęście! Przyjmuje się łaskawcę, oprowadza się go wszędzie, pokazuje się mu stajnie, popisuje się przed nim swoją pracą, wypije się z nim, a nagawędzi się, że ledwo się nie rozbeczy przy pożegnaniu. Kiedy dusza się wylewa, trudno żeby czasem co i nie wymówiło się, bo serce do ust gwałtem się przedziera. Ale było na to lekarstwo, aby jaka ważna rzecz się

nie wypsnęła. Za dawnych czasów, kiedy się któremu z nas co powierzało ex publicis, wymagano zaraz przysięgi na dochowanie tajemnicy. A jak kto się związał przysięgą, to choć mu język zaświerzbi, zaraz mu staje przed oczyma straszny sąd boży; a gdy człowiek zastanowi się, jak tam i piecze i kole, tak mu zaraz język świerzbić przestaje. Kiedy się w Częstochowie ukartowało, aby króla Poniatowskiego porwać z Warszawy, co potem pan pułkownik Łukawski gardłem przypłacił, więcej trzechset nas było w zmowie; ale żeśmy przysięgli sobie wzajemne milczenie, tak się ono dochowało, że aż dotąd nawet całkowity ten wypadek tajemnicą jest pokryty. Panom Łukawskiemu i Strawińskiemu życie obiecano, jeżeliby wydali, kto ich namawiał i do tego namawiał; woleli być straconymi, niż kogokolwiek pociągnąć, bo przysięga nie fraszka. Wszystko to dawno minęło; już i to wszystko, dla czego się robiło, przeżyliśmy, a przecie pomimo tylu, którzy w to chodzili, nic się dotąd nie objaśniło, bo co piszą o tem ludzie, to tylko same są domysły. Teraz ostatnim będąc z żyjących, co do tego należałem, napiszę zkąd wyszła pierwsza myśl tego; a może kiedyś i cały wypadek opiszę, raz, że nie mam się czego wstydzić, bo przez to nie minąłem się z obowiązkami obywatela; powtóre, radbym oczyścić pana Kazimierza Puławskiego, starostę wareckiego, z najmniejszego podejrzenia, krzywdę tak znakomitemu mężowi przynoszącego.

Po naszej porażce pod Oborną, gdzie pan Szyc odbił pana Puławskiego, już w rękach dońców będącego, tułaliśmy się w niepołomickiej puszczy jakby jacy rozbójnicy. Było nas trochę więcej od tysiąca niedobitków, ale sama rdzeń Konfederacji barskiej. Zaszliśmy aż w głąb puszczy i tam oszańcowawszy się zasiekami, założyliśmy nasz obóz. Porozpalaliśmy ogniska, tak, że szpilki można było zbierać po ziemi, chociaż noc była ciemna. Ale że już to było w późnej jesieni, deszcz, wilgoć; ogień więc ten ledwo nas dosuszył, a tak byliśmy znużeni, że duch tylko nas pokrzepiał, a członki ledwo się ruszały. Nam nie żal było cierpieć, ale mój Boże! serce się krajało, widząc naszych panów do zbytków i miękkości nawykłych, leżących na błocie.

Ksiądz Marek siedział na kłodzie i modlił się z brewiarza przy świetle ogniska; a na drugiej kłodzie siedział pan Kazimierz Puławski zamyślony i drążkiem dłubał w ognisku, jakby się tem bawił, a jego myśli o sto mil były od niego. Obok księdza Marka na tej samej kłodzie leżał na wpół, na łokciu oparty, JW. Rzewuski, chorąży wielki litewski, jeden z regimentarzów jeneralnych naszej barskiej Konfederacji, i stękał, bo rana, co ją był dostał w nogę przy zdobyciu Krakowa, dokąd nas prowadził, a która nigdy zupełnie się nie zagoiła, odnowiła mu się była i wielkie mu czuć dawała boleści, rozdrażniona takiemi

niewygodami. Każdy z nas rad był mu swojego zdrowia ustąpić, bo to był wódz dobry, żołnierz śmiały, a do tego pan z rzadkiem sercem, z wielkim dowcipem i skromnością. A przy nich i inni siedzieli i zabierali się do spoczynku. Ksiądz Marek, widząc JW. chorążego cierpiącego, obwinął mu nogę w swoją opończę, a sam w habicie tylko siedział. Ale to jemu bolu nie zmniejszyło, stękał coraz mocniej, a nakoniec się odezwał:

— Oj boli! Kto w Boga wierzy, dobij! bo więcej nie wytrzymam. Księże Marku! jam patrzał na twoje cuda: zrób żeby mnie noga nie bolała; większą u Boga mieć będziesz zasługę, niż za swój brewiarz.

— Poradzić ci nie mogę, panie regimentarzu; wola Pana Boga, byś cierpiał.

— Otoś mnie pocieszył, księże Marku. A co ja Panu Bogu winien, by się nademną nędznym pastwił?

— Nie bluźń, mości chorąży, ale wchodź w boskie rozporządzenia, ale ufaj, że one zawsze są sprawiedliwemi. Oj! gdybyście mogli pojąć, jaka jest potęga w cierpieniach, nie tak bylibyście niecierpliwi. Kiedy bydlę się męczy, mnie żal, bo nienagrodzonej doświadcza krzywdy; ale człowiekowi kiedy Pan Bóg cierpienie posyła, daje mu wielki skarb, byle z niego korzystał. Uderz się w piersi, panie regimentarzu, a wyznaj, że chociażeś godny ze wszech miar, nie bez tego, byś nie miał coś do przemazania w rachunku twoim z Panem Bogiem. Teraz cierpisz na ciele, a może kiedyś za nadto mu dogadzałeś; twój spowiednik lepiej wie, a coś tylko nabroił, djabeł natychmiast na swojej karcie zapisał; a jak cierpisz, to mu mażesz robotę, że przy śmierci karta będzie biała i już nigdy cierpieć nie będziesz. Chorąży dobrodzieju! gdybyśmy tu tylko mieli żyć z sobą, na pazury brałbym, by szanownemu regimentarzowi ulżyć bole; ale że tuszę, iż zawsze będziem z sobą mieszkać tam, gdzie szczęście niczem się nie przerywa, mniej się o jego zdrowie frasuję, bo nie długo będziesz mnie przypominać, jak dobrze wyszedłeś na tem, że póki byłeś na ziemi, pocierpiałeś trochę.

— Oj trochę! Nie daj ci Boże takiego trochę, co go doświadczam, a czego, chwała niech będzie Najwyższemu! nigdy doświadczać nie będziesz, bo ciebie księże ni kula, ani spisa nie chwyta. Sam nieraz widziałem, jakeś lazł, gdzie każdemu innemu aż nadto było łatwo po kościach dostać; a tam byłeś bezpieczny jak na ambonie. Ja wiem że za grzechy pokutować trzeba, ale czyż koniecznie tak, żeby szynami żelaza rozpalonego od golenia do pięty przypieczono? Bo takiego rodzaju mój ból. Niechno mnie się noga wygoi, a ja dobrowolną przyjmę pokutę, jakby jaki zakonnik. Modlitwy, posty, dyscypliny nawet, wszystkiemu się chętnie poddam.

— Tak, tak, każda pokuta się przyjmie, oprócz tej, którą Pan Bóg sam posyła. Wiesz, panie chorąży dobrodzieju, że nie pomyśliwszy, odezwałeś się, bo jak sam wybierzesz pokutę, chociaż najtwardszą, to jeszcze zadanie: przyjmie ją li Bóg lub nie przyjmie? A ta, którą on sam posyła, bez najmniejszej wątpliwości jest dlań miłą. Ale dotąd mówiłem z tobą, Jw. chorąży, jako z chrześcianinem i człowiekiem; teraz dozwól, niech się odezwę do regimentarza jeneralnego naszej Konfederacji. Kochasz ziomków, służysz im z takiem poświęceniem, a cierpieć dla nich nie chcesz?

— A już to za nadto, księże Marku! Od ciebie pierwszego taki zarzut słyszę, a nikomu innemu tegobym nie dał sobie powiedzieć. Ja za swoich cierpieć nie chcę? — Ja! A któż dla nich odemnie jest większym męczennikiem? A gdybym ich chciał odstąpić, czyżbym nie żył w dostatkach spokojny? Ojciec i brat jęczą w niewoli, od pięciu lat żony nie widzę, dzieci rozproszone po całym świecie, majątek złupiony. A całe moje życie jakież było, odkąd ze szkół wyszedłem? Nastąpiła Konfederacja nieświezka, ja się biję; ona rozwiązana, a ja na banicję wskazany, tułam się po dżumach po Tureczczyźnie; wracam do ojczyzny i obce więzienie w niej znachodzę. Konfederacja radomska mnie uwalnia, a tu mi ojca w kajdanach wleką. Konfederacja barska się zawiązuje, a ja byłem z pierwszych, co się na nią podpisali, i jak widzisz, szósty rok się biję i rany dostaję. Ty księże, co wszystko wiesz, wiesz i to, ile krwi i łez dla ojczyzny lałem: czterdziestu lat nie mam, a biedą i zgryzotami tak zgrzybiałem, że na starca wyglądam. A Bóg świadek, że moje wytrwanie nie z żadnych płonnych nadziei pochodzi, bo znam dobrze, że z tego nic nie będzie; ale co się robi, robi się aby ojczyznie z długu się wywiązać. Nie żal by cierpić i nadal, choćby za grzechy, których tak wiele jest; ale pozwól na ból popłakać, bo jużcim nie z żelaza; a drugi raz mi nie mów, że w świętej sprawie cierpieć nie chcę, boć to zarzut boleśniejszy, niż wszystkie moje cierpienia.

— Odpuść dla miłości Chrystusa Pana, panie regimentarzu dobrodzieju, żem cię obraził mimowolnie; ale ile mnie to pociechy przynosi, żeś się tak obruszył na samo wspomnienie, że nie chcesz dla ojczyzny cierpieć. Tak dzielni mężowie dla potomków swoich wyrobią pomyślne czasy, chociaż ani sami, ani ich dzieci, ani ich wnuki nawet z nich cieszyć się nie będą. Ale co za dziwne to pokolenie, dla którego pracujem! To będą olbrzymy. Gdybym nie wiedzieć jak wam tłumaczył, nie zrozumiecie, do jakich dzieł Pan Bóg ich przeznacza, i dla czego wszystko jest tak związane, że ojczyzna musi skonać i po drugi raz się odrodzić, ażeby oni swojego powołania dopełnić mogli. Oni będą więksi od was, a przecie wy będziecie wzorem dla nich, a wasza pamięć będzie uwieńczona, bo Pan Bóg wzbudzi

wieszczów, którzy wygrzebają was z zapomnienia i wystawią was jakimiście byli w istocie. Na tych wieszczach nie poznają się z razu, a oni będą zwiastunami rozwiązania długo brzemiennego czasu. Ale wielcy wasi potomkowie będą ich czytać z uniesieniem. Panie regimentarzu! nie wątp o mojem przywiązaniu; źrenicy oka mojego tyle nie miłuję, ile ciebie. W mojej rubryceli wyczytasz imię Stanisława Ferdynanda, bo zawsze za ciebie się modlę, jako za wielu współczesnych, za których powodzenie częste Bogu czynię ofiary. A obok tych imion znajdziesz niemniej innych, co już swoje odbyli, a dla których wiecznego odpoczynku błagam. Są tam przytem imiona tych, którzy się jeszcze nie urodzili, a dopiero za lat kilkadziesiąt się pokażą, ale których mnie Pan Bóg objawił, żem ich widział jak na mojej dłoni. Co to będą za nadzwyczajni ludzie! A ja zawczasu za się modlę, bo im człowiek większy, tem więcej modlitw potrzebuje. Przyznaj, panie chorąży, że jakem myśl twoją podniósł do przyszłych czasów, których pomyślność w ciemnym tylko sposobie odkryłem, już ci ból stał się znośniejszym, a przecie — —

Tu wpadł ksiądz Marek w zachwycenie i dwa strumienie łez zaczęły się mu sączyć po jagodach. A my milcząc patrzali tylko na niego, bo coś było w nim takiego, że nie można wątpić, iż on święty człowiek z Panem Bogiem rozmawiał. Kiedy mówił, my zapominali o dolegliwościach naszych, a nie tylko my, cokolwiek okrzesani, ale i prostaczkowie nawet, co podzielali nasze trudy, leżąc na przemoczonej ziemi, głowy podnosili, by go słuchać, i mówiłby do białego dnia, a żaden nie zasnąłby. Skrzepłe dopiero członki rzeźwiły się jakąś siłą niewiadomą; radziśmy byli odnawiać boje, by odwetować przegrane, albo twardsze jeszcze pociski znosić dla szczęścia tych prawnuków, o których ksiądz Marek wspominał, a których nie znając, miłowaliśmy; bo to będą nasi mściciele, krew z krwi i kość z kości naszych. Ten sam duch, to samo uczucie i ich będzie ożywiało. Jako obywatel nie samoistnem życiem, ale wspólnem wszystkim obywatelom, tym nawet, co się jeszcze nie urodzili, oddycham. Tego wspólnego życia umierając, żaden z nas nie traci, rozszerzywszy je w sobie ofiarami, pracą, krwi przelewem, cierpieniami, choćby tylko ciągłem o ojczyźnie myśleniem, złoży go do coraz zwiększającej się skarbnicy. A niektórzy z nas haniebnie odstępują; im ściślej się kojarzą z zabójcami, im zupełniej zaprzedają się, tem więcej wyrabiajmy w sobie to czucie, które nam Pan Bóg powierzył, byśmy je wypiastowali, a z którego trzeba mu będzie złożyć rachunek.

Po kilkogodzinnym spoczynku obóz na nowo przybierał postać ruchu i czynności. Pieśń Bogarodzicy już powitała była nadchodzące zorze, słyszeć się dawały rżenia rozweselające obozy, z troków już były poobdzielane obroki dla wiernych to-

warzyszy, a kiedy jeździec swojego konia nakarmi, jemu samemu nędza wtedy znośniejsza.

Zowiesz się polską królową —

śpiewali pancerni,

Bądź nam obroną gotową,

odpowiadali husarze. A wodzowie siedzący na kłodach na nowo rozmawiali z sobą przy ognisku. Blizko regimentarzów wielu siedziało lub leżało na ziemi, radzi się im przysłuchiwać. Byli tam nasi Litwini: pan Józef Kiersnowski, pan Juljan Staniewicz i pan Korsak, porucznik Potyhorców, starzec w boju nieustraszony, a który mnie kochał jakby rodzonego syna; był pan Szyc, jeden z najlepszych kawalerzystów nawet między nami, i pan Dzierżanowski, smutny, obwinięty w burkę, siedział nieruchawy, bo pod Oborną prawie cały jego pułk został zniszczony; i pan Cyrjak Potocki, co go tytułowano starostą żydaczewskim, lubo w rok nie spełna po wstąpieniu króla Poniatowskiego odsądzili go od niego z powodu, iż on miał sobie to starostwo odstąpione darem od Bruhla, cześnika koronnego, a że sejm koronacyjny nie przyznał panu Bruhlowi szlachectwa, więc i posiadanie starostwa i jego ustępstwo za nieprawe uważano. To do ostatniego stopnia rozdrażniło naprzeciw króla pana Cyrjaka, który oprócz tego dawne z nim miał zatargi. Jeszcze to się zaczęło, kiedy za króla Sasa pan stolnik Poniatowski, będąc posłem mazowieckim, zerwał sejm dla uciśnienia pana Bruhla, na którego dworze był pan Cyrjak, a że do wielkiego przywiązania do swego pana łączył dziką odwagę, wyzwał był na pojedynek pana stolnika, a jego nie doczekawszy, plac ostrzelał. Otóż ten pan Cyrjak, który był konsyljarzem Konfederacji, lubo więcej w boju, niż w radzie popisywał się, broń swoją czyścił, siedząc na ziemi przy kłodzie, na której siedział pan chorąży Rzewuski. I innych kilku było w tem gronie, między których wcisnąłem się, by się przysłuchać, co starsi mówią. Jakoż ani słówka nie straciłem i tak to zachowałem w pamięci, że teraz z niej na starość wszystko jak z kłębka wysnuwam.

— Patrz, panie Kazimierzu — odezwał się do pana Puławskiego pan Rzewuski, chorąży wielki litewski, nieco uspokojony, ale jednak cierpiący — co to my znosić musimy z łaski tego czartowskiego pomazańca, który swojego dziada pokazać już nie potrafi, a któremu się uroiło, nad nami starożytną szlachtą panować. My tu leżym, tu, gdzieby myśliwy poczciwego psa nie położył; a ten pieczeniarski syn wylęga się gdzieś na pu-

chach podobnych jemu panów jego rady, co mu za chleb rzeczypospolitej swoje własne żony zadzierżawiają. A nic łatwiejszego jak tego babiarza na nasze gody zaprosić.

— Djabła tam, panie Stanisławie! On słyszę w Warszawie tak osaczony, jak obraz cudowny w czasie odpustu.

— Nie wierz waćpan temu, panie Kazimierzu! Ja wszystko własnemi oczyma namacał; nie jest to lis tak ostrożny, aby go od jadźwiny nie oderżnąć. Wszak nie najdawniej byłem w Warszawie.

— Ale, ale! Dobrze że o tem wspominasz mi, panie regimentarzu, bo bijąc się ciągle, nie miałeś czasu o tej twojej podróży mówić. Teraz ku temu pora: opowiedz, panie regimentarzu, jakeś ją odbył i jak tam było?

— Wszak wiesz, panie Kazimierzu, że najstarszy mój syn w konwikcie u Jezuitów. Otóż stojąc pod Kozienicami, nimeś przybył nad nami objąć dowództwo, byliśmy w zupełnej nieczynności Ja się bić chciałem i oto się spierałem z panem Zarembą; ale ten mnie pokazał wyraźny rozkaz od jeneralności, pokąd jenerał Demulier nie przybędzie. Jego nie doczekaliśmy się, a tylko czasu nakwasili. Razu więc jednego przyśniło się mi, że mój chłopiec obłożnie zachorował: takem się nafrasował, że bądź co bądź, postanowiłem sobie go nawiedzić. Przebrałem się w starą opończę jako szlachcic z zagrody, o służbę starający się, i puściłem się samopas piechotą do Grojca. Tam zaszedłem na przedmieście do czynszowego szlachcica, prosząc go, by dla miłości Pana Boga na noc mnie przyjął. Gospodarz gościnny, chociaż ubogi, był mnie rad, i lubo nieznajomego, gorzałeczką poczęstował, prażuchami z słoniną nakarmił i pozwolił mi przespać się w swojej izbie na słomie. A jakkolwiek bądź, sześć mil gościńca piętami nabiwszy w jednym dniu, uczułem że jego przyjęcie było mi lepsze nad wszystkie biesiady nieświezkie. Ale nim spać się pokładliśmy, bawiliśmy się jeszcze gorzałeczką i gawędką, bo szlachcic, co i po klasztorach kiedyś sługiwał i lat kilka furmanką się bawił, miał o czem mówić. Wymówił się jakoś, że skoro świtać zacznie, on z żoną i z podkarmionemi gęsiami na fornalce parokonnej puści się do Warszawy. A ja mu przerywając:

— Ach, tatku! ach dobrodzieju! zabierz mnie z sobą, azaliż przy wpana szczęściu służby tam nie znajdę dla siebie.

— Panie bracie — odpowiedział szlachcic — to nie lada sprawa: moje haety mizerne, a jak na furę trzy kojce pełne nałożę, a do tego moją babę, co ją, jak widzisz mospanie, porządnemi połciami Bóg opatrzył; to ja całą drogę piechotą iść muszę, bo i bezemnie tego nadto, że aż konie noga za nogą wleką towar. A gdzie waści umieszczę? Jabym rad dogodzić, ale jest nad czem głowę sobie podrapać, jakby to zrobić, żeby i wilk syty i koza była cała.

Poczciwą miał twarz stary, że można było mu się powierzyć i miałem pokusę dobyć z zanadrza parę złotych brzęczączek, aby żydka z końmi najął dla mnie aż po pod Warszawę. Ale wstrzymałem się, bo taki djabeł nie śpi, a coś imość przebąkiwała, że król przez Grojec przejeżdżał, że jej chłopca głaskał, że bardzo król piękny i że nie pojmuje, czego od niego chcą konfederaci. Wszak wiesz, panie Kazimierzu, że wszystkie baby za niego duszę by oddały. Żeby cię pomsta wzięła, przebrzydła czarownico! pomyśliłem sobie, tu trzeba być ostrożnym, bo chociaż gospodarz lepiej o nas trzymał, jakoż był nawet ofuknął żonę, mówiąc:

— Co waspani znasz, to nie gęsi karmić; żeby to było nic potem, toby do tego nie należał pan Załuski, starosta grojecki, z którego łaski grzędy kopiem.

Ale pomimo tego widać było, że go imość osiadła, więc nie chciałem wpaść w podejrzenie, po pańsku występując; bezpieczniej było chudopacholstwa się trzymać.

— Panie ojcze! — odezwałem się — jeżeli waćpana łaska, łatwa rada: imość z kojcami na fornalce, a ja z waćpanem piechotą przy koniach.

— Toćby to było nie źle, ale moją imość znają u rogatek, bo co dwie niedziele popod niemi przewozi drób, albo ze mną albo z sąsiadem. Ale jak dwóch obaczą przy koniach, co nigdy nie bywało, żeby nie wpaść w podejrzenie, bo teraz czas niespokojny: a jak zatrzymają, żeby opytać zkąd, dokąd i po co? Bo to wszystko teraz bywa. Żeby to waszeć miał i o czem czas tracić, toby parę dni tłumaczyć się o swoim chlebie, nie byłoby wielkie święto, bo na waszeci czapka nie gore. Ale jak uważam, panie bracie, nie wiele musisz mieć grosiwa przy duszy; niech cię to nie obraża, bo z tem się nie taisz, że szukasz kawałka chleba przy opończy nie najnowszej. A i my nie wiele od waszeci bogatsi, nie swojem, ale kupnem ziarnem drób karmimy, bo całe nasze gospodarstwo ogród, a cały majątek dwa podjezdki. Zestarzeliśmy się z żoną, krwawo pracując, a nie możemy przyjść do cynowego naczynia, jak to po szlachcie bywa, ale na glinie z drewnianych łyżek jemy jak chłopi. Co mamy się taić; wszak to widzisz, czy się co zarobi, czy straci, nie pytają, a co roku i czynsz trzeba zapłacić i dyrektorowi, co chłopców uczy, żeby kiedyś na ludzi wyszli, a Bóg świadek że szczerze chcę waszeci się przysłużyć.

Potem naradził się ze swoją żoną w alkierzyku, a jak się pokazało, że kobieta choć za Poniatowskim obstawała, niezgorsze miała serce, bo prędko konferencję skończywszy, wrócił gospodarz do izby i powiedział mi:

— Ciesz się, panie bracie, będziesz w Warszawie jutro; ja choćbym tam rad być, trzeba mi w chałupie zostać. Więc skoro

świt, moja żona z kojcami na fornalce, a waść z batogiem przy koniach piechotą; tylko ich nie zacinaj, bo żona takiego wrzasku narobi, że podróży się odrzekniesz, a na wozie nie siadaj jakby jaki piecuch. A jeśli ci Pan Bóg dopisze, że się w jakim dworze umieścisz, a dobrze, nie zapominaj o Małużyńskim, herbu lis, co ci do tego dopomógł. Ręka rękę myję, jak ludzie powiadają. Bo to u nas tak z dawien dawna. Waćpan dziś się mnie kłaniasz, choć nie ma komu, a ja za rok waćpanu. A jak się kiedyś wzmożesz, bo wszystko u nas bywa, a mnie już nie stanie, pomagaj moim synom. A teraz żonkę ci powierzam, byś mi ją szczęśliwie do Warszawy przywiózł.

I tak, mój panie Kazimierzu, pan chorąży wielki litewski, regimentarz Konfederacji barskiej, orła białego kawaler: pani Małużyńskiej służył za furmana. Ale równy równemu bez hańby służyć może, a choć uboga ona była, jednak tak zacnie urodzona, jak my obydwaj. Przy pomocy Pana Boga trafiliśmy gdzie nam trzeba było. Przy rogatkach ani nas pytano, co za jeden, bo celnicy dobrze się znali z imością. A ja ją odwiózłszy do Żelaznej bramy wedle jej woli, tam ją zostawiłem, obiecując jej starać się o kupca. A sam poszedłem do Kapucynów, moich znajomych i dla mnie wylanych; raz, że ich klasztor w Olesku, naszej fundacji; powtóre, że jak wiadomo, wszystkie u nas klasztory za dobrą sprawą. Ale przez drogę myślałem sobie:

— Oj gdyby mnie poznał jaki bryś z Poniatowskiego psiarni, nie wiem czyja dola byłaby lepsza: czy moja, czy tych gęsi, com ich przywiózł do miasta.

Tak więc obwitawszy się z naszymi poczciwymi brodaczami, poszedłem do Żelaznej bramy z kanafarzem, który mnie od razu poznał, bo bywał w Podhorcach u mojego ojca na kweście, i pani Małużyńskiej przyprowadziłem kupca wedle mojej obietnicy. Brat kanafarz zaprowadził ją z gęsiami do blichu, gdzie blicharz na ustroniu mieszkający ułatwiał wszystkie wydatki klasztorne. A on, co tylko zaceniła, bez targu zapłacił, bo ja to już był ukartował. Potem je pożegnałem, prosząc by się mężowi kłaniała, a dziękując jej za łaskawe przywiezienie. Przez dzień u gwardjana siedziałem, a wieczorem poszedłem do Jezuitów, których nie miałem powodu się obawiać, bo oni nie ustępują Kapucynom w miłości ojczyzny. Jakoż lubo większa ich część wiedziała, kim jestem, i nawet wielu z uczniów, byłem bezpieczny jak w obozie, bo u nas najzacniejsze uczucia w zakonach i w młodzieży. Ucałowałem mojego Adasia; przebyłci on wprawdzie febrę, ale już był zdrów, znacznie podrósł. Co to za piękny chłopczyk, panie Kazimierzu, a jak się uczy! Będzie kiedyś z niego pociecha dla rzeczypospolitej. To ja pięć dni przebyłem między Kapucynami i Jezuitami i po mieście się szastałem, a jakoś Pan Bóg dał, że kto mi był niepotrzebny, ten mnie nie

poznał. Otóż późno nocą wracając do Kapucynów, gdzie był mój nocleg, codzień spotykałem Poniatowskiego w karecie, ale bez straży, że gdybym miał czem, byłbym mu w łeb wypalił, a nikt by się i nie dowiedział, kto mu się przysłużył. I przyznam ci się, panie Kazimierzu i wam kolegom, że tak tego człowieka nienawidzę, że ile razy go spotkałem, jakby jaka pokusa do mnie przystępowała, i żałowałem iżem się nie opatrzył pistoletem pod opończą. Może gdyby jego nie stało, pokój byłby w rzeczypospolitej.

— Czemuś się o to nie postarał? — zawołał pan Cyrjak Potocki, starosta żydaczewski, który to z królem miał osobiste zajścia.*)

— Deus avertat! — wykrzyknął pan Puławski — a tobyśmy dopiero wskórali. To się też z uniesieniem tylko mówi: My przecie szlachta, a nie zbójcy, a co się nie godzi, to się nie godzi.

Tu zacięta wszczęła się sprzeczka: jedni byli za Cyrjakiem, inni przeciwko niemu. Cyrjak chciał przedrzeć się do Warszawy i tam dokonać tego, czego pan chorąży wielki litewski dokonać nie chciał. Zapędy te uśmierzał wymową swoją i perswazją ksiądz Marek, aż nareszcie do nieukróconego niczem Cyrjaka ozwał się pan Puławski temi słowy:

— Panie Cyrjaku! My starzy z sobą przyjaciele, kłócić się nie będziemy, a tylko o ufność proszę. Co trzeba, swego czasu się zrobi; zamiast zbrodniczego odjęcia życia królowi, lepiej go żywcem w nasze ręce dostać i potem nim kierować według naszej woli. A ja wam daję słowo, że jak tylko dojdziemy do Częstochowy, do tego się weźniemy.

Uspokoiły się na te słowa rozburzone umysły, a wtem świtać zaczęło.

— Dosyć tych sporów i gawędki — ozwał się pan chorąży wielki litewski — potem o tem, a teraz panowie bracia gotujmy się do pochodu, bo już dzień, a Najświętsza Panna Częstochowska na nas czeka. —

I kazał trębaczom zatrąbić pieśń Bogarodzica, która zwykle towarzyszyła naszym poruszeniom. A my na koń i po różnych przygodach dostaliśmy się do Częstochowy. Ale pan chorąży wielki litewski z ks. Markiem zaraz się odłączyli od nas po wyjściu naszem z niepołomickiej puszczy. Pan chorąży dostał się do Preszowa, gdzie była jeneralność, i widziałem go w Nieświeżu, kiedy już było po wszystkiem; ale księdza Marka już odtąd nie widziałem.

---

*) W autografie jest rzecz ta obszerniej nieco i odmienniej wyłożona, niż w wydaniu wileńskiem, za którem w tem miejscu poszliśmy.

Przyp. wydawcy.

Owoż takim sposobem rzucona była pierwsza myśl porwania króla, która wyszła z ust JW. chorążego litewskiego, a która jeżeli skutku nie otrzymała, to dla tego, że pan Łukowski — daj mu Boże wieczne odpocznienie! — podrwił głową, jako się kiedy może o tem wspomni.

XXIII.

BŁOGOSŁAWIONA ANNA Z OMIECIŃSKICH.

Nie jest nic lepszego, jak we wszystkiem spuszczać się na Opatrzność, bo bez jej pomocy na nic się nie zda najprzenikliwszy rozum. Pan Bóg stworzył człowieka, więc o nim zapomnąć nie może i wszystkie okoliczności tak mu skieruje, by najłatwiej swoje zbawienie mógł otrzymać. Dobrze li się dzieje, Panu Bogu dziękuj; źle, zgadzaj się z jego wolą. A jak szemrać będziesz, cóż zyskasz? Jego nie nastraszysz, ani zmusisz. Jeżeli nie uważa na twoje szemrania, jako na głupstwo, więc one ci się na nic nie przydadzą; jeżeli uważa, to ze wszystkiem zginiesz. Kogo nie zmożesz, temu ulegaj. Módl się w złych przygodach, płacz przed nim, proś, błagaj, póki go nie zmiękczysz, a nie bój się być natrętnym, bo on jest pan dobry, miłościwy, kochający swoje stworzenie. On nie tylko stwórcą i zbawicielem, nie tylko Bogiem, ale i człowiekiem. Sam cierpiał i wie, czem są cierpienia ludzkie. Błogosławiona Anna z Omiecińskich miała dziwne w tym względzie objawienie, które wyczytałem w Supraślu u OO. Bazyljanów, z rękopismu wkrótce po jej śmierci przez jej spowiednika napisanego pod tytułem: «Potok łask Pana Boga w Trójcy świętej jedynego, wezbrany na koronę polską i wielkie księstwo litewskie.» A który to rękopism że drukiem nie został ogłoszony, to z tego powodu, że byliśmy już pod gwarancją carowej; a że w tych objawieniach były przepowiednie, któreby Moskwie nie były do smaku, więc książę biskup Massalski postanowił, aby utaić co Bóg objawił, by się nie narazić aljantce naszej. Tak to wszystko się z czasem odmienia. Pierwszy papież i pierwsi biskupi wyrzekli przed urzędem, że lepiej Panu Bogu niż jemu być posłusznym; teraźniejsi uczą: że posłuszeństwo Panu Bogu na tem się zasadza, aby urzędowi być posłusznym we wszystkiem. A książę biskup był wielkim

wyznawcą tej nauki i nieraz dał tego dowody, a mianowicie z ojcem Atanazym Hołownią, bazyljaninem. Po dziś dzień głośne w Słuczyznie misje ojca Hołowni, że nawet mnóstwo popów skłaniało się do unji, a cóż dopiero świeckich; aż ambasador moskiewski na to użalał się przed księciem biskupem Massalskim, twierdząc iż to jest przeciw aliansowi, aby poddanych duchownych carowej do odszczepieństwa namawiać. Książę biskup zabronił ojcu Atanazemu misjonarzować i ustnie go strofował, iż on naraża bezpieczeństwo rzeczypospolitej, dodając, iż roztropność ludzka zniewala go być uległym ambasadorowi. A biedny bazyljanin, co lubo bardzo uczony, wyglądał jakby prostaczek, na to:

— Przewielebny panie! Wszakże w tąkich okolicznościach, a może niebezpieczniejszych, apostoł urzędowi powiedział: Si justum est in conspectu Dei, vos potius audire quam Deum?

Książę biskup obruszył się na to, jako każdy obrońca złej sprawy i zdobył się na koncept:

— Zrób waszeć, aby chromi wstawali, jak powiem: Surge et ambula, a ręczam, że z apostolskiem męztwem na wszystkich się porwę.

Ale bazyljana w ciemię bito.

— Jo. pasterzu — odpowiedział mu — będą chromi wstawać na te słowa, byle były zupełnie w tym samym porządku wymówione, bo ś. Piotr nie wyrzekł: Surge et ambula, aż wprzódy nie powiedział: Argentum est aurum non et mihi.

Zmięszał się biskup, a nic nie mógł powiedzieć, ani go ofuknąć, raz że było wielu obecnych, i przed tymi nierad był źle się wystawić; powtóre, że wszystkim było wiadomo, iż ojciec Atanazy od blizko lat pięciudziesiąt był zakonnikiem, ręką nie dotknął kruszcu, chyba kielicha przy ołtarzu, i miał za wielkie ubliżenie świętobliwości kapłańskiej, zajmować się interesami świeckiemi i posiadać złoto i srebro przeciw radom ewangielicznym. A jako niczem nieposzlakowany, śmiało przypisował łakomstwu duchowieństwa upadek wiary w owczarni, którą paśli niegodziwi pasterze. On to omal na całe życie nie był zamknięty za to, że w Wilnie każąc na konsekracji biskupa, miał powiedzieć:

— Teraz duchowieństwo za pieniądze poświęca dary Ducha świętego; a na tem skończy, że ani Ducha świętego, ani pieniędzy mieć nie będzie, bo Pan Bóg swoje, a djabeł swoje odbierze.

Duchowieństwo łacińskie bardzo się na niego było oburzyło; nawet ksiądz Witoga, teolog biskupa wileńskiego, wydał był książkę, w której usiłował dowieść, że ojciec Atanazy wznawia błędy Hussa. Ale mu to wszystko w niczem nie zaszkodziło, bo duchowieństwo greckiego obrządku, mniej pieniężne od łacińskiego, jego poparło, a bazyljanie na Litwie byli mocni; a po-

wtóre szlachta i pospólstwo za nim obstawały; ile że on niczego nie pragnął, żadnego urzędu zakonnego nie posiadał, misje o żebranym chlebie odprawiał, od ludzi możnych uciekał, tylko z chłopkami i nędzarzami przestawał. A nakoniec niechętni mu pasterze i kapłani nie bardzo śmieli naprzeciw niemu za daleko się posuwać, bo chodziły wieści, że nieraz Pan Bóg jego świątobliwość błogosławił cudami. Jakoż w czasie głodu, który Litwę trapił w roku 1744, w Lidzie na rynku wśród dnia stos kamieni w stos bochenków chleba znakiem krzyża świętego przemienił, co stwierdziło zeznanem lub podpisanem świadectwem więcej tysiąca chłopów i kilkudziesiąt szlachty tymże chlebem nakarmionych.

Ale ojciec Hołownia oddalił mnie od materji. Błogosławiona Anna Omiecińska nie tyle mądrością słynęła, ile miłością pałała do Chrystusa Pana, i tą właśnie miłością doszła do najwyższej mądrości. Napróżno djabeł chciał jej tę miłość nadwątlić, zawsze ze wstydem był odparty; ale przecie dokazał, że spokojność jej umysłu zamącił następną pokusą: Dla czego jest jedno piekło dla wszystkich niepokutujących ostatecznie grzeszników? a przecie nie jednaki los wszystkim na ziemi przeznaczony. Człowiek n. p. urodzony w nędzy, lub wyzuty obcemi nie podwładnemi mu okolicznościami z dostatków, chwyta się niegodziwych zysków, nakoniec rozboju, i umiera, nie opamiętawszy się: sprawiedliwość boska do piekła go odsyła. A gdyby on się był urodził jak ów drugi bogatym, lub mu zawsze jak innemu los dopisywał, nie miałby potrzeby śmiertelnie grzeszyć dla pieniędzy, mając ich i tak do sytości, i byłby może uszedł wiecznego zatracenia. Toż i inni, do których zguby obce wpłynęły okoliczności, w jakich nie własną, ale Opatrzności wolą zostawali. Ta pokusa tyle ją dręczyła, iż łez strumienie wylewała, modląc się przed Zbawicielem, aby jej umysł od takowego zaciekania się uwolnił, protestując się przed nim, iż o niczem wiedzieć nie pragnie, byle przy największej ciemnocie nic ją od miłości jego nie oderwało. I na modlitwach nie poprzestając, takiemi pokutami siebie wycieńczała, że wyschła do kości; aż zwierzchność klasztoru, w którym mieszkała, to dośledziwszy jej nad sobą katowanie, zabroniła jej postów i innych umartwień cielesnych, któremu rozkazowi z największą pokorą się poddała, lubo to poddanie się było dla niej większem, nad wszystkie dawniejsze, umartwieniem. Nakoniec Pan Bóg zlitował się nad nią, w swojej łasce ją utwierdził i zachwycił razu jednego jej duszę przed swoje oblicze, aby jej odkryć tajemnice świętej swojej sprawiedliwości. Ujrzała przed Bogiem dusze wszystkich jej znajomych żyjących: byli tam kapłani, co w dom jej rodziców uczęszczali, i samiż jej rodzice, krewni, i poddani i słudzy i żebracy, kogokolwiek tylko znała; było też kilku magnatów, co szczególnemi względami zaszczycali jej rodziców,

i sam król August wtóry, szczęśliwie wówczas panujący w Polsce, Litwie i Saksonji, a którego przed rokiem widziała w Warszawie, kiedy jej ojciec będąc delegowanym z województwa wołyńskiego, dla powinszowania królowi szczęśliwie zawartego karłowickiego traktatu, przedstawił mu żonę i dzieci. Jeszcze w tym dniu król bardzo zmięszał świątobliwą panienkę, zbytnie chwaląc jej piękność; a będąc wesołym i nieco za poufałym z kobietami, kiedy ona rękę pańską do ust przybliżyła, chciał ją w twarz pocałować, co u dworu było uważane jako grzeczność królewska poddance wyświadczona. Wtedy Anna acz błogosławiona, tak się przelękła, iż zemdlała, czem i króla i dworzan, a szczególnie rodziców nie mało nafrasowała. Otóż tedy te wszystkie dusze stały u podnóża stolicy bożej, jak staną kiedyś do sądu po zupełnem rozstaniu się z ciałem (te są dosłowne wyrazy rękopismu), a każda dusza o wszystkich grzechach najdokładniej wiedziała i o wszystkich grzechowych okolicznościach, bo to wszystko było na nich wyrażone, że i błogosławiona Anna to wszystko widziała, jakby na swojej dłoni. A Pan Bóg nie miał potrzeby ich sądzić, bo każda dusza sama siebie jak najsprawiedliwiej osądziła. Strach był wielki, bo póki z ciałem dusza, sama siebie niby oszukuje; ale bez niego nie ma rady, wszystko na wierzch wychodzi. A bardzo było dusz mało, wedle relacji naszej świętej, któreby sobie przyznały prawo do nieba; nie wiele też było wprawdzie, coby na wieczne potępienie zasłużyły, ale najwięcej takich, którym trzeba było oczyszczać się jeszcze pokutą. Nam się zdaje, że czyściec nie wielka rzecz, ale dusza srodze się jego boi, bo tam takie cierpienia, że wszystkie nasze są fraszkami, a nad wszystkie cierpienia wstyd, że aż poniewolnie pokutować trzeba, a tak łatwo było za żywota od tej biedy się ustrzedz. Truchlały więc dusze, chociaż Pan Bóg żadnego na siebie duszy wyroku nie zaostrzył, lecz wiele ułagodził. Taka była trwoga, że i błogosławiona Anna rozbiłaby się na widok udręczenia tych dusz, gdyby jej Pan Bóg nie dodał siły do zniesienia tego, na co patrzała. Otóż Jezus Chrystus nasz zbawiciel i sędzia, powiedział tym wszystkim duszom:

— Jeszcze na was ostateczny koniec nie przyszedł, wracajcie do ciał, które na was czekają. A jeżeli stan, w jakim każdego z was umieściłem, myślicie iż jest na przeszkodzie zbawieniu, każdy niech sobie wybierze dogodniejszy, a który wybierze, w tym go postawię.

Tu wszystkie dusze zaczęły prosić, aby do końca im pozwolił zostać w takim, co go im przeznaczył, bo w żadnym innym z taką łatwością się nie zbawią. Król chciał być królem, pan panem, nędzarz nędzarzem, a jako tu nikt nie rad ze swojego stanu, łam każdy błogosławił Pana nad pany, iż żadnemu nie dał to, coby było z jego szkodą; a to tylko uszkodziło, co nie było z własnej woli i ze swoich usilności, a nie wymodlił u Boga.

Dopiero każdą duszę odesłał do jej ciała na naszym padole płaczu i każdy obudził się ze snu twardego, nie pamiętając co się z nim stało. Tylko błogosławiona Anna z rozporządzenia bożego zachowała w pamięci, jak nasz Zbawiciel swoje rządy usprawiedliwił przed swojem stworzeniem. I za jego pozwoleniem dla większego zbudowania kościoła to wszystko wyznała przed swoim spowiednikiem, a ów kapłan to zeznanie między wielu innemi umieścił w rękopiśmie, o którym dopiero wspomniałem. Tem się utwierdzić możemy, że najlepsza modlitwa ta, co ją wprost od samego Boga mamy: Bądź wola twoja, jako w niebie tak i na ziemi, a co nam potrzebnego, on to nam da. Luboć i o doczesne rzeczy prosić trzeba, bo jak się otrzymają, coby mogło być w nich szkodliwego, tą prośbą wnet się oddziela, jak plewa od ziarna. A uchowaj nas Boże! abyśmy szemrali, kiedy nam odmawia, o co go prosimy; dla naszego dobra daru nam udzieli, może go też zupełnie odmówi, a w takim wypadku choć nie miłym dziękować mu trzeba, bo jego mądrość i miłosierdzie ochronią nas od zguby, za którą nasza wola nieoświecona łaknie. O! wieleż to razy każdemu z nas zdarzyło się napróżno pragnąć takich rzeczy, co później bardzo się cieszył, że ich nie dostał?*)

*) I ta powieść jest w autografie nierównie dłuższa; nam wypadało pójść i tą razą za wydaniem wileńskiem. Przyp. wydawcy.

XXIII.

PAN AZULEWICZ.

Temu lat dwadzieścia z okładem, ustawicznie o Wolterze prawiono, aż uszy bolały jedno a jedno słuchać. Gdzie bywało, nawiedzę sąsiada, a gospodyni młoda, na stoliku leżała książka pięknie w skórkę oprawna, z brzegami posłacanemi, a nie otworzywszy jej, można było na pewne pójść o zakład, że to był Wolter. Jakoś to jeszcze za czasów Konfederacji barskiej, to nazwisko pierwszy raz odbiło się o uszy moje. Pamiętam, że w Preszowie u przewielebnego Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, który był i świątobliwym kapłanem i wielkim senatorem, bywał często pan August Siedlnicki, wojewodzic podlaski. Ten pan wojewodzic dworakował u króla Poniatowskiego, ale że w duszy dobrze ojczyźnie życzył, więc chociaż go grafem nazywano i po niemiecku się ubierał, do nas akces zrobił i przy łasce bożej dotrwał do końca. Książę wojewoda wileński, co go nie lubił, raz, że nie po naszemu się stroił, powtóre, że miał w zwyczaju zbytnie przy starszych rozprawiać, bywało mawiał o nim: «Ten Francuz z Mokotowa chce nam wmówić, panie kochanku, że wszystkie rozumy pojadł.» Otóż razu jednego, gdy u biskupa Krasińskiego, w przytomności innych panów i szlachty, wojewodzic rozszerzał się nad swojemi peregrynacjami po zagranicznych dworach i ziemiach, gdy przyszło do Francji, zaczął się rozwodzić nad Wolterem, jak on to niszczy w swoim narodzie przesądy i zabobony, a daje mu światło widzieć, i że co to byłoby za szczęście, gdyby w naszym kraju podobny do niego wielki człowiek się zjawił, i tym podobne rzeczy. Książę wojewoda przerwał mu dyskurs, mówiąc: «Panie kochanku, widziałem tego Woltera, ot! zwyczajnie Francuz, pochwytał koncepta od księdza Bohomolca i temi swoim baki świeci.» A trzeba wiedzieć, że ksiądz Bohomolec napisał był

wtedy świeżo bardzo piękną książkę pod tytułem: «Djabeł w swojej postaci», gdzie szydził z upiorów, o czem książę wiedział; a że sam wierzył w upiory i mocno się ich obawiał, więc z tego powodu zbrzydził księdza i już mu do siebie przystępu nie dopuszczał.

Tylem tylko przez długi czas wiedział o Wolterze; człowiek to wojując, to w palestrze obywatelem służąc, to koło roli pracując, nawet czasu nie miał dowiadywać się, co też tam się dzieje za górami. Ale gdy się doczekało dobrze osiwieć, a siła i ochota do pracy się zmniejszyły, człowiek rozrywki potrzebując, to na starość wziął się do czytania. A że wtenczas bardzo o Wolterze mówiono, wyznaję że uczułem chętkę dokładnie poznać, co też ten pan Wolter tak mądrego wymyślił. Ale trudno było w podeszłym wieku po francuzku się nauczyć, żeby go zrozumieć. I z tem niejednokrotnie słyszeć się dawałem przed swoimi.

Aż tu na moje imieniny, Staś, mój wnuk, dopiero skończywszy nauki w Wilnie i z francuzczyzną jak się należy obeznany, dał mi na wiązanie przez siebie tłumaczoną tragedję Woltera: Zairę, gdzie to miał niby wystawić Turków i Chrześcian w czasie wojen krzyżowych. Właśnie na ten dzień zjechało się do mnie łaskawe sąsiedztwo i przyjaciele, a między innymi pan Azulewicz, Tatar, ale szlachcic, przyjaciel i kolega mój. On to kiedyś posłował na Krymie w czasie Konfederacji barskiej i w Stambule lat dziesiątek przepędził w usługach rzeczypospolitej, i pułkownikiem był w wojsku, a potem w mojem sąsiedztwie osiadł na dziedzicznej wiosce. Nasza przyjaźń nie wczorajszą była: kolegowałem z nim w poselstwie do Siczy zaporozkiej, i JW. Ogiński, wojewoda witebski, wyprawił nas obu do Chocima, ażeby wręczyć konia w bogaty rząd ubranego Emir Jussufowi, tamecznemu baszy, który nam sprzyjał: a to wywdzięczając się jemu, że jego ludzi zbrojnych, którzy przez Dniestr przeprawili się, uchodząc przed ścigającym nieprzyjacielem, swoim kosztem podejmował i przez swój kraj przeprowadził aż na Pokucie, gdzie z Konfederatami się złączyli. To ów basza wedle ich obyczajów okazał się, iż nam był rad, kawą i sorbetem nas częstował. Obdarzył pana Azulewicza kosztownemi paciorkami, na kształt naszych różańcowych, do odprawiania jakichś tam muzułmańskich modlitw; a mnie dostała się szabla prawdziwy damaszek, na którym można było dukatem pisać, jak kredą na tablicy, którą to szablę na Bilsku po naszemu kazałem oprawić. Ale potem gdy mi do głowy nieco skrupułu przyszło, że chociaż Emir Jussuf uczciwy mąż, przecie jako bisurmanin może coś niedobrego do tej szabli przyczepił; a że ja broni chciałem używać po szczeremu, bez żadnych inkluzów, jako chreściańskiemu rycerzowi przystoi: otóż uprosiłem księdza Marka, ażeby na wielkim ołtarzu podczas mszy

świętej ją poświęcił, i taką po dziś dzień chowam, którą po mojej śmierci wnukowie znajdą. Kiedy Staś wziął się do czytania, wszyscy z uwagą słuchali go, a szczególnie pan Azulewicz, co znał Turków na pamięć; i ja nieco z nimi obeznany, oddając sprawiedliwość i pracy tłómacza, przez którą dziadowi chciał życzliwość swoją okazać, i niektórym czułym kawałkom. Ile razy Turcy występowali, ledwośmy za boki się nie brali ze śmiechu. Sułtan narodu, gdzie wielomówstwo jest w obrzydzeniu i pogardzie, byle o co rozprawia, jak Piekarski na mękach. Któż o tem nie wie, że Turczyn tak jest zazdrosny, że bratu rodzonemu na swoje żony natrzeć nie pozwoli; a do tego tak wstydliwy, że nie tylko kobiety i rzeczy jej tyczącej się nie wspomni, ale słuchać coś podobnego poczytuje za największą nieobyczajność i zgorszenie. Otóż u pana Woltera Sułtan nie tylko że ze swoim powiernikiem, jak i on Turczynem tak szeroko plecie o miłości, że i warszawskiego nawet panicza mógłby nauczyć jak się wnęcić do serduszka panienki przez madame wychowanej; ale rycerzy chrześciańskich, z którymi od dzieciństwa wojował i dotąd wojuje, do komnaty swych kobiet dopuszcza, z niemi rozmawiać pozwala i takich im wolności udziela, jakieby u nas nawet za dawnych czasów nie uchodziły; a nakoniec ów Sułtan turecki sam się zabija, jak Niemiec, który zbankrutował. Otóż to wielki człowiek, któremu wierzono jakby jakiemu człowiekowi! Co mnie po dowcipie, kiedy kawałka prawdy nie ma. I on to przeciw religji naszej pisał i bałamucił młodzież, jak mnie światli ludzie o tem zapewniali. Na biedę przyszło, kiedy tak wierutny łgarz wiarę znalazł.

Memu Stasiowi zrobiło się markotno, żem krybrował Francuza, i tak się odezwał: — Ale mój dziaduniu, wszakże to nie historję turecką Wolter wystawił, jeno ogólne uczucia; gdyby myśli były tureckie w istocie, czyżby przytomni Francuzi mogli je rozumieć?

A ja na to: — Mój Stasiu, jeżeli koncept francuzki, cóż on zyskuje, że wychodzi z ust człowieka ubranego w zawój i szarawary? Niech i strój i postać będą stosowne do myśli? Dla czego piszący wprost swojej myśli nie objawia? Na co tu obłuda? Niech sobie Francuz oszukuje drugich, swoje myśli kładąc w usta takich, którzy inaczej myśleć musieli. Żartuje sobie z niego, że prócz siebie nikogo znać nie chce, ale tak jest boleśnie, że Polacy nawet siebie poznawać nie umieją i swoich wielkich mężów ważą wedle nowinek, które za granicą pochwycili. Jeżeli piszą lub mówią o swoich wielkich przodkach, czyż poprzednio zadali sobie najmniejszą pracę, ażeby się cokolwiek z niemi obeznać? Czy z występna lekkością ich potępiając, zastanowili się nad ich wielkiemi dziełami, których skutki ichże samych przeżyły i których żadna usilność zniweczyć nie może? Serce się kraje, ile razy czytam lub słyszę o Zygmuncie III.,

o tym wielkim i prawdziwie polskim królu, który lubo na obcej urodzony ziemi, od matki swojej, cnotliwej Jagiellonki, z krwią polską wziął duszę polską; który wolał utracić dziedziczne berło, niżeli narodowość polską skazić. Byłto, mówią, fanatyk przez Jezuitów rządzony, dla tego ani w Szwecji, ani w Moskwie mu się nie wiodło. I cóż to znaczy? Trzeba było, ażeby był katolikiem w Polsce, lutrem w Szwecji, schyzmatykiem w Moskwie? Czyż się godzi twierdzić, że jak kto w sobie samym zniszczy podstawę wszelkich obowiązków, będzie zdolniejszym je wypełniać; że jak w sobie zniszczy narodowość własną, to wszędzie będzie narodowym?

— Po co Zygmunt i syn jego Kazimierz tyle usilności łożyli, aby wiarę polską zaszczepić w Rusi? Tym krokiem kozactwo od nas się oderwało: to była pierwsza przyczyna upadku ojczyzny!

— Tak to dobrowolnie zamrużacie oczy, ażeby spotwarzać to, co jest godnem waszego uszanowania i wdzięczności. Czy zapominacie, że te ziemie na ruskich kniaziach zdobyte, w ogromie swoim o dwa razy przynajmniej przewyższały Polskę? Że w nich nic polskiego nie było? Religja, język, obyczaje, prawodawstwo, wszystko było obce i nieprzyjazne. Zgmunt III. poznał, że skoro naród podbity myślą nie skojarzy się z narodem podbojczym, ani chwili nie przestanie z nim być w wojnie. On poznał, że w stosunku z Moskwą nasza narodowość jedynie na religji katolickiej się opiera. Nie mądrością światową, nie filozofami on spolszczył ruskie dzierżawy, ale religją, ale świątobliwymi mężami: a jak religja nasza tak te wszystkie kraje ogarnęła, inne warunki polskiego żywota same z siebie tam się wkorzeniły. Ledwo obywatelstwo tameczne przyjęło naszą wiarę, trzeba im było ich statut na polski język wytłómaczyć; imię nawet własne zostało im w obrzydzeniu, bo im wystawiało już nie uczucie szlachetne niepodległości narodowej, ale ohydne przypomnienie błędów i wątpliwości zbawienia. Sołomireccy, Zbarascy, Dorohostajscy, Ogińscy, potomkowie mocarzów, których oręż polski na prostych zniżył obywateli, ledwo religję katolicką uznali za prawdziwą, z większą biegli zapałem bronić ogólnej równości polskiej, niżeli ich przodkowie szczególnych swoich jedynowładztw ruskich. Kuncewicze! Tyrawski! Zgierski! świątobliwe dzieci wielkiego naszego Odrowąża, wy prawi obywatele, którzy więcej imieniowi polskiemu zrobiliście podbojów, niż najwięksi nasi bohaterowie, dawno już ogłosił kościół stopień dostojny, który macie w krainach wieczności, gdzie wasze obywatelskie dusze nie przestają błagać naszego Ojca, by nasze zaślepienie na zawsze nas nie przegrodziło od niego. Niewdzięczni wasi rodacy zatracili pamięć nie tylko waszych zasług, ale nawet waszych imion; niepłodną zajęci ciekawością nad rzeczami obcemi, dzieci swoje zmuszają niedojrzałą jeszcze mową obce wymawiać nazwiska. Ciemny pomimo swego światła Po-

laku! idź w województwo kijowskie, stań nad brzegami Dniepru i znaj, dla czego tu się kończy narodowość nasza: dla czego po jednej stronie miłość wolności i orszak uczuciów jej towarzyszący, z drugiej przywiązanie do niewoli i szereg nałogów, który się nigdy nie opuszcza — a tam ocenisz tych wielkich mężów, których Zygmunt i syn jego posłali jako misjonarzy naszej narodowości; poznasz jaką nam zrobili przysługę ci spotwarzani biskupi, którzy w senacie nie chcieli zasiadać z władykami ruskimi. Oni to sprawili, że dotąd bije po polsku serce potomków ruskich bojarów na prawym brzegu Dniepru. Choć Polska zginęła, Polacy żyją i żyć będą póki sami się nie zabiją; a nie zabiją się nigdy, jeżeli zechcą zrozumieć, co jest duchem narodu, i jaka była myśl ich przodków. Zygmunt i syn jego utworzyli Polskę na Rusi, wróciła Ruś do oderwanych od siebie dzierżaw, a krocie jej żołnierzy i cała mądrość tego wieku nie może wykorzenić tego płodu, którego nasienie kilku zakonników rzuciło.

XXV.

ZAMEK KANIOWSKI.

Żadna rzecz ludzka nie jest doskonałą, a co tylko ludzie wymyślą, to inni ludzie ulepszyć mogą, albo li, co często bywa, zepsują. Lecz te rzeczy, co już w obyczaj weszły, częstokroć takim podlegają zawisłościom, że bez zbytecznej zarozumiałości przyganiać im nie można. Wiele jest na świecie rozmaitych narodów, a każdy z nich podlega pewnym prawom, krępującym go bez wątpienia, ale razem zabezpieczającym byt jego. W tych wszystkich prawach jest i wielki stosunek i wielka odmienność. Stosunek w tem wszystkiem, co się odnosi do wyobrażeń, danych człowiekowi wprost od Boga, różnica we wszystkich względach jedynie ludzkich. Jak to bywało, mówiono o dekretach, że niektóre z nogami, to jest nabiegane, drugie z rękoma, to jest po prostu opłacone; a przecież najwięcej takich, co wedle Boga i sumienia, bo inaczej nie byłoby sprawiedliwości między ludźmi. Toż i o prawach powiedzieć można: są między niemi takie, które oczywiście dla osobistych a chwilowych okoliczności napisanemi były, i te wylęgły się w czasach, kiedy już prawodawstwo wątlić się zaczęło kiedy u prawodawców uczucia już z serca do głowy przenosić się zaczęły. Ale każdy naród jeżeli zechce się opatrzyć, przekona się, że wszystkie jego starożytne prawa wedle Boga napisane były. Nie wiele pokładam ufności w prawie świeżo utworzonem, ale co się dotyczy tych, co już przeszły przez probierczy kamień czasu, dla nich jestem przejęty głębokiem uszanowaniem, tak dalece, że chociażby i dziwacznemi się zdawały, zaraz przychodzi mi na myśl, że muszą się odnosić do jakich okoliczności, które gdyby wiadome były, przekonałyby o ich mądrości i właściwości. Prawo jest historją narodu, i taką, która zaprzeczeniu nie podpada; nie taką jak dzieje, które mogły się wydarzyć lub nie;

albo pozwólmy, że się wydarzyły rzeczywiście, jakaż pewność, że ten, co je opowiada, zachował czystą prawdę bez nadwątlenia jej ozdobami? Czy raz bywało, że z kilku nawet naocznych świadków jednego zdarzenia, każdy je po swojemu opowie: jeden wspomina o okoliczności takiej, drugi o innej, która pierwszą zbija — domyśl się wtedy czyja prawda? Ale w prawach nie ma obłudy, z nich jak oliwa z wody, na wierzch wychodzą obyczaje narodów, i to jest właśnie prawdziwa historja. Wyrzucają naszemu dawnemu prawodawstwu, że nie było w niem środków wykonawczych i dość sprężystych, czem prawo równano do pajęczyny, w której mucha się wikła, a bąk ją przebija. Nie przeczę, by nie miało być coś gruntownego w tym zarzucie, ale nigdzie jeszcze nie usnuto pajęczyny na bąka, wszędzie bieda z bąkami. Każdemu narodowi można powiedzieć z ruska po polsku: Kruty ne kruty hołowoju nebože, ne dokažesz, żeby chudemu pachołkowi było to samo, co panu. Choćbyś się pozbył wszystkich panów, wkrótce się oni znowu pokażą. Alboż co jesieni pszczoły nie wybijają swoich trutniów co do nogi, a przecież na wiosnę znowu ich pełno. W czasie sejmu czteroletniego my wszyscy się zapalali do tego, co się wówczas we Francji działo: jak to było pięknie równością naszą szlachecką całkowity naród obdarzyć, króla osądzić, dworaków się pozbyć, uwolnić się od wszystkich tych, co dotąd ciężyli na równości obywatelskiej; jednem słowem wytępić szerszenie i bąki, żeby tylko zostały same muchy, na które pajęczyna prawa jest dostateczna. Śliczna myśl, a długo li ona była stateczną? Z pomiędzy much niektóre powyrastały tak, że już stały się ogromniejszemi od tych bąków, które się naprzykrzyły. Wszystko się wkrótce odnowiło, i król i dwór i magnaci, a co wygnano wszystkiemi drzwiami, oknami wróciło. To kiedy po upłynionych latach Francja przyszła do naszej Litwy, był to dla nas czas wielkich nadziei, ale który zrodził nam tyle nowe nieszczęścia, bo przeciw nam był mocarz silny i przezorny, a za nami przyjaciel nieszczery i nieroztropny. Otóż wtedy napatrzyłem się na kozery francuzkie. Taki co przed kilkunastu laty bił się za równość ziomków, tak spyszniał, że ani dostąpić do niego. Będąc członkiem komisji centralnej w Grodnie, z urzędu mego musiałem codziennie odnosić się do francuzkiego gubernatora. Jak mówiono, był on kiedyś blacharzem, co mu nie krzywdę, ale owszem zaszczyt przynosiło; bo któżby miał mu za złe, że męztwem i zasługami do wysokich dostojeństw się wyniósł. Ale co to była za duma! co za nadętość! Obwiniają naszych magnatów, że byli wyniosłymi. Oj! wolałbym z najdumniejszym naszym magnatem rok przebyć, niż godzinę z podobnym gubernatorem. Nie taję mojego wyznania: może byłoby dobrze, by żadnego nie było magnata. Zgoda! piszę się na to, i krwią własną podpiszę! Od pastucha

do senatora niech wszyscy będą równi. Ale mają li być koniecznie magnaci? Niechże będą przynajmniej tacy, których krew z wielkich przodków na nich się zlała. Uchowaj nas Boże od podpanków, od takich, co lubo teraz możni, lecz ich dziadowie w palce chuchali dla ogrzania się w zimnie; bo im świeższe u nas szlachectwo, tym więcej cuchnąca duma. Alboż to nie widzimy codziennie, że ekonomskie syny dzisiaj więcej nosa do góry zadzierają, niż dawniej senatorskie dzieci? Dawniej magnat był dumny, ale względem równego mu magnata; względem szlachty i sług był poufałym i braterskim. Teraz syn ekonomski, czy tam wnuk, gdy się dodrapie przestronnego dziedzictwa, ani patrzy na zacnego człowieka, pokrzywdzonego losem; nie ma upokorzenia, któregoby względem niego nie ważył się dopuścić. Ale niechno się pokaże rosyjski, czy to gubernator, czy jenerał, albo i jaki ziomek silny, potężny w służbie tego rządu, a wnet tak się przed nim uniży, tak się spłaszczy, takiemi nadskakiwaniami jego uwagę ku sobie skłoni, żeśmy o tem nigdy i wyobrażenia nie mieli. Szlachcic z zaścianka, w łatanej opończy, dla zapewnienia sobie kawałka chleba, co go nie codzień jadł do sytości, pewnie nie tyle się płaszczył przed księciem wojewodą wileńskim, ile teraz marszałek lub prezydent przy obszernym majątku przed lada zwierzchnością obecną, żeby wypodlić sobie ćwierć łokcia wstążki. Słabe były środki wykonawcze w naszem prawodawstwie: dajmy, że tak było rzeczywiście, cóż ztąd za wniosek? Że obywatele źli byli? Owszem musieli być bardzo cnotliwi, kiedy prawodawcy na ich charakter jedynie się spuszczali. Bywały czyny dowodzące przemocy magnatów, ale nie myślcie by to wszystko było prawdą, co teraz o nich mówią. Niejednemu się zdaje, że u nas były ciągłe najazdy, że magnaci nie mieli innej rozrywki, tylko batożenie szlachty, że gwałt był ciągłym stanem narodu. Czyż to wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią? W całej Wielkopolsce ani słychu było o najazdach, toż samo w Małopolsce; na naszej Litwie przez całe moje życie trzy tylko było wypadki, że pan szlachcica najechawszy, ukrzywdził. Nasz książę napadł był w karczmie na pana Zarembę i jego skrzywdził; JW. Tyzenhauz, podskarbi wielki litewski, panu Turowi przez jedną noc wszystkich poddanych na swoje grunta przeniósł i tak chałupy i dwór sprzątnął, że gdzie była wieś, zostało same orne pole. Był głośny proceder między JW. Żabą, wojewodą połockim, a panem Hutorowiczem, osiadłym szlachcicem, którego tenże JW. Żaba pięć lat więził okutego w piwnicy, że aż po pas broda mu urosła. Otóż i wszystkie gwałty litewskie przez lat dwadzieścia; a jeśli szlachta między sobą się powadziła i przyszło do uczynków, toć to już nie prepotencja; na całym świecie ludzie siebie krzywdzą, i na to jest prawo. A ktoby tam urzędy stanowił, gdyby ludzie żyli jak anieli? A i te czynności, o których

nadmieniłem, na sucho nie uszły. Nasz książę pięćdziesiąt tysięcy musiał bezwarunkowo zapłacić panu Zarembie, a taki dwanaście niedziel wieży personaliter wysiedział w Nowogródku. Z panem Tyzenhauzem gorzejby się stało, gdyby go nie był zakwitował z procederu pan Tur, wziąwszy za to kamienicę na Antokolu i ustępstwo starostwa sutorowickiego, na co JW. podskarbi przywilej panu Turowi od króla wyrobił. A na JW. Żabę wypadł dekret grodzki, w którym rozdział 2. artykuł XXVIII. statutu litewskiego z całym rygorem do niego zastosowany został. To ledwo wyłamał się z niego w trybunale, sowicie wprzód zagodziwszy pana Hutorowicza, by mu w tym wyrobku nie przeszkadzał. Sprawa więcej dwóchkroć go kosztowała, chociaż i strona powodowa była zaspokojoną i sam książę wojewoda wileński zjechał na trybunał, by za przyjacielem forsować. O żadnej innej prepotencji magnata względem szlachcica nie słyszałem, a pewnie po aktach ciągle szperając, a z ludźmi obcując, nie takiego przedemną by się nie utaiło. Ukraina była jedyną częścią rzeczypospolitej, w której podobne bezprawia nie były rzadkie. Tam było kilku panów możnych, a szlachty nadto mała liczba, by im jakąś przeciwwagę położyć. Nawet w tej małej liczbie szlachty osiadłej na Ukrainie ledwo dziesiąty był prawdziwym szlachcicem, reszta z poddanych dworskich, co ich panowie z Wielkopolski i z Krakowskiego, lub z Podlasia wywieźli, którzy po polsku mówiąc, a w usługach pańskich jakiegoś grosza nazbierawszy, przyszli powoli do roli dziedzicznej, czy zastawnej; i tak wdarli się cichaczem do szlachectwa, nim go sobie i potomkom zabezpieczyli, korzystając z pozwolenia danego królowi konstytucją 1766 roku, która to konstytucja samowolnie rozciągnięta nad jej wyraźne brzmienie, nie mało pieniędzy ukraińskich do kasy króla Stanisława przywabiła. Komuż nie znany pan Potocki, starosta kaniowski, na którego rachunek nakarbowano wszystkie gwałty, jakie przez półtora sta lat może robiły się na Rusi, a bez wątpienia, że i on sam nie mało ich napłatał. Ale i on pod pewnym względem służy za dowód, że u nas była sprawiedliwość. Wszakci on żadnego szlachcica nie zabił, tylko gęsto sypał plagi na tych, do których coś upatrzył, co nie było trudno, bo był chimeryk. Przecie miljony miał po rodzicach, posiadał starostwa intratne, grosza na przepych nie marnował, owszem był wielkim gospodarzem: żadnemu panu trzy wsi nie przynosiły tyle, ile mu jedna; a po śmierci nie wiem czy dwakroć sto tysięcy na jego synowca spadło. Ile bowiem batogów sypnął był jedną ręką, tyle potem tysięcy drugą na zagojenie pierwszych dawał. A wieleż to na Ukrainie liberbaronów na dziedzictwo wyszło z łaski jego batogów? To tu razu jednego powiedział pewnemu szlachcicowi, co mu naprzykrzał się w karczmie:

— Ne ma hroszyj, ne budu byty.

Wszyscy słyszeli o staroście kaniowskim, a ja byłem mu osobiście znany, nawet miałem z nim interes, z którego powodu cały tydzień służyłem mu w Kaniowie, i mogę się pochwalić że najmniejszej przykrości z jego strony nie doświadczyłem. Owszem tyle okazał się dla mnie łaskawym i łatwym w interesie, że daj Boże moim wnukom każdy ich interes podobnie kończyć. Moja bytność w Kaniowie nastąpiła z następnego powodu:

Książę Wiśniowiecki, hetman wielki litewski, którego córka jedynaczka była matką naszego księcia, miał starostwo kaniowskie, nadane jeszcze od króla Augusta starego. Tam jako zwyczajnie na Ukrainie, zastał same pustki. Ale w przeciągu swojego władania wymurował zamek, wystawił folwarków, młynów i zabudowań co nie miara, a co po jego śmierci sukcesorowie poszukiwali swojej należytości w rzeczypospolitej; że kiedy później to starostwo dostało się panu Potockiemu, on wziął na siebie obowiązek zaspokojenia księżny Radziwiłłowej. Za wstawieniem się przyjaciół interes został ukończonym. Jeszcze księciu wojewodzie wileńskiemu residuitatis zostawało u pana kaniowskiego czternaście tysięcy, które się zawiodły z powodu zamieszek krajowych od śmierci Augusta III. Książę pan wróciwszy z Ołyki do Lublina, po ukończonym interesie z książętami Lubomirskiemi, przypomniał sobie, że mu się jeszcze coś należy od starosty kaniowskiego, a chcąc mi łaskę wyświadczyć za moje usługi, darem darując, odstąpił mnie tych czternastu tysięcy, dodając:

— Panie kochanku! Waszeć teraz na Rusi, ruszajże sobie do Kaniowa po pieniądze, abyś z gołemi rękoma nie pokazywał się żońce, której od waści kłaniać się będę.

Padłem do nóg mojemu JO. panu. Czternaście tysięcy wtedy był piękny grosz, a nawet i teraz, ktoby ich na drodze znalazł, nie szczędziłby rąk swoich do ich podniesienia. Ale jak zaczęli mi ludzie mówić o dziwactwach pana starosty, że zamiast monety srebrnej, nie trudno w Kaniowie o rzemienną, nie małom się nafrasował. Ale powiedziałem sobie:

— Naprzód, panie Sewerynie! Czyż już dla wilka nie iść do lasu, choć skóra w strachu? Ojciec dzieciom czternaście tysięcy dla strachu nie opuści, chybaby już oczu nie pokazać między ludźmi.

Postanowiłem tedy, odebrawszy list od księcia pana do pana starosty, nazajutrz puścić się w podróż. Pan Bartłomiej Chodźko napierał się być moim towarzyszem, ale mnie na to nie namówił, bym szedł z żarem do prochowni. Cały wieczór na pokojach miną nadrabiałem, ale w sercu była wielka niespokojność, tak, że przed wyjazdem na intencję pomyślnej podróży opatrzyłem się przenajświętszym skramentem w kolegjacie ołyckiej i uczyniłem ślub, że po odtrąceniu wszelkich wydatków, z całej kwoty, co ją odbiorę, opłacę dziesięcinę w połowie kolegjacie,

a w połowie siostrom miłosierdzia w Nowogródku. A lubom wiedział, że pan starosta wówczas znajdował się w Kaniowie, puściłem się jednak ku Podolu, a to, żeby przypomnieć się JW. Potockiemu, podczaszemu litewskiemu, u którego kilkakrotnie byłem na ordynansie w czasie Konfederacji barskiej. Ba! omal że nie zabrał mnie wtedy z sobą do Stambułu, co mi się bardzo podobało, bo który młodzian nie rad jak najwięcej świata przebiedz. Ale wola Pana Boga była, bym w swoim kraju służył, bom tak na malignę zapadł był, że JW. podczaszy bezemnie wyjechał. Lecz mogłem sobie pochlebiać, że jakiś wstęp mam do jego osoby.

Pojechałem więc do Morafy, raz dla złożenia czołobitności ziomkom poświęconemu panu, powtóre, że on zasługami swojemi mógł być uważanym za głowę domu Potockich; chciałem się więc ubezpieczyć w Kaniowie jego listem do pana starosty. Jakoż chociaż tuzin lat i więcej minęło, jak mnie widział ostatni raz pan podczaszy, od razu mnie poznał, nazwał mnie po chrzestnem imieniu, i tak łaskawie mnie przyjął, że padłem mu do nóg, łzami się zalawszy. Z wielką czułością wypytywał mnie o JO. księciu, moim panu, i o innych magnatach litewskich, z którymi miał przyjaźń, a których od dawna nie widział, bo od sejmu podziałowego zamknął się był w Morafie i zajmował się gospodarstwem, usunąwszy się od życia publicznego, w którem wedle jego przekonania, nie godziło mu się być czynnym. I tyle okazał się dla mnie łaskawym, że chociaż zostawał w obojętności względem pana starosty kaniowskiego, z powodu iż ten świeżo kazał był powiesić żyda z Morafy, nie odniosłszy się do niego — jednak własną ręką napisał za mną list instancjonalny, co mi go przed wyjazdem wręczył pan Wirski, marszałek dworu, a niegdyś jak ja konfederat barski. Pan Wirski przyjął mnie był na swoją kwaterę i przez dwie doby, com przebył w Morafie, miałem u niego wszelką wygodę. Nie był mu tedy tajny mój interes z panem starostą, a że go znał dobrze i sam bywał nieraz świadkiem jego dziwactw, różne dał mi informacje o trybie życia, jakie on przybrał. Szczególnie mnie radził, bym nie ważył się kołami zajeżdżać przed jego zamek, ale konno przybyć, gdyż pan starosta zaraz się kwasi na szlachcica, co nie będąc chorym, ani zgrzybiałym, pozwala sobie podobnych zniewieściałości. Utrzymywał albowiem, że w Polsce temu tylko pojazd godziwy, kto ma krzesło w senacie lub trybunale, albo miejsce na ławach poselskich: dając z siebie przykład, że będąc tylko starostą, podróże chociażby najdłuższe, wierzchem odbywał. Tak więc listami, radami, a najwięcej ufnością w Bogu opatrzony, puściłem się do Kaniowa dnia 4. sierpnia, w wigilję Najświętszej Panny śnieżnej. Nie omieszkałem kupić po drodze w Niemirowie terlicę kozacką z całym moderunkiem, a miałem w lejcu klacz skarogniadą, która

w potrzebie nie gorzej pod siodłem chodziła, i szczęśliwie po czterech dniach podróży, już po zachodzie słońca, zajechałem do żydowskiego domowstwa na przedmieściu kaniowskim. A nazajutrz raniuteńko wysłuchałem mszy świętej u OO. Bazyljanów. Do południa nachodziwszy się po mieście i namedytowawszy, kazałem chłopcu klacz okulbaczyć i w imię boskie ruszyłem na niej wprost do zamku. Przed bramą spostrzegłem trzy słupy z uszami żelaznemi do zawiązywania przy nich koni. O! tu pan Wirski zapomniał mnie oświecić, że ja samym tylko instynktem uniknąłem napaści. Jeden słup był karmazynowy, drugi biały, a trzeci czarny; przy pierwszym uwiązałem klacz, i dobrze mi się udało, bo jakem się później dowiedział, ten słup był dla szlachty, drugi dla chłopów, trzeci dla żydów, a jak kto wybierze słup niewłaściwy swojemu stanowi, a pan starosta to spostrzeże, temu już bieda, zwłaszcza jeżeli podochocony. Że to była sobota, pan starosta ten dzień suszył i żadnego mocnego napoju nie używał, o czem się dowiedziałem u Bazyljanów: więc miałem dobrą nadzieję o pierwszem spotkaniu, a wziąłem na siebie mundur albeński, do którego noszenia świeżo byłem upoważniony. Uwiązawszy tedy kobylinę u szlacheckiego słupa, poszedłem na dziedziniec, gdzie zastałem wychodzących z kaplicy zamkowej i rozpierzchających się po dziedzińcu dworzan i sług kaniowskich; kilku zostało tylko przed kaplicą z czapkami pod pachą, a jeden miał głowę nakrytą, którego po tem samem można było poznać, że to był sam pan starosta. Chociaż wzrostu nikłego, a chudy i ogorzały jak cygan, było coś odznaczającego się w jego obliczu, coś okazującego, że był nawykłym do dawania rozkazów, a jeszcze więcej do tego, by je natychmiast spełniano. Z dworzan otaczających go żadnego nie było, coby go przynajmniej głową nie przenosił, a szczególnie jeden bliżej niego stojący, do którego właśnie w tej chwili przemawiał i można było zaraz poznać, iż się zaszczyca ściślejszą poufałością pana, był i ogromnej tuszy i olbrzymiego wzrostu. Przecie gdyby nawet pan starosta wraz z nimi głowę miał odkrytą, ani bym się wahał domyśleć, że on nad nimi wszystkimi panuje. Poznać pana po cholewach. Jego czupryna czarna i kędzierzawa, u spodu podgolona, długim spadała kudłem niżej prawego ucha, więcej z kozacka, niż z polska. Małe oczy czarne błyszczały jakby jaszczurcze w twarzy, po której kilka szramów świadczyło, że w burdach swojego własnego łba nie szczędził, a najgłębsza kresa, co mu lewy policzek na dwie części ledwo nie równe przedzielała, jakem się później dowiedział, była pamiątką tego najpoufalszego dworzania, z którym rozmawiał, a który tem, iż go przemógł, zaskarbił sobie szczególne pańskie względy. Wszyscy dworzanie byli odziani porządnie, nawet nie bez jakiegoś przepychu. Ale on sam miał na żupanie płótno domowej roboty, z pod którego wyglądały karmazynowe hajda-

wery, długą kurtkę granatową z potrzebami, a żupan był opasany rzemiennem łykiem, przy którem wisiała ogromna szablica. Właśnie zapalał mu lulkę kozaczek, mający za pasem nahaj w srebrną skówkę oprawny. Zbliżyłem się ku niemu i nisko skłoniwszy się, zabierałem do opowiedzenia siebie; ale jak utkwił we mnie wzrok swój, zmierzywszy mnie wprzód od głowy pięty, zmięszał mnie z razu, tak, że zapomniałem języka w gębie. Zaraz wszelako przyszedłem do siebie, jak się odezwał pan starosta:

— Co to waszeć, jak widzę, albeńczyk, a co nam z Litwy przynosisz?

Opowiedziałem śmiało: — Mam listy do JW. pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie — i dobywszy z zanadrza list z Morafy, złożyłem go w jego ręce. Ale ledwom wspomniał Morafę, nadstawił marsa.

— To znowu wymówki za żyda, co go w Kaniowie powiesili; pan podczaszy za żydem się ujmuje jakby za rodzonym bratem: aż albeńczyka na mnie sprowadził. A wiesz waszeć że to Kaniów? Jeśli z Morafy przyjeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do pana podczaszego należą i że ja ztamtąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam.

Tu wziąwszy nahaj od kozaka:

— Widzisz waszeć timmor Domini alias pióro, ja miewam we zwyczaju, że na listy z wymówkami odpisuję nim na skórze tych, co mi je oddają.

Tu się obruszyłem jakby nie było, a nadto dobrym czułem się szlachcicem, bym dał sobie mówić o batogach.

— JW. starosto! — powiedziałem śmiało — może na Ukrainie we zwyczaju, nahaj za pióro, a skórę szlachecką ze papier uważać. Ja jestem dworzaninem księcia wojewody wileńskiego, od niego w swoim interesie przyjeżdżam, o czem list od JO. mojego pana przekona. O żadnym żydzie morafowskim nie wiem, tylko JW. podczaszego o list instancjonalny prosiłem do JW. pana, i dostałem go, bo mnie znał JW. podczaszy, kiedyśmy razem nie nahajem ze szlachtą, ale szablą z wrogiem wojowali. Ja jestem litewskim szlachcicem, a do tego albeńczykiem, i mam przy sobie pałasz, który moją skórę przegrodzi od batogów. A jeżeli mnie liczbą rozsiekacie, znajdą się koledzy moi, którzy choćby w zamku kaniowskim, po mojej śmierci nawet, odszukają mojej krzywdy.

Wypogodził oblicze swoje pan starosta, a obróciwszy się do poufałego dworzanina:

— «Oto nawiżennyj Łytwak, czortaby nałykaw», widzę żeś prawdziwy albeńczyk, panie bracie. Samopas gotoweś mnie najechać w moim zamku. «Mospane Łopuckij! proczytaj-no, czoho choczet' wid nas pan podczaszyj.»

Odczytał głośno ogromny dworzanin list pana podczaszego,

w którym żadnych nie było wymówek, tylko za mną instancja w nader chlubnych o mnie wyrazach, których się ani spodziewałem, ani na nie zasłużyłem.

— «Dobre bratku, dobre, pomyrim sia: na szczo nam z soboju wojowaty» — i podał mi rękę, którą z uszanowaniem pocałowałem. — «Dawaj no teper pyśmo kniazia Radziwiłła.»

List był krótki, w którym mój książę prosił o łaskawe przyjęcie swego sługi. Pan starosta z przymileniem powiedział:

— Proszę, panie bracie, rozgoście się w moim domu, nie puszczę waszeci od siebie, pokąd tydzień nie upłynie. Dziś sobota, «wodu pju jak sełezeń», ale jutro upijem się z tobą, «bo ty dobra detyna» i zuch, a do tego sługa (tu zdjął czapkę) JO. księcia wojewody wileńskiego. To pan nad pany, «koły ty jeho dworianyn, to ty ne hirszyj za mene», jabym sam u niego służył.

Na to pan Łopuski:

— A jużci tego nie pozwolim! Tamto litewski pan, a pan nasz pan; nam szlachcie służyć, a wam równym sobie panom panować.

— «Pokiń, pokiń pane Łopuskij, dałeko kucomu do zajacia. Kołyb ja wsich moich ludej i żydów z ich żinkamy i dit'my w kuczu nahromadyw i połowyny ne bułoby toho, szczo on towko maje w swojej milicji; a szczo za dwir jeho! marszałok bilszyj pan za mene.» Wiesz waszeć, mospanie Soplico, że przed kilkunastu laty całe półrocze przesiedziałem u waszego pana w Nieświeżu! Widzisz tę kresę, co ją mam na łbie? To pamiątka po panu Ignacym Wołodkowiczu. «O! se buw mołodec i z rodu takoho nie baczyw; buwało sableju jak sokieru rubaje aż triski litajut.» Powadziłem się był z panem Józefem Rejtanem i dwa palce jemu odrąbałem, a pan Wołodkowicz ujął się za nim:

— A no ze mną, mospanie kaniowski!

— «Dobre, każu, poborimsia; ałe jak daw meni po hołowi, wsi nebesni zwizdy mohbym porachowaty, to my pisle toho tak sia połubyły, szczo bez sebe żyty ne mohły. Oj! kołyb ja buw tohda w Nowohorodku, jak jemu konczyna prychodyła, sej proklatyj pip anyb jeho łyznuw; szczoż robyty, ja za nym płakaw jak detyna, szist' nedit pyw deń i nicz, a smutku nie moh zabuty.» A waścin książę, oto ale pan! W koronie tylko podpanki, «nema z kim żyty»! Mospanie Soplico! przepraszam żem waszeci z razu źle przyjął; ale jakeś mnie oddał list pana podczaszego, anim się mógł spodziewać, że i od waszego księcia mnie drugi przynosisz. Myślałem że znowu mnie łaje, bo gniewa się na mnie podczaszy, a sam osądź, czy ma słuszność. Kiedy wasz książę przed nieprzyjacielem uchodził Podolem na Wołoszczyznę, ja w Buczaczu zacząłem zbierać szlachtę i kozaków: już było wszystko gotowem do boju. A żyd cyrulik,

«sobacza wira», który miał przystęp do mnie, o każdym moim kroku donosił jenerałowi Zagrajskiemu, który stał z komendą w Płoskirowie. Ja o niczem nie wiem, «aż tu nyszczeńkom prijszły wrahi do Buczacza, mene uchopyły, potaszczyły do Kijowa i trymały zapertoho poki ne buło uże po wsim. To za teje, jak wpade w moji rukij jakij żyd, ne pytaju sia zwidki, a widdaju za swoje». Jakiś żyd pokazał się w Kaniowie na Mikołę i zaczął moich chłopów w kupki ogrywać, a czort wiedział, że on z Morafy. Ja na niego magdeburgję sprowadził i żyda powiesili. Wielkie święto! A pan podczaszy do mnie z wymówkami. Ja sześć bryk kazałem naładować żydami śniatyńskiemi i buczaczkimi, i te wszystkie bryki przewrócić na dziedzińcu morafskiego zamku. Za jednego żyda «widdaju bilsze sto, a odczepy sia». A pan podczaszy jeszcze gorzej się rozgniewał i taki wypalił do mnie list, «że kołyb to ne buw Potockij, jak i ja, tob ja jemu.— Ałe pokińmo o tym. Pane Łopuskij, szczoby pan Soplica u nas wsiu maw wyhodu». Bo to radziwiłłowska czeladka. A teraz, panie bracie, powiedzno w jakim interesie do mnie przyjechałeś?

— Niech się nacieszę jeszcze JW. panem, o interesie będzie pora mówić; jak się rozgoszczę, to o wszystkiem objaśnię. Dziś sobota, pan zwykłeś dziś suszyć, i mnie sługę swojego na zbawienną drogę naprowadzisz; przy kielichu jutro gładziej pójdzie, a tylko panny o wodzie rozprawiają.

— Prawdziwy albeńczyk: i zuch, i mądry. «Kołyb ta subota szwydsze mynuła, szczo by z Łytwakom pobawyty-sia.» W Nieświeżu tęgo piją; albo ja tam pół roku nie siedział? Jak się też powodzi panu Leonowi Borowskiemu?

— Zdrów, panie! zawsze wesół i w łaskach u JO. mojego pana.

— Albo on tego nie wart, «se hołowa! Jemu kanclerom buty; a jak pje, ja na neho z desiat' raz porywaw sia, ne można buło rady daty, tak mene buwało położyt, szczo ni ruku ni nohu pidniaty ne mohu», a pan Leon tylko się śmieje i mówi: Śpij nieboże, śpij — i szuka świeżego, żeby z nim dopić. Co to mospanie półgarnca wina duszkiem w żywot wleje, «ani oddochne, kołyb on do Kaniowa pryjichaw, toby ja jeho jak korola pryniaw». Mospanie Soplico, z najsławniejszym probowałem się: pijało się ze Swiejkowskim, podstolim wołyńskim, i z Janikowskim, co to ma przysłowie «quinque djabłów», i z Branickim, kiedy jeszcze był łowczym koronnym, i z Łahodowskim, co kielichem całą Wielkopolską rządzi; «wsio drań pry Borowskim». I książę wojewoda wileński dobrze pije, ale daleko mu do niego. Na całej Koronie i Litwie jeden tylko Konarzewski, co obok niego stanąć może, «oj! se mołodyj czołowik, ałe krepkij także», a prócz Konarzewskiego jak świat szeroki, nie ma równego Borowskiemu. To mospanie, kiedy pan Ignacy

mnie nakiereszował, doktor nadworny księcia pana obwiązał mnie głowę, krew puścił i wymógł na mnie, żem się na Najświętszą Pannę zaklął, iż póki mnie nie pozwoli, wodę tylko pić będę i nie wyjdę z kwatery. Tęskno mi było w ciupie, modlił się człowiek, modlił, aż się przemodlił. Przyjaciele i sam książę pan z łaski swojej mnie nawiedzali. A ja im mówię:

— Dla miłości Pana Boga, bawcie się u mnie; choć mi pić nie wolno, niech przynajmniej się napatrzę jak drudzy piją.

A książę pan zaraz posłał po Borowskiego, bo bez niego zabawa nic warta. A mnie przyszedł koncept do głowy:

— Panowie! — odezwałem się — doktor każe mnie pić wody jak najwięcej; zafarbujcie mnie wodę, oszukamy pana Leona, a będzie potem śmiech, że będąc słabym, przecież przepiłem go.

Na to książę wojewoda:

— Dobrze, panie kochanku; ale czy doktor pozwoli waści tyle wody nażłopać?

Właśnie doktor był przytem, doktor Moryson, który jak wiesz, nie był od kielicha.

— I owszem — odezwał się — niech pan starosta zdrów pije wodę, ile się wleje, a ja sam zajmę się jej zafarbowaniem.

Jak przyszedł pan Leon, wszystko było na pogotowiu i zabawa się zaczęła. Piwniczy wszystkim nalewa wina, a mnie wody: gładko szło, już wszyscy byli podochoceni, tylko pan Leon zawsze świeży do kielicha. A ja piję wodę a piję, ledwo trzcina w brzuchu nie wyrosła; nareszcie takem się odął, że ani sposobu wytrzymać. Patrzę na Morysona i oczami modlę się do niego, by mi pozwolił aby jeden kielich wina wypróżnić, bo dalej pęknę. Domyślił się doktor czego chcę, i wyszedłszy, zrobił porządek, by mi prawdziwego wina przynieśli. Ale jak mi go nalano w kielich, a ja go do ust przybliżył, pan Leon mnie za rękę:

— Nie uchodzi drwić z ludzi, panie starosto, czemś zaczął, tem kończ.

Domyślił się jucha — ja w prośby; spuścił mnie od dalszego picia wody, ale wina pić nie pozwolił ani kropelki.

— Nie porywaj się z wodą na wino, śpij teraz i swoją wodę wypoć, a jak doktor da ci indult, służę na gołe łby, bez tych figlów studenckich.

Wszystkim śmiech, a mnie wstyd, ale odtąd już nigdy głowy przed panem Leonem nie nakrywałem. —

Po tej gadce przybliżyli się do pana starosty jego kapelani których miał dwóch: dominikana i bazyljana; nawet szczególnie ruski obrządek miłował. Ja, by się nie naprzykszyć, poszedłem sobie z panem Łopuskim, który mnie odprowadził do naznaczonej mi kwatery, i kobyłę kazał wziąść na obrok pański, a wózek zostawiłem z chłopcem na gospodzie, bo taki nie do-

wierzałem panu staroście, by nie była jakaś napaść, jak się dowie, że pozwalam sobie wózka. Roztasowałem moje mizerje na kwaterze, ale nie długo w niej siedziałem, bo dano mi znać, że pan starosta każe sobie służyć na obiad. Na tym obiedzie i wstawszy od stołu, ciągle był zajęty mną chudym pachołkiem, wszystko mnie wypytywał o znajomych mu Litwinach i nie było mowy, tylko o życiu nieświezkiem. I było tego dobrego do wieczora, który się jednak bez burzy nie obszedł. Bo woźny trzy pozwy położywszy na ekonomji, a któremu już kilkakrotnie udało się ujść z Kaniowa bez szwanku, gdyż gęste pozwy sypały się na pana starostę; jakoś nie wywinął się i wpadł w ręce kozaków, którzy mu relacje gotowe wytrzęśli. Biedny woźny sto nahajów dostał, a nie dwieście wedle obyczaju kaniowskiego, bo na jego szczęście to było w sobotę, a na cześć Najświętszej Panny w dniu tym pan starosta zawsze pół kary odpuszczał. Można było uważać, że przy końcu dnia JW. gospodarzowi bardzo się ta sobota przykrzyła i że niecierpliwie wyglądał niedzieli, aby co prędzej popieścić się z kielichem. Zakończył nareszcie sobotę, ale w taki sposób, że nawet zakonnicy jego otaczający mogli być wielce zbudowani. Bo i koronki odmówił, i godzinki niepokalanego poczęcia śpiewał, i to z całym dworem, a tak gorliwie, że sto rózeg kazał dać jednemu ze swoich paziów za to, że ziewnął podczas jednej antyfony. A jakeśmy się porozchodzili do wczasu, ledwom mógł zasnąć na kwaterze, bo aż do północy wszystkie dzwony kaniowskie kołysały się na cześć Najświętszej Panny in gratiam soboty. W panu staroście była wielka mięszanina pobożności i chimer.

Nazajutrz jako w niedzielę, za przykładem pana, goście, dwór, czeladź i poddaństwo jak się zebrali w kościele na jutrznię, to dopiero aż po sumie z niego wyszli, a wszystko się modliło gorąco. Dałby pan starosta temu, coby w prawo i lewo okiem rzucał, bo chociaż sam modlił się z wielką skruchą, ciągle klęcząc, co chwil kilka patrzał, czy wszyscy obchodzą się przyzwoicie. Obaj kapelani kazali, jeden po polsku, drugi po rusku; jedli oni chleb pański, ale dla tego nie oszczędzali pana starosty: pełno było w kazaniu dla niego nie wątróbek, jak to ludzie mówią, ale głogów i cierni. Jeszcze dominikan z daleka mu jakoś przymawiał; ale bazyljan po prostu siepał, bez ogródki piorunował naprzeciw pijaństwu, popędliwości, nieludzkiemu obejściu się z podwładnymi, tak, że choć nazwiska nie wymieniał, właśnie jakby palcem go wytykał. Pan starosta jakby nie o nim, tylko głową kiwa, oczy mrużąc, do «Sanctissimum» obrócony i w piersi się bije kułakiem. Może komu z tego był śmiech, ale ja się budowałem i wielkie powziąłem uszanowanie dla pana starosty, za to że tak poczciwie wierzył. A czemu, powie kto, nie tak dobrze czynił, jak dobrze wierzył? To źle bez wątpienia, ale gdyby taka wiara była jak uczynki, to byłoby

jeszcze gorzej. Co złego, temu przyganiajmy; lecz czemu nie pochwalić, co jest dobrego?

Po nabożeństwie była sesja ekonomiczna, na której sam starosta jak zwykle zasiadał, o wszystkiem wiedział; nic bez jego rozkazów się nie robiło. To był zawołany gospodarz, a nie tylko dyspozytorowie nagromadzili się, ale i ciwunowie, których tam «przysiężnymi» zowią, a każdego wysłuchał i badał, tem łatwiej, że po ukraińsku mówił jak djak. A kozacy z nahajem stali przed oknami kancelarji, gotowi sypać plagi na znak pański. Jakoż nie obeszło się bez kilku egzekucji. Strach się malował po twarzach wszystkich oficjalistów. Jedna z pomiędzy wielu egzekucji dnia tego, chociaż boląca, nieco mnie rozśmieszyła. Przed kilkoma tygodniami pan starosta był przedał certum quantum pszenicy Filipinom kaniowskim. Otóż w jednym folwarku dyspozytor zniosłszy się z przysiężnym, kilkanaście korcy czelnej pszenicy w poślad wmięszał i sobie zabrał w moc ordynarji, bo że w tym roku jarzyna chybiła w Kaniowszczyźnie, poślad pszenny w miejscu owsa przyjmowali ordynarjusze. Ale pan starosta, co wszystkiego zawsze doszperał przez swoich kozaków, po nitce dobrał się do kłębka; rozgniewał się tedy okropnie i krzyknął na kozaków, by położyli dyspozytora. Ale ten zaczął się wymawiać swojem szlachectwem, że nie jest on z takich, co ich najwięcej na Ukrainie i Wołyniu, co to tylko szlachcic alias, ale że on jeszcze z dziada i pradziada, ma zasługi w domu Potockich. A trzeba wiedzieć, że pan starosta zawsze miał wzgląd na szlachectwo, o którego rzetelności był przekonany. Zaraz się opamiętał:

— Otoś mnie zagadł! Prawda synu, prawda, tyś szlachcic, twój ojciec był towarzyszem w mojej chorągwi. «Byty ne budu, ałe koły ty szlachtycz, na szczo kradesz, a takij niezabud' budesz maty?»

Kazał położyć dyspozytora, a na nim przysiężnego i temu dwieście nahajów odliczono, tak, że szlachcic służył chłopowi za ławę. A jak obaj wstali, przysiężnemu powiedział:

— «Pamiataj, sobaczyj synu, szczoby z ekonomom ne zmawlaty sia na szkodu pańsku; szłachtycz sia wykpyt, a tobi bude bida; teperki pokłony sia ekonomowi i podiakuj jemu, szczo on pozwoływ tobi na nym leżaty.» A waćpana, panie szlachcicu, proszę dziś do siebie z innymi na obiad.

Było tam jeszcze rozmaitych kawałków, ale Bóg świadek, że w tem wszystkiem było silne wyobrażenie sprawiedliwości. Sesja ekonomiczna skończyła się przed samym obiadem. Wszyscy poszliśmy do stołu za panem starostą. Co było na sesji, to było, ale po niej każdego uprzejmie zaprosił, tak, że kilkadziesiąt osób siedziało za stołem. Mnie niedaleko siebie posadził, piwniczy nam wino nalewał, a na szarym końcu stał miód w dzbankach na stole, ale tak obficie, że każdy mógł się

opić jak bąk: jakoż uważałem, że nikt tam swojego gardła nie oszczędzał. A pan starosta już po sztuce mięsa rozpoczął zdrowia kolejnym kielichem. Pierwsze zdrowie było mojego pana, JO. księcia wojewody wileńskiego, po którego spełnieniu za danem hasłem wszystkie armaty kaniowskie huknęły, oraz inne zdrowia spełniano, ale bez wiwatów. Wszystkich mu znanych Litwinów pił zdrowie i kazał mi za powrotem moim ich uwiadomić, jak zachowuje ich pamięć, a szczególnie, by księciu wojewodzie oświadczyć, że nigdy w nim nie przestanie mieć gorliwego i poświęconego sługi, który żadnej nie opuszcza okoliczności, aby uczcić tego wielkiego męża, któremu równego ani świat, ani korona polska nie wydały. To był prawdziwie dzień świetny dla naszej Litwy. Gdyby cała mogła być obecna tej uczcie, tak by się rozrzewniła jak ja, który w jej imieniu ze łzami dziękowałem i odpijałem wdzięczność za to zachowanie, co jej syny uskarbili sobie na Ukrainie, a którą wynurzał jeden z najznakomitszych magnatów tej strony od nas oddalonej. Byłem przejęty uczuciami najgłębszej wdzięczności, po pierwsze za cześć kilkakrotnie wynurzoną JO. księciu wojewodzie wileńskiemu, panu i dobroczyńcy, którego smaczny chleb od tylu lat jadłem, a którego szczodrota i wówczas wstęp mi dała do zamku przemożnego pana, gdzie byłem przyjęty nie jak sługa równego jemu magnata, ale jak przyjaciel. Bo powinny nawet lepiej niż ja nie mógłby być ugoszczonym. Powtóre, za tę zaszczytną pamięć, co ją serce pana starosty kaniowskiego zachował, o tylu Litwinach zacnych, po większej części i z mojego województwa, a z którymi wychowałem się i kolegowałem, a nawet wprost za siebie samego kilkakrotnie musiałem dziękować. Bo nie tylko, że jedna kolej obeszła za szczęśliwe powodzenia szlachty w. księstwa litewskiego, do którego grona mam zaszczyt należeć, i to wyznaję bez obawy, by mnie o chełpliwość posądzono; ale pan starosta pił zdrowie bandy albeńskiej, co mnie jeszcze bliżej dotykało, bo jakem wspomniał, świeżo byłem przypuszczony do tego towarzystwa, którego barwę ciągle w Kaniowie na sobie miałem. A nakoniec pan starosta — niech go za to Pan Bóg stokrotnie i na tamtym świecie błogosławi — mnie chudego pachołka zdrowie stojąc spełnił, jak wszystkich innych. Bogiem i ludźmi się świadczę, że tak było, a nie inaczej; a ja klęcząc, spełniłem kielich dziękczynny, i nie taję się, żem mu kolano ucałował.

Już dawno było po obiedzie, a my pijem a pijem, a pan starosta tak wylany, nie tylko dla mnie, którego się usadził odkryć szczególnemi względami, ale i dla oficjalistów swoich, tych nawet, co ich ofukiwał na sesji. A jaki miły w opowiadaniu! Ciągle coś wesołego miał do mówienia.

— Mospanie Soplico! — mówił mnie — ogadano mnie przed światem, żem tyran na szlachtę. Broń mnie waćpan przed

ludźmi. Wszak ja sam szlachcic, a podły ptak, co swoje gniazdo paskudzi. Byłeś świadkiem, że chociaż tak uniosłem się na ekonoma, skoro tylko się złożył szlachectwem, dałem mu pokój, i choć okradł mnie, na sucho go puściłem. Prawdziwemu szlachcicowi nigdy w skórę nie dałem, chyba nie wiedziałem o jego zaszczycie, natenczas ignorans peccavi. A że mnie dekretami obsypano, nie dziw, bo tutejsi sędziowie takiego samego szlachectwa, jak ci, którym skórę rozpruwszy, musiałem ją moją kieszenią nadłatać. Kruk krukowi oka nie wykole. «Ot teper jak ekonomska detyna nad namy panuje; kto w Boha wiryt i nie wiryt, to szlachtycz.» Kiedyś to szlachectwo nasze było zaszczytem nad zaszczytami, «a nyni tak ho Poniatowskij zasmerdyw, szczo sorom do szlachectwa pryznawaty sia. Bih mene osudyt, a lude nechaj breszut». Waćpan sobie nie wyobrazisz, co to się dzieje w naszej Ukrainie. Mam sąsiada «Wołyneckoho», dorobił się dziedzictwa, ale «ładaszczo»; jak zaczął mnie dokuczać, cierpliwości nie stało: to karczmy stawił mnie na podryw, to w grunta kaniowskie się worywał, to zające szczuł na mojem polu. «Ja jemu raz każu: — Oj! mosanie Wołyneckij, odczepy sia, bo dohrajesz sia. — Nakonec na mojej zemli ja jeho uchopyw i piatsot tam kazaw mu nasypaty hde potribno, a win jak sia wyłyzaw, na mene z pozwom do horodu.» Ja tłumaczę się, że on popowicz, i stawiam ludzi, «szczo jeho bat'ka znały; ałe i sudia i pidsudki takohoże rodu, szczo i win, i szlachectwo protiw Bohu mu pryznały», i wieżę kazali mi wysiedzieć, że musiałem pięćdziesiąt tysięcy zapłacić, a tak «mojeju krywdoju podoliły sia». Zgubić mnie chcieli. Ja tu szlachtę robię jakby jaki hetman: komu dam w skórę, ten zaraz i szlachcicem się robi, a potem za moje pieniądze zostaje osiadłym. «Od Kaniowa aż po Skwyru kto didycz, to szlachtycz mojej roboty.» Jeszcze za to na mnie psy wieszają, taka to tutaj wdzięczność, że ich na ludzi kieruję. «Meni ne hroszyj żal», ale kraju; my szlachtą stali, a jak szlachectwo się spaskudziło, obaczysz, że i kraj upadnie. «Szczoż robyty: jakij pan takij kram.» Co tylko złego, to od Poniatowskiego wyszło. Pojedźno do Warszawy, a obacz kim się otoczył. Aż ksiądz Naruszewicz, który choć wiersze pisze, przecie dobry szlachcic, a nawet waszego księcia koligat — to on, lubo zausznik króla, nie może wytrzymać i mawia: Czy król myśli papiernie zakładać, że tak zbiera gałgany? Warszawa gorsza niż Sodoma, same farmazony i lutry. «Boha ne bojat sia, a taki teper senatory i dygnitary, szczoby kołyś ny ktob ich na ekonomow ne wziaw.» Pan Potocki, chorąży koronny, «didycz Humańszczyzny, kołyś meni każe»: — Bracie kaniowski, już waszeć dawno starostą; pojedź do Warszawy, żeby nowe krzesło do domu Potockich przybyło. — A ja mu na to: «Uwa! a szczoto ja soroci z pod chwosta wyliz, szczoby mene Poniatowskij meży senatory posadyw. Chwa-

łyty Bohu z jeho łaski nyczoho ne maju i ne budu maty. Buczacz i Sniatyn, to mojeho bat'ka pracia, a starostwo kaniowskie daw meni neboszczyk Sas, szczo ałe buw korolem. Bude z mene, żinki i ditij ne ma i ne budet», do śmierci wystarczy, a krewni choć nic nie znajdą, z siebie bogaci; na co tłusty połeć smarować! —

I tak piliśmy i gawędziliśmy cały tydzień, jako z tem się oświadczył na wstępie pan starosta; a przyznam się, że choć zabawa miła i umiałem cenić poufałość magnata, rad byłem że tydzień się kończy, bo zdrowia nie dalejby nie stało, co nocy iść do wczasu bez przytomności, a nazajutrz toż samo powtarzać. Dopiero w piątek odważyłem się mówić o moim interesie, bo już w dniu tym był koniec zabawom, gdyż w sobotę pijatyki nie było a w niedzielę zaraz po mszy ś. miałem opuścić Kaniów. Pan starosta nie tylko że się nie zasępił, ale z uprzejmem obliczem przyznawszy mi wszelką słuszność, powiedział:

— Jeszcze dziś się pobawim, a jutro skończym interes.

I w samej rzeczy nazajutrz, że nie było pieniędzy w kasie, dał mi prosty skrypt, którym do kapitalnej sumy dołączył najskrupulatniej wszystkie zaległe procenta, z których gdy część odstąpiłem panu Łopuskiemu, ten gotówką spłacił mnie sumę. A tak z kabzą napełnioną wróciłem do żonki, wedle słów JO. mojego pana, do którego pan starosta własną ręką przezemnie napisał list nie krótki, choć pisać nie lubił. Jeszcze na «niezabud» darował mnie smycz chartów personatów, co każdy z nich pojedyńczo wilka chwytał. Te charty były głośne na całej Litwie, a ich gniazdo lubo u mnie się zwiodło, dotąd jednak w psiarni radziwillmontskiej się zachowuje.

Nikt nie jest bez ale, i pan starosta za życia nie był świętym. Ale że miał dobre serce, że był gorliwym katolikiem, że było w nim wiele wspaniałomyślności, jest to prawda, o której wątpić nie mogłem. Wprawdzie wiele złego o nim słyszałem, ale wiele dobrego sam widziałem i doświadczyłem. Bynajmniej nie zadziwiło mię, jakem się dowiedział, że w lat kilka potem skończył życie w Poczajowie w wielkiej świątobliwości i że prostaczkowie pobożnie nawiedzają jego zwłoki.

DOMÓWIENIE WYDAWCY.

W roku 1835 przejeżdżając przez Nieśwież, zapadłem na febrę, tak, że musiałem kilka dni zatrzymać się. Gdym już powracał do zdrowia, a doktor nie pozwalał mi wychodzić z pomieszkania, księgarz zajechał do tego domostwa, i przyszedłszy do mnie, zapytał, czybym rad jakich książek nabyć. Nudzącemu się i jeszcze trochę cierpiącemu, pokazał on mi się jakoby jaki anioł, i poprosiłem go, ażeby znosił na moją stancję swoje książki, ja zaś będę je przerzucać, i co wybiorę, to i nabędę. Jakoż kilka książek, z których potem byłem kontent, nabyłem. Między innemi: Pojatę, Pana starostę, Władysława Łokietka i kilka romansów Walter Szkota przekładu pana Dmochowskiego, a nabywszy ich po niedługim targowaniu się, spostrzegłem jakiś rękopism, dość czytelnym charaktem pisany, między książkami, z tytułem:

Pamiętniki pana Seweryna Soplicy,

cześnika parnawskiego.

Ciekawość mnie wzięła i zapytałem księgarza, czyby rad mi zbyć onego. Księgarz odpowiedział: — Oto pan tyle u mnie książek kupił, że jeżeli jakąś cenę do seksternu tego przywiązujesz, to niech panu służy. Temu kilka miesięcy jak z powodu miateży pod administracją rządowę zajęto majątek o cztery mile ztąd leżący: Sitorowicze pana Puciaty. Asesor tam posłany, między innemi ruchomościami szafkę z książkami wziąwszy, mnie na ryczałt ją przedał, a między niemi zawieruszył się i ten sekstern, co panu się podobało go przyjąć. — Tak więc zacząłem go czytać, i przyznam się, że jako rzeczy polskich tyczący się, czytałem go z upodobaniem, nimem się opatrzył, że takowe rzeczy nieociosane i niezgrabne, zdatniejsze pójść pod wielkanocne placki, niżby zająć miały ukształcony umysł. Ale

w pierwszej przyjemności, jaką na mnie sprawiła rzecz zupełnie dla mnie nowa, tylem się zajął, że zacząłem wypytywać gospodarza mojego, czyby on nie znał kiedy jakiego pana Soplicy?

— O, dla Boga! — odpowiedział mnie żyd — pan cześnik zawsze tu do mnie zajeżdżał i zawsze u niego wódkę i brażne woły kupowałem. To był wielki gospodarz i sprawiedliwy pan; on tu miał Sitorowicze, gdzie siedział, a miał jeszcze dwie wioski za Nowogródkiem, co po jego śmierci wnuki się podzieliły. Pan Paciata to jego wnuk, co mu zabrali Sitorowicze. On był bardzo łaskaw na mnie: kiedy mnie dom się spalił, trzysta rubli pożyczył na wypłat. Choć dużo stary, to co tydzień tu przyjeżdża do kościoła i u mnie przenocuje. On czwarty rok jak pomarł.

Że pan Niemcewicz z różnych dzieł zebrał rzeczy dawnej Polski tyczące się i ogłosił je drukiem, pomyślałem sobie, że i to może się zda komu, a jeżeli ludzie światli go odrzucą, może to się podoba jakiemu staremu domatorowi, i rad będzie przypomnieć sobie dawne rzeczy, na które patrzał, albo o których mu ojciec powtarzał. Z tego powodu wydałem go tak, jak jest, żadnej poprawy nie robiąc i nie tając przed sobą wad tych pamiątek, jeśli je będziem jako dzieło uważać. Njaprzód żadnego porządku chronologicznego nie zachował w nich autor: pisze o śmierci Sawy wprzódy, niż o rozstrzelaniu Wołodkowicza, chociaż ten ostatni wypadek dziesięciu laty poprzedził pierwszy, i inne takie nieporządki. Powtóre widzę wielkie sprzeczności w sposobie myślenia pana Soplicy: w całem dziele okazuje się gorliwym katolikiem, a przecie w jednej pamiątce pisze o wypadku przynoszącym nie wiele zaszczytu Jezuitom. Człowiek porządny musi koniecznie do jakiegoś stronnictwa należeć i pamięci swojej nie dawać przystępu żadnej rzeczy, któraby cień krzywdy rzucała na swe stronnictwo. Dalej autor okazuje wiele przesądów, które Bogu dzięki już powszechnie ustały, przy coraz więcej szerzącej się oświacie narodowej. Radby zmienić policję: jakby prawo i ukształcenie mogły się bez niej obejść. I o prawach wyraźnie bredzi, przywiązując do nich jakieś natchnienia, a to w wieku, gdy prawnictwo tyle wygórowane, że nie ma powiatu, w którymby kilkunastu nie było ludzi zdolnych na prawodawców; gdy Prudhona i Filjangierego prawie na pamięć umieją, i gdy pan Daniłowicz tak głęboko rozumuje o prawach naszych; gdy są tak wielcy profesorowie; gdy pan Gurowski tak dobitnie dowiódł: że Polska nigdy konstytucji nie miała, a zatem nigdy nie była narodem, nim ją kongres wiedeński narodem utworzył. Pan Soplica jednak jako człowiek staroświecki może być wytłómaczonym, że tyle ma przesądów i że tyle chwali czasy barbarzyństwa, na które patrzał. Ale pomyślałem sobie, że w pokoleniu, które zboczyło od dawnych prawideł smaku, które wytwornemi dziełami Felińskiego, Ko-

żmiana a Osińskiego nudzi się, a które się karmi Mickiewiczem i Bohdanem Zaleskim; które wreszcie zamiast prawideł tak mądrze wynalezionych przez Goleńskiego i księcia mówców polskich, Stanisława Potockiego, złożonych w doskonałem jego dziele o wymowie i stylu, chwyta się tylko barbarzyńskich wzorów; w takiem, mówię, pokoleniu, i te pamiątki, które wydaję, wzgardzonemi nie będą.

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.